

ANNE

BISHOP

MORDERSTWO

WRON

INNI - tom drugi

Dla Pat



ANNE
BISHOP

Podziękowania

Chciałabym jak zwykle podziękować Blairowi Boone'owi za to, że jest moim pierwszym czytelnikiem, a także za informacje na temat zwierząt i pozostałych rzeczy, które wykorzystałam do tworzenia świata Innych. Dziękuję też Debrze Dixon, która była moim drugim czytelnikiem, Dorannie Durgin, która zajmuje się moją stroną internetową, Adrienne Roehrich, która prowadzi mój fan page na Facebooku, Catherine Garcii za informacje o ciastkach dla psów i sposobie ich wypiekania, Charlesowi de Lint za muzyczne inspiracje na World Fantasy (Toronto 2012), Nadine Fallacaro za informacje medyczne, Douglasowi Burke'owi za konsultacje kwestii związanych z działaniem policji (i niedociekanie, po co mi te informacje), Anne Sowards i Jennifer Jackson za uwagi na temat fabuły i entuzjizm, z jakim przyjęły tę serię, oraz Pat Feidner, która jak zwykle służyła mi radą i oparciem.

Chciałabym szczególnie podziękować osobom, które użyczyły swoich imion i nazwisk postaciom z tej książki, wiedząc, że będzie to jedyny łącznik pomiędzy rzeczywistością a fikcją. Są to: Bobbie Barber, Elizabeth Bennefeld, Blair Boone, Douglas Burke, Starr Corcoran, Jennifer Crow, Lorna MacDonald Czarnota, Julie Czerneda, Roger Czerneda, Merri Lee Debany, Michael Debany, Skip Denby, Mary Claire Eamer, Sarah Jane Elliott, Chris Fallacaro, Dan Fallacaro, Mike Fallacaro, Nadine Fallacaro, Jamess Alan Gardner, Mantovani „Monty” Gay, Julie Green, Lois Gresh, Ann Hergott, Lara Herrera, Robert Herrera, Danielle Hilborn, Heather Houghton, Lorne Kates, Allison King, Janie Paniccia, Jennifer Margaret Seely, Ruth Stuart i John Wulf.

NAMID – świat

Kontynenty i terytoria (jak dotąd)

Afrikah

Australis

Brytania/Dzika Brytania

Celtycko-Romańska Wspólnota Narodów/Cel-Romania

Felidae

Kościste Wyspy

Burzowe Wyspy

Thaisia

Tokhar-Chin

Zelande

Wody

Wielkie Jeziora: Największe, Tala, Honon, Etu i Tahki

Pozostałe jeziora: Jeziora Piór/Jeziora Palczaste

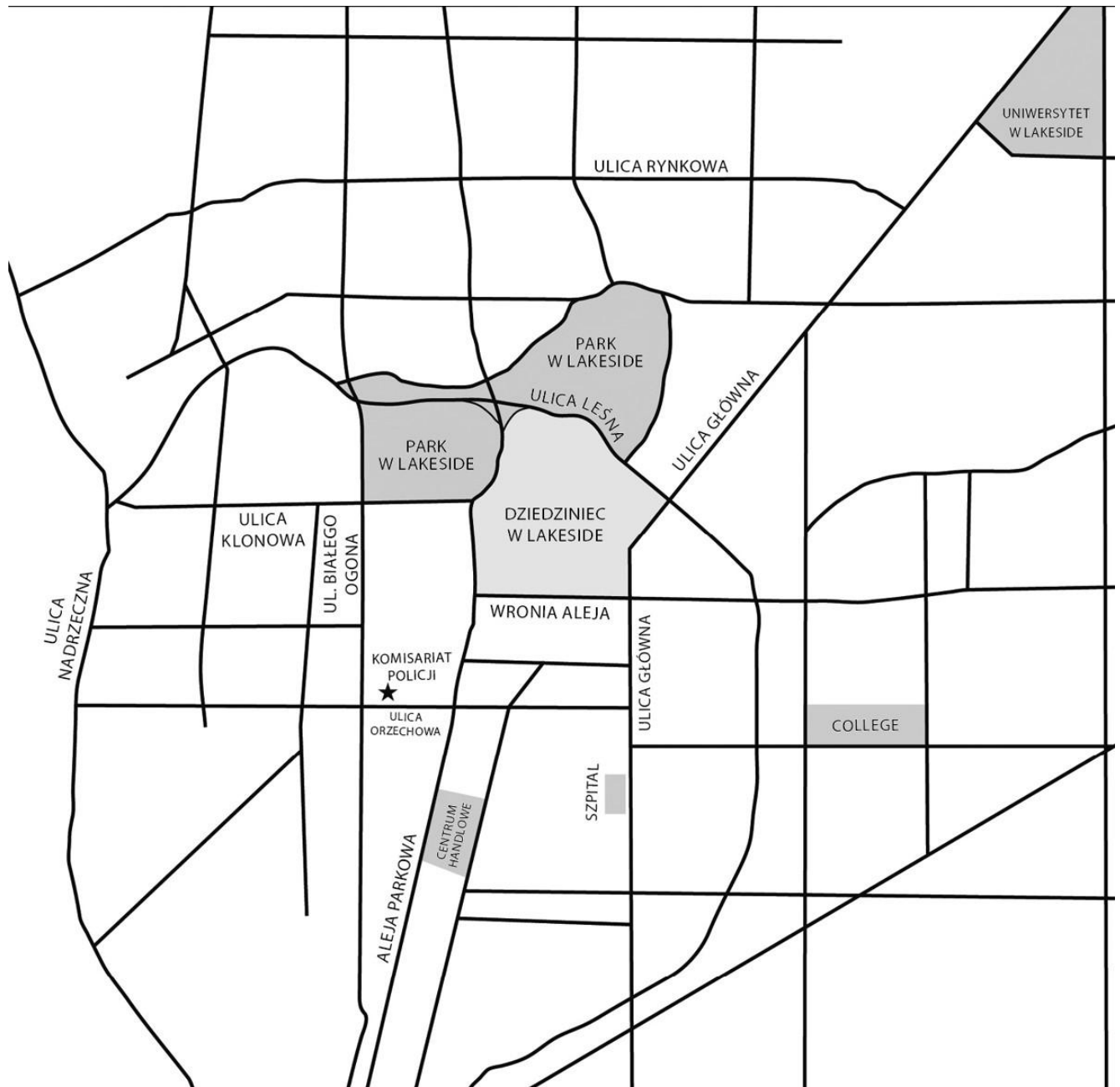
Rzeka: Talulaha/Wodospad Talulaha

Miasta i wioski

Przystań Przewoźników, Centrum Północ-Wschód (Dyspozytornia), Georgette,

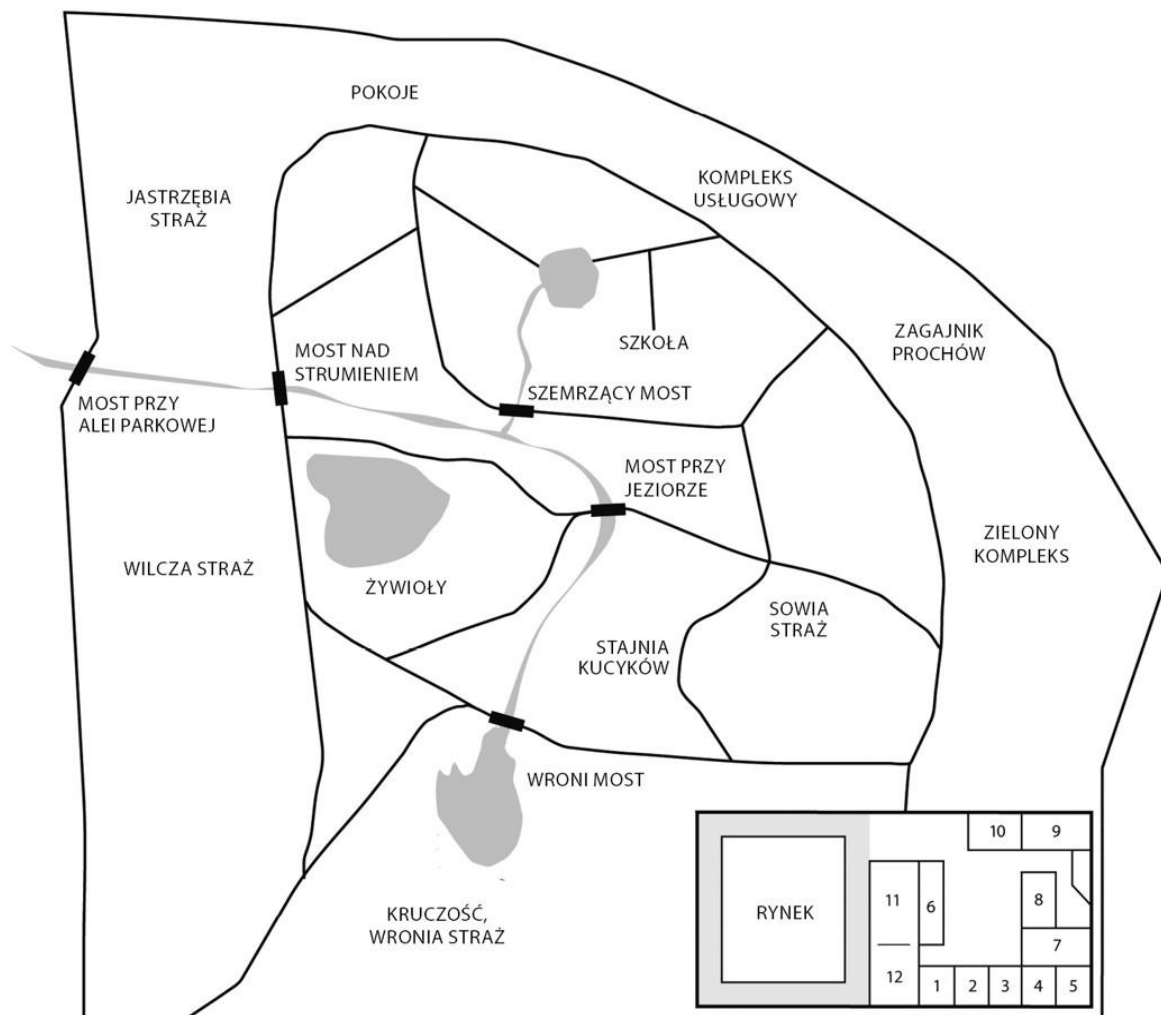
Laketown, Podunk, Sparkletown, Talulah Falls, Toland, Orzechowy Gaj, Pole

Pszenicy



Plan Lakeside

Autorka zaznaczyła tylko elementy występujące w powieści.



© 2012 Anne Bishop

- | | |
|--|-------------------------------------|
| 1. Pracownia krawiecka/
mieszkania służbowe | 7. Galeria i pracownia
Henry'ego |
| 2. Coś na Ząb | 8. Biuro łącznika |
| 3. Zabójczo Dobre Lektury | 9. Konsulat |
| 4. Siup i Łup | 10. Trzy P |
| 5. Świetlica | 11. Parking dla pracowników |
| 6. Garaże | 12. Parking dla klientów |

Dziedziniec w Lakeside

Krótką historia świata

Dawno, dawno temu Namid zrodziła wszelkie istoty żywe – w tym te nazywane ludźmi. Podarowała ludziom żyzne obszary samej siebie i wodę zdatną do picia, a znając ich delikatną naturę, jak również naturę innych swoich dzieci, odizolowała ich, by mieli szansę przeżyć i rozwijać się. Ludzie dobrze wykorzystali tę szansę. Nauczyli się budować domy i krzesać ogień. Nauczyli się uprawiać ziemię i wznosić miasta. Zbudowali też łodzie i zaczęli łowić ryby w Morzu Śródziemnym i Morzu Czarnym. Rozmnażali się i rozprzestrzeniaли po swojej części świata, aż natrafili na dzikie miejsca. To wtedy odkryli, że resztę świata zasiedlają inne dzieci Namid. Jednak Inni nie dostrzegli w ludziach zdobywców. Dostrzegli w nich nowy rodzaj mięsa.

Tak zaczęły się wojny o dzikie miejsca. Czasami ludzie wygrywali i rozprzestrzeniaли się nieco bardziej, częściej jednak znikaly całe fragmenty ich cywilizacji, a ci, którzy ocaleli, trzęśli się ze strachu, słysząc wycie wilków. Zdarzało się też, że ktoś za bardzo oddalił się od domu, a rano znajdowano go martwego, pozbawionego krwi.

Mijały wieki. Ludzie zbudowali większe statki i przepłynęli Atlantyck. Kiedy natrafili na dziewiczy ląd, na wybrzeżu zbudowali osadę. Wówczas odkryli, że i to miejsce zajęte jest przez *terra indigena*, czyli tubylców ziemi. Innych.

Terra indigena rządzący kontynentem nazywanym Thaisią poczuli gniew, gdy ludzie zaczęli wycinać drzewa i orać ziemię, która nie należała do nich. Zjedli więc osadników i nauczyli się przybierać ich kształt, tak jak wcześniej wielokrotnie nauczyli się przybierać kształt innego mięsa.

Druga fala osadników znalazła opuszczoną osadę i ponownie spróbowała ją zasiedlić.

Ich również zjedli Inni.

Na czele trzeciej fali osadników stał człowiek, który był mądrzejszy niż jego poprzednicy. Zapropował Innym ciepłe koce, materiał na ubrania i interesujące błyszczące przedmioty – w zamian za zgodę na zajęcie osady i uprawę okolicznej ziemi. Inni uznali, że to uczciwa wymiana, i opuścili tereny użyczone ludziom. Otrzymali więcej prezentów w zamian za prawo do polowań i połowu ryb. Taki układ zadowalał obie strony, choć jedna z trudem tolerowała nowe sąsiedztwo, a druga ogradzała swe osady i żyła w ciągłym strachu.

Płynęły lata, osadników przybywało. Wielu umierało, ale wielu wiodło się całkiem dobrze. Osady rozrastały się w wioski, te w miasteczka, a te z kolei w miasta. Stopniowo ludzie rozprzestrzenili się po całej Thaisii na ziemiach użyczonych im przez Innych.

Mijały wieki. Ludzie byli bystrzy, ale Inni również. Ludzie wynaleźli elektryczność i kanalizację. Inni kontrolowali wszystkie rzeki, które zasilaly generatory, i wszystkie jeziora, które dostarczały wody pitnej. Ludzie wynaleźli silniki parowe i centralne ogrzewanie. Inni kontrolowali zasoby paliwa potrzebnego do pracy silników i ogrzewania domów. Ludzie wynajdowali i produkowali różne rzeczy. Inni kontrolowali surowce, a zatem decydowali o tym, co można, a czego nie można produkować w ich części świata.

Oczywiście zdarzały się konflikty i niektóre ludzkie miasta znów pochłonał las.

Wreszcie ludzie pojęli, że to *terra indigena* rządzi Thaisią i tylko koniec świata może to zmienić.

Obecnie sytuacja kształtuje się następująco: na ogromnych terenach należących do Innych rozrzucone są niewielkie ludzkie osady. W większych miastach znajdują się ogrodzone parki nazywane Dziedzińcami, gdzie mieszkają Inni, których zadaniem jest obserwowanie ludzi i pilnowanie przestrzegania umów, jakie zawarli z *terra indigena*. Po jednej stronie wciąż panuje niechętna tolerancja – a po drugiej strach. Ale jeśli ludzie będą ostrożni, przetrwają. Przynajmniej większość z nich.

Rozdział 1

Simon Wilcza Straż obudził się, ziewnął, podniósł głowę i spojrzał na Meg Corbyn, której niespokojne ruchy wyrwały go ze snu. Całkiem rozkopała pościel, a ponieważ nie miała futra, mogła złapać przeziębienie. Simon nie miał pojęcia, dlaczego ludzie chcą złapać przeziębienie – Wilk *terra indigena* łapał coś tylko wówczas, gdy chciał to złapać – niemniej wielu ludzi najwyraźniej chciało i łapało je, gdy było zimno. A choć kończył się luty, w Północno-Wschodnim regionie Thaisii nadal było zimno. Z drugiej strony, można się było spodziewać, że jeśli Meg zmarznie, przytuli się mocniej do jego ciepłego futra, a jak każdy Wilk Simon lubił bliskość.

Gdyby kilka tygodni temu ktoś powiedział mu, że zaprzyjaźni się z człowiekiem tak bardzo, iż będzie czuwał nad nim w nocy, zabiłby go śmiechem. Tymczasem siedział właśnie w mieszkaniu Meg w Zielonym Kompleksie, podczas gdy Sam, podopieczny i siostrzeniec Simona, spał u jego ojca, Elliota, w Wilczym Kompleksie. Wcześniej z Samem często drzemali przytuleni do Meg, a czasami nawet spali z nią przez całą noc, jednak ostatni atak na Dziedziniec w Lakeside wiele zmienił. Jacyś ludzie przyszli nocą porwać Sama i Meg, a Meg omal nie zginęła, ratując przed nimi Wilczka. Kiedy wieźli ją do ludzkiego szpitala, Simon dostał napadu niekontrolowanej wściekłości. Miał podejrzenia co do jego przyczyny i dlatego Sam, nieopanowany jak każdy szczeniak, nie sypiał już przytulony do Meg.

Ta Meg. Mówiła, że mierzy sto sześćdziesiąt centymetrów, ponieważ uważała, że brzmi to bardziej imponująco niż „metr sześćdziesiąt”. Miała dwadzieścia cztery lata, włosy pomalowane na dziwaczny, pomarańczowy kolor z czarnymi odrostami, przejrzyste szare oczy, jak u niektórych Wilków, i jasną skórę. Dziwną, delikatną skórę, na której łatwo tworzyły się blizny.

Meg była *cassandra sanguie*, wieszczką krwi: jeśli przecięło się jej skórę, doznawała wizji i wypowiadała prorocтва. Działo się tak zawsze, niezależnie od tego, czy zraniono ją celowo, za pomocą brzytwy, czy też przypadkowo skaleczyła się sama.

Sanguinati nazywali kobiety tego rodzaju słodką krwią, ponieważ nawet w dorosłym życiu zachowywały w sercu słodycz dziecka. Ta słodycz i krew, w której pływały wizje, sprawiały, że wieszczki nie były zdobyczą, tylko stworzeniami Namid, równocześnie wspaniałymi i straszliwymi. Być może nawet straszliwszymi, niż sądzili *terra indigena*.

Simon był jednak pewien, że jeśli będzie musiał, poradzi sobie z tym aspektem Meg. Ale chwilowo Meg była po prostu Meg – oficjalnie łącznikiem z ludźmi zatrudnianym przez Dziedziniec, a prywatnie jego przyjaciółką.

Kiedy tak na nią patrzył, zaczęła przez sen wydawać niespokojne dźwięki i poruszać nogami, jakby biegła.

Meg? Wiedział, że nie słyszy mowy *terra indigena*, ale i tak spróbował. Miał wrażenie, że nie śni się jej nic miłego, jak na przykład polowanie na jelenia. Tym bardziej że nagle poczuł zapach jej strachu. Meg?

Wsadził jej nos w ucho, zamierzając ją obudzić.

Meg czuła we śnie zbliżające się niebezpieczeństwo. Słyszała też jakiś znajomy dźwięk, który wywoływał w niej grozę. Próbowwała krzyknąć ostrzegawczo, wołać o pomoc, uciec od obrazów, które wypełniały jej głowę.

Kiedy poczuła dźwięczenie w ucho, rzuciła się gwałtownie, wrzasnęła i kopnęła z całej siły. Trafiła w coś stopą, więc kopnęła znowu. Obudziły ją huk i głośny jęk.

Półprzytomna, zaczęła szukać włącznika lampy.

Kiedy pokój zalało światło, usiadła, dysząc ciężko. Puls walił jej w uszach.

Pierwsze, co zauważyła, to stolik nocny, który wyglądał dokładnie tak samo jak wówczas kiedy kładła się spać, tyle że mały zegar stojący koło lampy pokazywał teraz trzecią w nocy. Uspokojona znajomym widokiem, rozejrzała się po pokoju.

Nie znajdowała się w sterylnej celi, w zamkniętym kompleksie, pod władzą człowieka, który ciął jej skórę dla zysku. To była jej własna sypialnia, w jej własnym mieszkaniu, na Dziedzińcu w Lakeside. Najwyraźniej była tu sama.

Ale jeszcze kilka godzin temu, kiedy zasypiała, leżał obok niej wielki puchaty Wilk. Opadła na poduszkę i przykryła się kołdrą aż po brodę.

– Simon? – spytała szeptem.

Usłyszała chrząknięcie. Dobiegło jakby z podłogi po drugiej stronie łóżka. Po chwili znad materaca wyłoniła się ludzka głowa Simona Wilczej Straży. Patrzył na nią bursztynowymi oczami, w których migotały czerwone iskry – wyraźny znak, że jest zły.

– Obudziłaś się już? – warknął.

– Tak – odparła potulnie.

– To dobrze.

Kiedy wślizgiwał się pod kołdrę, dostrzegła mięśnie grające pod gładką skórą.

Odwróciła się do niego plecami, a serce zaczęło jej walić ze strachu, odmiennego niż ten, który czuła we śnie.

Nigdy nie sypiał z nią w swej ludzkiej formie. Dlaczego zmienił się w człowieka?

Czyżby chciał... seksu? Nie była... nie chciała... Nie była nawet pewna, czy mogła z...

A jeśli on tego oczekuje?

– Si-Simonie? – spytała drżącym głosem.

– Tak, Meg? – nadal słyszała w jego głosie powarkiwanie.

– Nie jesteś Wilkiem.

– Zawsze jestem Wilkiem.

– Ale teraz nie jesteś futrzastym Wilkiem.

– A ty zabrałaś całą kołdrę. – To mówiąc, chwycił kołdrę, którą trzymała z całych sił pod brodą, i szarpnął w swoją stronę. Zaskoczona, przeturlała się na niego i zanim zdołała cokolwiek zrobić, oboje byli porządnie przykryci, a Simon przyciskał ją do materaca. – Przestań się wiercić – zażądał niecierpliwie. – Jeśli nabijesz mi jeszcze jednego siniaka, to cię ugryzę.

Meg posłusznie znieruchomiała. Simon wiedział, że w jej krwi pływają wizje i prorocтва, które uwalnia każda ranka, więc nie przetnie jej skóry. Ale ostatnio wymyślił inny sposób dyscyplinowania takich jak ona – szczypał ją przez ubranie tak mocno, żeby zabolalo, nie uszkadzając skóry.

Meg trafiła na Dziedziniec w Lakeside siedem tygodni temu. Była wtedy na wpół zamarznęta i szukała pracy. Przez pierwsze dni Simon regularnie groził jej, że ją zje, choć normalnie nie traktował w ten sposób ludzkich pracowników w obawie, że z miejsca porzucą pracę i uciekną najbliższym wyjściem. Gdy Inni odkryli, że Meg jest wieszczką krwi i że uciekła od człowieka, do którego zgodnie z prawem należała, uznali ją za jedną ze swoich. I chronili ją jak jedną ze swoich, szczególnie odkąd wpadła pod lód i omal nie utonąła, usiłując odciągnąć napastników od małego Sama. Właśnie dlatego od powrotu ze szpitala co wieczór zasypiała pod strażą Simona, który w swej wilczej formie związał się w kłębek na jej łóżku.

Zapewne mniej cieszyłaby się z tego nocnego towarzystwa, gdyby wilcze futro nie grzało tak miło.

Meg była ciekawa, czy w jej mieszkaniu specjalnie jest tak zimno, żeby nie marudziła, że Simon sypia obok niej? Dotąd nigdy się na to nie skarżyła, ponieważ zachowywał formę Wilka. Teraz jednak nie wyglądał jak Wilk, a Simon w ludzkiej formie w jej łóżku to było coś... innego. Coś krępującego. Groźnego w sposób, o którym nie miała ochoty rozmawiać.

Chociaż, mimo braku futra, nadal był ciepły i zachowywał się poprawnie, a ponieważ było jeszcze za wcześnie, żeby wstawać, postanowiła, że zastanowi się nad tym wszystkim jutro.

Przysypiała już, kiedy potrząsnął nią lekko.

– Co cię przestraszyło? – spytał.

Powinna wiedzieć, że nie odpuści. Może to i lepiej? Odkąd uciekła z kompleksu i zamieszkała z Innymi, jej wieszczy dar zaczął się zmieniać. Stała się bardziej wrażliwa, tak, że czasami nie musiała nawet przecinać skóry, by doświadczyć wizji – szczególnie jeśli w jakimś stopniu wizja dotyczyła jej samej.

Obrazy ze snu zdążyły się rozpląnąć. Większości nie pamiętała, więc pewnie rano nie byłaby w stanie przypomnieć sobie czegokolwiek. A jednak na samą myśl o tym śnie przechodził ją dreszcz.

– Nic takiego – powiedziała, bardzo pragnąc w to uwierzyć. – To był tylko sen. – Przecież nawet wieszczki krwi miewają zwyczajne sny. Prawda?

– Skoro przestraszył cię tak bardzo, że skopałaś mnie z łóżka, to nie jest „nic takiego”, Meg. – Simon przytrzymał ją mocniej. – I wiesz co? Może i jesteś mała, ale kopiesz jak łoś. Muszę ostrzec resztę Wilków.

Świetnie. Właśnie tego było jej trzeba. Tak, to nasz łącznik, Meg Wierzgająca Klepa. Tymczasem dominujący Wilk i przywódca Dziedzińca uparcie czekał na odpowiedź.

– Słyszałam dźwięk – szepnęła. – Powinam wiedzieć, co to było, ale nie potrafię go zidentyfikować.

– Dźwięk z twoich lekcji? – spytał równie cicho Simon. Miał na myśli szkolenie, jakie przechodziła w kompleksie. Uczono ją tam rozpoznawać obrazy i dźwięki niesione przez prorocтва.

– Tak, ale również stąd. To nie był pojedynczy dźwięk, tylko kilka, które razem składały się na jedno znaczenie.

Chwila ciszy.

– Dobrze. Co jeszcze?

Zadrzała. Owinął się wokół niej i zrobiło jej się cieplej. Poczula się bezpieczna.

– Krew. – Jest zima. Na ziemi leży śnieg i ten śnieg jest pochłapany krwią. I widziałam pióra. – Odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć. – Dlatego próbowałam krzyczeć, chciałam, żeby ktoś mnie usłyszał. Widziałam połamane czarne pióra sterczące z zakrwawionego śniegu.

Simon przyjrzał się jej uważnie.

– Widziałaś je? Nie było ciemno?

Pomyślała przez chwilę, po czym pokręciła głową.

– Był dzień. Słońce nie świeciło, ale był dzień.

– Rozpoznałaś to miejsce?

– Nie. Nie zapamiętałam żadnych wskazówek co do miejsca, tylko ten śnieg.

Simon sięgnął nad nią i zgasił lampę.

– W takim razie śpij dalej, Meg. Będziemy ścigać tę zwierzynę jutro.

Wyciągnął się obok i natychmiast zasnął, tak jakby był w swojej wilczej formie.

Tyle że nie był w wilczej formie. A ona nie wiedziała, jak mu wyjaśnić, że to zmieniło coś między nimi.

Rozdział 2

Dziki Pies siedział w furgonetce ojca przed domem Grizzly'ego, swojego najlepszego przyjaciela. Towarzyszył mu Wyjec, jego drugi najlepszy przyjaciel. Czekali, aż zacznie się zabawa. W śróde wywożono śmieci z Orzechowego Gaju, a te świrięte Wrony z Dziedzińca latały nad śmieciarkami i kradły rzeczy, które wyrzucali ludzie. Tydzień w tydzień, jak w zegarku, zlatywały się i grzebały w kubłach na śmieci wystawianych na ulicę, a potem odlatywały z jakimś gównem w dziobach. Bo tym właśnie są wszystkie Wrony – zbieraczami gówna. A ludzie nic nie mogli z tym zrobić. Tak twierdził Człowiek z Rządu. Nie wolno im było nawet strzelać do tych pierzastych złodziei, ponieważ groziło za to więzienie, a już sama grzywna zrujnowałyby całą rodzinę. Na szczęście Grizzly, który wszystko potrafił znaleźć na komputerze, trafił na zajebistą grę o nazwie Przynęta na Wrony i Ofiary na Drodze. Można było w nią grać w wersji dla dzieciaków, to znaczy online, po zarejestrowaniu się na stronie, ale prawdziwi twardziele mogli ją wypróbować na żywo. Potrzeba do tego było dwóch substancji: wilczenia i euforki. Niełatwo było je zdobyć, a żadna nie była tania. Przez dwa miesiące we trzech ciułali forszę, żeby kupić po jednej działce od przyjaciela przyjaciela Wyjca, który znał faceta, który znał faceta. I wreszcie mieli się przekonać, czy te prochy i gra były warte takiego zachodu.

– No już – mruknął Dziki Pies. – Muszę odstawić wóz, zanim stary zbierze się do roboty.

Wyjec opuścił okno od strony pasażera.

– Słyszę śmieciarki. Chyba są już na sąsiedniej ulicy. Grizzly gotowy?

Dziki Pies wyjął komórkę z kieszeni.

– Gotowy? – spytał, kiedy usłyszał głos w słuchawce.

– Dałem im doprawione mięso – odparł Grizzly.

– Jesteś pewny, że dawka jest odpowiednia?

Na bogów na dole, jasne, że nie był pewny! W zeszłym tygodniu we trzech podzielili się połową działki wilczenia, żeby je wypróbować. Dziki Pies jak przez mgłę pamiętał, co się wydarzyło, kiedy dopadli Priscillę Kees, która naprawdę nie powinna była wracać sama do domu po ciemku. Pamiętał natomiast doskonale, że czuł wtedy coś więcej niż rządę. Czuł się dziki i silny – i chciał znów się tak poczuć. Ale nie w najbliższym czasie. Najpierw cała sprawa musi przyschnąć. Priscilla nie wróciła do szkoły, a Dziki Pies słyszał, jak jego mama mówiła babci, że ma jakieś obrażenia w środku i że w związku z tym jego siostrze nie wolno będzie chodzić samej nawet do przyjaciółki, która mieszka sześć domów od nich, póki te bestie, które zrobiły coś takiego Priscilli, nie zostaną złapane.

Poczuł się wtedy dziwnie, bo mama mówiła o tym tak, jakby chciała, żeby sprawcom stało się coś złego. To go trochę nastraszyło, dlatego ucieszył się, kiedy uzgodnili, że resztę wilczenia zużyją na grę. A zanim będzie ich stać na drugą działkę, wszystko odejdzie w zapomnienie.

– Hej, jesteś tam, Dziki Psie? – spytał Grizzly. – Psy są jakieś dziwne, nie podoba mi

się, jak na mnie patrzą.

– Są! – zawołał równocześnie Wyjec, pochylając się i opierając rękę na tablicy rozdzielczej.

Na ulicy zjawily się Wrony.

– No chodźcie, pojechańce – szepnął Dzikie Pies. – Poczęstujcie się spaghetti z euforką. – Zachichotał. – Weź euforkę, a poczujesz się tak dobrze, że nic nie poczujesz.

Wyjec przysięgał, że po tych prochach nawet dorosły Wilk robi się bezradny jak dziecko – a Wrony nie są w stanie odlecieć. Wczoraj kupili na wynos dużą porcję spaghetti, a dziś wymieszali je z euforką i rozrzućili przy sześciu kubłach ze śmiećiami wystawionych na ulicy.

Nadleciały Wrony i wylądowały na pojemnikach, obok których leżały jakieś rzeczy. Kiedy jedna zauważyła spaghetti, ptaki zleciały się ze wszystkich stron. Dzikie Pies nie potrafił określić, czy to były Wrony, czy wrony, ale jedno było pewne: wszystkie łkały kluchy jak szalone.

– No już, zryjcie, pojechańce – szepnął, po czym powiedział do telefonu: – Grizzly, już prawie czas.

– Hej, a co to? – zawołał nagle Wyjec.

Od domu do domu szła niska czarnowłosa dziewczyna, zaglądając do kubłów ze śmiećiami.

– Świetnie – stwierdził Dzikie Pies. – Mamy nawet Inną w ludzkiej formie.

– Śmiećiarka zaraz tu będzie – powiedział Wyjec ostrzegawczo. – Musimy zniknąć, zanim ktoś nas zobaczy.

– Tak, tak – mruknął Dzikie Pies. Obserwował jeszcze przez chwilę ptaki. Jakiś samochód ominął ostrożnie wronę czy Wronę, która nawet nie pofatygowala się zejść mu z drogi. – Grizzly, puszczaj psy.

Dwa psy myśliwskie, które należały do ojca Grizzly’ego, wypadły z podwórza na tyłach domu, zauważyły ptaki i zaszarżowały na nie z taką agresją, że Dzikie Pies poczuł równocześnie podniecenie i mdłości. Dwa ptaki pomachały skrzydłami, niemrawo próbując poderwać się w powietrze, ale udało im się jedynie zwrócić na siebie uwagę psów. Na siebie i na dziewczynę, która stała jak skamieniała obok kubła ze śmiećiami.

– O, kurwa – sapnął Wyjec. – Ja wiem, kto to jest! To ta nowa ze szkoły. Jej rodzina właśnie się tu przeniosła z Tokhar-Chin. Musimy odwołać psy!

– Nie możemy! – Dzikie Pies złapał Wyjca za kurtkę, gdy wyskakiwał z samochodu.

– Grizzly! Wezwij ojca! Wezwij ojca! – wrzeszczał Wyjec na całe gardło.

Dzikie Pies nie miał wyjścia, musiał pójść w ślady przyjaciela. Nie mógł siedzieć i patrzeć, skoro Wyjec i dziewczyna wrzeszczeli jak szaleni, a z domów zaczęli wychodzić ludzie, niektórzy już ubrani do pracy, inni w samych szlafrokach – mimo mrozu i śniegu.

Nagle ktoś go odepchnął, wrzeszcząc, żeby wszyscy zeszli mu z drogi i...

Bum! Bum!

Potem ten sam ktoś krzycał, żeby wezwać policję, wezwać pogotowie, a Dzikie Pies nagle go rozpoznał. Nie wiedział, jak się nazywa, ale wiedział, że to gliniarz, kolega ojca Grizzly’ego.

Gliniarz podbiegł do dziewczyny, przyciskał rękę do rany na jej szyi, ale ona nadal krwawiła.

– Przykro mi, Stan, ale musiałem je zastrzelić – zwrócił się do ojca Grizzly’ego.

– Co z dziewczyną? – spytał Stan.

Gliniarz zawahał się, a potem podniósł rękę i pokręcił głową. Wytał ręce w świeży śnieg, wstał i spojrzał surowo na Dzikiego Psa i Wyjca.

– Co wy tu robicie, chłopcy?

Stan nadal wpatrywał się w dziewczynę i w psy.

– Na bogów na dole i na górze, co w nie wstąpiło? I jak wydostały się z podwórza?

– Zabierzemy je i zbadamy. Sprawdzimy, czy nie było jakiejś przyczyny. – Gliniarz mówił o psach – z pewnością o psach – ale nie spuszczał wzroku z Dzikiego Psa. – Tak, musimy je zbadać.

Dziki Pies usiłował wymyślić jakąś wiarygodną historyjkę, na przykład że po prostu wpadł zobaczyć się z Grizzlym, ale nagle na ulicy zaroilo się od samochodów i cała masa gliniarzy zaczęła się interesować tym, co ma do powiedzenia. W dodatku chcieli tego wysłuchać na posterunku, w obecności jego ojca. Właśnie dlatego wrócił do domu w radiowozie.

I właśnie dlatego to w obecności policji przekonał się, że Priscilla zapamiętała o wiele więcej z wydarzeń zeszłego tygodnia niż on sam. A potem wzięła pistolet ojca i złożyła dziś rano wizytę w jego domu.

Rozdział 3

W środę przed południem porucznik Crispin James Montgomery zaparkował radiowóz na parkingu dla gości Dziedzińca, wysiadł i odetchnął mroźnym powietrzem. Nadal było zimno. Na początku miesiąca miasteczko Lakeside nawiedziła potężna burza śnieżna, przypominając wszystkim mieszkańcom, że zmiennokształtni i wampiry, stanowiące niejako publiczną twarz Dziedzińca, wcale nie są najniebezpieczniejszymi *terra indigena*. Żywioły, które wpadły w furię po ataku na Dziedziniec i śmierci jednego z ich rumaków, zaatakowały miasto, a rezultat tego ataku gazety i telewizja okrzyknęły mianem burzy stulecia.

Wiele domów zostało uszkodzonych lub zniszczonych. Było masę rannych i kilka ofiar śmiertelnych. Całe dzielnice miasta zostały pozbawione prądu, brakowało żywności i opału. Rekordowe opady śniegu odcięły Lakeside od świata zewnętrznego, wszystkie drogi dojazdowe zablokowały zwały lodu.

Przez ostatnie dwa tygodnie Monty w wolnym czasie czytał o miastach, które zostały zrównane z ziemią w następstwie konfliktów z Innymi, i zdał sobie sprawę, że Lakeside i tak zostało potraktowane łagodnie. Nie wiedział, z kim rozmawiała Meg Corbyn ani jakich argumentów użyła, ale był gotów założyć się o miesięczną pensję, że to za jej sprawą lodowe blokady nagle stopniały, umożliwiając wznowienie dostaw żywności do miasta. Wcześniej to ona ostrzegła Innych o próbie otrucia rumaków Żywiołów, a podczas ataku na Dziedziniec uratowała Sama – siostrzeńca Simona Wilczej Straży. W ten sposób zdobyła zaufanie istot, które rzadko, o ile w ogóle, ufały ludziom.

Ponieważ jednak to ona stanowiła główny cel ataku, w pewnym sensie była odpowiedzialna za burzę, która spadła na Lakeside, a także za śmierć burmistrza i gubernatora Regionu Północno-Wschodniego. Ale o tym wiedziała tylko garstka ludzi. Według wersji oficjalnej w Lakeside pojawiła się grupa przyjezdnych, którzy z niewiadomych przyczyn sprowokowali atak Innych, wysadzając w powietrze ich Kompleks Usługowy i zabijając kilku *terra indigena*. Media informowały wprost, że to na ludziach spoczywa odpowiedzialność za konflikt, dzięki czemu od dwóch

tygodni pomiędzy mieszkańcami Lakeside a Innymi trwał pełen napięcia rozejm. Ludzie zajęli się odbudową zniszczeń i próbowali wrócić do poprzedniego życia. I trzymać się jak najdalej od stworzeń, które rządziły Thaisią i resztą świata. Dla *terra indigena* byli tylko zwierzyną, a od jeleni i saren odróżniał ich jedynie fakt, że wynajdowali i produkowali różne przedmioty, których posiadanie bawiło Innych. Wyłącznie z tego powodu Inni z Thaisii wydzierżawili ludziom skrawki ziemi, gdzie mogli zamieszkać, uprawiać pola i korzystać z zasobów naturalnych. Ale jeśli zrobili coś, co nie spodobało się *terra indigena*, ci nadal traktowali ich jak zwierzynę. Nielatwo było pogodzić się z tym wszystkim. A Monty'ego czekał ciężki dzień, zważywszy na informacje, jakimi musiał się podzielić z Simonem Wilczą Strażą. Minął pracownię krawiecką i należącą do *terra indigena* kawiarnię Coś na Ząb, gdzie wstęp mieli również ludzie, po czym skierował się do księgarni Zabójczo Dobre Lektury, którą Simon Wilcza Straż prowadził wraz z Vladimirem Sanguinatim. Zapukał do drzwi, mimo że za szybą wisiała tabliczka „Tylko dla miejscowych”.

Simon podszedł do drzwi i przyglądał się Monty'emu na tyle długo, by ten miał czas uświadomić sobie, jak bardzo się od siebie różnią. Wilcza Straż wyglądał jak szczupły mężczyzna po trzydziestce, miał atrakcyjną twarz i ciemne włosy, ostrzyżone jak przystało na właściciela szanowanej firmy. Zwykle można go było wziąć za człowieka, oczywiście o ile nie widziało się jego oczu. Te bursztynowe oczy nigdy nie pozwalały rozmówcy zapomnieć, że ma do czynienia z Wilkiem *terra indigena*, groźnym drapieźnikiem, tym bardziej że Simon przestał nosić okulary w drucianej oprawie, które łagodziły nieco jego wygląd. Natomiast Monty był średniego wzrostu, miał ciemną skórę i skłonność do tycia. Dobiegał czterdziestki, ale w jego krótkich kręconych włosach zdążyły już pojawić się srebrne nitki, na twarzy zaś rysowały się zmarszczki, których jeszcze kilka miesięcy temu nie było. Po dłuższej chwili Simon otworzył i Monty wszedł do środka.

– Dziś nie obsługujecie ludzi? – spytał, gdy Wilcza Straż zamknął drzwi na klucz.

– Owszem – odparł krótko gospodarz, a potem, lekko utykając, podszedł do wózka z książkami i zaczął wyklądać nowości.

Monty uklonił się młodej kobiecie stojącej za kasą. Należała do nielicznych ludzkich pracowników Dziedzińca.

– Dzień dobry, panno Houghton.

– Dzień dobry, poruczniku – odparła grzecznie Heather.

Była wyraźnie przestraszona. Lekkim ruchem głowy wskazała na Simona, jakby chciała powiedzieć „Uważaj na niego, coś się dzieje”. Monty zaczął podejrzewać, że mieszkańcy Dziedzińca znają już nowiny.

Przez chwilę przyglądał się Simonowi.

– Skręcił pan nogę? – zagadnął wreszcie niezobowiązująco.

Simon cisnął książkę na stół.

– Skopała mnie z łóżka – parsknął. – Śnił jej się koszmar, więc chciałem ją obudzić, a ona skopała mnie z łóżka. – Monty nie musiał pytać, o kim mówi. Heather, która wpatrywała się w Wilczą Straż szeroko otwartymi oczami, również o to nie spytała.

– A potem zaczęła wydzielać ten zapach i dziwnie się zachowywać, niby dlatego że byłem w ludzkiej formie. – Simon ciskał na stół kolejne książki. Jedna spadła na podłogę, ale nie zwrócił na to uwagi. – Co to za różnica, czy mam futro, czy nie mam? – zwrócił się nagle do Heather, a wyraz jego oczu mówił jasno, że spodziewa

się odpowiedzi.

– Mmmmmmm... – zaczęła niepewnie, rzucając Monty'emu zrozpaczone spojrzenie. – Noooo... Mój tata nie ma nic przeciwko temu, żeby kot spał koło mojej mamy, ale gdyby kot zmienił się w człowieka, pewnie by mu to przeszkadzało.

– Dlaczego? – dopytywał Simon. – To przecież nadal byłby kot, tylko w innej formie!

Heather wydała dziwny dźwięk i zamilkła na dobre.

Monty odchrząknął lekko.

– W takiej formie mógłby uprawiać seks z ludzką kobietą – zaryzykował.

– Ale ja nie chciałem uprawiać seksu! – wykrzyknął Simon. – Chciałem się tylko schować pod kołdrę! – Obrzucił Heather wrogim spojrzeniem. – Kobiety są dziwne.

O rany, pomyślał Monty na widok łez, które zakręciły się w oczach dziewczyny.

– Pójdę przyszykować zamówienia. – Heather siąknęła nosem, po czym wyszła do magazynu znajdującego się na tyłach księgarni.

– Jeśli spróbujesz rzucić pracę, to cię zjem! – wrzasnął za nią Simon.

Jedyną odpowiedzią było trzaśnięcie drzwiami.

Wilcza Straż patrzył przez chwilę na chwiejny stos książek na stole, a potem przeniósł wzrok na Monty'ego.

– Czego pan chce?

Zdecydowanie nie był to najlepszy moment na taką rozmowę, ale Monty naprawdę potrzebował od Wilczej Straży pewnych informacji, które – jak miał nadzieję – oszczędzą Lakeside kolejnego wybuchu wściekłości *terra indigena*.

– Słuchał pan dzisiaj radia albo oglądał telewizję? – spytał. – Wie pan już, co zaszło rano w Orzechowym Gaju?

Simon ani drgnął. Sprawiał wrażenie, jakby nawet nie oddychał.

– Czy zamordowano Wrony?

– Zginęło kilka ptaków – odparł Monty ostrożnie. – Informacje, jakie dotarły do nas z Orzechowego Gaju, nie są ścisłe, więc nie potrafię panu powiedzieć, czy to były wrony, czy Wrony. – Zawahał się. – Czy właśnie o tym był koszmar panny Corbyn? –

A może zrobiła coś więcej? zastanawiał się. *Może przecięła sobie skórę brzytwą i wygłosiła prorocstwo?*

– Śniła o krwi na śniegu i połamanych czarnych piórach – warknął Simon i spojrzał wyzywająco na Monty'ego. – Nie cięła się. Wyczułbym krew, gdyby się cięła.

Czy prorocze sny są u wieszczki krwi czymś normalnym, czy raczej znakiem, że Meg traci zdrowe zmysły? Nie chciał o tym dziś rozmawiać. A na pewno nie z Simonem Wilczą Strażą.

– Czy kapitan Burke dowiedział się czegoś jeszcze? – spytał Simon.

Pyta mnie o coś konkretnego? zastanawiał się Monty.

– Ptaki zostały zaatakowane przez dwa psy myśliwskie. To mógł być przypadek, mógł się w nich odezwać instynkt łowiecki, ale w zajściu zginęła również nastoletnia dziewczyna. – Zginęła także rodzina jednego z chłopców, którzy byli świadkami zajścia, jego matka, ojciec i młodsza siostra, ale nie sądził, by Wilczą Straż zainteresowała ta sprawa, gdyż nie miała ona bezpośredniego związku ze śmiercią ptaków.

Simon wyjrzał przez okno księgarni.

– Nie słyszałem dziś rano ani jednej Wrony. – Podszedł do kasy, sięgnął po telefon

i wybrał jakiś numer. Po kilku sekundach mruknął: – Zajęte, a to ci niespodzianka... – po czym rozłączył się i wybrał inny numer. – Jenni? Mówi Simon. Chcę z tobą porozmawiać. Zaraz.

Nawet ze swego miejsca Monty słyszał protesty Jenni Wroniej Straży, ale Simon rozłączył się bez słowa.

Publiczną twarzą Dziedzińca był Elliot Wilcza Straż, pełniący funkcję konsula. To on reprezentował tubylców ziemi w rozmowach z burmistrzem i władzami Lakeside. Ale prawdziwym przywódcą Dziedzińca był Simon Wilcza Straż, a przywódcy nikt się nie przeciwstawia. No może z wyjątkiem Niedźwiedzia, który także tu mieszkał. I Żywiołów. One nie podlegały nikomu.

– Nie będzie pan o tym rozmawiał z Meg – oświadczył Simon. – Jeszcze nie. – Rzeczywiście Monty chciał wypytać ją o sen, zanim zatrze się w jej pamięci i skazi obrazami, jakie bez wątpienia zobaczy w wiadomościach, ale nie zamierzał się spierać. Kiwnął więc głową, a Simon wyraźnie się odprężył. – Jeśli ktoś z Wroniej Straży wie coś o zabitych, zadzwonię do pana – powiedział Wilk.

– Dziękuję. Policja z Orzechowego Gaju bada psy i ptaki. Zapewne poinformuje o wynikach wszystkie jednostki w naszej części Thaisii. Przekażę panu informacje, jak tylko się czegoś dowiem. Szczerze mówiąc, panie Wilcza Straż, mamy wielką nadzieję, że ktoś po prostu rozdrażnił psy, a ptaki zwyczajnie nie zdążyły uciec. – Dziewczyna na pewno nie zdążyła. – Jeśli okaże się, że to coś innego... – Urwał. Nie chciał kończyć tej myśli.

Ale Simon nie zamierzał owijać niczego w bawełnę.

– To może być pierwszy w naszym regionie przypadek choroby, która powoduje problemy w Rejonie Środkowo-Zachodnim i doprowadziła do starcia w Georgette w zeszłym miesiącu.

To nie choroba, tylko narkotyk, pomyślał Monty. A „starcie” to bardzo łagodne określenie masakry, w której śmierć poniosło trzydziestu jeden mieszkańców wioski. Jednak bez względu na to, czy chodzi o narkotyk, czy o chorobę, z pewnością rozpocznie śledztwo, gdy tylko policja z Orzechowego Gaju przekaże wyniki swoich badań. Był niemal pewien, że Simon znalazł się pod wpływem tej substancji podczas burzy. Tylko tym można było wyjaśnić jego agresywną postawę, kiedy Meg znalazła się w szpitalu.

– Posterunkowy Kowalski był dziś rano w Siup i Łup. Ćwiczył na bieżni i korzystał z maszyn, a teraz poszedł chyba do mieszkania.

Monty i jego zespół czuwali nad bezpieczeństwem Meg, kiedy przebywała w szpitalu. W zamian za tę pomoc Inni pozwolili im korzystać z jednego z mieszkań nad pracownią krawiecką. Zważywszy na wysokość podatku od wody, dla kogoś takiego jak Karl Kowalski prysznic poza domem stanowił okazję, której nie można zmarnować.

– Zwykle nie przychodzi rano na naszą siłownię. – Simon spojrzał pytająco na Monty’ego. Najwyraźniej znał grafik jego zespołu równie dobrze jak sam Monty. No i potwierdzał podejrzenia, że Inni są wyczuleni na wszelkie odstępstwa od rutyny u ludzi, z którymi mają do czynienia.

– Wziął dzisiaj dwie godziny wolnego – wyjaśnił Monty. Wilcza Straż nie musiał wiedzieć, że kapitan Burke traktował wszystkie wizyty na Dziedzińcu jak czas spędzony na służbie, ponieważ stosunki z Innymi zawsze były niebezpieczne – bez



względu na okoliczności.

– Doktor Lorenzo węszy koło przychodni na rynku – dodał Simon.

– W takim razie najpierw się z nim przywitam, a potem odbiorę posterunkowego Kowalskiego – stwierdził Monty.

Wilcza Straż wrócił do układania wystawy, zachowując się tak, jakby Monty’ego już tu nie było.

– Niech pan wyjdzie tylnym wyjściem. Będzie bliżej – rzucił obojętnym tonem.

Jeszcze kilka tygodni temu coś takiego w ogóle nie wpadłoby Simonowi do głowy.

Wprawdzie Monty nie łudził się, że Inni uważają ich za przyjaciół, a co dopiero za równych sobie – dla nich byli tylko sprytnym mięsem – niemniej był to pierwszy Dziedziniec dostępny dla ludzi od... no cóż, odkąd przed wiekami przebyli Atlantik i zawarli pierwsze układy z tutejszymi *terra indigena*.

Miał nadzieję, że to się nie zmieni, nawet kiedy Simon zorientuje się, że znalazł się pod wpływem substancji nazywanej wilczeniem.

Jenni Wronia Straż weszła do Zabójczo Dobrych Lektur ubrana wyłącznie w zimowy płaszcz, który pachniał Heather i sięgał jej zaledwie do połowy uda. Simon przyjrzał się jej uważnie. Zwykle była wesoła i ciekawska, ale dziś rano sprawiała wrażenie ostrożnej i czujnej.

– Coś słyszałaś. – To nie było pytanie. Każdy rodzaj *terra indigena* miał własne unikatowe cechy, a choć niektórzy uważali Wrony za niepoprawnych plotkarzy, rzadko kiedy informacje podróżowały szybciej niż za pośrednictwem Wroniej Straży. Szybszy od Wron był tylko telefon, który kilkadziesiąt lat temu wynaleźli ludzie, oraz komputery – odkąd Vlad odkrył, że za ich pośrednictwem można wysyłać tę samą wiadomość do bardzo dużej liczby osób. – Orzechowy Gaj – dodał, nie spuszczać z niej wzroku.

Jenni objęła się ciasno ramionami.

– Coś złego. Nie jestem pewna co. I nie wiem dlaczego.

Jednak coś wiedziała – coś, czego z pewnością nie wiedzieli ludzie. Wyciągnął to z niej kawałek po kawałku. Świeże jedzenie w śniegu, nieodparta pokusa o tej porze roku. Młode wrony i Wrony zlatujące się na przekąskę. Potem psy, śmierć i masa ludzi.

– Meg miała dziś nad ranem sen o Wronach – wyznał, kiedy Jenni powiedziała już wszystko, co słyszała. – Bardzo się wystraszyła.

Jenni zmarszczyła brwi.

– Dlaczego nasza Meg miałaby śnić o Orzechowym Gaju?

– Rzeczywiście. Nie miała powodu śnić o tamtejszym Dziedzińcu. Więc może to miało być ostrzeżenie dla nas? – Wpatrywał się w Jenni tak długo, aż zaczęła się wiercić niespokojnie. – Ty, twoje siostry i reszta Wroniej Straży macie zachować czujność. Orzechowy Gaj leży zaledwie sto pięćdziesiąt mil na południe od miasta. Jeśli choroba, która dotknęła ludzi i Innych na Środkowym Zachodzie i w Georgette na Zachodnim Wybrzeżu, dotarła do tej części Thaisii, musimy być ostrożni. Ktoś



może ją przywlec i tutaj.

– Będziemy uważać.

– Jeśli zauważysz, że Meg pociera ramiona, jak wtedy, kiedy wizja mrowi ją pod skórą, daj mi znać. I masz słuchać wszystkiego, co będzie mówiła.

– Będę słuchać – obiecała Jenni. – Nawet jeśli to, co powie nasza Meg, nie będzie dotyczyło Wron.

Simon, uznawszy, że nic więcej nie osiągnie, odesłał Jenni do jej zajęć, a sam wrócił do układania wystawy. Od czasu burzy ludzkich klientów było zdecydowanie mniej, pomimo bezprecedensowej pomocy, jakiej Inni udzielili ludziom podczas śnieżycy.

Wrócą albo i nie, pomyślał. Przeczytał notki na okładkach dwóch książek, po czym odłożył je na bok dla siebie. *A dziś i tak nie chcemy na Dziedzińcu nieznanomym małp.*

Usłyszał za plecami terkot wózka, który Heather ciągnęła w stronę kasy.

Dziedziniec w Lakeside dostarczał towary wszystkim *terra indigena* mieszkającym w okolicznych lasach. Brak ludzkich klientów ZDL z nawiązką rekompensowały sobie zalewem zamówień na książki z okolicznych osad.

– Będziesz szykować zamówienia? – spytał. Wprawdzie już go o tym poinformowała, idąc do magazynu, ale chciał być uprzejmy i zadośćuczynić jej za swoje wcześniejsze powarkiwania.

Heather nie odpowiedziała, tylko rzuciła mu spojrzenie. I to jakie spojrzenie!

Pochrzążając, Simon wrócił do układania książek. Króliczek usiłujący onieśmielić Wilka? Cóż za nedorzeczność!

Ponieważ jednak ta myśl nie chciała dać mu spokoju, przesunął się nieco, żeby móc obserwować Heather przy pracy. Jak często ostatnio przywodziła mu na myśl królika? Wiedział, że to porównanie zawsze tkwiło gdzieś w zakamarkach jego umysłu, ze względu na jej osobowość i sposób, w jaki reagowała na Innych, ale nagle uświadomił sobie, że od czasu burzy częściej myśli o niej ten sposób.

Wyczuwał zmianę u ludzi, którzy pracowali na Dziedzińcu. Niektórzy pozostali tacy jak dawniej, na przykład Lorne, który prowadził Trzy P – czyli sklep Poczta, Prasa, Papier – ale inni, jak choćby Merri Lee, zaczęli wykazywać cechy Wilka. Choć nadal byli ostrożni i rozsądni, dostrzegał u nich większą determinację, by pracować z *terra indigena*. A jeszcze inni, jak Heather, stali się aż nadto świadomi, że nigdy nie będą drapieżnikami.

Nie mógł mieć do niej pretensji o to, że jest króliczkiem. No cóż, w zasadzie mógł, ale nie chciał. Po pierwsze, straciłby dobrą pracownicę, a po drugie, pewnie byłoby jej ciężko, gdyby nie znalazła od razu innego zajęcia, a wówczas Meg i całe jej ludzkie stado stałoby się nieszczęśliwi. A nie chciał, żeby Meg była nieszczęśliwa. Stłumił westchnienie i spróbował skupić się na wystawie.

Brak ludzkich klientów nie miał znaczenia. Póki na Dziedzińcu będzie przebywać Meg i jej stado, nie zabraknie mu okazji, żeby obserwować zachowanie ludzi.

Monty zastał Dominica Lorenzo w pomieszczeniu na piętrze jednego z budynków stojących na rynku.

– Witam, doktorze.

– Poruczniku.

– Widzę, że poważnie myśli pan o otwarciu gabinetu na Dziedzińcu. Odniosłem wrażenie, że nie ma pan zbyt dobrego zdania o Innych.

– Nic się tu nie zmieniło – odparł Lorenzo. – Ale żaden inny lekarz w Thaisii nie miał okazji nawiązać tak bliskich stosunków z *terra indigena*. Sprawdziłem.

– I z wieszczką krwi? – upewnił się Monty cicho.
Lorenzo spojrział mu prosto w oczy.
– Przed wszystkim z jej powodu zaproponowałem, że otworzę gabinet i zostanę tutejszym, że się tak wyrażę, rezydentem.
– Porzuca pan pracę w szpitalu?
– Nie. Mam zgodę dyrekcji. W zamian za opiekę nad Meg Corbyn Inni zdjęli z nas podatek od wody. To wielka oszczędność.
Monty pokiwał głową.
– Zdjęli go też z posterunku przy ulicy Orzechowej – dodał.
– Choć obecność Innych w pobliżu chorych i rannych ludzi budzi niepokój, szpital zdecydowany zapewnić opiekę mieszkańcom Dziedzińca w przyszłości może mieć dla nas ogromne znaczenie. Dokładnie tak powiedział pan podczas burzy. Będę tu przyjmował dwa razy w tygodniu, rano. – Zima, jeden z Żywiołów, zgodziła się uciszyć burzę, pod warunkiem że Meg wyzdrowieje. Lorenzo, choć traktował Innych z wielką rezerwą, zapewnił łącznikowi z ludźmi najlepszą możliwą opiekę i ocalił w ten sposób miasto. – Podstawowa opieka medyczna – ciągnął Lorenzo, obejmując gestem gabinet. – Tutejsze Stowarzyszenie Przedsiębiorców zamierza zakupić potrzebny sprzęt, choć działalność, jaką planuję, nie wymaga go wiele. Chciał też, żebym zatrudnił do pomocy pielęgniarkę lub asystentkę, która zajmie się papierami. – Otaksował wzrokiem Monty'ego. – Może pan coś z tym zrobić? Porucznik pokręcił głową, ale potem zastanowił się.
– Mają tu już jakichś uzdrowiaczy, prawda? Może któryś z nich mógłby panu pomagać i nauczyć się przy okazji czegoś o ludzkiej medycynie? Poza tym chyba wynajmuje tu gabinet masażystka? – Na sąsiednim budynku zauważył szyld salonu W Dobrych Rękach.
– Owszem, choć nie sądzę, żeby miała wielu klientów. Nie przyjmuje w pełnym wymiarze godzin.
– Proszę ją spytać, jak umawia wizyty. Może Stowarzyszenie Przedsiębiorców zgodzi się zatrudnić jedną pomoc administracyjną dla was obojga, kogoś, kto będzie rejestrował klientów i zajmował się dokumentacją?
– To jest jakieś wyjście – zgodził się Lorenzo. – Zapiszę to sobie w notatkach. Na jutro mam wyznaczoną oficjalną prezentację dla konsula i Stowarzyszenia Przedsiębiorców.
Monty postanowił w końcu poruszyć sprawę, dla której tu przyszedł.
– Zetknął się pan wcześniej z *cassandra sangue*, prawda? Jak tylko zobaczył pan bliźny panny Corbyn, od razu wiedział pan, kim ona jest.
– Widywałem wcześniej takie jak ona. – Lorenzo obrzucił Monty'ego przeciągłym spojrzeniem. – Meg Corbyn jest zdrowsza i normalniejsza niż dziewczęta, które leczyłem jako rezydent. Tam, gdzie przedtem mieszkała, wiedzieli, jak opiekować się podobnymi do niej.
– Z tego, co słyszałem, ta opieka polega na przymusowych lekcjach, cięciu skóry bez zgody wieszczki i odbieraniu jej wszelkich szans na własne życie. Dziewczęta są bezpieczne, owszem, ale wykorzystuje się je dla zysku.
– Panna Corbyn powiedziała mniej więcej to samo, kiedy w szpitalu Wilk pozwolił mi zadać jej kilka pytań – odparł Lorenzo. – Dziewczyny, z którymi miałem wcześniej do czynienia, żyły w kontrolowanym środowisku, w prywatnym domu przylegającym do szkoły. Nie jestem pewien, czy *cassandra sangue* może przetrwać

samodzielnie, jeśli nikt nie kontroluje jej życia. Mimo nadzoru wiele z nich tnie się, póki nie umrze albo nie oszaleje... – Urwał. – Ta grupa ludzi stanowi zagrożenie dla samej siebie, a ja chcę wiedzieć, jak można im pomóc. Ktoś musi mieć pojęcie, jak zajmować się tymi dziewczętami i jak zapanować nad ich uzależnieniem od zadawania sobie ran. Ale niestety niewiele jest informacji na ten temat.

– Niewykluczone, że właśnie dlatego zrezygnowano z prób integracji tych dziewcząt w społeczeństwie – zauważył Monty. – Być może kompleksy nastawione pozytywnie wobec wieszczek zamknięto, gdyż zdarzały się w nich przypadki śmierci z powodu zadanych sobie przez nie ran. – Zamierzał to sprawdzić, kiedy wróci na posterunek.

Lorenzo pokiwał głową.

– Niewykluczone, że obserwacja Meg Corbyn pozwoli stworzyć tym dziewczętom warunki do dłuższego i normalniejszego życia.

Monty życzył mu jeszcze powodzenia na jutrzejszej prezentacji, pożegnał się i wyszedł. Potem zadzwonił z komórki do Kowalskiego i umówił się z nim w kawiarni.

Wszedł do Czegoś na Ząb tylnym wejściem, witając się po drodze z Tess – *terra indigena*, która prowadziła kawiarnię. Patrząc, jak układa ciastka w szklanej gablocie, zastanawiał się, czy ktoś się dziś zjawi, żeby je kupić.

– Co się dzieje z jedzeniem, którego nie uda wam się sprzedać? – spytał.

– Zwykle rozdajemy to, co nie wytrzyma do jutra – odparła Tess. – Część odbiera od nas jadalnia Mięso i Zielenina i wieczorem serwuje gościom. Resztę dzielimy między straże. – Na zapleczu rozległy się kroki. Tess zniżyła głos. – A w dni zamknięte dla ludzi, tak jak dziś, przychodzą tu *terra indigena*, którzy chcą zobaczyć, jak wygląda prawdziwa kawiarnia.

Ciekawe, ilu Innych mieszkających na Dziedzińcu nie przychodziło do kawiarni, ponieważ jest otwarta dla ludzi? Czy traktują z niechęcią ludzkich pracowników, którzy pracują w sklepach na rynku i mogą tam robić zakupy? A może chodzi tylko o skalę? Kilkoro ludzi nie stanowi zagrożenia, więc można ich tolerować, ale kawiarnia pełna ludzi to miejsce, którego należy unikać?

Czy *terra indigena*, którzy mieszkają i pracują na Dziedzińcach, czują się otoczeni przez wrogów? Czy pocieszają się myślą, że każdy konflikt przetrwają przynajmniej ci z nich, którzy są najbardziej zabójczy?

I jak, biorąc pod uwagę to wszystko, oceniać decyzję Simona Wilczej Straży, żeby utrzymywać stosunki nie tylko z łącznikiem, ale również z garstką innych ludzi?

Do kawiarni weszło sześciu mężczyzn i dwie kobiety. Troje miało bursztynowe oczy Wilków, jeden mężczyzna i jedna kobieta mieli czarne włosy i oczy Wron, a co do reszty Monty nie miał pewności, czy są to Jastrzębie, czy Sowy, czy może jeszcze inny rodzaj tubylców ziemi, którego nigdy wcześniej nie spotkał.

– Nie będę niepokoił pani gości – powiedział cicho do Tess. – Zaczekam na Kowalskiego na zewnątrz.

– Niech pan zostanie. – Zabrzmiało to bardziej jak polecenie niż prośba.

Po chwili wahania Monty lekko uklonił się przybyszom, którzy stali niepewnie koło wyjścia na zaplecze. Później usiadł przy stoliku najbliższym przejścia prowadzącego do Zabójczo Dobrych Lektur.

Tess wskazała gościom pozostałe stoliki.

Nieufnie, nie spuszczać wzroku z Monty'ego, podzielili się i zajęli miejsca jak

najdalej od niego, jednak w taki sposób, by cały czas go widzieć.

Po chwili frontowym wejściem wkroczył Kowalski. Rzucił zaskoczone spojrzenie na Innych, co potwierdziło przypuszczenia Monty'ego, że tych *terra indigena* nie widywali nawet ludzie mający prawo wstępu na Dziedziniec. Kowalski również uklonił się i przysiadł do porucznika.

Tess podeszła z tacą do ich stolika. Postawiła przed nimi dwa kubki z kawą, małą miseczkę cukru i dzbanek śmietanki. Podała też sztucce i serwetki, a na koniec wręczyła im menu wydrukowane na sztywnych arkuszach tektury.

Kowalski otworzył usta, niewątpliwie zamierzając wygłosić jakąś uwagę na ten temat, ale jedno spojrzenie na włosy Tess, w których nagle zaiskrzyły zielone pasma, sprawiło, że zamknął je, nie mówiąc ani słowa.

– Oprócz tego, co w menu, serwujemy dziś kanapki z wołowiną albo z kurczakiem, a także quiche i świeże owoce – poinformowała ich głośno.

Nagle Monty uświadomił sobie, że mają służyć Innym jako przykład. Że mają odegrać coś w rodzaju scenki instruktażowej pod tytułem „wizyta w kawiarni”.

Dlatego Tess chciała, żeby zostali.

– Poproszę quiche i owoce – oznajmił równie głośno.

Tess spojrzała pytająco na Kowalskiego.

– A ja kanapkę z wołowiną – powiedział ten pośpiesznie.

– I do tego owoce? – spytała z naciskiem.

– Tak, poproszę.

Z zaplecza wyszła Merri Lee i stanęła za ladą. Miała nieco podkrążone oczy, ale być może po prostu się nie wyspała. Podobnie jak Heather Houghton studiowała na uniwersytecie w Lakeside, a Monty z własnego doświadczenia znał zarwane noce przed egzaminami i zaliczeniami.

Tak, mogła się po prostu nie wyspać... Ale niewykluczone, że przyczyna była inna. Ponieważ jednak Karl wyraźnie starał się nic nie zauważyć, Monty postanowił, że później przepytą partnera w tej sprawie.

Tess zebrała zamówienia od pozostałych gości, po czym pomogła Merri Lee je przygotować.

Obserwowali ich – te Wilki, Wrony i reszta. Obserwowali i naśladowali. Położyli sobie serwetki na kolanach, tak jak oni, i podglądali, do czego służą sztucce, a co je się bez ich pomocy. Obserwowali też Merri Lee krążącą między stolikami z dzbankiem kawy.

Przysłuchiwali się, jak Karl opowiada o maszynach do ćwiczeń w Siup i Łup i o nowej książce, na którą czeka Ruth, jego narzeczona. Monty zaczął dochodzić do wniosku, że ci *terra indigena* nie mieszkali na Dziedzińcu. A przynajmniej nie na tym Dziedzińcu. Może przywieźli mięso albo inną żywność i postanowili wpaść do kawiarni przed powrotem do domu? Albo przyjechali spotkać się z Simonem Wilczą Strażą? Może mieszkali w głębi interioru i nie mieli wcześniej żadnych kontaktów z ludźmi?

Bez względu na to, kim byli i gdzie mieszkali, nie tylko kawiarnia była dla nich nowym doświadczeniem. Nowością byli też ludzie, przynajmniej w tym sensie, że na nich nie polowali. Siedzieli, pili kawę, jedli quiche i kanapki i odpowiadali półsłówkami na przyjacielskie uwagi Merri Lee, zupełnie jak turyści, którzy komunikują się za pomocą rozmówek.

Czy pójdą potem do Zabójczo Dobrych Lektur i kupią książki, żeby sprawdzić, do

czego służą ludzkie pieniądze?

Po raz pierwszy, odkąd Monty zaczął przychodzić do Czegoś na Ząb, Tess podała mu rachunek. Czując się coraz bardziej jak aktor w sztuce, wyjął portfel i zapłacił, nie pozwalając Kowalskiemu się dołożyć. Tess przyniosła mu resztę, a wówczas ustalili z Karlem odpowiednią wysokość napiwku. Nie podnosili głosu, mówili nawet ciszej niż zwykle, ale *terra indigena* na pewno ich usłyszeli i zanotowali sobie wszystko w pamięci.

Poczuł dużą ulgę, gdy wreszcie znaleźli się w radiowozie. Kowalski zapalił silnik, ale nie wrzucił biegu.

– Ależ dziwnie się czułem – wyznał. – Pamiętam, jak tata zabrał nas kiedyś do lodziarni i zrobił to samo, rozmawiał o napiwkach i o tym, jak powinniśmy się zachowywać. Tyle że nie groziło mu odgryzienie ręki, gdyby jego słowa nie przypadły nam do gustu.

– Czy zastanawiałeś się kiedyś, w jaki sposób Inni wybierają nauczycieli, którzy uczą ich, jak być ludźmi? – spytał Monty.

Karl spojrzał na niego zaskoczony.

– Oni nigdy nie są ludźmi, poruczniku. Udadają nas, żeby dostać to, czego chcą. Monty pokiwał głową.

– Tak jest, udają. Masz rację. Nigdy nie będą ludźmi. Ale pomyślałem, że to, kogo postanowią naśladować, determinuje, czy będą wykazywać najlepsze czy najgorsze ludzkie cechy.

– No tak, jesteśmy dla nich wzorem – westchnął Karl.

– Owszem. I dlatego mam wielkie nadzieje.



Kiedy wyjechali z parkingu, kierując się w stronę posterunku, Monty zastanawiał się, czy goście Dziedzińca byli jakoś powiązani z wydarzeniami w Orzechowym Gaju.

Meg przygotowała sobie szmaty, szczotkę i śmietniczkę, a także butelkę płynu do czyszczenia. Wprawdzie już po dwóch razach nowość, jaką było sprzątanie biura łącznika, zdążyła jej spowszednieć, ale nadal podobał jej się efekt końcowy. Poza tym czyste biuro to biuro, w którym nie ma myszy.

Biuro łącznika mieściło się w prostokątnym piętrowym budynku, którego parter podzielono na trzy duże pomieszczenia. Na zapleczu znajdowały się łazienka oraz magazyn ze skrzyniami pełnymi ubrań, z których korzystali Inni, kiedy zmieniali się ze zwierząt w ludzi. Była tam również kuchnia, a w niej niewielki okrągły stół i dwa krzesła. Środkowe pomieszczenie służyło jako sortownia – stał tam wielki prostokątny stół, na którym Meg sortowała listy i paczki dla firm i mieszkańców Dziedzińca. Od frontu natomiast znajdowała się recepcja. Drzwi prowadzące do niej z sortowni z trzech stron otaczał kontuar, zza którego łączniczka rozmawiała z dostawcami. Do sortowni prowadziły też drugie, większe drzwi dostawcze, przy których stały dwa wózki na kółkach. No i leżało tam wielkie psie posłanie – obecnie nazywane wilczym posłaniem – na którym wylegiwał się Nathan Wlicza Straż, strzegący biura w godzinach pracy.

Meg otworzyła drzwi prowadzące za kontuar, żeby widzieć, co się dzieje w recepcji, a potem oznajmiła wesoło:

– Nie spodziewam się dziś rano żadnych dostaw, więc to dobry moment, żeby

posprzątać. Może wyniesiesz posłanie na zewnątrz i porządnie wytrzepiesz? Nathan uniósł głowę i rzucił jej to swoje specjalne, wilcze spojrzenie. Potem ziewnęła i ułożył się z powrotem do snu.

Wiedziała, że w końcu zrobi, co mu kazała. A jeśli nie będzie go poganiać, może nawet założy jakieś spodnie, zanim wyjdzie na parking dla dostawców, żeby na oczach przechodniów wytrzepać posłanie. Najwyraźniej z przodu jego nagość nie rzucała się zbyt w oczy – przynajmniej jak dotąd porucznik Montgomery nie przyszedł pytać o nagiego mężczyznę na parkingu – ale ponieważ w recepcji były dwa wielkie okna i przeszklone drzwi, Meg miała doskonały widok na tylną część ludzkiej formy Nathana.

Jeśli wierzyć obrazom szkoleniowym, które kiedyś dostarczały jej wiedzy o świecie, Nathan miał bardzo ładną ludzką formę.

A choć niewiele zauważyła, zanim Simon zanurkował pod kołdrę, odniosła wrażenie, że on również...

Sprzątaj, nakazała sobie w myślach. *Zajmij czymś ręce, kiedy umysł błądzi.* Merri Lee tak jej poradziła.

Popsikała płynem do czyszczenia kontuar i starannie wytarła.

Może nie powinna była dziś rano poruszać kwestii ludzkiej formy Simona? Tak naprawdę nic nie powiedziała, bełkotała tylko coś bez sensu, kiedy wpadła do



Czegoś na Ząb po kawę i babeczkę, ale Merri Lee od razu zrozumiała w czym rzecz. Stąd jej sugestia, żeby zajęła się porządkami, póki myśli i uczucia nie wrócą na swoje miejsce.

Miała nadzieję, że tak się stanie i że Simon pozostanie jej przyjacielem, nawet jeśli nie będzie chciała mieć w nim kochanka.

Bo przecież nie chciała w tej chwili mieć kochanka. Prawda?

Potarła nos i aż sapnęła, czując niespodziewany ból. Pobiegnęła do łazienki, spojrzęła w lustro... i zobaczyła, że skóra na jej nosie pękła.

Godzinę później stała oparta o stół w sortowni i przeglądała kolorowe czasopismo.

Kiedy uświadomiła sobie, że cały czas pociera ramiona, odłożyła gazetę.

Zbyt wiele obrazów. Zbyt wiele rzeczy do przemyślenia jak na jeden dzień. Poza tym obawiała się, że to pęknięcie skóry oznacza coś bardzo złego. W końcu nie miała pewności, że *cassandra sanguine* jest w stanie przeżyć poza kompleksem, w którym trzymano ją przez większość życia. Może takie jak ona po prostu nie mogą żyć samodzielnie?

Nie myśl o tym, zganiła się, rzucając okiem na drzwi do recepcji. Nathan zachowywał się podejrzanie cicho, odkąd odkaziła pękniętą skórę. Jeśli poczuł zapach lekarstwa, dlaczego nie zawiadomił o tym wyciem? Powinien przecież wpaść do sortowni, żeby ją obwąchać i ustalić, co się stało. A może tym razem wybrał bardziej subtelny sposób?

Słabsze zwierzęta doskonaliły się w sztuce ukrywania chorób i ran, żeby nie paść ofiarą drapieżników. Wilki *terra indigena* doskonaliły się natomiast w sztuce odkrywania, co ukrywa zwierzyna. Dlatego Meg nie była zaskoczona, kiedy w drzwiach na zaplecze pojawił się Henry Niedźwiedzia Straż.

Najwyraźniej Nathan postanowił poinformować o zapachu lekarstwa Henry'ego, zamiast zawiadomić o tym wszystkich wyciem.

– Jak się miewasz, Meg? – spytał Henry potężnym basem.
– Dobrze – skłamała. Wilki potrafiły wyczuć strach. Podobnie jak Niedźwiedzie. Przeszedł przez sortownię, przeczesując ręką długie do ramion zmierzwione brązowe włosy. Spojrzenie jego brązowych oczu przypominało, że jest duchowym przewodnikiem Dziedzińca.
Powęszył chwilę, ale nie skomentował zapachu lekarstwa.
– Słyszałem, że skopałaś Simona z łóżka – zagaił.
Meg westchnęła. Ponieważ w pewnym sensie powiedziała o tym Merri Lee, nie mogła mieć pretensji do Simona, że on też komuś powiedział. Tyle że coś, co jeszcze wczoraj było naturalną przyjaźnią, teraz bardzo się skomplikowało.
– Miałam zły sen. Simon ci go opowiedział? – Henry kiwnął głową. – Kopałam coś we śnie, trafiłam Simona, a on spadł z łóżka. Nie wykopałam go z łóżka specjalnie...
– urwała. – Jest wściekły?
– Trochę utyka i wszyscy pytają go o powód. Jest zły, ponieważ nas to bawi.
– Nie powinien był trącać mnie nosem, kiedy miałam zły sen!
Henry zaśmiał się tubalnie.
– Teraz już to wie. – *Przynajmniej nie nazywa mnie publicznie Meg Wierzgającą Klępą*, pomyślała. *Albo jeszcze nie...* – No dobrze, a teraz wyjaśnij mi, dlaczego czuć cię lekarstwem – poprosił Niedźwiedź.
Obróciła głowę i wskazała swój nos.
– Skóra mi pękła. Nie wiem dlaczego. Nie przecięłam jej.
– Czy dlatego miałaś zły sen?
– Nie wiem. Może. Poza kompleksem jest inaczej. Jest tyle obrazów, których nie potrafię skatalogować, mieszają mi się, bo nie mają etykiet. Czasami zdarza się tak, że zamiast pracować, tylko stoję przez pięć czy dziesięć minut i patrzę w przestrzeń. Nie zamierzała tego powiedzieć. W ogóle nie zamierzała mówić nikomu o tym, że czasami mózg jej się wyłącza. Inni – szczególnie Simon – nie pozwoliliby jej prowadzić PNK ani robić samej wielu rzeczy, gdyby o tym wiedzieli. A tymczasem wygadała się Henry’emu, który teraz patrzył na nią, jakby była jakimś dziwnym, ciekawym obiektem.
– Czy Simon o tym wie? – spytał.
Pokręciła głową.
– Musimy o tym teraz rozmawiać?
Rzucił jej przeciągłe spojrzenie.
– Wiele rzeczy trzeba przemyśleć, więc możemy to odłożyć na później.
– Dzięki. – Chwilowo nie musiała się martwić, ale wiedziała, że ten temat wróci. – Przeszedłeś tylko spytać o Simona? – Była pewna, że to jedynie pretekst, by ustalić, dlaczego czuć ją lekarstwem.
– Mielśmy wizytę ludzkiego chodzącego ciała. Oglądał pokoje na rynku – powiedział Henry. – Może powinniśmy go wezwać, żeby obejrzał twoją skórę?
– Lekarz... – szepnęła Meg. – Takich jak on ludzie nazywają lekarzami. – Wzdrygnęła się, niezdolna zapanować nad strachem wywołanym przez wspomnienia z dawnego życia. – Nie muszę mu tego pokazywać.
– Jego obecność powoduje u ciebie niepokój – głos Niedźwiedzia brzmiał jak grzmot, który ostrzega o nadciągającej burzy.
Ostrożnie, pomyślała Meg.
– Nie, doktor Lorenzo mi nie przeszkadza. To chyba miły człowiek i dobrze się

mną opiekował, kiedy byłam w szpitalu. – Henry czekał. Podejrzuwała, że może tak czekać godzinami. – Wpuszczacie tu kolejnego człowieka z mojego powodu. To dlatego Simon jest skłonny zgodzić się na gabinet lekarski na Dziedzińcu, prawda? Żeby miał się kto mną opiekować. Ale doktor będzie miał przecież dostęp do całego rynku i będzie mógł obserwować was wszystkich.

Niedźwiedź uśmiechnął się.

– Ludzie sądzą, że dowiadują się czegoś o nas, ale to zawsze my dowiadujemy się więcej o nich.

– Czy będzie też leczył innych ludzkich pracowników?

– Możemy o tym porozmawiać. – Chwila milczenia, a potem: – Dlaczego on budzi twój niepokój, Meg?



– To ten fartuch – wyrzuciła z siebie, próbując rozdrapać skórę przez ubranie. –

Biały fartuch. Chodzące imiona – ludzie, którzy zajmowali się nami w kompleksie – nosili takie fartuchy albo białe mundury.

– W takim razie na Dziedzińcu nie będzie nosił symbolu strachu i bólu! – Drgnęła, zaskoczona jego rykiem. Nathan wskoczył na kontuar w recepcji, gotowy rzucić się jej na pomoc. – Nie będzie nosił symbolu twoich wrogów!

– Aruuuu!

Nathan najwyraźniej zgadzał się z Henrym – niezależnie od tego, czy słyszał ich rozmowę, czy nie. Żaden Wilk nie spierał się z Niedźwiedziem – szczególnie gdy sam wezwał go na pomoc, żeby poradzić sobie z człowiekiem.

– W porządku. – Meg wyraźnie zaczęła się uspokajać. Albo może po prostu chciała, żeby Nathan zszedł z kontuaru, zanim się poślizgnie i zrobi sobie krzywdę. Spojrzała na Henry’ego a potem na Wilka. – Nic mi nie jest.

Uznawszy, że kryzys został zażegnany, Nathan zeskoczył z kontuaru i wrócił na posłanie, a Henry poszedł do siebie. Wcześniej jeszcze raz zapewnił Meg, że białe fartuchy będą zakazane.

Stała przez chwilę w sortowni, starając się powstrzymać natłok wspomnień z życia w kompleksie i przekonać samą siebie, że nigdy nie będzie musiała tam wracać. Postanowiła, że podczas południowej przerwy pójdzie do ZDL i znajdzie sobie jakiś horror napisany przez *terra indigena*. Zwykle po takiej lekturze spała przy zapalonym świetle, ale równocześnie pocieszała ją świadomość, jak straszne potrafią być Wilki, gdy walczą z kimś, kogo uznały za wroga.

Henry zajrzał do Czegoś na Ząb, złapał Merri Lee za ramię i zaciągnął na zaplecze mimo gwałtownych protestów Tess.

Przez dłuższą chwilę miał kłopoty z wyjaśnieniem im obu, o co mu chodzi, ale kiedy się uspokoiły, a Merri Lee zrozumiała wreszcie, o co ją pyta, poczuł się równocześnie lepiej i gorzej. To coś ze skórą na nosie Meg nie miało związku z faktem, że była wieszczką krwi, tylko z tym, że była człowiekiem. Tyle że Inni nigdy wcześniej nie próbowali się opiekować człowiekiem, a opieka nad Meg byłaby wyzwaniem nawet dla ludzi. Skąd *terra indigena* mieli wiedzieć, że ludzie są do tego stopnia pozbawieni instynktu samozachowawczego?

Na usprawiedliwienie Meg trzeba było jednak zaliczyć fakt, że nigdy tak naprawdę nie miała okazji sama dbać od siebie. Spieczona wargi. Skóra pękająca z powodu mrozu, suchego powietrza albo odwodnienia. Zadzierające się skórki przy

paznokciach, które zawsze mogły zacząć krwawić. Zima obchodziła się bezlitośnie z ludzką skórą, ale na szczęście mogły pomóc kremy do twarzy, rąk i mleczka do ciała. Kosmetyki tej marki, której używania Inni wymagali od swoich pracowników, można było kupić w kilku ludzkich sklepach, ale były kosztowne, natomiast na rynku, gdzie ceny były bardziej przystępne, nie sprzedawano mleczka i kremów. Gdyby miał jakiś wybór, wolałby przytulić jeżozwierza, niż słuchać tych entuzjastycznych opowieści o kosmetykach. Ale nie miał wyboru, a poza tym sam poruszył ten temat, znosił więc wyjaśnienia Merri Lee, póki Tess jej nie przerwała: – Zamówię ich dość dla was wszystkich, jeśli wyjaśnicie Meg, jak dbać o skórę – obiecała.

– Jasne. Porozmawiamy z nią po zajęciach w Spokojnym Umyśle – odparła Merri Lee. – Ruthie i Heather też przyjdą.

– Jest coś jeszcze – powiedział Henry, rzucając okiem na Tess. – Meg powiedziała, że czasami czuje się do tego stopnia przytłoczona obrazami, że mózg jej staje. Bardzo ją to niepokoi.

– Nadmiar informacji – stwierdziła od razu Merri Lee. – Kiedy bodźców jest za dużo, mózg musi odpocząć. Wszystkim się to zdarza.

Nam nie, powiedziała Tess.

Pod wieloma względami jesteśmy mądrzejsi od ludzi, zgodził się Henry. Potem zwrócił się na głos do Merri Lee: – Dobrze byłoby, żebyście i o tym wspomniały Meg.

Kiedy Merri Lee obiecała, że wyjaśni Meg tę sprawę, Henry uciekł z kawiarni. Zamierzał ukryć się w ciszy swojej pracowni. Kiedy szedł ścieżką do drzwi, odruchowo zajrzał za wysoki do ramion murek, który oddzielał jego podwórze od parkingu dla dostawców koło biura łącznika. Zatrzymał się. Rozmowa o mleczkach i kremach strasznie go rozproszyła, ale teraz wrócił myślami do innych rzeczy, których się dziś dowiedział.

Parking był pusty, nie stała na nim żadna furgonetka, ale nie było w tym nic niezwykłego.

Niezwykłe było to, że na murku nie siedziała ani jedna Wrona.

Odkąd Meg zaczęła pracować dla *terra indigena*, dzień w dzień Wrony obsiadały biuro łącznika. Były wartownikami, ogłaszały przybycie regularnych dostaw i ostrzegały o obecności obcych. Henry nie zawsze zwracał na nie uwagę, ponieważ były równie gadatliwe jak ludzkie samice, ale ich nieobecność odczuł od razu. Nie mógł skupić się na rzeźbieniu, więc zaparzył sobie herbatę i zadzwonił do Vladimira Sanguinatiego, który był współwłaścicielem księgarni.

– Vlad? Nie, Meg nic nie jest. Ale jak Simon trochę się uspokoi, powiedz mu, że lekarze i białe fartuchy budzą w niej strach. Wszyscy powinniśmy o tym pamiętać. Kiedy odłożył słuchawkę, postanowił, że wieczorem porozmawia z Simonem i Vladem o skórze, która może pęknąć tak głęboko, by uwolnić proctwo, a jednak nie krwawić.

Rozdział 4

Kontroler szedł korytarzami kompleksu, witając się z napotykanymi pracownikami lekkim skinieniem głowy. Zmierzał do jednej z sal proctw. Ubrany w szyty na miarę trzyczęściowy garnitur, wykrochmaloną koszulę i krawat z dyskretnym wzorem – wyglądał jak dyrektor jakiejś wielkiej firmy. W pewnym sensie był właśnie kimś takim. Firmę założył jego pradziadek, a zajmowała się ona

świadczeniem opieki nad dziwnym rodzajem ludzi, którzy potrafili przepowiadać przyszłość, gdy zostali zranieni. A przynajmniej potrafiły to dziewczynki. Chłopcy przekazywali tę zdolność potomstwu, sami jednak byli jej pozbawieni. Stopniowo firma zmieniała się w schronisko dla dziewcząt, które na co dzień bywały prześladowane przez społeczeństwo – czasami kamienowano je lub palono na stosach ze strachu przed ich przepowiedniami.

Pradziadka podziwiano za jego poświęcenie i potępiano za to, że czerpie zyski ze swej działalności. Ale opieka nad dziewczętami była kosztowna, więc cóż złego w tym, że zarabiał na prorocत्वach, które wygłaszały, celowo raniąc się, by doświadczyć euforii? Szczególnie że nikogo w ten sposób nie krzywdził?

Oczywiście zdarzało się, że w wyniku działalności pradziadka na giełdzie firmy rozkwitały lub upadały. I że te fragmenty świata, nad którymi kontrolę mieli ludzie, zmieniały się trochę pod wpływem świadczonych przez niego usług. Prawda była jednak taka, że mimo wszystkich wynalazków i nowych technologii, mimo budowania wielkich miast co noc ludzie nadal barykadowali się w domach i drżeli przed tym, co może wyjść z pól i lasów.

Pradziadka Kontrolera cechował humanitaryzm, natomiast jego dziadek był biznesmenem, zainteresowanym zyskiem. Podobnie jak kilka innych rodzin świadczących tego typu usługi postanowił odciąć się od humanitarnych korzeni i zbić majątek. Na tyle duży, by mieć wpływ na świat.

W regionach, gdzie zamieszkiwali „baronowie” wieszczek, wkrótce uchwalono prawo o „dobroczynnym posiadaniu”. Ludzie tacy jak Kontroler zatrudniali opiekunów, którzy uczyli dziewczęta, dbali o nie, a nawet je rozmnażali. Stopniowo „dobroczynność” zmieniła się w bardzo intratny biznes. O kompleksach wiedzieli tylko bogaci i dyskretni klienci, a cięcie dziewcząt stało się regularną kontrolowaną procedurą.

Jednak nawet najlepszy program hodowlany nie był w stanie wyeliminować u dziewcząt niepożądanych cech. Prawda była taka, że inteligencja i skłonność do buntu stanowiły nieodłączne atrybuty tych wieszczek, które wygłaszały najlepsze prorocтва i nijak nie można było tego zmienić. Ponieważ od czasu do czasu niezbędne było wprowadzenie do stada świeżej krwi, odbierano dziewczęta rodzicom, którzy nie pojmowali ich uzależnienia od zadawania sobie ran. Czasami rodziny oddawały dziewczęta dobrowolnie, a czasami trzeba je było odebrać siłą. Jednak nawet w tym drugim przypadku rzadko zgłaszali porwanie, gdyż zdolności wieszczce były dziedziczne i gdyby dowiedziały się o nich władze, cała rodzina mogła zostać poddana dobroczynnemu posiadaniu – oczywiście dla własnego dobra. Kompleks prowadzony przez Kontrolera miał koszty i wydatki jak każda inna firma. Ale nie musiał już pozbywać się dziewczyn, nad którymi nie dawało się zapanować ani takich, którym brakowało już wolnej skóry na prorocтва, gdyż stały się one źródłem innego produktu.

„Pamiętaj, nie należy zatrzymywać dla siebie najgorszych dziewczyn”, ostrzegał go dziadek. „Twoja przyszłość jest równie ważna, jak przyszłość klientów”.

Mądra rada. Nawet bardzo. Właśnie dlatego raz na dwa tygodnie Kontroler wybierał dwie dziewczyny i słuchał prorocत्व na temat własnej przyszłości. Rok temu w prorocत्वach zaczęły powtarzać się litery LPNW. Odkrył ich znaczenie dopiero kilka miesięcy temu, gdy jego wpływowi klienci zaczęli napomykać niejasno o ruchu pod nazwą Ludzie Przede i Nade Wszystko.

A jako właściciel licznych wieszczek wcale nie był zaskoczony faktem, że powstanie ruchu zbiegło się z odkryciem całkiem nowej właściwości krwi *cassandra sangue* – płynęły w niej nie tylko proroctwa.

Kontroler wszedł do sali przepowiedni i zajął swoje zwykłe miejsce, podczas gdy personel przywiązywał do krzesła pierwszą dziewczynę. Otworzył notatnik i wyjął długopis z kieszeni marynarki.

– Moje nowe przedsięwzięcie – powiedział. – Jaki ma być następny krok?

Powtarzał te słowa raz po raz, kiedy Przecinacz wybierał odpowiednie miejsce na lewym udzie dziewczyny i za pomocą jej osobistej brzytwy przeciął skórę, dokładnie pół centymetra od blizny po poprzednim cięciu.

Twarz wieszczki wykrzywiła się z bólu, który trwał, póki nie wymówiła pierwszych słów proroctwa. Gdy tylko popłynęły słowa, ból zmienił się w rozkosz, przypominającą orgazm i uzależniającą dziewczyny od cięcia.

– Błyszczące iskry w kamieniu. Koło od wozu. Kot rozszarpuje na kawałki dużą rybę. Litery LPNW – jęknęła i wygięła zapraszająco biodra mimo krępujących ją pasów.

Tak niewiele mimo dużego cięcia na udzie, pomyślał z irytacją Kontroler.

– Zabierzcie ją do celi i przygotujcie drugą. Wrócę za kilka minut.

Poszedł do swojego biura i włączył komputer. Czekał, aż system ruszy, przygotował sobie listę słów kojarzących się z obrazami przekazanymi przez wieszczkę. Kamień. Błysk. Iskra. Pazury. Drapanie. Kiedy komputer połączył się z siecią, zaczął wpisywać słowa z listy do wyszukiwarki. Nie znalazł niczego, póki nie wpisał na raz: mika, koło, ryba, strzępy i LPNW.

Mikołaj Strzępiel z Cel-Romańskiej Wspólnoty Narodów. Niedawno przyjechał do Thaisii i przebywał obecnie w Toland, gdzie wygłaszał prelekcje na temat ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko.

Kontroler uśmiechnął się. Niełatwo będzie nawiązać kontakt z tym Mikołajem Strzępielem, ale dotrze do niego. Ruch Ludzie Przede i Nade Wszystko dąży do uwolnienia świata spod kontroli *terra indigena*, a tylko on, Kontroler, może mu dostarczyć broni mogącej zapewnić zwycięstwo.



Wilczenie i euforkę trzeba było przetestować, dlatego wypuścił je na ulicę jak zwyczajne narkotyki. Ale członkom ruchu nie będzie sprzedawał narkotyków. Będzie im dostarczał środki bojowe, za pomocą których będą mogli obezwładnić wroga i stworzyć armię berserków, bez wahania atakujących *terra indigena* dla dobra całej ludzkości.

Tak, jego następnym krokiem musi być skontaktowanie się z tym całym Mikołajem Strzępielem.

Zadowolony, wrócił do sali, żeby wysłuchać drugiej przepowiedni. W zasadzie ona również miała dotyczyć interesów, gdyż cs759, ta dziwka, która twierdziła, że nazywa się Meg Corbyn, nadal przebywała na wolności. A choć z każdym cięciem zbliżała się do śmierci, nie należało zapominać, że wieszczki krwi żyjące na wolności mogły okazać się niebezpiecznymi przeciwnikami. Cs759 była tym groźniejsza, że wieszcyła teraz Innym, więc musiał ją odzyskać – albo zabić – zanim ujrzy wizję, która ujawni jego nowe interesy i zamiar związania się z ruchem LPNW.

– Opowiedz mi o Wilku z Lakeside – zażądał. – Co się stanie z przywódcą

Dziedzińca w Lakeside? – Popłynęła krew, a wraz z nią proroctwo. Ale dziewczyna, zamiast przemówić, próbowała uwolnić się z więzów. – Co się stanie z Wilkiem? – powtórzył Kontroler rozkazującym głosem. – Powiedz mi o Wilku! – Dziewczyna spojrziała tylko na niego i zaczęła krzyczeć. – Tej już wystarczy. Opatrzyć ją – zarządził.

– Dlaczego zbieramy krew z nosa? Są w niej gile.

Nieprzyjemny śmiech.

– A kogo to obchodzi? Ci, co to kupują, nie mają o tym pojęcia. On kazał pobrać od niej jak najwięcej. Jest najlepsza. Pewnie dlatego że zupełnie zszikowała.

Wiedziała, że mówią o niej, ale ich słowa miały równie niewielkie znaczenie, jak tych kilka konwulsyjnych ruchów, których potrzebowali, żeby w niej wytrysnąć. Czasami straszili ją i drażnili. Kiedy indziej bili pięściami, żeby zbierać krew nie tylko z cięć. No i cięli ją zbyt blisko poprzednich blizn albo w poprzek nich. To, co krzyczała, nie miało dla nikogo znaczenia.

Dla nikogo oprócz niej.

Nie walczyła z nimi, kiedy opatrywali przecięcia i tamowali krew z nosa.

Zachowywała się biernie, pozbawiona siły i wizji.

– Do zobaczenia, cs747 – powiedział jeden z chodzących imion, uśmiechając się złośliwie. – Nadal jesteś warta trochę forsy, więc nam tu nie umieraj.

To nie ja umrę, pomyślała, gdy drzwi celi zamknęły się za nimi i usłyszała zgrzyt klucza obracanego w zamku. *Widziałam... tyle rzeczy. Biały fartuch, który jest czymś więcej niż chodzącym imieniem. Człowiek o włosach koloru soli z pieprzem.*

Ciemnoskóry mężczyzna w radiowozie. I Wilk. Widziałam Wilka Meg. Tyle rzeczy zdarzy się z powodu Meg i jej Wilka.

– Nie nazywam się cs747 – szepnęła buntowniczo i usiadła na pryczy, opierając się plecami o ścianę. – Mam na imię Jean.

Rozdział 5

W piątek przed południem Vlad oderwał wzrok od stosu faktur piętrzących się na biurku. Stwierdził, że Heather i Merri Lee stoją w drzwiach biura i przeklął w duchu Simona, który zrobił sobie wolne, żeby się wyłóżcić czy co tam robią Wilki w takich sytuacjach, zostawiając go samego z całą robotą w księgarni i z problemem, który te dwie zaraz zrzucą mu na głowę. Bo wyraz determinacji w oczach Merri Lee, która usiłowała wciągnąć Heather do biura, nie pozostawiał wątpliwości, że przynajmniej jedna z nich ma jakiś problem.

Jednak obie były dobrymi pracownicami, a zatem nie były jadalne.

Zresztą nawet gdyby były jadalne, podejrzewał, że dziś ich krew byłaby nieco zbyt gorzka dla wampira.

– Co się stało? – spytał, siląc się na swobodny ton. Dwa miesiące temu nie siliłby się na nic. To były tylko ludzkie kobiety; gdyby zaczęły sprawiać kłopoty, po prostu zastąpiłby je innymi. Ale tak się złożyło, że zaprzyjaźniły się z Meg Corbyn i zaczęto je traktować na Dziedzińcu jak jej ludzkie stado. Stowarzyszenie Przedsiębiorców wciąż nie bardzo wiedziało, jak do tego doszło i jak mają to wytłumaczyć innym *terra indigena*. Na Dziedziniec w Lakeside zaczęli przybywać tubylcy ziemi wyłącznie po to, żeby zobaczyć owo dziwne, niejadalne ludzkie stado. Vlad bardzo nie chciał być przy tym, kiedy któraś z dziewczyn uświadomi sobie wreszcie, że są czymś w rodzaju atrakcji turystycznej dla *terra indigena* – może nie tak monumentalnej jak wodospady Talulah, ale na pewno zdecydowanie bardziej

tajemniczej. – Co się stało? – powtórzył, kiedy nie odpowiedziały na jego pytanie.

– Nathan musi wyjść z biura łącznika podczas południowej przerwy Meg – oświadczyła Merri Lee.

– Zwykle to robi – zauważył Vlad.

– Ale nie wtedy, kiedy Meg zostaje. A my zamierzamy zjeść z nią lunch w biurze.

– Więc dlaczego Nathan musi wyjść?

– Bo to jest interwencja – poinformowała go Merri Lee.

– Chodzi o babskie sprawy – powiedziała równocześnie Heather.

– Jakie...? – spytał, gdy nie dodały nic więcej.

– Seks – wypaliła Merri Lee.

– Niekoniecznie seks – powiedziała ostrożnie Heather. Cofnęła się, rzucając Vladowi spojrzenie, które Simon nazywał spojrzeniem króliczka. – Słyszałam, jak pan Wilcza Straż mówił, że nie chodziło o seks.

– Ale Meg uważa, że chodziło – przerwała jej Merri Lee. – Albo może chodzić.

Wszystko jedno, rzecz w tym, że Meg i Simon zachowują się wobec siebie dziwnie i trzeba położyć temu kres, zanim zaczną się to odbijać na innych.

Ta dziewczyna nie jest króliczkiem, pomyślał Vlad, obserwując ogień w oczach Merri Lee. Miała w sobie coś z Wilka. A może nawet z Niedźwiedzia.

– Skoro to sprawa między nimi, po co chcecie rozmawiać z Meg? I kim są ci inni?

– I dlaczego dotąd nic o tym nie słyszał?

– Żeby wymyślić, co powinna zrobić – parsknęła Merri Lee, wyraźnie

rozdrażniona jego brakiem bystrości. – A jeśli chodzi o tych innych, to dziś rano do kawiarni przyszła niejaka Powietrze i powiedziała Tess, że zdaniem Wiosny Meg jest nieszczęśliwa i wszystkie dziewczynki znad jeziora chcą wiedzieć dlaczego. Miałam wrażenie, że Tess zaniepokoiło ich zainteresowanie. No i zdenerwowało ją, że Powietrze przyprowadziła kuca do Czegoś na Zęb, więc już czas, żeby dziewczyny – tu wskazała siebie i Heather – pomogły Meg rozwiązać ten problem.

– Którego kuca? – zapytał Vlad.

– Nie wiem. Brązowego.

To mogło być Trzęsienie Ziemi, Tornado albo Trąba Powietrzna. Kiedyś Zima odwiedziła ich w biurze nad ZDL, więc Vlad nie dziwił się, że Tess źle odebrała wizytę jednej z dziewczynek, której bynajmniej nie chodziło o kawę.

Chciał porozmawiać z Nyx, zatęsknił za prostotą obcowania z kobietą, która była drapieżnikiem i należała do tego samego rodzaju co on, ponieważ denerwowały go te dwie niejadalne kulki kłaków – szczególnie ta, która wyglądała, jakby miała zaraz wybuchnąć.

Wszyscy mieszkańcy Zielonego Kompleksu wiedzieli, że wbrew zwyczajom Meg nie spędziła wieczoru ze swoim sąsiadem Wilkiem i że przyjechała do pracy sama. Nawet Jester z Kojociej Straży oznajmił, że nie zamierza wtykać nosa w tego uczuciowego jeżozwierza, więc reszta Innych postanowiła iść za jego przykładem. Vlad bardzo żałował, że sam nie może się wykpić.

Z drugiej jednak strony, jeśli dziadek Erebus dowie się, że ich łącznik nie rozmawia z Wilczą Strażą i że Meg jest nieszczęśliwa, życie na Dziedzińcu stanie się nie do zniesienia.

Skoro sprawa dotarła nawet do Żywiołów, sytuacja może się zrobić niebezpieczna, i to dla wszystkich. Niewykluczone więc, że te kłębki kłaków mają rację i powinny spróbować naprawić... to, co ich zdaniem należy naprawić.

– Nathan strzeże Meg, a nie biura. Nie mogę mu kazać tak po prostu odejść dalej niż przed budynek – powiedział. – Może zostanie w recepcji, a wy zbierzecie się na zapleczu?

– Nie. Wilki mają doskonały słuch – odparła Merri Lee.

Podobnie jak Sanguinati, pomyślał Vlad.

Nyx? Potrzebuję cię w księgarni, zawołał. Inną formą Sanguinatic był dym, a dym mógł łatwo wślizgnąć się przez szparę pod drzwiami albo przez dziurkę od klucza, a potem ukryć się w kącie pokoju, by niepostrzeżenie przysłuchiwać się rozmowie.

– No dobrze – powiedział. – Każę Nathanowi wyjść na zewnątrz. – Będzie musiał to uzgodnić z Blairem Wilczą Strażą, stróżem prawa Dziedzińca. A jeśli to nie wystarczy, wezwie na pomoc Henry’ego. Miał nadzieję, że żaden z nich nie zapyta, co to są interwencje w babskich sprawach. – A teraz idźcie sobie – zażądał. – Jestem zajęty.

Wyszły tak pospiesznie, że zaczął podejrzewać, iż zgodził się na o wiele więcej, niż



miały nadzieję.

Heather zamówiła pizzę, a Merri Lee przyniosła czekoladę i książkę pod tytułem *Randkowanie dla idiotów*.

– Dziękuję. – Meg patrzyła przez chwilę niepewnie na okładkę, po czym odsunęła ją jak najdalej od pizzy. – Kupiłaś ją w ZDL?

Merri Lee parsknęła śmiechem.

– Bogowie, nie! Wczoraj poszłam do księgarni przy uniwersytecie. I wiesz, wcale nie uważam cię za idiotkę. Po prostu tak się nazywa cała seria książek na różne tematy. Uznałam, że randkowanie to dla ciebie zupełnie nowa dziedzina, więc przydadzą ci się takie podstawowe informacje.

– Nawet gdybyśmy mieli tę książkę w ZDL, nie mogłybyśmy jej kupić bez wiedzy pana Wilczej Straży – dodała Heather.

Meg poczuła mrowienie skóry na przedramionach. Miała wrażenie, jakby słuchała jednej rozmowy, a druga odbywała się gdzieś wewnątrz niej – i to ta druga, niesłyszalna, niosła w sobie jakieś niebezpieczeństwo.

– Tess powiedziała, że jutro powinno przyjść zamówienie z kremami i mleczkiem do ciała – oznajmiła Merri Lee, gdy Heather zaczęła nakładać pizzę na talerze. – I że pierwszą partię dostaniemy za darmo, no wiesz, na testy.

– Za darmo? – zdziwiła się Heather. – W zeszłym roku kupiłam taki krem do twarzy na prezent i kosztował mnie połowę tygodniowej pensji! A teraz dostaniemy je za darmo?

– Tylko za pierwszym razem – powtórzyła Merri Lee. – Na testy.

Słyszając o testach, Meg znów poczuła mrowienie skóry. Na szczęście po chwili minęło.

– Dlaczego te kremy są takie drogie? – spytała.

– Kwestia podaży i popytu – wyjaśniła Merri Lee. – *Terra indigena* produkuje tę markę głównie dla siebie i tylko czasami sprzedają do ludzkich sklepów. Ponieważ dostawy są ograniczone, produkt jest drogi. W sprzedaży jest masa kremów i mleczek, ale większość ma sztuczne zapachy – ludziom to nie przeszkadza, natomiast Innym tak.

Meg przypomniała sobie nagle film szkoleniowy. Pokazywał osobę, której zadano pytanie na jeden temat, a ona mówiła o czymś zupełnie innym. Mówiła i mówiła... Jak teraz Merri Lee o kosmetykach, choć przyszła tu z Heather na lunch z zupełnie innego powodu.

– Grasz na czas – stwierdziła Meg, przypominając sobie, jak określono w filmie takie zachowanie.

– Chyba tak – zgodziła się Merri Lee i zaczęła, aż Heather nałoży im po drugim kawałku pizzy. – No to powiedz nam, co zaszło między tobą a Simonem.

– Nie wiem. Nie wiem nawet, czy cokolwiek zaszło.

Rozmawiały przez ponad godzinę, najpierw przy pizzy, a potem przy czekoladzie.

– *Terra indigena* przemieniają się, zupełnie o tym nie myśląc – powiedziała Merri



Lee. – Przynajmniej tak mi się wydaje. Mam wrażenie, że dla nich zmiana formy to jak dla nas przebranie się w domowe ciuchy. Mówiłaś, że Simon sypiał z tobą, odkąd wróciłaś ze szpitala.

– Owszem, ale jako Wilk – odparła Meg. – Wilk jest ciepły i miły w dotyku.

Natomiast Wilk w ludzkiej formie to... mężczyzna. – Jej wspomnienia o tym, co się działo po cięciu i wygłoszeniu prorocтва, były niejasne, ale jej ciało zareagowało tak, jakby istniał powód do obaw.

– A mężczyźni lubią seks – stwierdziła Merri Lee, taksując Meg. – Sama musisz zdecydować, czy chcesz uprawiać seks. Masz do tego prawo, tak samo jak my.

Wybór. Tak. Miała wrażenie, że coś w niej drgnęło na to słowo.

– To takie romantyczne, że Simon zostaje na noc u Meg i czuwa nad nią – westchnęła Heather. – Zupełnie jak w tych opowiadaniach, gdzie Wilk albo wampir zakochuje się w ludzkiej kobiecie.

– Te opowiadania to fikcja. I pobożne życzenia – mruknęła Merri Lee.

– Wielu *terra indigena* uprawia seks z ludźmi – upierała się Heather. – Gdyby nie byli zainteresowani fizycznymi kontaktami, to po co Pani Wiem Wszystko udzielałaby rad na temat mieszanych randek w swojej kolumnie w biuletynie *Dziedzińca*?

– To, że mężczyzna chce seksu, wcale nie oznacza, że ma zamiar związać się z każdą dziewczyną, która się na to zgodzi – parsknęła Merri Lee. – Kto wie, co naprawdę myślą o tym Inni? Masz pewność, że odczuwają wtedy przyjemność tak jak my? A może dla nich to tylko eksperyment? Może to tak jak całowanie ulubionego zwierzątka – żeby się przekonać, jak to jest?

– To obrzydliwe, co mówisz! – krzyknęła Heather.

– I zapewne nie ma nic wspólnego z prawdą – dodała pośpiesznie Merri Lee, rzucając Meg kolejne taksujące spojrzenie. – Mam wrażenie, że nasza interwencja niewiele pomogła.

– Niewiele – zgodziła się Meg. – Niemniej fakt, że Simon położył się w łóżku w ludzkiej formie, zmienił wszystko. Nie wiem dlaczego, ale zmienił. I nie mam pojęcia, co z tym zrobić.

Simon siedział na ławce w pracowni Henry'ego i obserwował, jak Niedźwiedź dotyka totemów i swoich rzeźb – na różnych etapach ukończenia. Niedźwiedzia Straż gładził drewno, ale nie sięgnął po żadne narzędzia – widać był zbyt niespokojny, żeby pracować.

– Nyx rozumiała z tego wszystkiego tyle, że Meg obawia się, że chce od niej seksu, ponieważ tego oczekiwaliby ludzki mężczyzna – powiedział Simon.

– A tak nie było? – spytał Henry, po czym wyłączył elektryczny czajnik, wrzucił do dwóch kubków torebki z herbatą i zalał wrzątkiem. – Nie chciałeś seksu?

– Nie, chciałem tylko wejść pod kołdrę! W pokoju było zimno, a doszedłem do wniosku, że jeśli przybiorę ludzką formę i zostawię futro, Meg się wystraszy. Chciałem okazać jej zrozumienie, chociaż skopała mnie z łóżka! – Właściwie to spadł z łóżka, kiedy próbował uniknąć drugiego kopnięcia, ale o tym nikt nie musiał wiedzieć. – Dlaczego Meg sądzi, że szukałem seksu? Nie wydzielala takiej woni, jak ludzkie kobiety, kiedy tego chcą. – Jej zapach wskazywał na zdenerwowanie, nawet przerażenie, ale wtedy sądził, że to z powodu snu. Nie wpadło mu do głowy, że mogła tak zareagować na niego. Westchnął ciężko. – Pogubiłem się.

– A to ci nowość. Zachowujesz się tak, odkąd ją poznałeś. – Henry podał mu kubek i usiadł obok. – Mój drogi, jesteś jak Wilk, który wbiegł na piękną łąkę i przekonał się, że jest usiana wężami i wnykami. – Simon pomyślał, że takie porównanie nie jest zbyt pochlebne dla Meg, i odruchowo chciał jej bronić, ale powstrzymał się. – Ona nie jest *terra indigena*, Simonie – ciągnął Niedźwiedź łagodnie. – Nie jest jedną z nas. Meg jest człowiekiem.

– Nie jest jedną z nas, ale nie jest też jedną z nich – warknął Wilcza Straż. – Ona jest Meg.

Henry pokiwał głową.

– Czymś nowym i niezrozumiałym. Zjawiała się wśród nas samotna i przerażona, pozbawiona wszelkiego doświadczenia, jak ma żyć. Dałeś jej pracę i dach nad głową. Zostałeś jej przyjacielem.

– W przyjaźni nie ma nic złego.

– Masz rację. Ale zapomniałeś, że ona nie jest Wilkiem. – Simon upił łyk herbaty. Tak naprawdę to nie zapomniał, ale rzeczywiście w miarę upływu czasu ten fakt wydawał mu się coraz mniej istotny. Póki Meg nie zaczęła się tak dziwnie zachowywać z powodu jego ludzkiej formy. – Izolujesz się od własnego rodzaju – stwierdził Henry.

– Nie mieszkam w kompleksie Wilczej Straży z własnego wyboru.

– Dla Dziedzińca to dobrze, że jego przywódca mieszka wśród innych rodzajów *terra indigena*, ale to nie oznacza, że ten wybór jest dobry również dla ciebie. Wilki nie czują się szczęśliwe, jeśli zbyt długo przebywają same.

– Biegam z watahą kilka razy w tygodniu, a poza tym mam pod opieką Sama. – Raczej biegał, póki nie zaczął się niepokoić, że zostawia Meg i Wilczka samych. Zwykły wypadek mógł spowodować wielkie szkody, ale nie mógł tego wyjaśnić ani im, ani nikomu innemu. Jeszcze nie.

Henry pokiwał głową.

– Skorzystałeś z jego zainteresowania Meg, żeby pokonać strach, który uwięził go w wilczej formie i uniemożliwił mu porozumiewanie się z nami. W tym sensie wykorzystałeś Meg.

Simon skrzywił się boleśnie. Wiedział, że Niedźwiedź ma rację. Meg przez całe życie była przez kogoś wykorzystywana. Nie chciał zachowywać się wobec niej tak jak ci ludzie, ale czasami obawiał się, że nie będzie miał wyboru.

– Jej to też pomogło.

– Owszem. Ale gdybyś zachowywał się wobec jakiejś Wilczycy tak jak

zachowujesz się wobec Meg, zostałyby to uznane za zaloty. Pomyślałaby, że chcesz się jej zaprezentować jako potencjalny partner.

– Ja nie... Ona nie... – Nie myślał o niej w ten sposób. Ale jeśli ona myślała tak o



nim?

– Ona nie jest jedną z nas, więc nie sądziłeś, że wspólne zabawy, czesanie i spanie w jednym łóżku można potraktować w taki sposób, szczególnie że Meg bawi się też z innymi Wilkami. Ale teraz Sam mieszka z resztą Wilczej Straży, a Meg sypia tylko z tobą. Aż do wczoraj uważałeś, żeby zachowywać wtedy wilczą formę.

– Chciałem z nią tylko porozmawiać o tym śnie – zaprotestował Simon. – Ona nie potrafi porozumiewać się tak jak my. Jak inaczej miałem z nią porozmawiać? – Ponieważ Henry tylko na niego popatrzył, warknął: – To wina tych wszystkich ludzkich opowiadań o Wilkach wiążących się z ich kobietami!

– My też mamy takie opowiadania – zaprotestował Henry. – Ale raczej służą ku przestrodze, ponieważ rzadko kończą się dobrze dla kochanków. A co z potomstwem?

– Nie planowałem szczeniaków, póki jestem przywódcą Dziedzińca. – Simon był młody, kiedy stanął na czele Dziedzińca, ale nawet wtedy nie był głupi. Przywódca musi być czujny i świadomy wroga, musi wymuszać przestrzeganie zasad i uzgodnień. Musi podjąć decyzję, jeśli ludzi należy usunąć. I zawsze ryzykuje, że przejmie od ludzi zbyt wiele cech, że stanie się zbyt podobny do wroga. Powinien spędzić to lato w osadzie tubylców ziemi w jakiejś innej części Thaisii, gdzie mógłby biegać swobodnie i przez wiele dni z rzędu być tylko Wilkiem – bez żadnych zobowiązań. Miał do tego prawo, ale wiedział, że do tego nie dojdzie, ponieważ choroba dotykająca ludzi i Innych dotarła już w okolice Lakeside. – Co powinienem zrobić? – spytał.

Henry w milczeniu dopił herbatę.

– Nie możesz odebrać przyjaźni, którą już dałeś, nie raniąc serca Meg – powiedział wreszcie. – Ale możesz nie wychodzić poza taką przyjaźń, jaka łączy was w tej chwili. Nie powinieneś iść dalej. Meg żyje na wolności zaledwie od dwóch miesięcy. Dopiero uczy się, kim jest. W pewnym sensie jest takim samym dzieckiem jak Sam, tyle że w ciele dorosłej kobiety – westchnął. – Uważaj, Simonie. Nasze kontakty z ludźmi są czymś wyjątkowym, żaden inny Dziedziniec takich nie nawiązał, więc twoje stosunki z Meg odbijają się i na ludziach, i na Innych.

– Czy przyjaźń jest w stanie udźwignąć taki ciężar?

– Nie wiem. – Niedźwiedź wyjął kubek z dłoni Simona. – Czas, żebyś sam się przekonał.

Dokładnie o czwartej po południu Nathan obrzucił Meg oskarżycielskim spojrzeniem i wyszedł przez frontowe drzwi recepcji, porzucając swoje obowiązki stróżującego Wilka. Podczas południowej przerwy Henry musiał go stąd wywlec za skórę na karku, a teraz... No cóż, nie podwinął ogona pod siebie, ale niewiele brakowało – co oznaczało, że idzie tu Simon.

Czekając na niego, Meg uporządkowała już i tak uporządkowaną sortownię i naostrzyła sobie na jutro kilka ołówków.

Rozmowa z Merri Lee i Heather była miła, ale nie przyniosła odpowiedzi na



dręczące ją pytania. Tych mógł jej udzielić tylko Wilk, który wszedł właśnie do sortowni i zatrzymał się po drugiej stronie wielkiego stołu. Jednak przez całe popołudnie myślała wyłącznie o mężczyznach i seksie, i życiu na Dziedzińcu – oraz o złych rzeczach, które działy się w kompleksie – i miała już swoją odpowiedź. Nie była tylko pewna, jak Simon na nią zareaguje.

– Lubię cię – powiedziała cicho. – Bardzo cię lubię. I chcę, żebyśmy zostali przyjaciółmi.

Przekrzywił głowę i patrzył na nią tak uważnie, że zaczęła się obawiać, iż zaraz przemieni sobie uszy. Jester Kojocia Straż ciągle tak robił – a tak trudno było skupić się na tym, co miała do powiedzenia, kiedy widziała dwoje włochatych uszu sterczących z ludzkiej głowy.

– Ale nie chcesz seksu – stwierdził w końcu.

Nie mogła sobie przypomnieć obrazu szkoleniowego, który określałby taki wyraz twarzy. Rozczarowanie? Rezygnacja? Ulga?

Pokręciła głową.

– Nie, nie chcę seksu. Nadal się uczę, jak być sobą. Nie jestem gotowa na... Po prostu nie jestem gotowa.

– W porządku.

Bardzo szybko się poddał, pomyślała. Czyżby to miało dla niego tak niewielkie znaczenie? Może to tylko ja mam z tym problem?

– Uprawiałeś seks z ludźmi, prawda?

Simon obojętnie wzruszył ramionami, a jej ścisnęło się serce, ponieważ najwyraźniej Merri Lee miała rację, mówiąc o poglądach Innych na temat seksu z ludźmi. No ale przecież chodzi o to, że ona nie chce seksu, więc to, co myśli na ten temat Simon, nie powinno mieć znaczenia.

– Samice *terra indigena* mają ruję tylko raz czy dwa razy do roku – wyjaśnił. – Miło jest uprawiać seks w innych okresach, a te kobiety ani nie pracowały na Dziedzińcu, ani nie mieszkały wśród nas. W sumie było tego nie więcej niż jakieś dwie godziny. Trochę zabawy i zaspokojenie ciekawości obu stron. Nic więcej – urwał. – Przyjaźń z tobą jest zabawniejsza.

Meg nie była pewna, czy mu wierzy, ale też nie czuła się na siłach, by dopytywać. Nie w tej chwili.

– Czyli wyjaśniliśmy sobie wszystko – powiedziała. Chciała, żeby już sobie poszedł.

– Muszę jeszcze zrobić dostawy, więc wybaczone, ale zamykam już biuro.

– Jasne. Pomóc ci zapakować PNK? – Pudełka na Kólkach były małymi pojazdami o napędzie elektrycznym, których używano na Dziedzińcu jako środków transportu.

– Nie, dziękuję. Paczki nie są ciężkie.

Simon kiwnął głową i wyszedł tylnym wyjściem.

Meg czekała w sortowni tak długo, aż upewniła się, że naprawdę sobie poszedł.

Sama nie wiedziała, kiedy zaczęła płakać.

Simon oparł się o ścianę biura łącznika.

Zrobione. Łatwo poszło, ponieważ to Meg wykonała większość pracy, wytyczając granice ich przyjaźni. Powinien czuć do niej wdzięczność. Więc czemu miał ochotę zdrzeć głowę i zawyc Pieś Samotnego Wilka?

Ale nie mógł tego zrobić. Nie tutaj. Nie dzisiaj.

To było zwykle nieporozumienie. Nie powinno wpłynąć na Dziedziniec i jego bardziej niebezpiecznych mieszkańców. Od tej chwili będzie przestrzegał ludzkich zasad regulujących to, co jest przyjaźnią pomiędzy mężczyzną a kobietą, a co nią nie jest.

Ale będzie też tęsknił za nocami, kiedy spał przy niej. Będzie mu brakowało tej bliskości. Czy będzie jeszcze chciała się z nim bawić, czy też ich przyjaźń ograniczy się od tej pory do jego ludzkiej formy? Czy jeszcze kiedyś pozwoli mu zlizywać sobie z palców masło i sól z popcornu, który jadła, gdy oglądali wieczorami filmy? Zapewne nie. Było mu smutno, ponieważ naprawdę lubił jej smak.

Rozdział 6

W poniedziałek rano Meg zamknęła drzwi mieszkania.

– Śmieci – mruknęła pod nosem i wróciła po papierową torbę, którą zostawiła w kuchni.

W kompleksie, gdzie spędziła większość życia, śmieci zabierali ludzie, którzy pracowali dla Kontrolera. Jej wiedza na temat tego, co się z nimi później dzieje, pochodziła ze zdjęć, rysunków i filmów szkoleniowych. Wiedziała tylko tyle, że niektóre rzeczy ludzie z konieczności wykorzystują ponownie, ale nie są tak skrupulatni, jeśli chodzi o resztę.

Natomiast u Innych nie marnowało się właściwie nic. Na Dziedzińcu sortowanie śmieci nie polegało na wrzucaniu wszystkiego do jednej torby. Resztki owoców i warzyw trafiały do jednego pojemnika, resztki mięsa do innego. Butelki wkładało się do jednego kosza, a puszki i inne metalowe elementy do drugiego. Katalogi należało zwrócić sklepom, które je przysłały, żeby dostać aktualne wydania, więc wracały z Dziedzińca do biura łącznika. Inne papiery należało wrzucać do specjalnego kosza.

Jeśli wyrzucane owoce nie były zgniłe, wykładano je dla ptaków w karmnikach rozsianych po całym Dziedzińcu. Jeśli zgniły, trafiały na przyzmy kompostu. Jadalne kawałki warzyw rozrzucano na ziemi koło karmników dla wiewiórek i królików. Skrawki mięsa przekazywano Jastrzębiej Straży, która karmiła nimi szczury, traktowane przez Jastrzębie jako zdrowa żywność, ponieważ nie zapuszczały się na tereny ludzi, gdzie mogłyby zjeść coś zatrutego.

Po tak rygorystycznym sortowaniu tygodniowe odpady z całego kompleksu zwykle mieściły się w jednej wielkiej torbie na kółkach, którą przekazywano do utylizacji do Kompleksu Usługowego.

Początkowo po przeprowadzce do Zielonego Kompleksu oddzielała tylko śmieci biodegradowalne i surowce wtórne. Dopiero dwa tygodnie temu Simon pokazał jej kontenery na dole i zaopatrzył ją we wszystkie pojemniki, z których powinna korzystać. Wówczas uznała to za oznakę akceptacji. Teraz jednak...

Jak się naprawia przyjaźń? zastanawiała się, zamykając drzwi mieszkania i schodząc po schodach, które ktoś starannie odśnieżył, żeby się nie poślizgnęła. Wyrzuciła swoją torbę ze śmieciami do tej wielkiej, przygotowanej koło drogi, a potem poszła do garaży znajdujących się na tyłach budynku, gdzie stał jej PNK. Kiedyś czuła się tak swobodnie, spędzając czas z Simonem, a teraz krępował ją sam jego widok. A wczoraj, w niedzielę, poczuła się okropnie, ponieważ nie zaprosił jej na popołudniową gonitwę z Samem, wieczorem zaś, podczas wspólnego oglądania filmów, pozostał w ludzkiej formie i siedział na drugim końcu kanapy,

zamiast zmienić się w Wilka i zwinąć w kłębek obok niej – wcześniej zawsze tak robił.

Teraz to był raczej Simon przywódca Dziedzińca i przedsiębiorca, który zachowywał się przyjacielsko wobec swojej pracownicy, a nie Simon Wilcza Straż spędzający czas z przyjaciółką.

To ją bolało. Bardzo. Nie miała pojęcia, że uczucia mogą się aż tak przekładać na fizyczny ból.

– Sama to zaczęłaś – mruknęła pod nosem, jadąc do biura. – Zrobiłaś wielką sprawę z... czegoś.

Ale prawda była taka, że Simon wcale nie próbował jej przekonywać, że to, co zaszło tamtej nocy, było zupełnie niewinne. Właściwie z wyraźną ulgą przyjął możliwość wycofania się z ich przyjaźni.

– Myśl o czymś innym – nakazała sobie, parkując PNK w garażu za biurem. Zanim wyłączyła silnik, sprawdziła poziom naładowania akumulatorów. Nie musiała ich jeszcze ładować, więc ominie ją jeden obowiązek przed otwarciem biura i przyjęciem porannych dostaw.

Od czasu burzy dostaw było mało. Wiele sklepów twierdziło, że w magazynach zabrakło im rzeczy zamawianych przez mieszkańców Dziedzińca, chociaż konsekwentnie reklamowały je w „Wiadomościach Lakeside”. Wywoływało to dodatkowe napięcie w stosunkach z Innymi. Jeśli ludzkie sklepy dalej nie będą chciały sprzedawać swoich towarów *terra indigena*, ci zapewne odetną ludziom dostęp do surowców potrzebnych do produkcji tych rzeczy i zmienią wyimaginowane braki w rzeczywiste.

A jeśli do tego dojdzie, wszyscy zaczną grzebać w śmieciach w poszukiwaniu użytecznych przedmiotów.

Mrowienie skóry na rękach pojawiło się tak nagle, że Meg upuściła torbę i torebkę i zaczęła drapać się przez ubranie. Kiedyś takie mrowienie czuła tuż przed cięciem, które uwalniało prorocstwo, ale odkąd zamieszkała na Dziedzińcu, zdarzało się o wiele częściej. Czasami było lekkie i znikало samo – wystarczyło, żeby przeszła do innego pomieszczenia lub odsunęła się od jakiejś osoby.

Niekiedy jednak zmieniało się w bolesny rezonans, zapowiadający, że wkrótce coś się stanie. A jedynym sposobem, żeby się dowiedzieć co, było przecięcie skóry i ogłoszenie prorocstwa.

Stojąc przed biurem, czekała, aż mrowienie zniknie lub się nasili.

Potem usłyszała krakanie Wron. Jenni i jej siostry leciały do...

Krzyknęła przeraźliwie, kiedy mrowienie zmieniło się w bolesne klucie.

– Meg?

Obejrzała się i ujrzała Vlada wychylającego się z okna na piętrze ZDL. Kątem oka zauważyła też Nathana, który wybiegł zza rogu biura łącznika.

– Meg? – Z okna ZDL na ziemię spłynął dym. To Vlad w swojej drugiej formie.

Zamknęła oczy, by odciąć się od widoku dymu i Wilka.

Za chwilę przemienią się w ludzi i będą chcieli wiedzieć, co się dzieje. Ale wcześniej sama musi się tego dowiedzieć.

Przed chwilą pomyślała o śmieciach, więc zaczęła sobie przypominać wszystkie obrazy szkoleniowe związane ze śmieciami lub ich wywozem, z pojemnikami na śmieci i na surowce wtórne. Czy to coś związanego z metalowymi kubłami



stojącymi na śniegu albo błyszczącymi w słońcu? Nie. Chodzi o czarne torby na kółkach używane na Dziedzińcu? Też nie, ale... Śmieciarka! Brzęk kubłów, odgłos hydraulicznych hamulców, czy co tam wydaje ten charakterystyczny dźwięk, który słyhać już z sąsiedniej przecznicy. Pióra i krew na śniegu...

– Jenni! – krzyknęła, a gdy Vlad, już w ludzkiej formie, chwycił ją za ramiona, złapała go za czarny golf na piersi. – To był ten dźwięk! We śnie! Śmieciarki. To był ten dźwięk! Wrony nie mogą zbliżyć się do kubłów na śmieci ani do śmieciarek, bo umrą! Vlad, one umrą!

Drgnęła gwałtownie, kiedy Nathan zaczął wyć. Po chwili otrzymał odpowiedź z Kompleksu Usługowego, z Kompleksu Wilczej Straży, z każdego miejsca na Dziedzińcu, gdzie przebywały Wilki.

– Ja się tym zajmę – powiedział Vlad. – Dasz radę wejść sama do biura?

– Tak, ja...

– Tylko się nie tnij, Meg. Obiecuj mi, że nie użyjesz brzytwy. Obiecuj.

– Obiecuję. Na razie.

Widocznie to mu nie wystarczyło, bo skinął na Nathana.

– Nie spuszcza jej z oka! – krzyknął i pobiegł do tylnego wejścia do Czegoś na Ząb. Chwilę później zobaczyła, jak w niebo wzbija się Jastrząb. Vlad wysłał Julię Jastrzębią Straż, żeby znalazła Jenni.

Nathan trącił Meg głową w biodro. Kiedy się nie poruszyła, złapał zębami za jej rękaw i zaczął ciągnąć do biura.

– Dobrze, już dobrze. Poczekaj, muszę podnieść torebkę – powiedziała. – Bez klucza nie otworzę drzwi.

Puścił rękaw, ale wciąż na nią napierał, póki nie weszli do środka. Potem też trzymał się na tyle blisko, żeby w każdej chwili – jeśli zrobi coś podejrzanego – móc ją złapać za rękę lub nogę.

Mrowienie dokuczało jej okropnie, kiedy otwierała biuro i szykowała podkładkę, na której notowała dostawy.

Ostrzegła ich, więc powinny zniknąć. Ale nie zniknęło, więc zaczęła się zastanawiać, czy sen sprzed kilku dni był prawdziwym proroctwem. Kiedy skóra pękła jej na nosie, nie krwawiła, a proroctwa wychodziły tylko razem z krwią. Być może obietnica, którą złożyła Vladowi, sprawi, że kolejne ostrzeżenie przyjdzie za późno?

Simon podrzucił Sama i inne szczeniaki do szkoły i był już w drodze do ZDL, kiedy usłyszał wycie. Zatrzymał PNK i opuścił szybę, żeby posłuchać pieśni podejmowanej przez kolejne Wilki. Pierwsze ostrzegawcze wycie dobiegło z dzielnicy handlowej. Raczej nie był to John, więc pozostawał tylko Wilk pilnujący biura łącznika. Nathan? zawołał.

Ostrzeżenie Meg! Ostrzeżenie Meg! wył Nathan. Wrony w niebezpieczeństwie! Simon otworzył drzwi i wysiadł z PNK. Szybciej dotarłby nim na miejsce, ale nie mógł znieść uwięzienia w ciasnym wnętrzu, póki nie zrozumie, co im grozi, szczególnie że Wilki na całym Dziedzińcu odpowiadały na pieśń Nathana.

Atak? spytał.

Zanim Nathan zdążył odpowiedzieć, odezwał się Vlad:

Meg mówi, że Wroniej Straży grozi niebezpieczeństwo. Muszą natychmiast

wracać na Dziedziniec, ale to dzień wywozu śmieci i te cholerne Wrony nie chcą usłuchać! Posłałem Julię za Jenni i jej siostrami.

Jakie niebezpieczeństwo?

Coś związanego ze śmieciarkami.

Simon wdrygnął się. Wrony, które zginęły w Orzechowym Gaju, przetrząsały śmieci, kiedy zaatakowały je psy.

Jenni! krzyknął. Wracaj na Dziedziniec, natychmiast!

To dzień wywozu śmieci, zaprotestowała, a w jej tonie usłyszał niepokonaną zachłanność i zrozumiał, że póki zdoła, będzie go ignorowała. Ludzie na tej ulicy wyrzucają masę dobrych rzeczy, a Starr zauważyła błyszczące w kubie przy krawężniku!

Nie, pomyślał. *Tylko nie to*. Co tydzień Wrony patrolowały ulice wokół Dziedzińca i sprawdzały, czy ludzie nie wyrzucili czegoś, co mogło im się spodobać. Więc jeśli ktoś planował atak, wiedział doskonale, gdzie może je znaleźć – i co wystawić jako przynętę.

Wystarczy, żeby tak jak w Orzechowym Gaju wyłożył coś, co zwabi ptaki.

Jenni...

Crystal znalazła ramkę do obrazu, którą może zabrać, a Jake widział pudełko, w którym mogą być klocki i...

Jenni! ryknął Simon. Meg mówi, że jesteście w niebezpieczeństwie! Całej Wroniej Straży grozi niebezpieczeństwo! Obiecałaś, że będziesz słuchać, Jenni. Obiecałaś! Obiecała, że będzie uważać, a to coś zupełnie innego. Miał nadzieję, że chociaż tyle zapamiętała.

Nasza Meg tak mówi? Ale Simonie, tu jest błyszczące...

To przynęta. I zamierzał się dowiedzieć, kto ją wystawił. Rozumiesz, Jenni? To pułapka! Zaklął cicho i paskudnie. Jeśli nie zdoła przekonać Jenni, nie przekona też reszty Wroniej Straży. Więc postanowił przestać przekonywać. Jestem przywódcą tego Dziedzińca, warknął, wysyłając ten przekaz do wszystkich *terra indigena* w zasięgu. I mówię, że każda Wrona, która nie wróci na Dziedziniec w ciągu następných piętnastu minut, zostanie wygnana z Lakeside na zawsze!

Ależ Simonie! rozległy się liczne głosy. Wrony wiedziały, że mówi serio. Muszą porzucić błyszczące i inne skarby albo zostaną odesłane do osiedli *terra indigena* w interiorze, gdzie niewiele znajdą takich przedmiotów. Wszystkie znały go na tyle dobrze, by wiedzieć, że wygnanie nie będzie dotyczyło tylko Lakeside. Jeśli nie usłuchają, wykorzysta swoje wpływy w całym Regionie Północno-Wschodnim i wygna je z każdego ludzkiego osiedla w tej części Thaisii.

Zignorował ich argumenty i błagania, wszedł do PNK i na pełnym gazie pojechał do Zabójczo Dobrych Lektur. Tam będą się go spodziewały zastać Wrony.

Julio? zawołał.

Większość Wron zmierza na Dziedziniec, zaraportowała. Nie są szczęśliwe, ale wracają. Jestem w powietrzu. Nie widzę niebezpieczeństwa.

Widzisz Jenni? Czy wraca z pozostałymi Wronami? Błyszczące i zabawki pozostawione na widoku. Ile zestawów klocków zamówiła przez ostatni miesiąc Wronia Straż z okolicznych sklepów z zabawkami? Meg na pewno to wie, ale i tak podejrzewał, że dość, by ludzie uznali je za dobrą przynętę na Wrony.

Julia poinformowała go, która ulica zwabiła więcej Wron niż zwykle, a potem dodała:

Jake dziobał coś koło kublów na śmieci, kiedy wydałeś rozkaz, a teraz ma kłopoty z lataniem. Crystal pomaga mu wrócić. Jenni i Starr chcą zostać, żeby popatrzeć.

Obiecały siedzieć na drzewach. Pozwolisz im?

Zawahał się. To mogło być wyzwanie wobec jego władzy, pretekst, żeby jednak coś zwinąć – albo Wronia Straż chce po prostu dostać raport od swoich.

Jeśli faktycznie będą siedzieć na drzewach – a ty mi za to poręczysz – mogą zostać. Zresztą sam też zamierzał tam być.

Gdy zaparkował PNK koło tylnego wejścia do Zabójczo Dobrych Lektur, Vlad natychmiast wyszedł na zewnątrz. Simon uniósł ostrzegawczo rękę, nakazując wampirowi, żeby zaczekał.

Blair? zawołał. Potrzebny mi bus.

I obstawa?

Ty i Vlad wystarczycie.

Zyskawszy pewność, że stróż prawa Dziedzińca jest już w drodze, Simon zwrócił się do kolejnego Wilka na swojej liście.

Nathan? Co z Meg?

Jest zdenerwowana, odparł Wilk. Nie może się uspokoić. Próbowала nadepnąć mi na łapę. Specjalnie!

– Kazałeś Nathanowi pilnować Meg? – Simon zwrócił się do Vlada.

– Tak. – Chociaż zapewne nie chodziło mu o to, żeby Nathan wchodził jej pod nogi.

Trzymaj się poza jej zasięgiem, nakazał Wilk i skinął głową Tess, która wyszła właśnie z Czegós na Ząb, wpychając ręce w rękawy płaszcza. Chwilę później Henry otworzył drewnianą furtkę prowadzącą na podwórze jego pracowni i dołączył do nich.

Simon powiedział im o oporze Wron i powtórzył swoje ultimatum, mimo że na pewno je słyszeli.

– Jak możemy pomóc? – spytał Henry.

Wilcza Straż spojrział na Vlada.

– Chcę, żebyś pojechał z Blairem i ze mną. Jako Sanguinati możesz zauważyć coś, co nam umknie.

– Jasne – odparł Vlad. – A co z Meg?

– Zamknę Coś na Ząb i pomogę Nathanowi jej pilnować – zaproponowała Tess.

Simon pokręcił głową.

– Lepiej nie. Jeśli ludzie nas obserwują, niech myślą, że nie wiemy jeszcze o przynęcie i pułapce. – Zastanawiał się przez chwilę. Czy Nathan potrzebuje kogoś do



pomocy przy pilnowaniu Meg? Czy nie wystarczy fakt, że Tess i Henry będą w pobliżu? – Henry, zajmij się Wronami. Sprawdź, czy wszystkie wróciły – zdecydował. – Pozwoliłem Jenni i Starr zostać i obserwować ulicę. Coś się stało Jake'owi. Crystal pomaga mu wrócić do kompleksu Wroniej Straży. Porozmawiaj z ich chodzącym ciałem i dowiedz się, czy ktoś potrafi ustalić, co mu się stało. – Obejrzał się przez ramię na Blaira, który podjechał właśnie niewielkim busem. Tym pojazdem Inni udawali się na zakupy w ludzkim centrum handlowym. Blair wysiadł i wszedł do biura łącznika. Wrócił chwilę później z naręczem ubrań, które wrzucił na tylne siedzenie.

Dobry pomysł, pochwalił go w myślach Simon. Jenni, Starr i Julia będą miały w co

się ubrać, jeśli przybiorą ludzką formę.

Nagle przyszedł mu na myśl porucznik Crispin James Montgomery i przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien do niego zadzwonić i powiedzieć o przynęcie wyłożonej na ulicy.

Nie. Porucznik wprawdzie nie był bezwłosą głupią małpą jak wielu innych ludzi, a ponadto chronił Meg, kiedy przebywała w szpitalu, ale to jeszcze nie czyniło z niego mieszkańca Dziedzińca. Poza tym Wrony usłuchały rozkazu, więc nie zaszło nic, co wymagałoby interwencji policji.

Najpierw sam pójdzie na tę ulicę, gdzie wyłożono przynętę. Jeśli zobaczy coś podejrzanego, wezwie Montgomery'ego.

– Nyx zostanie z Meg – powiedział Vlad, przerywając rozmyślenia Simona. – Dziadek troszczy się o naszego łącznika. Jeśli coś się będzie działo, niewykluczone, że Meg chętniej powie o tym innej kobiecie niż Nathanowi.

Miał rację, Simon zauważył jednak, że włosy Tess zrobiły się zielone i mocno się skręciły – niechybna oznaka jej zdenerwowania lub niepewności.

Tylko Henry wiedział, czym tak naprawdę jest Tess, ale Simon miał własne przemyślenia na ten temat. Dlatego nie wątpił, że jej zdenerwowanie z powodu Sanguinatich może okazać się niebezpieczne dla nich wszystkich. Zmiennokształtny miał niewielkie szanse w starciu z Sanguinatim. Ale czy wampir jest w stanie przetrwać konfrontację z takim tubylcem ziemi jak Tess?

Miał nadzieję, że nigdy się tego nie dowie.

– Musimy jechać.

Kiedy wraz z Vladem wsiadał do busa, usłyszał krakanie wracających Wron.

Chwilę później dobiegł go krzyk Julii Jastrzębiej Straży.

Simon! Tutaj! Szybko!

Monty zapukał w futrynę, po czym wszedł do biura kapitana Douglasa Burke'a.

Kapitan posterunku przy ulicy Orzechowej był potężnym mężczyzną o starannie przyciętych ciemnych włosach otaczających sporą łysinę. Kiedy podawał Monty'emu dokument, w jego niebieskich oczach malował się smutek.

– Mamy naszą odpowiedź – oznajmił.

Monty przeczytał dokument raz, potem jeszcze raz.

– To zdarzyło się w Noc Oszustów?

– Tak – odparł Burke. – Na kilka miesięcy przed tajemniczym ostrzeżeniem od naszych przyjaciół z Dziedzińca.

Nie było takie znów tajemnicze. Meg Corbyn przecięła sobie skórę, ponieważ wyczuwała, że zanosi się na coś złego, a nie potrafiła w inny sposób zorientować się na co. Wizja ujawniła truciznę w kostkach cukru, które zwykle w poniedziałki dawała kucykom rozwożącym po Dziedzińcu pocztę, ale ujrzała w niej również szkielet w szacie z kapturem rozdający dzieciom cukierki i te same dzieci umierające w cierpieniach, w jakich umarłyby kuce. Simon Wilcza Straż opowiedział o tej wizji Monty'emu, żeby policja mogła ocalić dzieci, o ile oczywiście nie było za późno.

Okazało się jednak, że do tego zdarzenia już doszło. Wiele miesięcy temu – w innym mieście.

Gdyby tamtejsza policja miała na usługach własną *cassandra sangue*, czy zdołałaby zapobiec tragedii? A może inna wieszczka krwi ujrzałaby inną wizję i dzieci i tak by umarły?

Czy potencjalne korzyści dla społeczeństwa usprawiedliwiały wykorzystywanie takich kobiet? Czy to dlatego uchwalono prawo o dobroczynnej własności? Czy argument, że dziewczęta i tak by się cięły, usprawiedliwiał więzienie ich przez całe życie i przymusowe zadawanie im ran dla dobra rządu albo dla zysku?

Może dla wszystkich było lepiej, że jedyna wieszczka krwi w miasteczku Lakeside mieszkała wśród *terra indigena*.

– Poruczniku? – odezwał się Burke.

– Przepraszam, zamyśliłem się. – Monty odłożył dokument na biurko kapitana.

Burke z westchnieniem poprawił się na krześle i złożył splecione dłonie na brzuchu.

– Moja rodzina przybyła do Thaisii z Brittanii kilka pokoleń temu. Nadal mam tam krewnych. W młodości pojechałem do nich z wizytą i do tej pory utrzymuję kontakt z kuzynem, który pracuje w policji. Britannia zajmuje obszar czterokrotnie mniejszy od Dzikiej Brittanii, więc tamtejsi ludzie nie żywią złudzeń co do tego, kto kogo obserwuje przez granicę. Podobnie jak w Thaisii mieszkańcy miasteczek w rodzaju Lakeside. – Monty kiwnął głową, chociaż nie bardzo wiedział, do czego zmierza kapitan. – Według mojego kuzyna, Shady’ego Burke’a... – Burke uśmiechnął się ciepło. – Tak naprawdę nazywa się Shamus David Burke. Wołali go Shay, ale na posterunku, gdzie rozpoczął pracę, był już jeden Shay, więc mojego kuzyna zaczęli nazywać Shay D. i szybko zrobił się z tego Shady.

– Niezwykle imię u policjanta – zgodził się Monty.

Uśmiech kapitana zniknął.

– Shady potrafi wtopić się w otoczenie i często słyszy interesujące rzeczy. Ostatnio doszły do niego plotki, że gdzieś w Cel-Romańskiej Wspólnocie Narodów buduje się samoloty – maszyny, które potrafią latać.

– Czy to coś złego? – Monty nadal nie rozumiał, w jakim kierunku podąża ta rozmowa.

Burke uśmiechnął się do niego tym swoim szalonym uśmiechem.

– Jeśli jakaś gałąź przemysłu wymaga większego przydziału metali i paliwa, ludziom żyje się ciężko. Takie braki mogą zwiastować kłopoty.

Przez chwilę Monty zastanawiał się nad możliwościami, jakie daje latanie w powietrzu, wysoko nad ziemią. W Thaisii spotykało się balony wypełnione gorącym powietrzem, ale zwykle trzymano je na uwięzi, żeby nie umknęły nad obszar należący do Innych. Czasami *terra indigena* udzielali filmowcom pozwolenia na przelot nad interior, żeby mogli filmować stada zwierząt albo miejsca, których nigdy nie ujrzało ludzkie oko. Takie przeloty były oczywiście uważnie kontrolowane.

– Dlaczego *terra indigena* nie zabronią budowy takiej maszyny?

– Cel-Romania to największy obszar ziemi należącej do ludzi. Granice nie zmieniły się tam od pierwszych zapisków ludzkiej historii. Na bogów na dole, zostały ustanowione, zanim ludzie podjęli próby zasiedlenia interioru! Inni określili, jak wiele ziemi mogą im oddać, i nigdy nie oddali ani akra więcej. Jedna trzecia ludzi żyjących na Namid mieszka właśnie tam. *Terra indigena* nie obchodzi, co ludzie robią w swoich granicach, ale jeśli ich działania odbijają się na części świata należącej do Innych... – Burke znów dziwnie się uśmiechnął. – Może Inni nie wiedzą jeszcze o samolotach. A może wiedzą, ale nie są nimi zainteresowani, póki pozostają w granicach Cel-Romanii. Prawda jest jednak taka, że ludziom całkowicie wystarczą

statki pływające po morzach. Nie odczuwają potrzeby latania. Dlatego należy się zastanowić, czy produkowanie tych samolotów nie jest przypadkiem związane z ruchem Ludzie Przede i Nade Wszystko. Pamięta pan ten slogan, prawda, poruczniku?

Monty wzdrygnął się.

– Tak, pamiętam. Nasz poprzedni burmistrz próbował prowadzić kampanię pod tym hasłem.

Burmistrz zginął podczas burzy, która omal nie zniszczyła Lakeside. Umarł w własnej sypialni, gdy wizytę złożyły mu Zima i inne Żywioty. Oraz Sanguinati.

– Hasło Ludzie Przede i Nade Wszystko zyskało też wielką popularność w całej Wspólnocie Cel-Romańskiej – powiedział Burke. – Mówcy porywają nim tłumy, podniecają je myślą, że mogą sięgnąć po więcej. A ponieważ tamtejsze narody budują miasta na dobrych ziemiach rolnych, nawet tamtejsi bogacze nie zawsze są w stanie kupić żywność. – Jego uśmiech zniknął, ale dzikość pozostała. – To dobrze, jeśli celem jest wojna.

– Wojna? – Monty sięgnął po krzesło dla gości i ciężko na nie opadł. – Myśli pan, że będzie wojna?

– Shady i jego informatorzy uważają, że do tego dąży Wspólnota Cel-Romańska, już choćby po to, by pozbyć się przeludnienia. Mam wrażenie, że ich przywódcy nie zdają sobie sprawy, jak radykalnie mogą rozwiązać ten problem *terra indigena* – Burke urwał. – Nic nie wskazuje na to, żeby ludzie w Tokhar-Chin albo w Afrikah wiedzieli, co się dzieje w Cel-Romanii... ani że są gotowi ryzykować życie własnych ludzi. A mieszkańcy Felidae i Zelande są za daleko, żeby mieszać się w starcia z



Innymi z interioru za Morzem Czarnym i Śródziemnym.

– A co z nami? – spytał Monty. Wilczenie było narkotykiem, który wzmagał agresję do tego stopnia, że wyłączał instynkt samozachowawczy. Niedobrze, jeśli ktoś miał w planach wojnę. Czy pojawienie się tej substancji akurat teraz to przypadek, czy też Thaisia pełni rolę poligonu doświadczalnego w przygotowaniach do większego konfliktu?

– Chwilowo wojna i samolot to tylko plotki napływające z drugiej strony Atlantyku. I miejmy nadzieję, że pozostaną plotkami. – Burke potarł kark. – Pozycja Lakeside jest wyjątkowa, ponieważ udało nam się nawiązać dialog z Innymi na Dziedzińcu. Dzięki temu mamy szansę chronić nasze miasto. Może nawet więcej niż miasto.

Monty poczuł, jak na jego ramiona spada wielki ciężar. To on i jego zespół zajmowali się kontaktami z przywódcą Dziedzińca. Elliot Wilcza Straż, ojciec Simona, był konsulem i utrzymywał kontakty z ludzkim rządem, ale to Simon podejmował wszystkie ważne decyzje.

– Ja... – zaczął.

Nagle w progu gabinetu pojawił się Kowalski. Był blady jak ściana.

– Poruczniku, mamy kłopoty.

Krew i czarne pióra na śniegu. Rozszarpane ciała.

Simon, z Blairem i Vladem u boku, szedł środkiem ulicy i przyglądał się martwym wronom.

Gdyby nie ostrzeżenie Meg, byłoby wśród nich wielu członków Wroniej Straży.

Jenni i Starr siedzą na drzewie przed nami, zauważył Vlad. Nie widzę Julii. Jest w powietrzu, odparł Blair. I kilka innych Jastrzębi.

Obserwują. Wypatrują wrogów.

Tam leży jakiś człowiek, stwierdził Vlad. Dowiem się dlaczego.

Ruszył ku grupie gapiów, podczas gdy Simon i Blair szli ku następnej przecznicy, nasłuchując dochodzącego z kilku kierunków wycia syren.

– Tutaj to się skończyło – powiedział Simon.

Blair popatrzył dalej w głąb ulicy.

– Do zabójstw doszło tutaj, ale to nie znaczy, że dalej też nie wyłożono przynęty.

– Jak się tego dowiemy?

– Nie musimy się dowiadywać. To bez znaczenia, gdzie małpy wyłożyły przynętę. Ich zamiar jest jasny. – Blair złapał Simona za rękaw i odciągnął na bok. Zza rogu wyjechała karetka i zatrzymała się gwałtownie, kiedy kierowca zobaczył leżące na ulicy ciała ptaków.

Nie zdoła dostać się do rannego człowieka, nie przejeżdżając wron, uświadomił sobie Simon. A nie przejedzie ich, bo boi się naszej reakcji.

– To porucznik Montgomery i posterunkowy Kowalski – stwierdził, zauważywszy radiowóz na drugim końcu ulicy. – Powiedz kapitanowi, że za chwilę do niego przyjdę – polecił, a sam podszedł do karetki i pokręcił palcem, dając kierowcy znak, żeby opuścił okno.

– Usunę ciała, żebyście mogli dostać się do rannego.

– Dziękuję.

Simon kiwnął lekko głową, po czym zaczął przenosić martwe wrony na chodnik.

Karetka posuwała się za nim powoli.

W innych okolicznościach Jastrzębie i jastrzębie porwałyby ciała dla mięsa i nie trzeba by ich było usuwać z drogi karetki. Ludzie jednak, nie widząc, czy mają do czynienia z Wronami, czy z wronami, wstrzymali ruch na ulicy, nie chcąc przejeżdżać po ciałach. Jako przywódca Dziedzińca powinien okazać podobny szacunek stworzeniom Namid i utwierdzić swoim zachowaniem właściwy odruch u ludzi. W końcu gdyby nie Meg, na ulicy mogliby teraz leżeć członkowie Wroniej Straży.

Blair i Kowalski biegli mu na pomoc. Montgomery ruszył ku tłumowi gapiów, który zebrał się przy rannym człowieku. Kiedy Blair mijał tych ludzi, poczuł zapach świeżej krwi. Zawahał się.

– Wystarczy – warknął Simon, kiedy zrobili miejsce, by karetka mogła przejechać.

Kowalski, zaskoczony, uniósł głowę, a potem wyprostował się i cofnął nieco.

– Tak, wystarczy – zgodził się.

Musimy iść, powiedział Blair. Nie wytrzymam długo przy rannej zdobyczy.

Simon spojrział na swoje ręce. Kiedy przenosił wrony, palce porosły mu futrem, a w miejscu paznokci pojawiły się pazury. Z wysiłkiem przywrócił dłoniom ludzki wygląd. Miał wrażenie, że żadna inna część jego ciała nie uległa przemianie, wątpił jednak, żeby on lub Blair mogli w tej chwili uchodzić za ludzi.

Ściągnij Jenni i Starr. Spotkamy się w busie. Rozejrzał się, ale nigdzie nie zobaczył swojego drugiego towarzysza. Vlad?

Ten samochód, który się rozbił, należy do napastników, zaraportował Vlad. Zajmij czymś na chwilę policję.

Simon wątpił, żeby miał aż tyle czasu. Jeśli straci nad sobą kontrolę i rozszarpie

gardło Montgomery'emu, sytuacja stanie się nieprzyjemna.

Niemniej wyszedł na spotkanie mężczyźnie, który zmierzał właśnie w jego stronę.

– Witam, poruczniku.

– Panie Wilcza Straż. – Ton Montgomery'ego był grzeczny jak zwykle. – Czy ktoś z waszych został ranny?

– Nie, wszyscy wrócili na Dziedziniec, zanim...

– Czy panna Corbyn dobrze się czuje?

Łatwo było zrozumieć powód tego pytania. Skoro Wronia Straż uniknęła ataku, to dzięki ostrzeżeniu, a tego mogła udzielić tylko jedna osoba w Lakeside.

– Nic jej nie jest. – Musiał wrócić na Dziedziniec i przekonać się o tym na własne oczy.

– Samochód wpadł na kubły na śmieci i jak pan widzi, utknął w zaspie. Napastnicy zbiegli, ale znajdziemy ich. Podobnie jak tych, którzy jechali drugim samochodem. Znajdziemy ich, panie Wilcza Straż – zapewnił Monty.

– Nie skrzywdzili żadnego *terra indigena*, więc ta sprawa należy wyłącznie do



ludzi.

Nie była to prawda i Montgomery o tym wiedział.

– Jeśli Wrony widziały, co się stało, chciałbym je przesłuchać.

– Proszę za godzinę przyjść do księgarni – powiedział Simon, czując, że jego skóra pod podkoszulkiem pokryła się gęstym futrem. Ranna zdobycz. Świeża krew. Nie chciał ani chwili dłużej mieć na sobie skóry małpy, ale jeśli zmieni się w Wilka... – Muszę iść.

Zostawił Montgomery'ego i wsiadł do busa.

Vlad?

Sanguinati nie odpowiedział – nigdzie też nie było go widać.

Meg usłyszała krakanie Wron i natrętne klucie pod skórą zaczęło znikać.

Odetchnęła z ulgą, a potem uśmiechnęła się niepewnie do Nathana.

– Przepraszam, że próbowałam nastąpić ci na łapę. Wiem, że tylko usiłowałam się mną opiekować. To nie było miłe z mojej strony.

Zmierzył ją bursztynowymi oczami Wilka.

– Chcesz ciasteczko? – Niektóre Wilki lubiły ciasteczka dla psów. Co więcej, twierdziły, że te, które same sobie kupują, nie smakują tak dobrze jak te, które daje im Meg. Podejrzewała, że smak jest ten sam, a im chodzi tylko o zabawę. Zmuszały ją, żeby wyjmowała ciastka o różnych smakach i odgadywała, które chce dostać Wilk. Nathan nadal mierzył ją wzrokiem. – Dwa ciastka? – Wciąż to samo. – Trzy i to moja ostatnia oferta.

– Aruuu!

Wyjęła po jednym ciastku z każdego pudełka. Nie. To byłoby zbyt łatwe. Więc bawili się dalej, póki wreszcie ze wskazówek, jakie dawał jej Nathan, domyśliła się, że chce trzy ciastka o smaku wołowiny. Ale nie zabrał ich na wilcze posłanie w recepcji, jak to zwykle robił. Wręcz przeciwnie – rozwalił się z nimi w sortowni, w miejscu, gdzie najbardziej przeszkadzał, tak że przez cały ranek musiała go starannie omijać. W dodatku wył na całe gardło, jeśli przypadkiem na niego

nastąpiła.

Tak, Wilki niewątpliwie potrafiły odpłacić pięknym za nadobne.

Zaparzyła sobie kubek miętowej herbaty i wreszcie zaczęła się odprężyć.

Mrowienie pod skórą zupełnie znikło.

Do czasu, aż w progu sortowni stanęła Nyx.

Vlad płynął tuż nad śniegiem, szukając śladów ludzi z porzuconego samochodu.

Sanguinati w swej drugiej formie byli groźnymi drapieżnikami, ale tylko wówczas, gdy wiedzieli, gdzie znaleźć zwierzynę.

Zatrzymał się koło drzewa, przybrał ludzką postać i rozejrzał się. Gdyby ktoś go teraz zobaczył, ujrzałby tylko przystojnego mężczyznę o ciemnych włosach,



ciemnych oczach i oliwkowej cerze, ubranego w czarny golf, czarne dżinsy i ciężkie buty. Natomiast on widział...

...nieznane ulice. Lakeside było miastem średnich rozmiarów i Vlad nagle uświadomił sobie, jak słabo zna ją Inni. Adres znalazł w dowodzie rejestracyjnym, w schowku porzuconego samochodu. Ruszył w pogoń w stronę, gdzie prowadziły świeże ślady opon, zapewne pozostawione przez ten drugi samochód, który przejechał wrony i zapędził się aż tutaj, daleko od Dziedzińca i tras, którymi jeździli do centrum handlowego i na stację kolejową.

Uznał, że to głupota, ścigać na oślep ludzi, którzy chcieli zabić Wrony. Postanowił, że wróci do ZDL i obejrzy plan miasta, a na łowy wybierze się w nocy.

Vladimir.

Zesztywniał, gdy rozpoznał głos Erebusa Sanguinatiego.

Tak, dziadku?

Wracaj na Dziedziniec. Natychmiast.

Czy stało się coś jeszcze?

Nasza Meg jest zdenerwowana. Musisz wracać.

Meg była zdenerwowana, już kiedy wyjeżdżałem z Simonem i Blairem.

Dlaczego...

Wszyscy inni wrócili, więc to z twojego powodu słodka krew wciąż prosi o brzytwę, choć już krwawiła.

Obiecała mi, że nie będzie się cięła, pomyślał Vlad ze złością, po czym zmienił się w dym i ruszył w stronę Dziedzińca. Obiecała, że nie będzie się cięła, a poza tym pilnował jej przecież Nathan i...

Nyx?

Odpowiedziała po chwili wahania:

Wracaj jak najszybciej. Sanguinati muszą coś przedyskutować. Henry wezwał Wilczą Straż. On też jest tu potrzebny.

Vlad poczuł się nieswojo. Jakiego rodzaju niebezpieczeństwo grozi Sanguinatim?

A może, skoro Simona też wezwano na Dziedziniec, zagrożenie dotyczy więcej niż jednego rodzaju *terra indigena*?

Ponieważ odpowiedź czekała na Dziedzińcu, nie pozostawało mu nic innego, jak dotrzeć tam czym prędzej.

Simonie, wracaj na Dziedziniec. Zaraz może dojść do konfliktu wśród *terra indigena*.

Simon warknął.

– To Henry – wyjaśnił Blairowi, kiedy ten spojrział na niego pytająco. Kłopoty z Wronią Strażą? zapytał w myślach Niedźwiedzia.

Konflikt pomiędzy Wilkami a Sanguinatimi.

Zważywszy sytuację w Lakeside, nie był to najlepszy moment na spory pomiędzy najsilniejszymi drapieżnikami Dziedzińca.

– Zawieź nas do domu, najszybciej jak zdołasz – nakazał Blairowi z naciskiem, po czym obejrzał się przez ramię na Jenni, Starr i Julię. Żadna z nich nie przybrała ludzkiej postaci. Kiedy dotarli do wjazdu na Dziedziniec przy ulicy Głównej – tego, przy którym znajdowały się biuro łącznika, konsulat i reszta dzielnicy handlowej – zauważył, że w recepcji biura stoi John Wilcza Straż. Był w swojej ludzkiej formie i rozmawiał z Meg, pochylając się nad ladą.

Dlaczego nie jesteś w księgarni? spytał Simon.

Henry kazał mi zostać z Meg, odparł John.

Gdzie jest Nathan?

Brak odpowiedzi.

Blair zaparkował busa przy tylnym wejściu do Zabójczo Dobrych Lektur. Simon wysiadł natychmiast i pospiesznie wbiegł na górę, gdzie znajdował się pokój spotkań Stowarzyszenia Przedsiębiorców.

Wraz z przedsiönkiem i szatnią pokój spotkań zajmował połowę piętra nad księgarnią. Stały tu drewniane krzesła i niski, okrągły stół, przy którym dyskutowano nad sprawami Dziedzińca. Oprócz nich na umeblowanie składały się biurko, szafki na dokumenty i komputer, z którego wysyłali maile albo zamówienia do ludzkich firm.

Dzisiaj wszyscy obecni tu *terra indigena* przybrali ludzką formę. Było ich mniej niż zwykle na spotkaniach Stowarzyszenia, ale nikt nie usiadł, więc pokój wydawał się zatłoczony, szczególnie że oprócz Nyx był tu Erebus w asyście dwóch wampirów. Tess stała pomiędzy Sanguinatimi a Nathanem. Jej włosy były zupełnie czerwone i zwinięte w ciasne loki – wyraźna oznaka gniewu. Co gorsza, Henry nie pofatygował się, by do końca przemienić swoje ręce, i zamiast paznokci z palców sterczały mu niedźwiedzie pazury.

Nathan, uwięziony w niewielkiej przestrzeni za plecami Tess i Henry'ego, chodził w kółko, dysząc, choć był w ludzkiej formie.

– Co się dzieje? – Simon obszedł stół i stanął obok Henry'ego, naprzeciwko Erebusa.

– Tego właśnie próbujemy się dowiedzieć – odparła Tess, nie spuszczając wzroku z Sanguinaticich.

– On ugryzł słodką krew! – Erebus oskarżycielsko wycelował palec w Nathana.

– Wcale jej nie ugryzłem! – Nathan rzucił Simonowi błagalne spojrzenie. –

Próbowałem ją przytrzymać, kiedy biła się z Nyx, i ząb mi się obsunął.

Zanim Simon zdążył zażądać wyjaśnienia od Nyx, zjawił się Vlad, a zaraz za nim Blair, który stanął tak, by w razie czego móc bronić i Simona, i Nathana. Vlad zajął miejsce gdzieś pomiędzy obiema grupami, dając tym samym do zrozumienia, że nie opowiada się po żadnej stronie. Erebus zmierzył go lodowatym spojrzeniem, ale Simon poczuł ulgę. Nie tylko pracował z Vladem w księgarni. Byli też sąsiadami w Zielonym Kompleksie.

– Nyx? – Głos Vlada był spokojny. – Byłaś w biurze łącznika i pomagałaś Nathanowi strzec Meg. Czy on ją ugryzł?

Nyx zlustrowała Vlada przeciągle, westchnęła i spojrzała na Erebusa.

– To nie była jego wina. Kiedy weszłam do sortowni, Meg zaczęła krzyczeć. Nic się nie działo, nie widziałam żadnego niebezpieczeństwa, ale ona wyciągnęła z kieszeni brzytwę, więc złapałam ją za ręce, żeby nie mogła się ciąć. Dalej krzyczała i wrywała się, i...

– Co krzyczała? – spytał Blair.

– W tej chwili to nieważne, prawda Nyx? – zdecydował Simon.

– Masz rację. – Nyx rzuciła okiem na Vlada. – Nathan chciał ją przytrzymać i złapał ją zębami za kostkę, ale wyrwała mu się i właśnie wtedy zadrasnął ją zębami przez skarpetkę. To znaczy zębem. Nawet tego nie zauważyliśmy, ale Meg nagle przestała walczyć i... – Zawahała się.

– Zaczęła wydzielać lubieżny zapach – dopowiedział Nathan.

Simon zawarczał. Kiedy odwracał się do Wilka, któremu powierzył czuwanie nad Meg, czuł, że wydłużyły mu się kły.

– Nie próbowałem jej obwąchiwać – zapewnił Nathan obronnym tonem.

– Przestała walczyć i zaczęła powtarzać w kółko to samo – podjęła Nyx. – Słoik. Dym. Pikle. Ręka.

Erebus zasyczał. Wściekłość, jaka odmalowała się na jego twarzy, była przerażająca. Kilka razy Vlad ostrzegł Simona po przyjacielsku, że Erebus rządzi nie tylko Sanguinatimi z Dziedzińca w Lakeside i że jego władza sięga nawet poza Region Północno-Wschodni. Simon wcale by się nie zdziwił, gdyby się okazało, że Erebus kieruje wszystkimi wampirami w Thaisii.

– Meg zobaczyła coś takiego? – spytał ze zdumieniem Vlad.

– Zobaczyła dość – warknął Erebus.

– Czekajcie, czytałam o czymś takim – wtrąciła się Tess. – W horrorze napisanym chyba przez *terra indigena*. Sanguinati przybrał formę dymu i udał się na polowanie, ale kiedy dopada ofiarę, człowiek zamachnął się słoikiem, zamknął w środku część dymu i uciekł. A kiedy Sanguinati przybrał na powrót ludzką formę, dym w słoiku zmienił się w jego rękę. Wampirowi jej brakowało.

– Ostrzeżenie ukryte w opowiadaniu – stwierdził Erebus.

Wszyscy zamarli.

– To jest możliwe? – Simon.

Vlad z trudem przełknął ślinę. Był wyraźnie wstrząśnięty.

– W zeszłym tygodniu ukazała się książka napisana przez człowieka. Opowiada mniej więcej o tym samym. Nie wspominałem wam o tym, ponieważ nie sądziłem, że coś takiego jest w ogóle prawdopodobne.

– To jest możliwe – zapewnił go Erebus i dodał ostro: – Podaj mi nazwisko tego człowieka.

– Jeśli autor nagle umrze, cała historia zyska na wiarygodności – zauważył Simon ostrzegawczym tonem.

– Podaj mi nazwisko tego człowieka – powtórzył Erebus.

Wilk kiwnął głową w kierunku Vlada. *Terra indigena* mieszkającym na Dziedzińcach zawsze groziło niebezpieczeństwo ze strony ludzi, których obserwowali. Jeśli człowiek, który napisał tę historię, wiedział, że w ten sposób można skrzywdzić Sanguinatiego, gdzieś musiał zdobyć tę wiedzę. A nawet jeśli



wszystko zmyślił, znajdują się ludzie dość głupi, by próbować łapać wampiry do słoika choćby po to, żeby się przekonać, czy to możliwe. Jeśli zaś uda się to choć jednemu człowiekowi...

– Vlad i ja poszukamy innych ksiązek o podobnej treści. Szczególnie tych napisanych przez ludzi – oświadczył.

– Dlaczego teraz? – spytała Tess. – Dlaczego historie o chwytaniu Sanguinatich zaczęły się pojawiać właśnie teraz?

– Zawsze krążyły takie opowieści – odparł Erebus. – Poradzimy sobie z nimi, tak jak radziłyśmy sobie w przeszłości.

– To znaczy? – spytał Simon.

– Dając ludziom powód do opowiadania innych historii. A jeśli chodzi o Wilka... – Erebus spojrzął na Nathana.

– Ta decyzja należy do mnie i do Meg – przerwał mu Simon. – Jeśli Meg zechce, żeby Nathan dalej stróżował w biurze łącznika, to tam pozostanie. – Popatrzył Erebusowi prosto w oczy. Może i dziadek był przywódcą wszystkich Sanguinatich w tej części Thaisii, ale to on stał na czele tego Dziedzińca.

– Dobrze – odezwał się wreszcie Erebus. – Przyjmę twoją decyzję.

Najprawdopodobniej zadecydował tak, dlatego że czuł respekt przed Meg. I naprawdę ją lubił.

– Porucznik Montgomery przyjdzie tu niedługo. Chce porozmawiać z Jenni, Starr i Julią o tym, co widziały, kiedy ludzie rozjechali wrony zwabione na ulicę. Póki co porozmawiam z Meg. – Simon zrobił krok w stronę drzwi, ale zawahał się. – Wszyscy tu zebrani mają się zastanowić, dlaczego Meg wpadła w szal dwa razy w ciągu jednego poranka.

– Ona nie wpadła w szal – warknął Henry.

– Straciła nad sobą kontrolę, już kiedy złapała brzytwę – odwarknął Simon. – Więc jak to inaczej nazwać?

Nie czekając na odpowiedź, wyszedł ze spotkania i udał się do biura łącznika.

John i Meg byli w sortowni. Na widok Simona Meg wyraźnie się zjeżyła.

– To nie była wina Nathana – oświadczyła bez zbędnych wstępów.

– Wracaj do pracy, John – powiedział twardo Simon. Zaczekał, aż Wilk wyjdzie, i zajął pozycję po drugiej stronie stołu do sortowania poczty, naprzeciwko Meg.

Przyszło mu do głowy, że zwykle, kiedy mają coś do przedyskutowania, oddziela ich ten stół. Jak wielu innych *terra indigena* instynktownie zajmował taką pozycję, żeby uniknąć przypadkowego zranienia jej skóry podczas ewentualnej kłótni? – Pokaż mi ranę – zażądał.

– To nie jest rana. To ledwie draśnięcie – odparła Meg drażliwie. Zachowywała się jak małe osaczone stworzonko, które próbuje wyglądać groźnie.

– Podobno krwawiła tak mocno, że wygłosiłaś prorocstwo. – Simon odsłonił zęby, które były nieco dłuższe niż u człowieka. – Więc pokaż mi tę ranę.

– Stamtąd i tak jej nie zobaczysz. – Teraz ton Meg był obronny. Jakby się bała. Ale czego? Przecież by jej nie skrzywdził. No dobra, kilka razy groził, że ją zje, ale to dlatego że tak bardzo go denerwowała. Poza tym nie robił tego, odkąd omal nie umarła, chroniąc Sama. Właściwie od początku nie wyczuwał w niej zdobyczy i wiedział, że jest niejadalna.

Obszedł stół. Meg postawiła prawą nogę na stolku, z którego zwykle sięgała do wyższych przegródek na pocztę, i odchyliła skarpetkę.

Przykucnął, żeby lepiej widzieć. Posmarowała ranę tym śmierdzącym lekarstwem, którego używają ludzie do odkażania skaleczeń. Jemu ten zapach od razu kojarzył się z krwią, ale istotnie draśnięcie było niewielkie. Mogła się tak skaleczyć o gałąź albo kamień. Zdecydowanie nie było to ugryzienie. Kawałek skóry oderwany zębem. W powstałej wyrwie pojawiła się krew.

Czy ona naprawdę jest aż tak delikatna? Czy tak niewiele trzeba, żeby zrobić jej krzywdę? Jej skóra pęka nawet z powodu wysuszonego zimnego powietrza. Jak będzie wśród nich żyła? Czy naprawdę może bawić się z Samem i innymi Wilkami? Bez względu na to, jak bardzo będą uważać, siniaki, zadrapania i draśnięcia są nieuniknione. Jak długo Meg zdoła przeżyć? Podobno ciało *cassandra sanguie* wystarczy na tysiąc cięć. Czy chodzi tylko o cięcia brzytwą? Czy takie zadraśnięcia też się liczą?

Kiedy się podniósł, Meg podciągnęła skarpetkę i zdjęła nogę ze stołka.

– To nie była wina Nathana – powtórzyła. – Jeśli w ogóle była to czyjaś wina, to wyłącznie moja. Musiałam przeciąć skórę. Miałam wrażenie, że wybuchnę, jeśli tego nie zrobię. – Objęła się ciasno ramionami. – Czy coś się stało któremuś z Sanguinatic?

– Nie. – Ale Vlad wyprawiał się sam na łowy, nikomu nie mówiąc dokąd. Gdyby nie został odwołany... – Nie, wszyscy Sanguinatici są na Dziedzińcu. – Simon zrobił krok w jej stronę, ale zamarł, widząc, jak się spięła. – Meg, tak nie może być. Dwa razy jednego dnia? Musimy coś z tym zrobić.

– Co? Zamknąć mnie w klatce?

Skulił się instynkownie.

– Mam dosyć klatek – odparł cicho. Przez dwa lata musiał trzymać w klatce swojego siostrzeńca, Sama. Tylko w taki sposób mógł zapewnić mu bezpieczeństwo po śmierci Daphne, jego matki. Klatka była kością niezgody wśród członków Wilczej Straży żyjących na Dziedzińcu. Nie zamierzał znów do tego wracać – nawet jeśli alternatywą była przedwczesna śmierć Meg. – Jeśli będziesz się cięła, kiedy tracisz nad sobą kontrolę, możesz się zabić. – Być może kiedyś będzie musiał do tego dopuścić, ale to nie oznacza, że zrezygnuje z walki.

– Wiem. – Zawahała się. – Muszę to wszystko przemyśleć.

Powiedziała to tak obojętnie, że Simon poczuł się urażony.

– Dlaczego mnie wyklucasz? – zawołał nieco zbyt głośno.

Podskoczyła, przestraszona, zupełnie jak kulawy króliczek. A potem jej szare oczy zapłonęły gniewem.

– Ja cię wykluczam? Tłumaczę ci, że nie jestem gotowa na seks, a ty traktujesz mnie, jakbym miała jakąś chorobę!

– Co? – *A niech to jasny szlag! Te kobiety!* – Myślałem, że wszystko ustaliliśmy. Wcale cię nie traktuję, jakbyś miała jakąś chorobę. To śmieszne!

– W niedzielę nie zaprosiłeś mnie na spacer z Samem. A kiedy wieczorem przyszedłem na film, zachowywałeś się, jakbyś nie chciał mnie widzieć. – W jej oczach zakręciły się łzy.

To niesprawiedliwe, Meg. Strasznie niesprawiedliwe!

– Nieprawda! Próbowaliśmy tylko być uprzejmi! – Przez chwilę Simon krążył po sortowni, klnąc pod nosem. – W stosunkach z ludźmi wiecznie są jakieś zasady. Nie znam ich, ponieważ nigdy nie przyjaźniłem się z człowiekiem. Lubię, jak się bawimy i spędzamy razem czas. Lubię, jak w trójkę tulimy się na kanapie i

oglądamy film. Te rzeczy są dla mnie ważne.

– Dla mnie również. – Meg pociągnęła nosem i otarła z policzka łzę.

– Więc dlaczego nie możemy tego robić? – spytał, usiłując nie skomleć.

Odwróciła wzrok i zmarszczyła czoło. Wyraźnie się nad czymś zastanawiała.

– Dlaczego przemieniłeś się wtedy w człowieka i położyłeś obok mnie w łóżku?

Znowu muszą do tego wracać? Naprawdę?

– Żeby z tobą porozmawiać. Żeby dowiedzieć się, co cię przestraszyło do tego stopnia, że skopałeś mnie na podłogę – warknął z frustracją. – Poza tym chciałem się schować pod kołdrą, bo było mi zimno!

– Przecież masz futro.

– Nie w tej formie. – Na dowód pomachał jej ręką przed nosem. – Ludzie zawsze

się denerwują, kiedy widzą *terra indigena* pomiędzy formami, a ty już byłaś

zdenerwowana. Usiłuję być miły, ale ciągle próbujesz przyciąć mi ogon drzwiami.

Może nie dosłownie, ale... No sama wiesz. – Wiedziała? Z Meg nic nie było

oczywiste. Sapnął. – Chciałem tylko porozmawiać – powtórzył. – Podobno ludzkie

samice lubią rozmawiać. – No ale Meg nie została wychowana jak typowa ludzka

samica, więc może rozmowa nie była dla niej czymś naturalnym, podobnie jak dla

niego. – Nie potrafisz się komunikować jak *terra indigena*, więc nie mogłem z tobą

porozmawiać, pozostając w wilczej formie – ciągnął. – Tylko dlatego się

przemieniłem. Nie miałem pojęcia, że to coś złego schować się pod kołdrę, żeby nie

zmarznąć, skoro nie protestujesz, kiedy robię to jako Wilk. – Czekał, aż zaabsorbuje

jego słowa. Meg zawsze tak robiła. Absorbowała obrazy, dźwięki, doświadczenia. To

były dla niej odnośniki dla rzeczy, które widziała w swoich wizjach. Bardzo chciał,

żeby zrozumiała, dlaczego jej przyjaźń jest dla niego taka ważna. – Przywódca musi

dbać o swoich – dodał. – Wymagam posłuszeństwa od wszystkich na Dziedzińcu,

ponieważ jesteśmy otoczeni przez wrogów.

– Którzy z kolei są otoczeni przez resztę *terra indigena* – powiedziała Meg w zamyśleniu.

Simon kiwnął głową.

– Jesteśmy tutaj po to, żeby obserwować ludzi i zdobywać rzeczy, które produkują. Wszyscy jesteśmy tubylcami ziemi, ale nie tego samego rodzaju. A choć występujemy wspólnie przeciwko wrogowi, nie wszystkie Dziedzińce to...

przyjemne miejsca. Kiedy przywódca spędza za wiele czasu ze swoim rodzajem, nie budzi ufności w innych *terra indigena*, którzy tam mieszkają.

– Jesteś samotny, prawda? – spytała Meg po długiej chwili milczenia. – Ale przecież masz tu przyjaciół?

– Nie chcę tulić się na kanapie z Henrym. Albo z Vladem.

– Chcesz, żebyśmy znów byli przyjaciółmi? – Teraz przyglądała mu się uważnie.

– Przyjaźń to nie jest mała rzecz, Meg.

– Masz rację. – Uśmiechnęła się do niego niepewnie. – Ale może moglibyśmy ustanowić jakąś zasadę, żeby uniknąć nieporozumień, kiedy będziesz musiał ze mną porozmawiać.

Jakich nieporozumień? Nie było żadnych nieporozumień, póki nie zaczęła się zachowywać dziwnie wobec jego ludzkiej formy.

– W porządku – powiedział jednak. – Jaką zasadę?

Tym razem uśmiechnęła się naprawdę.

– Jeszcze nie wiem. To też muszę przemyśleć. – Jej uśmiech nagle zbladł. – Czy

Nathan będzie mógł nadal pilnować biura łącznika?

– A chcesz tego?

– Tak.

– Więc powiem mu, żeby wrócił. Ale Meg, ja też chcę ustanowić parę zasad. Chodzi o używanie brzytwy, kiedy jesteś zbyt zdenerwowana, żeby jasno myśleć. Zawahała się.

– Ta brzytwa jest dla mnie ważna. Muszę czuć, że sama mogę wybrać.

– Wiem. – Nie zapomniał, jak mu powiedziała, że skórę może przeciąć wszystkim. Chciała wówczas skłonić go do zwrotu brzytwy, na rączce której wygrawerowany był jej symbol – cs759. Odkąd zdał sobie sprawę, iloma rzeczami mogła sobie zadać rany, uważał brzytwę za zło konieczne – cienkie, precyzyjne ostrze, tak ostre, że wyrządzało najmniej szkody.

Ale każde cięcie zbliżało ją do tego, które ją wreszcie zabije.

Simonie, przyszedł porucznik Montgomery, zawiadomił go Vlad.

– Muszę iść. Policja chce porozmawiać z Jenni, Starr i Julią. Przyślę ci tu Nathana.

– Simonie... – powiedziała Meg, kiedy podchodził do drzwi. – Nyx też nie chciała zrobić mi krzywdy. Chcę, żebyś to wiedział, żebyś nie musiał się później wściekać. Odwrócił się do niej i zobaczył, że podwija rękawy swetra, odsłaniając ciemne siniaki na obu nadgarstkach. Sanguinati byli silni, podobnie jak Wilki, ale Nyx na pewno użyła tylko tyle siły, ile było trzeba. Jak bardzo Meg musiała się szarpać, żeby powstały takie siniaki?

– Pomyśl, dlaczego dziś sprawy wyrwały się spod kontroli – poprosił łagodnie. – Zastanów się nad tym, ale tak naprawdę.

Ja też się zastanowię, dodał w myślach.

Rozdział 7

– Czy pamiętacie coś jeszcze? – Monty wpatrywał się w swoje notatki, żeby nie patrzeć na trzy kobiety siedzące po drugiej stronie stołu w sali spotkań Dziedzińca. To, co wziął za dziwaczne grzywki, okazało się małymi piórkami, które stroszyły lub wygładzały – w zależności od tego, o co pytał. Jeśli potrzebował dowodu, że Inni nie są ludźmi, ta mieszanka piór i włosów w zupełności mu wystarczyła. Świadczyła również o tym, że utrata równowagi mogła wpłynąć na zdolność *terra indigena* do przyjmowania ludzkich kształtów.

Jenni i Starr, dwie Wrony, trzymały się za ręce i tuliły do siebie, na ile pozwalały im na to krzesła. Julia, Jastrząb, też wyglądała, jakby chciała się przytulić, ale do nikogo z obecnych.

Całe przesłuchanie obserwowali Simon i Blair Wilcza Straż, Vladimir Sanguinati oraz Henry Niedźwiedzia Straż, a także partner Monty'ego, posterunkowy Kowalski. Porucznik zapytał Wrony, gdzie były. Połączył ich opowieść z informacjami od śmieciarzy i okolicznych mieszkańców, co pozwoliło mu stworzyć scenariusz zajścia. Prawda, jaka się z niego wyłoniła, zdjęła go przerażeniem. Wrony regularnie zlatywały się na tę ulicę w dzień odbioru śmieci, ponieważ należała ona do ekskluzywnej dzielnicy Lakeside, położonej tuż przy parku. Zwykle nie interesował ich plastikowy kontener z resztkami jedzenia, gdyż na Dziedzińcu miały pożywienia w bród, choć często informowały o nim zwykle wrony. Wronia Straż zwracała uwagę głównie na otwarte metalowe kubły, w których można było znaleźć prawdziwe skarby – rzeczy, które ludzie wyrzucali, bo były zużyte albo zepsute. Jeśli co trzecia Wrona znalazła coś interesującego, cała Wronia Straż uważała

„polowanie” za udane.

Dziś rano w kilku kubłach znajdowały się błyskotki, które zawsze wabiły Wrony. Dużo więcej niż zwykle, jak zapewniła go Jenni, nawet jak na tę ulicę. Zdobywszy było tyle, że wezwały resztę Wroniej Straży, by pomogła im ją zabrać. Zwykle wrony też się zleciały, ponieważ koło kubłów rozrzucono jedzenie. Jake Wronia Straż natrafił tam na całkiem czysty kawałek pizzy. Zdążył zjeść ze dwa kęsy, kiedy zobaczył pudełko ze swoimi ulubionymi klockami, zostawił więc jedzenie zwykłym wronom.

To właśnie wtedy Meg Corbyn wpadła w histerię, a Simon zagroził wszystkim z Wroniej Straży wygnaniem z Dziedzińca, jeśli natychmiast nie wrócą. Wrony porzuciły więc swoje znaleziska i już leciały z powrotem, gdy zza rogu wyjechała śmieciarka.

Na widok jadącego ulicą wozu zwykle wrony, które zjadły już rozrzucone wokół kubłów jedzenie, usiłowały odlecieć, ale nie mogły wzbić się w powietrze – machały tylko bezradnie skrzydłami i podskakiwały w miejscu. Wówczas Jenni i Starr, które zostały, żeby obserwować ulicę, pojęły zagrożenie. Nagle drogą przemknęły dwa samochody. Jeden potrącił śmieciarza, ale nie zatrzymał się, tylko jechał dalej zygzakiem, żeby przejechać jak najwięcej wron – a ptaki nawet nie próbowały zejść mu z drogi.

– To mogłyśmy być my. – Jenni zadrżała. – Gdyby nie ostrzeżenie Meg, mógł przejechać nas.

To prawda, pomyślał Monty ponuro.

– A co z Jake’em? Czy coś mu się stało?

– Jeszcze nie doszedł do siebie – odparł Simon. W jego bursztynowych oczach pojawiły się czerwone błyski, oznaka złości.

– Mieszkańcy ulicy nie odpowiadają za to zajście – powiedział pospiesznie Monty.

– Przesłuchaliśmy ich. Wszyscy są zdania, że jedzenie rozrzuciły przy kubłach jakieś nastolatki, dla kawału. A kiedy pokazaliśmy im inną przynętę, zaprzeczyli, żeby wyrzucali coś takiego do śmieci.

– Tego należało się spodziewać – stwierdził Blair.

– Nie będę zaprzeczał, że mieszkańcy boją się odwetu – odparł Monty. – Niemniej wielu z nich przyznało się, że wkłada rzeczy „niemal zdatne do użycia” na samą górę kubła, ponieważ w nocy zjawiają się ludzie, którzy handlują na pchlim targu i szukają przedmiotów, które mogliby jeszcze sprzedać. Ale przynęta, którą wyłożono, nie miała takiej wartości, żeby komuś opłacało się ją czyścić i reperować. Jenni pociągnęła nosem.

– To było błyszczące!

A zatem ten, kto to wszystko zaplanował, wiedział, czym zwabić Wrony i zatrzymać przy kubłach na tyle długo, by nie pogardziły przekąską.

– To chyba wszystkie pytania, jakie chciałem paniom zadać. – Monty zamknął notatnik i schował go do kieszeni. – Chciałbym jeszcze zamienić słówko z panem, panie Wilcza Straż, oczywiście jeśli ma pan chwilę.

– Dobrze. Ja też chcę z panem o czymś porozmawiać – zgodził się Simon.

Henry Niedźwiedzia Straż spojrział na Wilka i kiwnął lekko głową, a potem wyprowadził z pokoju resztę *terra indigena*.

– Pójdę zagrzać silnik – powiedział Kowalski.

Kiedy zostali sami, porucznik poprawił się na krześle.

– Dlaczego ktoś chciał uderzyć we Wrony? – zapytał. Simon przekrzywił głowę, wyraźnie zaskoczony pytaniem. – Dlaczego zaatakowano właśnie Wrony, a nie jakiś inny rodzaj *terra indigena*? – doprecyzował Monty. – W Georgette do ataku doszło w nocy, kiedy Wronia Straż korzystała z domu należącego do Innych. W Orzechowym Gaju zwabiono ptaki za pomocą jedzenia i poszczuto psami. A tutaj wyłożono przynętę. Za każdym razem celem były Wrony. – Pochylił się w stronę Simona. – Dlatego pytam: co takiego wyróżnia Wrony, że ktoś próbuje się ich pozbyć?

Zdołał zwrócić na siebie uwagę Wilka, to pewne. *Terra indigena* musieli zauważyć, że przy każdym zajściu ginęły Wrony. Był ciekaw, czy silniejsze rodzaje tubylców ziemi brały pod uwagę możliwość, że Wrony były głównym celem tych ataków.

– Są ciekawskie – powiedział wreszcie Simon. – Zwracają uwagę na wszystko, co się dzieje na ich terenie. Zapamiętują twarze i wiedzą od razu, kiedy pojawia się ktoś obcy. Ostrzegają nas, jeśli coś odbiega od normy albo ktoś zachowuje się inaczej niż zwykle. I komunikują się ze zwykłymi wronami.

– Reszta z was tego nie potrafi? – zdziwił się Monty. – Komunikować się ze zwierzętami, których formę przybieracie?

– A ile wilków widział pan w mieście? – spytał Simon sucho. – Albo niedźwiedzi?

– Ma pan rację, przepraszam.

– Zwykle wrony są wszędzie, a Wronia Straż dowiaduje się od nich, co się dzieje w innych częściach miasta... – Simon urwał.

No tak, pomyślał porucznik. Właśnie wyjaśniłeś nam obu, dlaczego ktoś próbuje je usunąć.

– Widzą za wiele – powiedział cicho. – Szukają w śmieciach rzeczy, które dla nich są małymi skarbami, ale przy okazji mogą znaleźć coś innego. Coś, czego nie powinny odkryć.

– Potrafią zauważyć pewne wzorce zachowań – dodał Wilk.

– Ale jeśli zamorduje się dość Wron, przestaną grzebać w śmieciach – a sekrety ludzi, którzy handlują wilczeniem, pozostaną sekretami. – Simon nie odpowiedział.

– Chciał pan mnie o coś spytać – przypomniał mu Monty.

– O doktora Lorenzo. Ufa mu pan?

Pytanie zaskoczyło porucznika.

– Wydaje mi się, że to dobry człowiek – odparł ostrożnie.

– Chce badać *cassandra sangue*. Chce badać Meg. Dlatego zgodził się leczyć ludzi.

– Myślałem, że chciał pan mieć lekarza na Dziedzińcu? – Simon odwrócił wzrok.

Przywódca Dziedzińca odwraca pierwszy wzrok? pomyślał Monty. *To nie wróży nic dobrego.*

– Czy coś się stało pannie Corbyn?

– Drobne draśnięcie, które właściwie nie krwawiło. – Nagle Wilk spojrzał mu prosto w oczy. – Jeśli tyle wystarczy, żeby wygłosiła prorocstwo, po co ma ryzykować cięcie skóry?

– Nie wiem. – Musi jak najszybciej zapytać o to Dominica Lorenzo. – Co widziała panna Corbyn?

Wahanie. Niechęć. Bariera?

– Ci ludzie, którzy uciekli z rozbitego samochodu. Wie pan, gdzie ich znaleźć?

Monty kiwnął głową.

– Komisariat z tamtej dzielnicy już zajął się sprawą. – Przyjrzał się Simonowi. –

Czego mają szukać, panie Wilcza Straż?

Znów wahanie.

– Słoję. – Simon sprawiał wrażenie, jakby właśnie podjął jakąś decyzję. – Dym w słoju. Ręka... albo inna część ciała.

Na bogów na dole i na górze!

– Czy ktoś z Dziedzińca zaginął?

– Nie. Tylko Włada nie było na Dziedzińcu, kiedy Meg zaczęła... wariować... i wygłosiła prorocstwo. – Simon wyciągnął z kieszeni złożony kawałek papieru i podał Monty'emu. – Mogą pana zainteresować te książki. Ale proszę uważać, komu pan o nich mówi.



Nie znał tych tytułów, ale czytał inne pozycje dwóch z wymienionych tu autorów.

– Ma pan je w sprzedaży?

– Niektóre.

Inni nie przyznawali się do słabości. Nie dzielili się dobrowolnie informacjami, które można było wykorzystać przeciwko nim. To, że Simon wskazał mu konkretny kierunek, było miarą jego niepokoju.

– Czy Lakeside przetrwa?

– Mam nadzieję – odparł Simon. – Ale jeśli ludzie wypowiedzą wojnę Sanguinatim...

– Ja i reszta policji z Lakeside zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby zapobiec takiemu konfliktowi. – Monty wstał. Z trudem powstrzymał wzdrygnięcie. – Dziękuję, że poświęcił mi pan czas. Zejdę na dół i poszukam tych książek w księgarni.

Monty położył dwie torby z książkami na tylnym siedzeniu radiowozu, a potem usiadł na fotelu pasażera.

– Dodatkowe zlecenie – rzucił do Kowalskiego. – Wybierz sobie połowę tych książek, ja wezmę resztę. A teraz jedziemy do szpitala. Muszę złapać doktora Lorenzo, zanim rozpocznie dyżur.

Kowalski spojrział na torby, wrzucił bieg i wyjechał z Dziedzińca.

– Jeśli zależy panu na czasie, mogę poprosić Ruth, żeby przeczytała część z nich.

– Nie. Nie musisz ich przed nią ukrywać, ale lepiej żeby Ruth nie brała udziału w zbieraniu tych informacji.

– Na bogów na dole! Jakich informacji szukamy, poruczniku?

– Wszystkiego, co może się wiązać z chwytniem albo zabijaniem Sanguinatich.

Kowalski zamilkł i w drodze do szpitala nie powiedział już ani słowa.

Na miejscu Monty bez trudu znalazł doktora Lorenzo, ale zauważył, że lekarz nie ucieszył się na jego widok.

– Nie pracuję dla policji w Lakeside – oświadczył stanowczo. – A chociaż planuję otworzyć gabinet na rynku, nie zamierzam świadczyć Innym usług dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu.

– Oczywiście – zgodził się Monty. – Niemniej jest pan lekarzem, który szuka wstępu na Dziedzińiec i możliwości badania wieszczki krwi.

Lorenzo wyraźnie się zjeżył.

– Czy to groźba, poruczniku? Chce mi pan dać do zrozumienia, że jeśli nie będę odpowiadać na pańskie pytania za każdym razem, kiedy się pan tu zjawi, wpłynie pan na decyzję Wilczej Straży co do gabinetu na Dziedzińcu?

Monty pokręcił głową.

– Inni – a szczególnie Simon Wilcza Straż – nadal nie są pewni, czy powinni panu zaufać. Raczej nie będą tu pana nachodzić, nawet jeśli zgodzą się na pana obecność na Dziedzińcu, podejrzewam jednak, że udzielili mi kilku informacji, wiedząc, że je panu przekazę.



Doktor nadstawił uszu.

– Czy coś się stało Meg Corbyn? – spytał. Kiedy Monty powtórzył mu wszystko, czego dowiedział się od Simona o zadraśnięciu na kostce Meg, Lorenzo był wyraźnie poruszony. – Czy oni tam na Dziedzińcu mają aparaty fotograficzne albo jakiś inny sposób utrwalania obrazów? Trzeba koniecznie dołączyć to zadraśnięcie do akt medycznych panny Corbyn.

– To tylko drobna ranka – zaprotestował porucznik.

– Dla pana czy dla mnie na pewno. Ale jeśli doszło do wygłoszenia proroctwa, oznacza to, że skóra w tym miejscu została „zużyta”. Spotkałem się z opiniami, że cięcie zbyt blisko blizn już istniejących może powodować poważne komplikacje, a nawet prowadzić do szaleństwa. – Popatrzyli sobie w oczy. Obaj dobrze pamiętali siateczkę blizn na lewym ramieniu Meg Corbyn. Lorenzo westchnął. – Jeśli to zadrapanie nie było na tyle głębokie, żeby została blizna, chcę dokładnie udokumentować, w którym miejscu skóra została uszkodzona. Simonowi Wilczej Straży też powinno na tym zależeć. To będzie ważna informacja, jeśli w przyszłości zajdzie konieczność wykonania kolejnego cięcia na tej części ciała. – Zawahał się. – Słyszał pan hasło Ludzie Przede i Nade Wszystko?

Monty spojrzał na niego czujnie.

– Doktorze, jeśli należy pan do tego ruchu, niech pan się trzyma z dala od Dziedzińca. Dla własnego dobra.

– Nie, nie należę, ale ostatnio na konferencji ktoś próbował ustalić, czy jestem zainteresowany wstąpieniem w szeregi wiernych. Ludzie gadają, poruczniku. Kiedy rozejdzie się plotka, że pracuję dla Dziedzińca... pojawią się reperkusje.

– To prawda. Ludzie nie rozumieją, że pomagając Innym, możemy unikać przemiany drobnych konfliktów w prawdziwą wojnę. Jeśli zacznie pan odbierać dziwne telefony albo dostawać listy z pogrózkami, proszę mnie zawiadomić.

Lorenzo kiwnął głową.

– Czy to już wszystko? Właśnie zaczynam dyżur.

Kiedy Monty wrócił do radiowozu, Kowalski rzucił mu wymowne spojrzenie.

– Niech pan włączy komórkę, poruczniku. Chcą z panem porozmawiać śledczy, którzy szukali sprawców potrącenia śmieciarza.

Monty wszedł do biura kapitana Burke’a i bez zaproszenia usiadł na krześle dla gości. Burke swoim zwyczajem splótł palce i pochylił się ku niemu.

– Rozmawiał pan z policjantami, którzy szukali ludzi z tamtego samochodu?

– Znaleźli... dwóch chłopaków z college’u. Wciąż jeszcze byli naćpani – odparł Monty. – Kiedy przeszukali dom, natrafili na ludzką rękę w słoiku, najprawdopodobniej zakonserwowaną w jakiejś zalewie. Podobno jest to ręka któregoś z Sanguinatich. Znaleźli też oczy. Według etykiety są to oczy Wilka, ale nie są ani szare, ani bursztynowe, więc mocno w to wątpię. Kiedy ich aresztowano, podobno obaj krzykali: „Teraz będziemy Wilkami!”

- Skąd wzięli rękę i oczy? – spytał Burke.
- Ze sklepu ezoterycznego koło uniwersytetu. Od frontu mają gadzety dla młodzieży, ale na zapleczu... – Monty odchrząknął. – Wiem na pewno, że żaden z mieszkańców Dziedzińca w Lakeside nie zaginął, należy więc przyjąć, że to, co nasi koledzy znaleźli na zapleczu, trafiło do nas z jakiegoś innego miasta. Zapewne z Toland. – Był to główny port Thaisii, gdzie przybijały statki z Cel-Romańskiej Wspólnoty Narodów i innych części świata. Paczkę z takimi artefaktami można było przemyć potem do Lakeside wśród legalnych towarów przewożonych z Toland pociągami towarowymi.
- Burke wyprostował się.
- Czyli oczy mogą należeć do człowieka albo zwierzęcia, ale raczej nie do *terra indigena*?
- Właśnie.
- A ręka? Czy może należeć do jakiegoś Sanguinatiego?
- Na pewno nie z naszego Dziedzińca. – Zawahał się. – Panna Corbyn miała dziś rano wizję o słojach i rękach... i Sanguinaticach. Kapitanie, jeśli te rzeczy trafiły do nas z Toland... – Monty pomyślał o swojej córce, Lizzy, która mieszkała tam z jego byłą partnerką, i nagle zakręciło mu się w głowie ze strachu.
- Sanguinati dominują na Dziedzińcu w Toland. Wspierają ich Wilki i inne rodzaje *terra indigena*. Jeśli któryś z nich zaginął... – Burke westchnął. – Robi się coraz ciekawiej. No dobrze, poruczniku. Niech pan pilnuje śledztwa, a ja spróbuję znaleźć w szeregach policji Toland kogoś, kto nie używa mózgu do podcierania sobie tyłka. – Uśmiechnął się dziko na widok miny rozmówcy. – Nie, nie zapomniałem, że pan stamtąd pochodzi. Po prostu pan nie jest już jednym z nich.
- Dobrze wiedzieć – mruknął Monty i zamierzał wstać, ale zastygł w połowie ruchu. – Czy mam poinformować Simona Wilczą Straż, co znaleziono w tym domu i w sklepie?
- Jeśli w okolicy były jakieś ptaki, zapewne już o tym wie, więc rozsądnie będzie złożyć mu grzecznościową wizytę. – Burke przez chwilę jakby się wahał. – Nie jest to może najlepsza pora, ale chciałbym, żeby zorganizował mi pan spotkanie z Wilczą Strażą w dogodnym dla niego terminie.
- W sprawie?
- Burke milczał tak długo, że Monty już zaczął wątpić, czy otrzyma odpowiedź.
- Chcę poprosić go o przysługę.

Rozdział 8

Steve Przewoźnik spieszył się na prom, choć miał dzisiaj wolny dzień. Planował pooglądać telewizję, zrobić pranie, a potem może pójść do księgarni na wyspie i kupić sobie dwie nowe powieści. Ale kiedy się obudził, spojrzawszy w okno i poczuł znajome napięcie między łopatkami – nagle ogarnęło go przekonanie, że musi znaleźć się na promie podczas pierwszego kursu z Wielkiej Wyspy do portu na lądzie stałym, który połowa tutejszych mieszkańców nazywała Przystanią Przewoźników.

Kilka Wron tuliło się do siebie na pokładzie, nastroszywszy czarne pióra.

– Chcecie wejść do kabiny? – spytał grzecznie Steve. Minęła dłuższa chwila, zanim jedna z nich pokręciła głową. – Dajcie znać, gdybyście zmieniły zdanie.

Rzucił okiem do kabiny pasażerskiej i stwierdził, że jest pusta. Zupełnie pusta.

Absolutnie, kompletnie pusta. Najwyraźniej nikt do niej dziś nie wchodził. A skoro

tak, to jego ciotka, Lucinda Rybak, zapewne nie otworzyła małej kawiarenki na promie i będzie się musiał obyć bez porannej dawki kofeiny.

Westchnął i poszedł do sterówki, żeby przywitać się ze swoim młodszym bratem Willem, który pełnił dziś funkcję kapitana.

– Dzień dobry, wasza ekscelencjo – powiedział Will, odgarniając grzywkę z czoła. – Cóż pana sprowadza na nasz prom, i to tak wcześnie rano, w wolny dzień? Czy to podróż prywatna, czy w sprawach rządu?

– Zamknij się – mruknął Steve.

Steve i Will różnili się od siebie jak dzień od nocy. Steve był podobny do ojca, Charlesa – miał jego ciemne włosy i oczy, ostre rysy twarzy i mocną, choć zylastą budowę ciała. Will odziedziczył jasne włosy i niebieskie oczy po ich matce, Rachel, miał też wdzięk właściwy wszystkim członkom rodziny Rybaków.

– Czy to tak należy rozmawiać z wyborcami? – spytał Will.

– Nie głosowałeś na mnie. Nie jesteś w radzie wioski.

– Nie głosowałbym na ciebie, nawet gdybym w niej był, bo dobrze wiem, jak bardzo chciałeś dostać tę robotę – odparł Will wesoło. – Czyli wcale.

No cóż, ojciec często mawiał, że głupiec, który wychodzi z sali tuż przed głosowaniem, na pewno dostanie niechcianą posadę. I w przypadku Steve'a dokładnie tak się stało. Wyszedł z pokoju za potrzebą, przekonany, że dyskusja w radzie potrwa jeszcze długo, a gdy wrócił, okazało się, że został wybrany na nowego burmistrza Przystani Przewoźników pomimo niezwykle młodego wieku trzydziestu lat. Członkowie rady najwyraźniej zarządzili głosowanie w chwili, kiedy zamknął za sobą drzwi łazienki. „Mieliśmy przeczucie, że wioska cię potrzebuje”, powiedzieli, kiedy próbował się wykręcić.

Kiedy ktoś w Przystani Przewoźników miał przeczucie, traktowano je bardzo serio.

Intuicji przetrwali i wiodło im się dobrze właśnie dlatego, że brali na poważnie każde takie przeczucie.

Steve nie chciał być burmistrzem, choć w tak małej wiosce nie była to wymagająca praca. Urodził się, żeby pływać, pracował na promie i na wodzie czuł się lepiej niż gdziekolwiek indziej. Stał jednak na czele ludzi żyjących na wyspie – czy mu to odpowiadało, czy nie.

– Chyba to dobrze, że dziś nie pracujesz – stwierdził Will. – Nie usłyszałeś ani słowa z tego, co mówiłem przez ostatnie dwie minuty.

– Daj mi spokój – warknął Steve. – Ledwie miałem czas na prysznic. Musiałem zrezygnować z kawy, żeby tu zdążyć.

Will rzucił mu dziwne spojrzenie.

– A dlaczego musiałeś tu zdążyć?

– Bo miałem przeczucie.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

– Odnoszę wrażenie, że ciocia Lu też miała przeczucie – powiedział wreszcie Will.

– Nie słuchałeś, ale powiedziałem ci właśnie, że przyniosła dodatkowy termos z kawą i że możesz się napić.

Na widok termosu komórki mózgu Steve'a w końcu się ożywiły.

– Niech rzeka błogosławi cioci Lu – powiedział, napełniając kubek. – Chcesz trochę?

– Chcę.

Steve nalał bratu kawy i westchnął.

– Czyste niebo. Lekki wietrzyk.

– Tak jest. Zapowiada się ładny dzień – zgodził się Will. – Dlaczego jesteś rozczarowany?

– Nie jestem rozczarowany, tylko... – Nadal czuł to w sobie – to napięcie między łopatkami, sygnał ostrzegawczy, że musi bardzo uważać. – Mam wrażenie, że nadchodzi burza.

– Tata nic o tym nie wspominał. – Will przyjrzał się niebu, a potem przeniósł wzrok na rzekę. – Ani mama, ani ciocia Lu.

– Przeczucia nie zawsze się sprawdzają.

– Twoje zawsze.

To była prawda, przynajmniej jeśli chodziło o rzekę i pogodę. Intuicji nie mają przeczuć w każdej sprawie, jedynie w tych, które są dla nich naprawdę znaczące. Jego rodzina posiadała największą wiedzę o rzece i pogodzie, natomiast Saniarze albo Trzodowcy wiedzieli więcej o saniach i trzodzie.

Przeprawa minęła bez przygód. Kiedy prom przybił do brzegu, Wrony podzieliły się na kilka grup i odleciały w różne strony. Przez cały dzień będą obserwować okolicę, a potem wrócą na prom, w samą porę, by przeprowić się na wyspę.

Steve pomógł Willowi zacumować i już miał ruszyć główną ulicą, kiedy na przystań wjechała pocztowa furgonetka. Za chwilę wymienią się workami z pocztą: ten dla mieszkańców wyspy trafi na prom, a ten od wyspiarzy – do furgonetki. O tej porze nie było wielu pasażerów, a opłata za rejs skutecznie odstraszała turystów. Czyste niebo, lekki wiatr. Nie ma się czym martwić. Mimo to Steve wciąż oglądał



się na rzekę.

Co on tu robi, po drugiej stronie rzeki, w tej części wioski, która leży na stałym lądzie? To przecież jego wolny dzień! Owszem, mógł pomyszkować w tutejszej księgarni, czekając na rejs powrotny do domu, ale w księgarni na wyspie był przecież taki sam wybór. A nawet lepszy, ponieważ zaopatrywali się tam Inni, więc można było kupić powieści napisane przez *terra indigena*, niedostępne w księgarniach na lądzie.

Nic nie wyjaśniało dziwnej potrzeby, by dostać się na prom, którą czuł dziś rano. Nagle zauważył Jerry'ego Saniarza, który wyszedł z drogerii z gazetą w rękę. Gdy go zawołał, Jerry zatrzymał się i uniósł rękę na powitanie.

– Co ty tu dzisiaj robisz?

Jerry Saniarz był od niego o dziesięć lat starszy, miał żonę i nastoletnią córkę oraz dwóch małych synków. Pomimo różnicy wieku i odmiennej sytuacji rodzinnej łączyła ich przyjaźń.

– Nie jestem pewien. – Steve znów spojrział w stronę rzeki. – Po prostu nie mogę pozbyć się uczucia, że nadciąga burza.

Jerry wyciągnął w jego stronę „Wiadomości Lakeside” i wskazał na jeden z artykułów. Była w nim mowa o jakichś rozjechanych ptakach i pracowniku miejskim potrąconym przez samochód. Czytając, Steve uświadomił sobie, że nie chodziło o jakiegokolwiek ptaki. Chodziło o Wrony. Ktoś rozłożył przynętę na ulicy i czekał, aż pojawi się Wronia Straż, ale zginęły tylko zwykłe wrony.

– Może kiedy zostałeś naszym burmistrzem, zacząłeś przeczuwać innego rodzaju

burze? – odezwał się, gdy Steve skończył czytać.

We wtorek przed południem przyszedł pierwszy tego dnia klient. Pan Smith zaprowadził go do pokoju, gdzie już czekała Daisy. W przeciwieństwie do niektórych kolegów po fachu pan Smith nadawał dziewczętom imiona zamiast bezosobowych oznaczeń. To prawda, oznaczenia ułatwiały utrzymanie dystansu pomiędzy dziewczętami a ich opiekunami i przypominały klientom, że wieszczki nie są takimi ludźmi jak oni i nie muszą czuć wyrzutów sumienia, że z ich powodu zadaje się im rany, pan Smith wolał jednak łagodniejsze podejście. Poza tym klienci, którzy mieli ochotę na specjalne – i bardzo kosztowne – dodatkowe usługi, jakie im czasem oferował, czuli większą satysfakcję, jeśli mogli szeptać przy tym jakieś imię. Bo tak naprawdę dziewczęta nie były dobre w łóżku. Były zbyt upojone euforią niesioną przez przepowiednię, żeby choć zwrócić uwagę na wkładanego im penis. Ale seks z wieszczką krwi otwierał drzwi do pewnych kręgów towarzyskich. W końcu same pieniądze nie wystarczyły, by przekonać kogoś takiego jak pan Smith. Żeby zostać kimś w najwyższych kręgach, trzeba było mieć ambicję i potencjał. Klient, który zamówił Daisy, być może był właśnie takim człowiekiem. Pan Smith postanowił, że zgodzi się na prywatną sesję z dziewczyną, jeśli jej przepowiednia to potwierdzi.

Posadził klienta na krzesło, dokładnie naprzeciwko Daisy, a sam zajął miejsce z boku, skąd mógł obserwować i jego, i wieszczkę. Dziewczyna była owinięta kocem od kolan po samą szyję. Pod nim nie miała na sobie nic prócz cienkich stringów, które nie ukryją soków jej euforii.

– Daisy, ten pan ubiega się o stanowisko burmistrza w swoim mieście – powiedział cicho pan Smith. – Chce się dowiedzieć, czy slogan Ludzie Przede i Nade Wszystko pomoże mu wygrać. Jaki będzie wynik wyborów? – Powtarzał te słowa raz za razem, gdy opiekunowie zdejmowali z niej koc. Już wcześniej przewidział, o co będzie pytał klient, i wybrał skórę. Cięcie po lewej stronie brzucha. Krew kapiąca z tej rany przyciągnie wzrok klienta do stringów i sprawi, że będzie nalegał na dodatkowe usługi. – Jaki będzie wynik wyborów? – spytał ponownie, kiedy opiekun zakończył cięcie.

Daisy patrzyła na klienta. Na jej twarzy malowało się cierpienie, jak zawsze przed wypowiedzeniem pierwszych słów proroctwa. Kiedy zacznie mówić, poczuje euforię, tę, dla której *cassandra sangue* potrafiły zadawać sobie rany dwa czy trzy razy dziennie, jeśli ich nie pilnowano i nie cięto zgodnie z grafiką.

– Tornado – powiedziała, nie odwracając wzroku od klienta. – Budynek z powybijanymi szybami. Kwiaty wyrastające ze szczelin w chodniku. Bluszcz oplatający ściany. Jego twarz na kawałku papieru, a wyżej słowo „głosuj”. Papier unoszony wiatrem po pustej ulicy.

Zamknęła oczy, jęknęła i poruszyła zapraszająco biodrami, co oznaczało koniec proroctwa.

– Co to znaczy? – wyjąkał klient. – Co te obrazy mają wspólnego z wyborami i moimi szansami na wygraną?

Miejmy nadzieję, że nic, pomyślał pan Smith.

– Daisy dręczy chyba jakiś niepokój i nie jest w stanie wygłosić precyzyjnej przepowiedni – powiedział, po czym wstał, ujął klienta mocno pod ramię i wyprowadził z pokoju.

– Ale co z moim proroctwem? – upierał się klient. – Zapłaciłem...

– Za dzisiejszą sesję pan nie płaci. Umówimy pana na przyszły tydzień, do innej dziewczyny.

– Na przyszły tydzień? Ale ja muszę podjąć decyzję wcześniej!

Pan Smith zatrzymał się i spojrzał mu w oczy.

– Żadna z moich dziewcząt nie będzie wcześniej dostępna. – Oznaczało to tyle, co: Wróć tu albo znajdź sobie inny kompleks. Wcale nie było to takie proste, jak się wydawało. Wszyscy, którzy opiekowali się *cassandra sangue* i handlowali ich darem, cenili sobie prywatność.

Poprosił pracownika, żeby odprowadził klienta do wyjścia, a sam wrócił do pokoju przepowiedni, by przyjrzeć się Daisy. Oczy miała nadal zamglone, ale euforia już odeszła i wieszczka zaczynała przytomnieć.

– Mamy ją przeciwzyć? – spytał jeden z opiekunów.

– Nie – odparł pan Smith. – Dajcie jej wody i coś do jedzenia, a potem niech to odeśpi.

Godzinę później zasiadł w innym pokoju, asystując przedstawicielowi Stowarzyszenia Farmerów, które dostarczało żywność do kilku miast w Regionie Środkowo-Zachodnim. Stowarzyszenie zamierzało fałszować księgi i wykazywać w nich braki, żeby po cichu sprzedawać żywność Cel-Romanii.

Do tego cięcia pan Smith wybrał Peaches. Ze wszystkich jego dziewcząt była najbardziej uwrażliwiona na przepowiednie dotyczące zbiorów.

– Co w przyszłym roku obrodzi najlepiej? – spytał przedstawiciel. – Co powinniśmy zasiać na naszych polach?

Pan Smith powtarzał raz po raz te pytania, podczas gdy opiekun ciął jedną z dojrziałych piersi Peaches.

– Ogień – powiedziała z westchnieniem. – Ogień trawi wszystko. Woda zatapia. Czysty talerz. Nie ma jedzenia.

Pan Smith poszedł do swojego biura. Na chwilę przestał walczyć ze strachem. Zamknął oczy i oparł czoło o drzwi. Jego opiekunowie byli doświadczeni i znali dziewczyny. Mogli nie zauważyć oznak niepokoju u jednej, ale u dwóch? Dlaczego ich przepowiednie nie miały nic wspólnego z pytaniami?

Moje dziewczęta są w porządku, pomyślał. To, co zobaczyły, najwyraźniej stanowi odpowiedź na zadane pytania.

Zniszczenie miasta w następstwie wyborów. A jedyne plony, jakie w tym roku zbierze Stowarzyszenie Farmerów, to pożary i powódź.

Dziewczęta oczywiście mogły się mylić. Wystarczyła jedna odmienna decyzja, a to, co dzisiaj widziały, nigdy się nie zdarzy.

Ale ludzie, którzy podejmowali takie decyzje, nie znajdowali się na liście jego klientów. Choć bardzo chciał wierzyć, że ma do czynienia z ważnymi osobami, byli tylko wielkimi rybami w małym stawie znanym jako Region Środkowo-Zachodni.

Jeśli chciał zrozumieć, dlaczego jego dziewczęta przepowiadały zniszczenie, będzie musiał poszukać rady u osoby, której lista klientów jest... szersza.

Nienawidził tego dupka, ale nie miał pojęcia, do kogo jeszcze mógłby zadzwonić. Zrobił sobie drinka, a potem usiadł za biurkiem i wybrał numer Kontrolera.

Rozdział 9

Meg zatrzymała Pudełko na Kółkach przed Stajnią Kucyków. W okolicy nie było Wron, Jastrzębi ani Sów, które zawiadomiłyby o jej przyjeździe. Właściwie nie miała powodu, żeby tu przyjeżdżać – żadnej dodatkowej poczty czy paczek. Tak naprawdę

zjawiła się tutaj, ponieważ zakończyła dostawy, a nie chciała jeszcze wracać do domu. Zwykle w środowe wieczory miała zajęcia w Spokojnym Umyśle i spędzała czas z Merri Lee, Ruth i Heather. Ale dziś wszystkie firmy zamknięto już o piątej z powodu jakiegoś specjalnego spotkania, a Simon zakazał jej kręcić się w okolicach rynku. No cóż, odkąd na powrót zostali przyjaciółmi, zdobył się nawet na wysiłek, by zabrzmiało to jak prośba, a nie jak zakaz.

Oczywiście słowo „proszę” brzmi lepiej, jeśli nie towarzyszy mu warczenie. Ale to był Simon, a przyjaciele akceptują przyjaciół i nie próbują ich zmieniać. Ostatnio przeczytała coś takiego w gazecie.

Zresztą wszystko jedno, czy to była prośba, czy rozkaz: dzielnica handlowa Dziedzińca była dziś zamknięta dla wszystkich prócz członków Stowarzyszenia Przedsiębiorców i gości zaproszonych na spotkanie. Zakaz wstępu dotyczył nawet służbowych mieszkań. Najwyraźniej Inni chcieli, by spotkanie pozostało poufne. Czyli dziś nici ze Spokojnego Umysłu i nici ze spotkania z przyjaciółkami. Czekają samotny wieczór, póki Inni nie wrócą do domów. Nie zostawała sama w Zielonym Kompleksie od tamtej nocy, kiedy ludzie wdarli się na Dziedziniec i próbowali porwać ją i Sama.

Obrazy szkoleniowe. Pusty dom z drzwiami kolebiącymi się na zawiasach. Wybite okna. Gruz w kątach.

Meg pokręciła głową. Nie, wcale nie została porzucona. A samotność nie sprowokuje ataku. Prawda?

Łatwo byłoby uzyskać odpowiedź. Wystarczyło jedno cięcie, a zdobyłaby pewność, że nic jej nie grozi, że do powrotu Simona i reszty mieszkańców Zielonego Kompleksu jest bezpieczna. Jedno małe cięcie...

Popatrzyła na swoje drżące ręce, zaciśnięte na kierownicy. Kiedy była w szpitalu, doktor Lorenzo wspominał coś o szoku pourazowym, ale nie słuchała go uważnie i teraz nie mogła sobie przypomnieć dokładnie jego słów. Na szczęście jednak miała dość rozsądku, żeby nie używać brzytwy, kiedy ręce jej się trzęsły, a obok nie było nikogo, kto w razie czego zatamowałby krwotok.

Ale nie mogła tu przecież siedzieć przez całe popołudnie. Na zmianę decyzji było już za późno, gdyż ze stajni wyszedł Jester Kojocia Straż.

– Nie spodziewam się żadnej dostawy – powiedział, podchodząc do jej PNK. Kiedy Meg opuściła okno, żeby z nim porozmawiać, zauważyła, że dyskretnie węszy.

– Nic nie przywiozłam – przyznała.

Chwila wyczekiwania.

– Coś nie tak z twoim PNK?

– Nie. – Wiedziała, że on wie, że jej PNK jest w zupełnym porządku. Gdyby było inaczej, wysiadłaby i poprosiła o pomoc. – To trochę krępujące...

– W takim razie powiedz mi wszystko.

Przyglądał jej się tak radośnie, że musiała się roześmiać. Ale rozbawienie szybko minęło.

– Nikogo nie będzie w domu z powodu spotkania, a ja jestem... denerwuję się, że będę sama w Zielonym Kompleksie. – Przeklęty Kojot musiał zorientować się po zapachu, że się boi, i tylko się z nią droczył, żeby mu zdradziła powód swojego zdenerwowania. – Nie mogę odwiedzać Sama w Wilczym Kompleksie, a nie chcę zabierać go od dorosłych Wilków, na wypadek gdyby coś zaczęło się dziać...

Jester przyjrzał się jej uważnie. Jeśli nawet wiedział, czego dotyczy spotkanie, nie

podzieli się z nią tą wiedzą.

– Byłaś kiedyś w stajni? – spytał.

– Widziałam zdjęcia.

Otworzył drzwiczki PNK i zamknął szybę.

– Wejź i zobacz na własne oczy.

Jeśli zostanie z Jesterem i kucykami, nie będzie sama.

– No dobrze.

Zamknęła PNK i poszła za Kojotem.

– Poznasz nasz najnowszy nabytek, oczywiście jeśli zdecyduje się pokazać – powiedział Jester, kiedy podeszli do drzwi stajni. – Jeszcze nigdy nie poszedł z innymi kucykami do biura łącznika, więc go nie widziałaś. Zwykle ci z jego rodu nie dostają przydziału w rejon Wielkich Jezior, szczególnie w tak młodym wieku, ale Żywioty chciały go tu mieć. Bardzo szybko się zadomowił.

Tamtej nocy ludzie, którzy wtargnęli na Dziedziniec, podpalili Stajnię Kucyków i zastrzelili starego Huragana, kiedy był akurat w formie kucyka. Inni naprawili stajnię w pierwszej kolejności, zanim zabrali się za budynki i ogrodzenia zniszczone podczas ataku. Mieszkańcy Lakeside musieli naprawiać swoje domy w przenikliwym mrozie, ale podczas remontu Stajni Kucyków wokoło panowała wiosna, co ułatwiało pracę robotnikom.

Stajnia wyglądała podobnie jak na obrazkach szkoleniowych. Meg rozejrzała się, łącząc w pamięci wszystkie elementy, jakby to był film wideo, a nie seria izolowanych obrazów. Wiele boksów stało pustych, ponieważ kucyki udały się gdzieś na Dziedziniec, by zająć się swoimi kucykowymi sprawami. Usiadła na beli siana i przyglądała się, jak Jester czesze Mglę. Potem pomogła mu wyczesać Cyklona, ciesząc się z tego równie mocno jak ich podopieczny.

Kiedy z ostatniego boksów wyszedł biały kucyk, Meg poczuła mrowienie pod skórą; rozchodziło się od stóp aż po czubek głowy i zniknęło prawie tak szybko, jak się pojawiło. Widziała, z jakim wysiłkiem kucyk próbuje przybrać włochaty, beczułkowaty kształt swoich towarzyszy. Wyglądał jak Wilk, który nie do końca potrafi ukryć fakt, że nie jest człowiekiem.

Akwamaryna, pomyślała Meg, identyfikując niebieskawozielony kolor jego grzywy i ogona. Nie był to kolor, jaki na co dzień spotykało się u kucyków.



– Meg, poznaj – powiedział Jester. – To Wir Wodny.

W środę po południu, dokładnie piętnaście po piątej, kapitan Burke podjechał swoim czarnym sedanem przed wejście na Dziedziniec znajdujące się na ulicy Głównej.

– Pan Wilcza Straż prosił, żebyśmy zaparkowali na tyłach biura łącznika – powiedział Monty. Zadzwoił na Dziedziniec i poprosił o spotkanie, choć nie spodziewał się, że Simon wyrazi zgodę, szczególnie że nie potrafił wyjaśnić Wilkowi, czego ma ono dotyczyć. Najwyraźniej jednak przywódca Dziedzińca miał własne powody, by spotkać się z kapitanem policji.

– Myślałem, że spotkanie odbędzie się w konsulacie – stwierdził Burke i przeparkował samochód.

– Owszem.

– Nie chcą, żeby samochód stał na widoku? – Kapitan popatrzył na tylne ściany

budynków, szczególnie na okna i drzwi.

– Raczej nie chcą, żeby zawadzał. Podejrzewam, że dla Stowarzyszenia Przedsiębiorców ten parking stanowi wyznacznik zaufania.

– Czy to znaczy, że nam ufają, poruczniku?

– Tak, proszę pana. Myślę, że tak. – *Przynajmniej do pewnego stopnia.*

Cofnęli się do przejścia prowadzącego do konsulatu. Kiedy czekali, aż ktoś im otworzy, Monty spojrział na biuro łącznika. Było już zamknięte, w recepcji paliła się tylko słaba nocna lampa. Żałował, że Meg Corbyn nie było. Chciał sprawdzić, co u niej, upewnić się, że doszła do siebie po prorocत्वach, które wygłosiła w poniedziałek.

Wreszcie drzwi konsulatu otworzyły się i w progu stanął Blair Wilcza Straż. Miał na sobie kombinezon mechanika. Najwyraźniej był to jego ulubiony strój, kiedy przebywał w ludzkiej formie.

Zza Blaira wyłonił się łysiejący mężczyzna o bursztynowych oczach Wilka.

Ubrany był w szyty na miarę garnitur, którego krój i jakość mogłyby być synonimem słowa „pieniądze”. To musiał być Elliot Wilcza Straż. Monty podejrzewał, że radni i urzędnicy są zaniepokojeni faktem, że Wilk rozumie ludzkie symbole władzy i wie, jak onieśmielić partnera w dyskusji, zanim padnie choć jedno słowo.

– Możecie zostawić palta i śniegowce tutaj – powiedział Elliot, wskazując wieszak i leżącą pod nim matę.

Kiedy zdjęli wierzchnie okrycia, zaprowadził ich do sali konferencyjnej, która równie dobrze mogłaby znajdować się w biurowcu dużej korporacji. Wielki pokój. Wielki stół. Dwa wielkie okna zamknięte drewnianymi żaluzjami.

I trzech kolejnych *terra indigena* stojących po jednej stronie stołu: Simon Wilcza Straż, Henry Niedźwiedzia Straż i Vladimir Sanguinati.

Elliot wyszedł z sali i zamknął za sobą drzwi. Monty zastanawiał się, czy Tess postanowiła nie brać udziału w spotkaniu, czy też po prostu nie została na nie zaproszona. Przynajmniej teraz Burke nie będzie miał wątpliwości, kto tak naprawdę wydaje rozkazy w Lakeside.

– Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać – odezwał się kapitan.

Simon wziął krzesło i usiadł, dając tym samym znak, że rozpoczynają spotkanie.

– Czy znaleźliście ludzi, którzy próbowali zabić Wrony?

Po chwili wahania Burke usiadł naprzeciwko Simona, a Monty obok niego, twarzą w twarz z Vladem. Choć dzielił ich stół, nie czuł się swobodnie, siedząc tak blisko wampira – nadal pamiętał dziwne uczucie, jakiego doświadczył, gdy Vlad podał mu rękę. Odkrył wtedy, że Sanguinati pożywiają się, wysysając krew przez skórę swoich ofiar.

Henry Niedźwiedzia Straż siedział po drugiej stronie Simona. Odsunął nieco krzesło od stołu i ustawił pod kątem, dając do zrozumienia, że jest bardziej obserwatorem niż uczestnikiem.

– Znaleźliśmy dwóch – odparł Burke. – Natrafiliśmy w ich domu na różne rzeczy, którym musimy się bliżej przyjrzeć.

– Rzeczy? – spytał Vlad.

– W słojach? – upewnił się Simon, nie spuszczać czujnego wzroku z Monty’ego.

– Tak, w słojach – odparł Monty. Choć patrzył na Simona, zauważył, że Vlad zaciska prawą dłoń w pięść. Nie był to odpowiedni moment, żeby pytać, czy urwana

ręka może stanowić zagrożenie. Powieści, które przejrzeni z Kowalskim przez ostatnie dwa dni, sugerowały, że oderwane części ciała wampirów mogą przeżyć długi czas, o ile ich właściciel nadal żyje. Ale nie mieli jak tego sprawdzić, a technicy za nic nie chcieli otworzyć słoików, póki nie będą wiedzieli, co może ich czekać.

– Nie sądzę, żeby kapitan przyszedł tu rozmawiać o śledztwie – powiedział Henry grmiącym basem.

– Nie przyszedłem tu w sprawie śledztwa – zgodził się Burke. Splótł palce i oparł ręce na stole. – W zeszłym miesiącu w Georgette został ranny syn mojego dobrego przyjaciela, Roger. Był jednym z policjantów, którzy przyjechali na wezwanie Wron. Postrzelili go ludzie, którzy przeprowadzili atak, ale przeżył. – Simon milczał. Monty żałował, że Burke nie uprzedził go, do czego zmierza. – Roger to dobry policjant i dobry człowiek – ciągnął kapitan. – Wkrótce będzie gotów, by wrócić na służbę, ale mam wrażenie, że najrozsądniej byłoby gdzieś go przenieść.

Wilcza Straż przekrzywił głowę.

– Dlaczego?

Vlad uśmiechnął się lodowato do Burke'a.

– Mały go obwiniają, prawda? Uważają, że powinien być zostawić te Wrony na pewną śmierć.

Kapitan drgnął leciutko. Monty nie wątpił, że Inni to zauważyli.

– Nie wszyscy, którzy przeżyli wydarzenia w Georgette, uważają, że Rogera należy winić za to, do czego tam doszło, ale są tacy, którzy myślą inaczej. Większość chce kogoś winić. W tej chwili Roger potrzebuje miejsca, gdzie ludzie, których stara się chronić, nie będą nazywali go zdrajcą.

– Jak pan sądzi, co by się stało, gdyby Roger pozwolił umrzeć tym Wronom? – spytał Henry.

Kapitan spojrzał mu prosto w oczy.

– Myślę, że gdyby on i jego koledzy nie zareagowali na wezwanie, w Georgette nikt by nie przeżył.

Henry skinął głową.

– Tak. Ci ludzie żyją tylko dzięki niemu.

– Przynajmniej jeszcze tydzień czy dwa – mruknął Vlad.

Monty zeszywniał.

– Co to znaczy? – zapytał, ale Simon wszedł mu w słowo: – Czyli chce pan, żeby szczeniak pana przyjaciela trafił do Lakeside? – zwrócił się do Burke'a. Nie potrzebuje pan na to naszej zgody. – Wzruszył ramionami. – To sprawa ludzi.

Burke poruszył się niespokojnie.

– Roger woli mieszkać na wsi, pracować w mniejszym oddziale policji – zasugerował, a Inni wymienili zdziwione spojrzenia.

– Zatem czego pan od nas oczekuje? – spytał wreszcie Simon.

– Chciałbym spytać, czy nie znaleźlibyście miejsca dla Rogera na Wielkiej Wyspie – wykrztusił kapitan. – Wiem, że tę wyspę kontrolują *terra indigena*, ale są tam również komuna Prosteego Życia oraz wioska w południowej części wyspy, sklepy i przystań promowa. Nie wiem, jakie zasady rządzą Wielką Wyspą, ale z pewnością przyda się tam dobry policjant.

W sali zapadła głucha cisza. Monty poczuł, że sztywnieje ze strachu. Pierwszy odezwał się Henry:

– Na Wielkiej Wyspie nie ma policji. Tam jest inaczej niż w Lakeside, kapitanie.

Intuici, którzy mieszkają w Przystani Przewoźników, nie są podobni do was ani do tych z Prostego Życia.

Burke spojrział na niego wyraźnie zdumiony.

– Nigdy nie słyszałem o Intuitach.

Henry uniósł brwi.

– Takie miano noszą w Thaisii. W innych częściach świata mają zapewne inne nazwy. Wyczuwają świat inaczej niż wy, są wrażliwi na otoczenie i potrafią rozpoznać niebezpieczeństwo albo okazję, zanim stanie się dla was oczywista. Często zabijano ich z tego powodu, ponieważ ludzie uważali, że to złe zdolności. Nawet dziś Intuici często trzymają się na uboczu, żyją w swoim gronie i czują się lepiej w ludzkich osiedlach kontrolowanych przez *terra indigena* niż w miastach kontrolowanych przez wasz rodzaj. – Uśmiechnął się groźnie. – Najlepiej będzie, jeśli zapomni pan, że o nich słyszał.

Po krótkiej chwili Burke kiwnął głową na znak, że pojmuje.

– Decyzja o wpuszczeniu człowieka na Wielką Wyspę nie należy do mnie – powiedział Simon. – Nie wiem, czy Intuici z Przystani Przewoźników przyjmą kogoś, kto nie jest jednym z nich. Ale porozmawiam z ich przywódcą o szczeniaku pańskiego przyjaciela i sami zdecydują.

– Dziękuję.

I w ten sposób kapitan policji zaciągnął dług u przywódcy Dziedzińca, pomyślał Monty. Simon na pewno dopilnuje, żeby Rogerowi pozwolono zamieszkać na Wielkiej Wyspie. Miał nadzieję, że kiedy Wilcza Straż zażąda zwrotu przysługi, Burke się nią nie udławi.

– Najlepiej będzie dla tego Rogera, jeśli już teraz wyniesie się z Georgette – dodał Simon przesadnie obojętnym tonem. – Wkrótce to miejsce przestanie należeć do ludzi. – Monty spojrział na Burke'a, który siedział zupełnie nieruchomo. Potem przeniósł wzrok na Simona. Czyli to dlatego zechciał się z nimi spotkać? Żeby przekazać wiadomość? – Dzierżawa Georgette wygasa w przyszłym miesiącu – ciągnął Simon. – Przywódcy Zachodniego Wybrzeża zdecydowali, że nie zostanie odnowiona, a ziemia wróci do *terra indigena*. To samo dotyczy okolicznych zabudowań.

Burke wciągnął powietrze przez zęby, ale nic nie powiedział.

Ile ludzi mieszkał w Georgette? Zastanawiał się Monty. Kilka setek? Więcej? Mniej?

– Zamierzacie ot tak po prostu wyeksmitować całe osiedle? – wyrwało mu się – Owszem, poruczniku – odparł Simon. – Ot tak po prostu. Pozwalamy wam budować domy i uprawiać ziemię, ale nie należy ona do was. Nigdy nie będzie wasza. Ludzie zawiedli zaufanie *terra indigena*, którzy obserwowali Georgette. A więc ludzie muszą odejść. W ten lub inny sposób.

– Ale te farmy dostarczały żywność do miast na Zachodnim Wybrzeżu! Co mają jeść ludzie, którzy tam mieszkają?

Simon wzruszył ramionami.

– Ludzie mogą nadal uprawiać ziemię, którą dzierżawią.

– Ale...

– Poruczniku – uciął cicho Burke. Dyskusowanie o decyzji, która została już podjęta po drugiej stronie kontynentu, może się okazać kosztowne dla Lakeside, a dla nich samych wręcz niebezpieczne.

Kiedy Monty starał się opanować, zauważył, że Vlad mu się przygląda.

– I jak przeżyją teraz najsilniejsi? – spytał wampir z uśmiechem. Monty wzdrygnął się i odwrócił wzrok. Nie tak dawno temu Vlad zapytał go, czy silni ludzie będą zjadali słabszych, jeśli zabraknie żywności. Monty był pewien, że do tego nie dojdzie, ale podejrzewał, że w tym roku dużo więcej osób zacznie uprawiać przydomowe ogródki. Już wcześniej zdarzały się trudne okresy i wyglądało na to, że znowu wracają. Nawet w tej chwili wiele artykułów, jak na przykład masło i jaja, było dostępnych tylko na kartki.

– Gdzie mają się przenieść ludzie z Georgette? – spytał Burke tonem wyrażającym umiarkowane zainteresowanie. – Jak mają przewieźć zwierzęta? Czy będą mogli je zabrać?

– Mogą zabrać zwierzęta – zapewnił go Simon. – Mogą zabrać wszystko, co sami zrobili. Ale powinni uważać. Jeśli zatrują ziemię lub wodę, jeśli choć jedna stacja benzynowa wybuchnie, jeśli domy spłoną...

– Rozumiem – przerwał mu Burke. Zaciskał ręce tak mocno, że zbieleły mu knykcie. – A jeśli ludzie odmówią odejścia? Niektóre z tych rodzin mieszkają na swoich farmach od pokoleń.

– Powinni byli przewidzieć, co się stanie, jeśli zaatakują Wrony – warknął Simon.

– Gdzie mają się podziać ci ludzie? – Monty powtórzył pytanie Burke'a.

– Przywódcy *terra indigena* na Zachodnim Wybrzeżu i na Północnym Zachodzie są bardzo wzburzeni – odparł Henry. – Nie obchodzi ich, dokąd pójdą ludzie z Georgette.

– W niektórych częściach Thaisii i nie tylko zrobiło się bardzo niespokojnie. Wyeksmitowanie ludności całego osiedla tylko wzmocni ruch Ludzie Przede i Nade Wszystko – ostrzegł Burke.

Simon splótł palce, położył dłonie na stole i pochylił się do przodu, naśladując pozę Burke'a.

– Namid nie uczyniła was z ziemi i wody Thaisii. Przyjechaliście na ten kontynent z Afrikah i Cel-Romanii, Tokhar-Chin i Felidae, z miejsc, gdzie świat stworzył wasz rodzaj. To, co robicie w swoich częściach świata, to wasza sprawa – póki nie tykacie nas i tego, co nasze. Ale tutaj? Od nas zależy, jak wiele Thaisii wam użyczymy. Uczymy się od innych drapieżników. Zawsze tak było. Nauczylismy się już od was dość, byście przestali być potrzebni tutejszym *terra indigena*. Nie zapominajcie o tym.

Twarz Burke'a była blada jak ściana, ale jego głos pozostał spokojny.

– Nie przyszedłem tu walczyć, panie Wilcza Straż.

Simon odsunął się na oparcie krzesła i rozłączył palce.

– Ani ja.

Monty patrzył na jego dłonie. Wydawało mu się czy naprawdę widział, jak te palce przybierają bardziej ludzką formę?

Przez chwilę nikt się nie odezwał. Ciszę przerwał Vlad:

– Czy wiecie, że wyspy Archipelagu Burz stanowiły kiedyś przesmyk łączący Thaisię z Felidae?

– Nie, nie wiedziałem – odparł Monty. – Co się z nim stało?

– Ludzie, którzy tam mieszkali, wypowiedzieli wojnę *terra indigena*. Dostali część tej ziemi, ale chcieli dostać całą, więc teraz mają jej mniej. Co roku przychodzą burze i przypominają im, jak do tego doszło.

– Niech pan ostrzeże przyjaciela, kapitanie – powiedział Simon. – Georgette nie

jest pierwszym osiedlem, które *terra indigena* odbierają ludziom, i na pewno nie ostatnim. Jeśli na Zachodnim Wybrzeżu nie skończą się kłopoty, pański przyjaciel może będzie wolał przenieść się gdzie indziej. – Zawahał się i dodał: – Nic nie mogę zrobić w kwestii Zachodniego Wybrzeża, ale chciałbym, żeby Lakeside przetrwało.

– Sądzi pan, że dojdzie do starć? – spytał Burke.

– A pan nie?

– Nie dziś. – Burke odsunął krzesło i wstał. – I nie tutaj. Dziękuję, że poświęcił mi pan czas.

Monty, z nadzieją, że utrzyma się na nogach, również się podniósł. Inni poszli za jego przykładem.

– Proszę powiedzieć Rogerowi, żeby jak najszybciej przyjechał do Lakeside – powiedział na odchodnym Simon.



Burke kiwnął głową i skierował się do wyjścia.

Monty ruszył za nim, ale tuż przed drzwiami zawahał się.

– Czy panna Corbyn doszła do siebie po poniedziałkowych wydarzeniach?

Simon chrząknął, a Vlad zaczął się dziwnie śmiać.

– Nic jej nie jest – zapewnił Henry. – Jutro idzie na zajęcia Spokojnego Umysłu, które dziś zostały odwołane. Razem z koleżankami.

– Nie wiem, jak tam może być spokojnie, skoro one wszystkie tyle gadają – mruknął Simon gderliwie.

Inni otrząsnęli z siebie gniew i napięcie, jakby to była tylko woda na futrze.

To nie ich walka, pomyślał Monty. *Jeszcze nie. Inni nie zapomną o ludziach, którzy próbowali zabić Wrony. Wiedzieli – albo Meg im powiedziała – o częściach ciała w słojach i o tym też nie zapomną.*

Pożegnał się i dogonił Burke'a. W pośpiechu założyli płaszcze i śniegowce i poszli do samochodu. Z ulgą stwierdziwszy, że nie trzeba odgarniać śniegu z szyb, Monty zajął miejsce pasażera i czekał, aż kapitan ruszy. Ale Burke tylko włożył kluczyk do stacyjki i odwrócił głowę w stronę okna.

– Co pan o tym myśli, poruczniku?

– To znaczy?

– Jak pan sądzi, co by się stało, gdyby w jakiejś rozmowie padło określenie „Intuici”?

Monty przez chwilę szukał odpowiednich słów.

– Myślę, że wkrótce potem pojawiłoby się dziwaczne tornado i zrównało z ziemią komisariat przy ulicy Orzechowej, zabijając wszystkich, którzy znajdowaliby się w środku.

Burke zapalił silnik.

– Mnie też tak się wydaje.

Vlad opuścił konsulat kilka minut po odjeździe Burke'a i Montgomery'ego.

Twierdził, że chce wrócić do Zabójczo Dobrych Lektur i sprawdzić, czy księgarnia jest dobrze zamknięta, Simon podejrzewał jednak, że raczej zamierza sobie wziąć dwa nowe thrillery, zanim jutro wystawią je na sprzedaż.

Wilcza Straż pozostał w sali konferencyjnej. Wciąż jeszcze przetrwał informacje, jakie nadeszły z Zachodniego Wybrzeża.

– Dlaczego powiedziałeś policji o Intuitach? – zwrócił się do Henry'ego. –

Ukrywają się wśród nas przed ludźmi, którzy ich nienawidzą.

Henry pokiwał głową.

– Dawno temu nienawidzono ich za ich zdolności. Dobrze byłoby sprawdzić, czy nadal jest tak samo.

– Przywódcy Zachodniego Wybrzeża chcą oddać ziemię Georgette Intuicom?

Henry znów skinął głową.

– Obie strony czerpią korzyści z obecności ludzi w Georgette. Są Intuici, którzy chcą się gdzieś przeprowadzić, a *terra indigena* wyrazili zgodę na otworzenie przez nich sklepów i kontakty z ludźmi, którzy będą przejeżdżali przez osadę. Nie będą żyć w ukryciu, tak jak ci w osadach w interiorze, no ale przecież Intuici z Wielkiej Wypsy od wielu pokoleń ukrywają się, pozostając na widoku.

Intuici byli ludźmi, ale cechował ich instynkt pod wieloma względami zbliżony do instynktu *terra indigena*. Posiedli też umiejętność dostrzegania rzeczy, zanim się zdarzą. Simon zastanawiał się, czy jest ona porównywalna do zdolności wieszczych Meg.

– Myślisz, że Intuici wiedzą coś o *cassandra sangue*?

– Kiedy będziesz odwoził Rogera na Wielką Wyspę, powinienes ich zapytać.

Rozdział 10

– Przyszedł do pana Phineas Jones.

Kontroler zebrał papiery z blatu i schował do teczki, po czym włożył ją do szuflady biurka. Dopiero wtedy kazał wpuścić gościa.

Phineas Jones był przysadzistym mężczyzną o jasnych włosach, wyblakłych niebieskich oczach i słodkim uśmiechu. Nosił marnej jakości garnitur z kamizelką, która nieco za bardzo opinała się na jego wydatnym brzuchu, oraz muszkę, stanowiącą jego znak rozpoznawczy. Wyglądał, jakby należał do świata utrwalonego na fotografiach w kolorze sepia. I to była jedna z jego głównych zalet: Phineas Jones sprawiał wrażenie człowieka spokojnego i nieszkodliwego, podczas gdy zdolności hipnotyzerskie uczyniły z niego jednego z najlepszych stręczycieli wieszczek krwi w całej Thaisii.

Od ponad dwudziestu lat Jones przekonywał rodziców, by dla dobra swych dziwnych córek przekazywali mu je pod opiekę, a kiedy rodzina zorientowała się, że podał jej fałszywe dane kontaktowe, a ich córka zniknęła bez śladu, Jones zwykle dawno już rozplynął się w powietrzu, dziewczyna zaś trafiała do kompleksu gdzieś w Thaisii.

Jeśli rodzina nie chciała oddać dziecka, Jones sprzedawał klientom jej adres, ułatwiając późniejsze porwanie.

Kontroler nie lubił Jonesa, a już na pewno mu nie ufał, choć zdarzało się im robić interesy. W końcu niełatwo było znaleźć rodziny, które przekazywały geny *cassandra sangue*, póki jakaś dziewczyna nie zaczęła się ciąć, zwracając na siebie nadmierną uwagę.

– Zdziwiła mnie pańska wiadomość – stwierdził Jones, siadając na krześle dla gości. – Wydawało mi się, że prowadzi pan udany program hodowlany i nie potrzebuje moich usług.

– Nawet najlepszy program hodowlany od czasu do czasu potrzebuje dopływu świeżej krwi – odparł Kontroler.

– Tego pan szuka? Świeżej krwi? A może chce pan odzyskać skradzioną własność? Czyli Jones słyszał już o ucieczce cs759 i nieudanych próbach sprowadzenia jej z

powrotem.

– Świeża krew. Nie musi być pierwszej jakości.

– Proszę, proszę, tego się po panu nie spodziewałem. Kilku innych dżentelmenów również szuka świeżej krwi. Zupełnie jakby nagle stracili zaufanie do swoich dziewcząt. Tyle że im zależy na najlepszej jakości.

– Ja już mam to, co najlepsze – stwierdził Kontroler. – Teraz interesuje mnie różnorodność.

Jones zamyślił się.

– Poszukam chyba we wschodniej Thaisii. Dawno tam nie byłem. Natrafiłem na kilka wspaniałych okazów w sennych osadach w Regionie Południowo-



Wschodnim... – Uśmiechnął się do Kontrolera swoim słodkim uśmiechem. – Ale skoro zbliża się wiosna, wkrótce rozkwitnie Północny Wschód. Pamiętam pewien incydent z zeszłego roku, w okolicach jeziora Etu. Jakaś dziewczyna utopiła się w rzece, słyszał pan o tym?

– Nie przypominam sobie.

– No cóż. W utonięciu nie ma nic niezwykłego.

Chyba że dziewczyna skacze do rzeki, żeby uciec przed wizjami, których nie rozumie... Rodziny, w których rodziły się wieszczki krwi, najczęściej mieszkały blisko siebie, stąd jedna *cassandra sangue* mogła łatwo doprowadzić do innych.

– Świetnie – powiedział Kontroler. – Niech pan jedzie na wschód i zobaczy, co się tam da znaleźć. Zakładam, że podzieli pan wydatki pomiędzy wszystkich potencjalnych kupców?

– Mniej więcej – odparł Jones. – Wydatki poniesione na uzyskanie konkretnej dziewczyny opłaca jej nabywca. Taka jest zasada.

– Oczywiście. – Kontroler zastanawiał się przez chwilę. – W rejonie jeziora Etu szykują się kłopoty. Proszę uważać w podróży.

– Kłopoty zwykle wydobywają na powierzchnię to, co było ukryte. – Jones wstał i poprawił marynarkę. – No cóż, czas na mnie. Zadzwoń, kiedy będę miał gotową dostawę.

Kontroler patrzył za nim przez chwilę. Próbował odzyskać Meg Corbyn, wysyłając na Dziedziniec w Lakeside oddział zawodowców, ale nie udało się. Gorzej, to była prawdziwa katastrofa. Może zdolności hipnotyzerskie Phineasa Jonesa pozwolą mu osiągnąć sukces tam, gdzie na nic się zdały broń i ładunki wybuchowe.

Jean wyciągnęła złamaną igłę ze szwa na kaptiu. Nie było to najlepsze narzędzie, ale tylko tyle udało jej się zwinąć, kiedy chodzące imiona zajęły się dziewczyną, która dostała ataku hysterii.

W celach nie było toalet, tylko nocnik, na wypadek gdyby któraś z dziewcząt nie mogła się doczekać na swoją kolejkę do łazienki. Ostatnimi czasy chodzące imiona były zbyt zajęte, żeby trzymać się starannie grafiku – niektóre dziewczęta widziały w wizjach rzeczy tak straszne, że nawet euforia nie była w stanie rozwiać tych obrazów.

Jean widziała wiele strasznych rzeczy. Ostatnio cięto ją tylko po to, żeby zabrać krew, ale wtedy też przychodziły wizje. Chodzące imiona chciały, żeby cierpiała, więc kneblowały ją i jej umysłu nic już nie chroniło przed obrazami.

Nie wiedziała, czy oszalała już zupełnie, czy tylko trochę. W każdym razie jej

umysł pracował, rozumiała to, co słyszała, a słyszała wiele, ponieważ chodzące imiona nie zwracały już uwagi na jej obecność i rozmawiały przy niej o innych dziewczynach, którymi się zajmowały – tych, które załamały wizje. Podobno mówiły o miastach leżących w ruinie, o płonących polach, o ludziach walczących w sklepach o ostatnie worki żywności, o trupach w strumieniach dostarczających wody pitnej. Mówiły o szklanych słojach pełnych dymu i o basenie wypełnionym odciętymi głowami. Od kilku dni nie miało znaczenia, o co pytał klient, czy interesowała go polityka, czy najlepsza pora na siew. Wszystkie dziewczęta widziały tylko rzeczy zbyt straszliwe, by mogły o nich zapomnieć. Jean też widywała takie rzeczy, ale ulice i budynki z jej wizji nie pasowały do obrazów szkoleniowych prezentujących miasta i osady Thaisii, a drogowskazy napisane były w języku, którego nie знаła.

Kontroler i ludzie mu podobni wprawili coś w ruch. Sądziłi, że proroctwa pomogą im kontrolować świat i wszystko, co się na nim dzieje, ale zapomnieli, że nie potrafią kontrolować tego, co ludzie czują. Inni w niczym nie przypominali ludzi, ale też mieli uczucia. Masę uczuć.

Jean pośliniła rąbek nocnej koszuli, po czym wytarła igłę, najlepiej jak się dało. Wiedziała, że nie wystarczy przekłucie skóry, by pojawiła się krew. Musi ją przeciąć. Ale zadrapanie igłą może zwrócić uwagę chodzących imion.

Było tylko jedno miejsce, gdzie na pewno nie zajrzą.

Odciągnęła palcem wargę, włożyła igłę do ust i przeciągnęła złamanym ostrzem po dolnym dziąśle z lewej strony. Kiedy popłynęła krew, wytarła igłę i starannie schowała ją na powrót w szwie na kapciu. Walczyła z bólem i potrzebą wygłoszenia przepowiedni. Jeśli będzie milczeć, zapamięta wizję, ale zamiast euforii czeka ją straszny ból.

Chodzące imiona. Te, które mnie dzisiaj dotykały. Co się z nimi stanie?

Przełknęła ból i krew... I ujrzała pierwszy obraz.

To było zbyt straszne.

Chwyciła poduszkę i ukryła w niej twarz, po czym zaczęła szeptem opisywać widziane obrazy. Jej ciało ogarnęła fala euforii, wypierając ból i usuwając z pamięci obrazy.

Kiedy proroctwo dobiegło końca, Jean opuściła poduszkę.

To, co zobaczyła, już się zbliżało. Może nie wszystko, ale wystarczająco wiele. Położyła się na wąskim łóżku i naciągnęła na siebie kołdrę. Próbowwała usunąć z pamięci widok zmasakrowanych chodzących imion, skupić się na ostatnim obrazie, który pojawił się w jej wizji. Zamilkła i obraz wyraźnie utrwalił się w jej pamięci. Przez resztę popołudnia zastanawiała się, co może oznaczać jej własna ręka trzymająca słoik miodu.

Rozdział 11

W niedzielę rano Monty opuścił świątynię i poszedł do domu ulicą Rynkową. Jak zawsze wpadł na chwilę do piekarni i kawiarni U Nadine i kupił sobie dość jedzenia na cały dzień. Wprawdzie Kowalski zaprosił go na obiad i Monty zamierzał skorzystać z zaproszenia, ale wolał mieć w domu zapas, jeśli coś mu wypadnie i nie będzie mógł pójść. Poza tym wizyty U Nadine pozwalały mu nawiązywać kontakty z ludźmi z sąsiedztwa i dawały okazję do poznania najnowszych ploteczek.

W środę w całym Lakeside tylko on i kapitan Burke wiedzieli, że mieszkańcy Georgette zostaną wysiedleni. W czwartek o decyzji *terra indigena* poinformowała

ogólnokrajowa telewizja. W piątek rozgłośnia radiowa w Lakeside nadała audycję z udziałem słuchaczy, w której wiele osób wyraziło swoje rozżalenie i niezadowolenie z tego, że ludzie zostaną wyeksmitowani ze swoich domów. Domagano się komentarza ze strony konsulatu, tymczasem Elliot Wilcza Straż oznajmił jedynie, że *terra indigena*, podobnie jak każdy inny właściciel nieruchomości, mają prawo odmówić odnowienia umowy najmu, jeśli najemca okazał się niegodny zaufania. Ten komentarz spowodował wybuch prawdziwej histerii, tak wielkiej, że kapitan Burke postawił w gotowości wszystkich swoich ludzi, na wypadek gdyby tłum próbował szturmować Dziedziniec.

Na szczęście do najgorszego nie doszło. W piątek wieczorem przez miasto przeszła burza, a wichur i marznący deszcz zatrzymały ludzi w domach. Pioruny z przerażającą precyzją były w rozgłośnię radiową i stację telewizyjną, omal nie zmiatając ich z powierzchni ziemi. Następnego dnia w wiadomościach telewizyjnych nie było ani jednej wzmianki o tym, co się dzieje w Thaisii poza Regionem Północno-Wschodnim, a w radiu zamiast komentarzy nadawano muzykę.

Mieszkańcom Lakeside udzielono ostrzeżenia, które zostało właściwie zrozumiane.

Dzisiaj wszędzie, gdzie się udał, czuł na sobie wzrok sąsiadów. Wiedzieli, że jest policjantem, nikt jednak nie podszedł, by zadać mu pytanie, które dręczyło każdego: Czy gdyby doszło do starć, Inni naprawdę wyeksmitowaliby z Lakeside dwieście tysięcy mieszkańców?

Nikt nie zadał tego pytania być może dlatego, że odpowiedź była oczywista – i budziła strach.

Monty wyszedł od Nadine zaopatrzony w placek z mięsem, pojemnik z zupą i mały bochenek chleba – Elayne, jego była kochanka, uważała, że takie jedzenie tuczy, i zapewne miała rację, ale dziś potrzebował jakiejś fizycznej pociechy. Decyzja *terra indigena* była ostateczna i ludzki rząd na Zachodnim Wybrzeżu nic nie mógł w tej sprawie zrobić. Ludzie z Georgette musieli opuścić swoje domy do końca miesiąca, a jeśli tego nie zrobią... cóż, opuszczą je w inny sposób.

Wszedł do mieszkania, zdjął buty i w płaszczu poszedł do kuchni, żeby schować zakupy. W kolejce ludzie rozmawiali o tym, że czynsz za wynajem mieszkań na Zachodnim Wybrzeżu i w Regionie Północno-Zachodnim podwoił się w ciągu ostatnich kilku dni, co potwierdzało informacje, jakie dotarły do kapitana Burke'a kanałami policyjnymi.

Odwieszając płaszcz, Monty poczuł wielkie zadowolenie, że mieszka w dwupokojowym mieszkaniu z łazienką, którego nie musi z nikim dzielić.

W wielu miastach zapewne wstrzyma się budowę wielopiętrowych bloków mieszkalnych – ziemia będzie bardziej potrzebna pod uprawy, żeby wykarmić mieszkańców. Nie powiodły się próby wydzierzawienia od Innych nowych działek ziemi pod nowe farmy i osady, a wedle informacji kapitana Burke'a negocjacje w sprawie kolejnych odwiertów naftowych zerwano dzień po wydarzeniach w Georgette. Czyli ludzie nie będą mieli ani nowych pól, ani nowych źródeł paliwa. Niewielkie ludzkie osady, rozsiane wzdłuż dróg prowadzących przez interior i kontrolowane przez Innych, należały zapewne do Intuitów. Wprawdzie nikt nie podejrzewał, że ich mieszkańcy posiadają jakieś szczególne zdolności, ale mówiło się wiele o samych osadach. Nie były tak prymitywne, jak komuny Prostego Życia,

jednak nie były też cywilizowane w pełnym znaczeniu tego słowa, ponieważ kontrolowali je *terra indigena*; przede wszystkim nie było w nich ludzkiego rządu, który reprezentowałby ludzi i dbał o ich interesy.

Ostatnia nowa osada kontrolowana przez ludzi powstała ponad sto lat temu. Od tamtej pory Inni nie odstąpili ani piędzi swej ziemi. Monty podejrzewał, że z powodu wydarzeń w Georgette i pojawienia się niebezpiecznych narkotyków *terra indigena* będą odtąd wykorzystywać każdy pretekst, by pozbywać się ze swego sąsiedztwa dwunożnych szkodników. Tymczasem te części świata, które znajdowały się pod władzą ludzi i dysponowały techniką, ledwie były w stanie wyżywić własnych obywateli i nie miały nadwyżek żywności, które mogłyby sprzedawać.

Monty westchnął i przejrzał pobieżnie „Wiadomości Lakeside”. Dział poświęcony prowadzeniu domu rozpoczął właśnie nowy cykl artykułów na temat uprawy warzyw w przydomowych ogródkach – wyraźna wskazówka, że w najbliższe lato żywność produkowana na Północnym Zachodzie będzie droga – o ile w ogóle będzie.

Nic z tym dziś nie zrobimy, pomyślał, odłożył gazetę i zadzwonił do Elayne. Jeśli dobrze wyliczył, powinna już wrócić z Lizzy ze świątyni.

Po czterech sygnałach usłyszał w słuchawce głos córeczki:

– Rezydencja Bordenów, kto mówi?

Uśmiechnął się, choć serce ścisnęło mu się boleśnie.

– Mówisz zupełnie jak dorosła.

– Tata! – Radosny pisk Lizzy złagodził nieco ból, ale zaraz potem usłyszał w tle głos Elayne i jakiegoś mężczyzny. – Czy mogę przyjechać do ciebie w odwiedziny? – spytała Lizzy.

– Oczywiście, kochanie – odparł.

– Daj mi słuchawkę – usłyszał nagle ostry głos Elayne.

– Tata powiedział, że mogę go odwiedzić – poinformowała ją Lizzy.

Co takiego słyszał w głosie córki? Rozpacz? Desperację? Jakim cudem dziecko w tym wieku może desperacko pragnąć opuścić swój dom?

– Co się dzieje? – spytał, kiedy Elayne przejęła słuchawkę.

– Tylko nie utrudniaj – odparła cicho, a w jej tonie wyczuł złość. – Ona już i tak jest obrażona o wakacje. Nie może sądzić, że ucieknie do ciebie za każdym razem, kiedy coś pójdzie nie po jej myśli.

– Czego mam nie utrudniać? O co chodzi z wakacjami? – Monty czuł narastający gniew.

– Ta sprawa cię nie dotyczy – oświadczyła kategorycznie, jak zawsze, kiedy pytał o Lizzy.

– To moja córka, więc sprawa mnie dotyczy – odparował. – Nie będę wysyłał alimentów, jeśli nie będę wiedział, gdzie przebywa Lizzy.

– Będziesz wysyłał je tutaj, jak zwykle. Zostaną mi przekazane.

– Nie. Będę je wysyłał tam, gdzie przebywa moja córka, albo w ogóle.

– Chcesz, żebym założyła ci sprawę o alimenty?

– Jeśli tylko w ten sposób mogę uzyskać odpowiedź, śmiało. Wtedy twoje wakacyjne plany poznam nie tylko ja, ale również sędzia i prawnicy.

Pełna zaskoczenia cisza. Potem pełne irytacji parsknięcie.

– Nie robię nic niestosownego. – Monty milczał. Znowu parsknięcie, ale już nie

oburzone, tylko jakby maskujące niepewność. – Poznałam kogoś. To poważny związek.

Szybko, pomyślał Monty.

– Chcesz powiedzieć, że ten mężczyzna mieszka z tobą i Lizzy? Czy to właśnie oznacza „poważny związek”?

– Nie jesteś już częścią naszego życia i...

– Nie jestem częścią twojego życia, ale zawsze będę częścią życia Lizzy – warknął.

– Czego mi nie mówisz, Elayne? Niemówienie to twoja specjalność, zawsze próbujesz zmusić ludzi, żeby zgodzili się na coś, nie znając szczegółów, które najpewniej spowodowałyby odmowę.

Chwila milczenia.

– Mikołaj prowadzi wiece. Ma wielkie wpływy w ruchu LPNW.

LPNW? Monty przez chwilę nie potrafił rozszyfrować tego skrótu, a kiedy już mu się to udało, aż chwycił się oparcia krzesła.

– Ludzie Przede i Nade Wszystko? Wykopałaś mnie z domu i związałaś się z kimś, kto nosi na plecach tarczę strzelniczą? Czy ty w ogóle wiesz, co oni robią?

– To bojownicy! Walczą o to, na co zasługujemy! – odparła żarliwie. Czy zdawała sobie sprawę, że wyrażenie „na co zasługujemy” może mieć zupełnie inne

znaczenie? – Mikołaj przyjechał tu z Celtycko-Romańskiej Wspólnoty Narodów i ma wystąpić na cyklu wieców w Toland. – Głos Elayne odzyskał typową lodowatą wyniosłość. – Potem zabierze mnie i Lizzy na lato do rezydencji swojej rodziny.

– Jak on ma na nazwisko? – spytał Monty.

Chwila pełnej zaskoczenia ciszy.

– Strzępiel. Mikołaj Strzępiel. Oczywiście to tylko pseudonim. Używa go dla bezpieczeństwa, gdyż jego nazwisko jest powszechnie znane i nie chce narażać swoich bogatych krewnych na nieprzyjemności. On też jest bogaty.

Monty stłumił gniew, ponieważ wiedział, że nigdzie go nie doprowadzi. Spróbował odwołać się do instynktu samozachowawczego kobiety.

– Czy ty w ogóle masz pojęcie, co się dzieje w Cel-Romanii? Wiesz, że tam racjonuje się żywność? Mają poważne kłopoty, Elayne.

– Nie bądź śmieszny. Mikołaj by nas nie zapraszał, gdyby tak było. Po prostu znów próbujesz mi wszystko popsuć.

Nagle przypomniał sobie, że obecny status społeczny Elayne raczej wyklucza kontakty z wpływowymi mężczyznami z bogatych rodzin, a to kazało mu zacząć myśleć jak policjant, a nie jak ojciec. Kobieta, która desperacko pragnie wspiąć się wyżej na drabinie społecznej, to łatwy cel dla mężczyzny, który chciałby zaoszczędzić na hotelach. Czy Mikołaj Strzępiel przyjechał do Toland na czyjeś zaproszenie, czy może z własnej inicjatywy, żeby zarobić? Każdy może twierdzić, że pochodzi się z bogatej rodziny, zwłaszcza jeśli nikt nie może tego sprawdzić.

– Świetnie – powiedział. – Skoro chcesz jechać do Cel-Romanii z panem Strzępielem, twoja sprawa. Lizzy może zamieszkać ze mną do twojego powrotu.

– Nie zostawię córki w takim miejscu jak Lakeside – parsknęła Elayne. – Poza tym ty ciągle jesteś w pracy. I gdzie ona się wtedy podzieje?

– Załatwię to – zapewnił.

Cisza innego rodzaju. A po chwili:

– Nie musisz. Lizzy pojedzie do Cel-Romanii ze mną i z Mikołajem. I może się tak zdarzyć, że nie wrócimy potem do Toland ani w ogóle do Thaisii. Chcę, żeby moja

córka mieszkała w mieście, w którym zmiennokształtni i wampiry nie będą jej obserwować zza każdego rogu. Póki nie ucywilizujemy świata, nigdy nie będziemy mogli w pełni cieszyć się cywilizacją.

Retoryka Ludzi Przede i Nade Wszystko.

Dalsza dyskusja nie miała sensu. Monty postanowił, że jutro poszuka prawnika i spróbuje przejąć opiekę nad córką – albo przynajmniej powstrzymać Elayne od wywiezienia Lizzy na inny kontynent.

– Uważaj na siebie. Ze względu na Lizzy.

– Dlaczego tak mówisz?

– Ponieważ jeśli twój przyjaciel naprawdę próbuje zorganizować w Toland ruch Ludzie Przede i Nade Wszystko, zmiennokształtni i wampiry będą obserwować każdy jego krok, Elayne.

– Mówisz tak, żeby mnie przestraszyć!

– Nie. Mówię tak, ponieważ to prawda.

Wiedział, że ją zdenerwował, ponieważ pozwoliła, by Lizzy znów wzięła słuchawkę i porozmawiała z nim chwilę. A potem nagle, bez słowa rozłączyła rozmowę.

Nie miał pojęcia, jak zorganizowałby opiekę nad córką, ale niech go szlag, jeśli pozwoli tak po prostu wsadzić ją na statek i wywieźć za Atlantik.



– Ale dlaczego muszę tu zostać? – spytał Sam, marszcząc nos.

Simon zacisnął zęby, ale nie zwolnił kroku. Uważał, że skomlenie brzmi dużo gorzej, kiedy ucieka się do niego ludzka forma. Szczególnie ludzka forma szczeniaka.

– Przecież lubisz mieszkać z Elliotem i bawić się z innymi szczeniakami.

– Ale ja chcę mieszkać z tobą i z Meg!

Szczególnie z Meg, pomyślał Simon. Samowi najwyraźniej znudziło się sypianie ze szczeniakami w kompleksie Wilczej Straży, gdzie właśnie zmierzali, więc za wszelką cenę usiłował przenieść się do Simona, który mieszkał w Zielonym Kompleksie, drzwi w drzwi z Meg. Chciał się bawić ze swoją przyjaciółką, tak jak dawniej, i opowiadać jej o szkole. Tymczasem do Simona dotarło, jak wielkim zagrożeniem, nie tylko dla Meg, ale i dla Sama, jest niezgrabność i nieopanowanie szczeniaka. Właśnie dlatego odbywał z nim ten spacer w ludzkiej formie. Żeby mu to wszystko wyjaśnić.

Zatrzymał się i spojrzał siostrzeńcowi w oczy. Były szare jak u Elliota i u Daphne, ale Simonowi przywodziły na myśl raczej Meg.

– Sam, w tej chwili nie możesz ze mną mieszkać.

Sam spuścił wzrok.

– Dlatego że Meg znowu jest chora?

Tak wielki strach w głosie szczeniaka. Sam był świadkiem śmierci Daphne, swojej matki, widział, jak wykrwawia się z rany postrzałowej. Dopiero zaskakujące pomysły Meg sprawiły, że na powrót nawiązał z kimkolwiek kontakt.

Simon przykucnął przed nim, bardziej jak kochający wujek niż dominujący wilk.

– Meg nic nie jest, ale dowiedzieliśmy się o niej pewnych rzeczy. Jej skóra... – Jak wyjaśnić mu kwestię dziwnej, delikatnej skóry Meg?

– Ładnie pachnie – odpowiedział mu Sam.

Tak, jasne. Intryguje brakiem zapachu zwierzyny.

– Owszem, ładnie pachnie. Ale też łatwo ją zranić.

Sam cofnął się, wyraźnie oburzony.

– Nigdy nie zrobiłbym krzywdy Meg!

– Oczywiście, celowo nigdy byś jej nie skrzywdził – zgodził się Simon. – Ale dla niej niebezpieczne może być nawet małe zadrapanie.

– Ale wcześniej nie było!

– Owszem, było, tylko my o tym nie wiedzieliśmy. Oboje z Meg próbujemy ustalić, jak bardzo niebezpieczne. Poza tym dzieją się różne złe rzeczy i nie chcę, żebyś przebywał teraz sam. Dlatego musisz mieszkać wśród Wilczej Straży. – Teraz Sam zaskomlił inaczej. To był cichy, bolesny skowyt, który sprawił Simonowi dziwny ból. – Posłuchaj – powiedział szybko. – W tym tygodniu nie da rady, ale w następną niedzielę ty wybierzesz filmy, a ja zaproszę do nas Meg na wieczór. Zgoda? – Zgoda. – Chwila milczenia. – A mogę zamówić nowe filmy?

Simon pokazał mu dwa palce.



– Dwa, nie więcej. – Tak po prawdzie szczeniakowi wystarczyłby jeden, ale Simon pamiętał doskonale, że jeszcze kilka tygodni temu Sam ukrywał się w klatce i bał się wszystkiego. Trochę rozpieszczenia mu nie zaszkodzi. Nagle rozległo się wycie, które szybko zmieniło się w wilczy chór. – Chodź – rzucił Simon i ruszył w stronę Kompleksu Wilczej Straży tak szybko, że Sam musiał za nim biec. – Czas przyłączyć się do łowów.

Simon wrócił truchtem do Zielonego Kompleksu. Myśliwi upolowali jelenia i najedli się do syta, a potem zaśpiewali Pieśń Zdobyczy, wysyłając informację o świeżym mięsie do reszty Wilczej Straży. Sam szarpał jelenia z takim samym zapałem jak robiły to inne Wilczki, co wszystkie Wilki uznały za dobry znak. Mimo łowów i dobrego towarzystwa Simon cały czas czuł niepokój.

Prześladowała go myśl o tym, że Meg spędza niedzielę samotnie. A może chciała pobyć trochę sama? Może miała jakieś plany związane z ludzkim stadem? Może, może... Jednak to nie zmieniało prostego faktu, że chciał pobyć ze swoją przyjaciółką – skoro znów się przyjaźnili. Poza tym Jester powiedział mu, że Meg zdenerwowała się, kiedy została sama. To bardzo wilcza cecha obawiać się samotności. Aprobował to w niej.

Kiedy dotarł do mieszkania, zatrzymał się i zastanowił, czy wybrać ludzką formę czy wilczą? Który kształt pozwoli mu uzyskać to, po co tu przyszedł?

Ponieważ odpowiedź była prosta, wbiegł po schodach na werandę Meg, nacisnął dzwonek, tak że zaterkotał jak odmóżdżona mechaniczna wiewiórka, po czym otrząsnął z całych sił futro i czekał.

Kiedy Meg uchyliła drzwi, uśmiechnął się do niej po wilczemu, jednak nie zaprosiła go do środka. Przyjrzał się jej uważnie. Żałował, że nie może podejść bliżej i powęszyć, nie ryzykując, że zatrześnie mu drzwi przed nosem.

Miał wrażenie, że jest skrępowana albo zawstydzona. Ponieważ nie rozumiał dlaczego, przepchnął się energicznie obok niej i zatrzymał, żeby nie zostawić mokrych śladów na podłodze.

– Simon? – odezwała się wreszcie, zamykając drzwi. – Po co przyszedłeś? – Bo była jego przyjaciółką, a on chciał pobyć z przyjaciółką. – Chcesz czegoś?

Przydałby się ręcznik, żeby mógł wytrzeć łapy.

Nie potrafiła porozumiewać się na sposób *terra indigena*, ale musiała się domyślić, o co mu chodzi, ponieważ zniknęła na chwilę, a potem wróciła z ręcznikiem, który położyła na podłodze.

Chyba wyjęła go z kosza na brudną bieliznę, ponieważ mocno nią pachniał.

Simon podreptał po ręczniku, a potem poszedł prosto w stronę kanapy i rozwalił się na niej wygodnie. No dobrze, nie zaprosiła go, nie poprosiła, żeby się rozgościł, ale nie kazała mu również wyjść.

Meg, zamiast jak zwykle usiąść, tkwiła niepewnie obok kanapy.

– Wiem, że w niedziele wolisz zachowywać wilczą formę, ale może przemienisz się na kilka minut, żeby mi wyjaśnić, o co ci chodzi? – Och nie. Był futrzasty, ale nie głupi. Kiedy ostatnim razem przemienił się w człowieka, żeby z nią porozmawiać, zrobiło się straszne zamieszanie, a potem sprawy między nimi zaczęły się dziwnie układać. Nie zamierzał popełnić dwa razy tego samego błędu, więc tylko popatrzył na nią wyczekująco. – Gdybyś mi powiedział, czego chcesz... – Zaczerwieniła się i rzuciła okiem na mały zegarek stojący na stoliku, a potem na telewizor. – Chodzi o to, że... oglądałam w zeszłą niedzielę film w telewizji, a za kilka minut zaczyna się druga część.

Nie zamierzał jej przeszkadzać, właściwie całkiem podobał mu się ten pomysł.

Mogła usiąść i go głaskać.

Machnął dwa razy końcem ogona, dając znać, że się zgadza.

Meg westchnęła, włączyła telewizor i wybrała kanał. Potem usiadła w kącie kanapy, nadal zarumieniona.

Simon zamierzał zaczekać, aż zacznie się film, a potem jak zwykle oprzeć głowę o jej udo. Jednak zanim zdążył to zrobić, Meg otworzyła słoik z tłustym kremem pachnącym jak mydło i szampon, które *terra indigena* sprzedawali w swoich sklepach. Położyła stopę jednej nogi na kolanie drugiej i nasmarowała ją kremem, poświęcając najwięcej czasu palcom. Potem założyła grubą skarpetkę i zajęła się drugą stopą. Przez cały czas nie odrywała wzroku od ekranu telewizora.

Simon poczuł dreszcz podniecenia. *Och, nowa zabawa!* pomyślał.

Kiedy po raz pierwszy trącił ją łapą w udo, zignorowała go, ponieważ w filmie działo się właśnie coś ekscytującego. Zignorowała też drugie trącenie, jakąś minutę później. Ale kiedy wielka łapa nagle zasłoniła jej pole widzenia, aż pisnęła i cofnęła gwałtownie głowę.

– Co jest? – Simon popatrzył na słoik z kremem i znów wyciągnął łapę. Chyba nie chodziło mu o... – Żartujesz? – Bohaterka na filmie krzyknęła, ale Meg nie widziała, co się dzieje na ekranie, ponieważ widok wciąż zasłaniała jej wielka łapa. – Niech ci będzie. – Nabrała na palce więcej kremu i starannie natarła mu poduszki jednej przedniej łapy, a potem drugiej, masując zapewne dłużej, niż zamierzała, ponieważ zajęta była filmem. Kiedy skończyła, Simon położył głowę na jej udzie i zamknął oczy. – Zły Wilk – mruknęła, a zanurzwszy palce w jego futrze, dodała: – Mam nadzieję, że przednie łapy nie będą ci się teraz rozjeżdżać na podłodze.

W odpowiedzi tylko westchnął z zadowoleniem.

Zabawnie byłoby ganiać po mieszkaniu, ślizgając się po podłodze, ale tak też było miło. Podobało mu się, jak delikatnie obchodziła się z jego łapami.

Przez chwilę jeszcze słuchał filmowych dialogów, ale stwierdził, że zupełnie go nie interesują. Zapewne żaden samiec nie byłby nimi zainteresowany. Gdyby był w

ludzkiej formie, trudno byłoby mu ukrywać zdziwienie, a wówczas Meg byłaby nieszczęśliwa. Natomiast Wilk mógł jej dotrzymać towarzystwa i drzemać, przytulony do jej boku. Gdyby wyglądał jak człowiek, nigdy by mu na to nie pozwoliła. Futrzasty Wilk był przyjacielem. Mężczyzna Wilk wywoływał nieporozumienia.

Wdychał jej zapach i czuł wielkie zadowolenie. W pewnej chwili uniósł głowę i polizał ją po ręce. Zasypiał pełen spokoju i satysfakcji. Mimo że miała na rękach krem, i tak lubił jej smak.

Rozdział 12

Burke wezwał Monty'ego w środę z samego rana. Oznaczało to, że porucznik ma kłopoty. Kiedy wszedł do gabinetu zwierzchnika, ten złożył ręce i oparł je na biurku, zakrywając leżący na blacie wydruk z faksu. Potem obdarzył go uśmiechem, który był bardziej dziki niż przyjacielski.

– Mikołaj Strzępiel – powiedział. – Kto to jest i dlaczego interesuje policję? Czyli wpadł.

– Nie jestem pewien, czy interesuje policję – odparł Monty ostrożnie.

– W takim razie pozostaje pierwsze pytanie. Kto to jest?

Monty zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią. Burke rozumiał, że granica pomiędzy pracą a życiem prywatnym czasami jest płynna, postanowił więc zaryzykować.

– To nowy kochanek Elayne Borden, a jego tożsamości nie udaje się potwierdzić. Mieszka pod jednym dachem z moją córką, Lizzy.

Burke wskazał mu głową krzesło dla gości.

– Niech pan spocznie. – Monty usiadł. – W tym fakcie piszą niewiele. Znalazł pan coś jeszcze?

– Nie sądzę. Nic tak naprawdę o nim nie wiadomo. Według Elayne Strzępiel przyjechał z Celtycko-Romańskiej Wspólnoty Narodów, pochodzi z bogatej, wpływowej rodziny, używa pseudonimu, by chronić tożsamość tejże rodziny, i będzie przemawiał w Toland na wiecach ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko.

Monty zacisnął zęby. Przez dwa dni, szukając danych na temat Mikołaja Strzępiela, wciąż natrafiał na ścianę. Był wściekły i sfrustrowany.

– Czy zdołał pan potwierdzić jej informacje?

– Strzępiel naprawdę ma zaplanowanych kilka mityngów w Toland. – Nie zdołał dowiedzieć się tego osobiście, bo odkąd zabił człowieka w obronie młodego Wilka, nie miał przyjaciół w policji w Toland, ale poprosił Kowalskiego, żeby popytał. – Albo nikt nie wie o nim nic więcej, albo nikt nie chce podzielić się swoją wiedzą.

– To zrozumiałe, jeśli cieszy się poparciem rządu i naprawdę przyjechał tu wspierać ruch LPNW – powiedział Burke w zamyśleniu. – Panna Borden to matka Lizzy?

– Tak.

– Czy rozumie, że za sprawą Strzępiela sama również jest w to wmieszana?

Monty uśmiechnął się z goryczą.

– Obraca się teraz wśród ważnych ludzi i bardzo jej to odpowiada. – Ponieważ Burke nie wywalił go – jeszcze – za przekroczenie uprawnień i wykorzystywanie stanowiska dla celów prywatnych, postanowił się odsłonić. – Latem chce zabrać Lizzy do Cel-Romanii. Mówiła, że potem może nie wrócić do Toland ani nawet do Thaisii. Nie wiem, czy będę w stanie ją powstrzymać.

– Mamy dopiero początek marca, do lata jeszcze daleko. Najpierw zajmijmy się Strzępielem – zaproponował Burke. – Poproszę mojego kuzyna Shady’ego, żeby spróbował dowiedzieć się o nim czegoś w Brittanii. Wiem, że to daleki strzał, ale tamtejsza policja zwraca teraz szczególną uwagę na wszystko, co się dzieje w Cel-Romanii, więc może coś wiedzą.

– Dziękuję, kapitanie. Doceniam pański gest. – Monty wstał, ale zaraz usiadł z powrotem, ponieważ przypomniał sobie o e-mailu, który otrzymał dziś rano z Dziedzińca. – Simon Wilcza Straż i Henry Niedźwiedzia Straż jadą jutro na Wielką Wyspę poprosić tamtejsze władze o zgodę na przeniesienie tam syna pana przyjaciela.

– Jestem im wdzięczny.

Monty skinął lekko głową, wstał ponownie i wrócił na swoje stanowisko pracy, by dalej szukać danych o człowieku, który miał teraz wpływ na życie jego córki. Jak na razie Strzępiel potrafił skutecznie zablokować wszelkie informacje na swój temat, nawet te dotyczące kraju pochodzenia. Czy starał się tak bardzo, żeby ukryć się przed Innymi, czy może miał powody, żeby ukrywać się również przed ludźmi?

Rozdział 13

– Jestem bardzo wdzięczny za zaproszenie – powiedział Burke, kiedy wyjechali na Drogę Nadrzeczną. – Nie musieli mnie panowie zabierać na to spotkanie. Simon rzucił okiem we wsteczne lustro, a potem wbił wzrok w drogę przed sobą.

– Planuje pan odwiedzać szczeniaka swojego przyjaciela, jeśli osiedli się na Wielkiej Wyspie?

– Tak, oczywiście.

– W takim razie pańska obecność na spotkaniu jest konieczna.

Monty rzucił okiem na Burke’a. Twarz kapitana miała nieodgadniony wyraz, ale atmosfera w samochodzie wyraźnie się zagęściła. Burke znał Lakeside i wiedział, do kogo zadzwonić, żeby uzyskać informacje o mieście i okolicy, ale o Przystani Przewoźników wiedział w zasadzie tyle, ile powiedział im Simon Wilcza Straż na poprzednim spotkaniu.

Bliższe informacje posiadali jedynie o komunie Prostego Życia, która istniała na wyspie. Owszem, wiadomo było, że oprócz jej członków mieszkają tam też jacyś inni ludzie, którzy prowadzą sklepy i obsługują prom, ale ich osada nie podlegała władzy ludzi, tylko, podobnie jak cała wyspa, należała do *terra indigena*. Liczba mieszkańców nieznana. Poziom techniki nieznany. Nikt w Lakeside i Talulah Falls, dwóch najbliższych miastach, nie miał pojęcia, że Przystań Przewoźników to osada Intuitów. Burke pewnie zastanawiał się teraz, w co wpakował syna swojego przyjaciela.

Simon i Henry raczej nie celowali w rozmowach o niczym. Nie czuli się też zobowiązani do udzielania jakichkolwiek wyjaśnień. Wilcza Straż zadzwonił z nienacka dziś rano i zaproponował – czy może raczej zażądał? – żeby Monty i Burke pojechali z nim i Henrym na Wielką Wyspę na rozmowę w sprawie przenosin Rogera Czernedy. Monty nie był pewny, czy takie pospieszne działanie – Simon zostawił im na przygotowanie się do drogi dokładnie tyle czasu, ile zajął mu przejazd z Dziedzińca na komisariat na ulicy Orzechowej – to oznaka lekceważenia, czy też decyzję podjęto w ostatniej chwili, by ktoś mógł odpowiedzieć na wszelkie pytania, jakie mogą zadać mieszkańcy Wielkiej Wyspy. A wszelkie wysiłki Burke’a,

by dowiedzieć się, co było powodem zaproszenia, zostały zbyte milczeniem. Monty siedział na tylnym siedzeniu po prawej stronie, za Henrym, który zasłaniał mu widok na drogę, i rozglądał się po okolicy. Odkąd minęli tabliczkę informującą, że wyjechali z Lakeside, widział tylko brązowe pola i nagie drzewa. W marcu zwykle wraca wiosna, ale jak do tej pory nawet nie zaczęło się zielenić. Nagle zobaczył kompleks przemysłowy, który wydawał się opuszczony. Za budynkami fabrycznymi tuliły się do siebie domy mieszkalne. Po chwili zabudowania zniknęły i znów widział tylko pola i drzewa.

– Co to było za miejsce? To, które właśnie minęliśmy? – spytał.

– Zostało zamknięte – odparł krótko Henry. To nie była odpowiedź na jego pytanie. – Właściciele tego zakładu otrzymali dwa ostrzeżenia, że za bardzo zanieczyszczają ziemię i wodę – dodał Niedźwiedź. – Kazano im poszukać innego sposobu produkcji, ale nie posłuchali, więc Inni, którzy nadzorują tę część Namid, kazali im odejść.

– Dokąd?

Henry wzruszył ramionami.

– Do miasta, gdzie mogą zanieczyszczać ziemię i wodę, której używają ludzie. Albo do innej części Thaisii, która jeszcze nie została przez nich skażona. Stąd w każdym razie odeszli, a świat nie ma już ich smaku.

Burke położył rękę na oparciu fotela między nimi i pokiwał ostrzegawczo palcem, ale Monty nie mógł odpuścić.

– A co z pracownikami?

– Mam wrażenie, że część znalazła inną pracę i nadal tu mieszka. Ale większość się wyniosła – odparł Henry.

Tylko tyle ziemi i ani akra więcej – bez względu na to, jak wielka panuje ciasnota, pomyślał Monty. Tylko tyle odpadów z produkcji, nie więcej, bo inaczej stracisz wszystko.

Oczywiście czytał ludzką wersję historii Thaisii. Wiedział, że świetnie prosperujące miasta potrafią nagle zmienić się w miasta wymarłe. Weźmy na przykład Georgette. Czy mieszkańcy Georgette zamieszkają w tych pustych domach? Czy decydenci na Wielkiej Wyspie wzięli pod uwagę możliwość przyjęcia więcej niż jednego przesiedleńca?

Zauważył niewielki drogowy znak z nazwiskiem Przewoźników.

– Jesteśmy prawie na miejscu – oznajmił Simon.

Henry odwrócił się do tyłu.

– Intuicji wspólnie uprawiają całą tę ziemię.

Monty zauważył, że przez twarz Burke'a przemknęło zaskoczenie, ale kapitan zaraz się opanował.

Bezpańskie łąki zostały zastąpione przez ogrodzone pastwiska. Pojawiły się stodoły i zabudowania gospodarcze, stada krów i koni, trochę owiec, silosy zbożowe. Wyblakła tablica mówiąca o terminach zbioru owoców.

Potem krajobraz znowu się zmienił. Jechali teraz główną ulicą niewielkiej wsi. Linia energetyczna i światła w oknach wskazywały, że nie należała do komuny Prostego Życia. Sklepy, choć wiejskiego typu, były dobrze zaopatrzone: spożywczy, przemysłowy, stacja benzynowa, kilka jadłodajni, przychodnia i gabinet dentystyczny, fryzjer, księgarnia i kino, gdzie wyświetlano dwa filmy. Kiedy mijali boczną uliczkę, zauważył szyld banku i poczty.

Wszystko to bardzo przypominało rynek Dziedzińca, ale zbudowany na sposób ludzi.

– Przystań Przewoźników jest przedzielona rzeką. Tylko część leży na stałym lądzie – powiedział Simon, kierując się ku rzece. Skręcił na parking, zgasił silnik i wysiadł, nie czekając na towarzyszy.

– To przystań? – spytał Monty, zauważywszy hangar na łodzie, gdzie dokonywano również napraw.

– Tak – odparł Henry. – Większość łodzi należy do rodzin, które zarabiają na życie połowem ryb. Niektóre można wynająć na wycieczkę po rzece. – Machnął ręką w ich kierunku. – Jak widzicie, jest tu również przeprawa promowa.

Monty pomyślał, że prom jest dość miniaturowy. Te, które pamiętał z Toland, były trzy razy większe. Na tablicy na nabrzeżu podano rozkład rejsu oraz opłatę za przejazd w obie strony: dziesięć dolarów od osoby.

Za tę cenę raczej nikt nie odbywa podróży dla rozrywki, stwierdził w duchu.

Sz szczególnie z rodziną.

– Ja stawiam – powiedział Burke pospiesznie, wyjął portfel i podał mężczyźnie w kasie dwa dwudziestodolarowe banknoty.

Mężczyzna przyjrzał się uważnie Simonowi i Henry'emu.

– Kazano mi się spodziewać Wilczej Straży z Lakeside. Czy to pan? – Simon kiwnął głową. Mężczyzna oddał Burke'owi jeden banknot, po czym wydał mu cztery bilety.

– Dobowe, na wypadek gdybyście musieli się przeprowiać więcej niż jeden raz podczas swojej wizyty.

Po chwili wahania Burke wziął banknot i schował do kieszeni płaszcza, a potem rozdał bilety towarzyszom.

Tylko jedna cena na tablicy, wystarczająco wysoka, by zniechęcić turystów, pomyślał Monty.

– A jeśli trzeba przeprowić na wyspę samochód? – spytał, kiedy już wsiedli na prom. Simon zaprowadził ich do kabiny, bo choć świeciło słońce, na wodzie wcale nie było czuć wiosny.

– Należy zaczekać na barkę – odparł Henry, zajmując miejsce. – Do transportu rzeką wzywa się Przewoźników. Na lądzie zajmują się tym Saniarze. Tam jest ich budynek.

Monty wyjrzał przez okno i przeczytał napis na ścianie.

– Transport konny? – Uniósł brwi.

Henry kiwnął głową.

– Używają też ciężarówek, ale po obu stronach rzeki mają konie pociągowe.

Monty rzucił okiem na Burke'a. Zastanawiał się, czy kapitan nadal chce, żeby syn jego przyjaciela przeniósł się na tę wyspę.

Zatrzymał się przy nich mężczyzna w szarym mundurze pocztowym.

– Dzień dobry – powiedział wesoło. – Widziałem dziś niebieskie tancerki.

– Niebieskie tancerki? – zdziwił się Burke.

– To dzikie kwiaty – wyjaśnił Henry. – Kiedy się pojawiają, wiadomo, że Wiosna się obudziła, a Zima ustępuje.

Pocztowiec uśmiechnął się szeroko.

– Ale zanim zapadnie w sen, nie omieszka nam się przypomnieć.

Pomachał im wesoło na pożegnanie i przeszedł na przód kabiny.

– Dzisiaj nie mają pełnej załogi – stwierdził Simon, wskazując coś w rodzaju

niewielkiego baru. – Zwykle ktoś sprzedaje tu kawę i kanapki, a latem zimne napoje i lody.

Monty stwierdził, że latem to mogłaby być miła wycieczka, gdyby kogoś było na nią stać. Popołudniowy rejs promem, zwiedzanie wioski na wyspie i powrót do domu w samą porę na kolację. Czy prom pływa też w niedziele? Mógłby wybrać się tu z Lizzy. Zresztą wszystko jedno. Przecież może sobie wziąć wolny dzień.

Oczywiście zakładając, że zdoła zatrzymać córkę w Thaisii. I że w wiosce tolerowani są turyści. Będzie musiał wszystko opowiedzieć Kowalskiemu, ponieważ Ruth bardzo chciała odwiedzić komunę Prostej Życia, ale nigdzie nie mogła znaleźć informacji o możliwości przenocowania na miejscu.

Komitet powitalny czekał na nich na przystani – dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Monty rozpoznał, że dwoje z nich to *terra indigena*, ale nie potrafił określić, do jakiego rodzaju tubylców ziemi należą.

– Witam, panie Przewoźniku – powiedział Simon, kiedy podeszli bliżej.

– Witamy, panie Wilcza Straż. Widzę, że przywiózł pan gości.

– To jest kapitan Burke, a to porucznik Montgomery. Powinni być obecni przy naszej rozmowie. – Simon spojrział na Burke'a. – Steve Przewoźnik jest burmistrzem Przystani Przewoźników...

– ...ponieważ wyszedł z sali obrad rady wioski tuż przed głosowaniem – dopowiedział Steve, uśmiechając się do nich wesoło. – Witamy na Wielkiej Wyspie, w Przystani Przewoźników. Jak zapewne się domyśliliście, moja rodzina pracuje na rzece, odkąd nasi przodkowie przybyli w ten rejon Wielkich Jezior. To jest Ming Niedźwiedzia Straż i Flash Lisia Straż, nasi stróże porządku. Ponieważ pan Wilcza Straż wspomniał przez telefon, że chce porozmawiać o siłach policyjnych wyspy, zaprosiłem ich na spotkanie. Zarezerwowałem również dla nas salę w budynku rządowym. – Steve machnął ręką i za chwilę zatrzymał się przy nich kabriolet ciągnięty przez konia. – Jedna z tutejszych taksówek – wyjaśnił.

– Spotkamy się na miejscu – powiedział Ming, skinął na Flash i zwrócił się do Niedźwiedzia: – Masz ochotę rozprostować nogi, Henry?

Henry przytaknął i odszedł z tubylcami ziemi.

Monty i Burke usiedli na siedzeniu zwróconym przodem do kierunku jazdy, a Simon i Steve zajęli miejsce za woźnicą, którego Steve przedstawił jako Jerry'ego Saniarza. Jerry cmoknął na konia i powozik wyjechał z przystani.

– Nie macie tu samochodów? – spytał Monty.

– Jasne, że mamy. Ale nie używamy ich w samej wiosce – odparł Steve.

– Mamy taksówki i autobus kursujący po wiosce – rzucił przez ramię Jerry. – Jest jeszcze drugi, który dwa razy dziennie jeździ do komuny Prostej Życia i do kompleksów *terra indigena*. No i do centrum sportowego i kulturalnego.

– Ponieważ wioska nie jest duża, większość mieszkańców i tak woli chodzić pieszo, a latem jeżdżą na rowerze – stwierdził Steve. – Jerry właśnie odstawił sanie, które zimą służą nam do transportu.

Wioska stanowiła niemal lustrzane odbicie części leżącej na lądzie stałym. Były tu takie same sklepy, choć Monty miał wrażenie, że te na wyspie są większe i lepiej zaopatrzone – co wskazywałoby na to, że tutejsi mieszkańcy bywają zimą odcinani od lądu stałego.

– Oto budynek rządowy – oznajmił Steve, kiedy Jerry zatrzymał powozik przed frontem długiego piętrowego domu z kamienia. – Po jednej stronie mieszczą się sąd

i posterunek policji, po drugiej poczta, a część środkowa należy do rady wioski.

– Wygodne rozwiązanie – stwierdził Burke grzecznie.

– Jasne – zgodził się Steve. – Oczywiście najczęściej używana część budynku to ta, w której mieści się poczta.

Kiedy weszli do środka, Ming, Flash i Henry już na nich czekali. Wszyscy razem poszli na górę, do pokoju, na którego drzwiach wisiała tabliczka z napisem:

„Zarezerwowane”. Steve zdjął ją i zawiesił inną, z napisem: „Nie przeszkadzać”, którą wziął z półki na ścianie.

Kiedy już wszyscy usiedli przy stole, Steve spojrzał pytająco na Simona.

– Pan zwołał zebranie, więc może pan zacznie?

– Słyszeliście, co się wydarzyło w Georgette? – spytał Wilcza Straż.

– Wszyscy słyszeli, co się wydarzyło w Georgette – odparł basem Ming. –

Dostaliśmy wasze ostrzeżenie o chorobie i objawach, których należy się wystrzegać.

– To dobrze.

– Policjant z Georgette, który wystąpił w obronie Wroniej Straży, potrzebuje nowego domu – oznajmił Simon.

– Wszyscy mieszkańcy Georgette potrzebują nowego domu – zauważył Steve. – Przynajmniej tak mówili w wiadomościach.

Coś jest między nimi nie tak, pomyślał Monty, przyglądając się Simonowi i Steve’owi.

– Ten policjant to znajomy kapitana Burke’a. Chciałby się tu przenieść.

– Czy jest jednym z nas? – spytał Steve cicho.

– Nie.

– A czy on wie – Steve wskazał głową Burke’a – kim jesteście?

– Wie, że jesteście Intuitami. Nie sądzę, żeby rozumiał, co to oznacza.

Steve przez chwilę patrzył na kapitana, a potem utkwiał pytający wzrok w Simonie.

– Można mu ufać?

– Tak, tym dwóm można ufać.

Monty odetchnął. Nie zdawał sobie sprawy, że do tej pory wstrzymywał oddech.

Steve odchylił się na oparcie krzesła i uśmiechnął się do kapitana dziwnie.

– Wasz rodzaj nas prześladował, wypędzał z osad, które pomagaliśmy budować, a czasami po prostu zabijał. Wiele pokoleń temu uciekliśmy do interioru, zawiązaliśmy własny układ z *terra indigena* i stworzyliśmy własne społeczności. Uczymy się na waszych uniwersytetach, żeby zdobyć potrzebną wiedzę, i przez kilka lat, mimo ryzyka, pracujemy w waszych firmach, by nabrać doświadczenia. Ale przez większość życia trzymamy się na uboczu, po prostu żeby przeżyć. Nadal tak jest najrozsądniej. Musi pan sobie zdawać sprawę, że obecność wśród nas zwykłego człowieka będzie czymś... bez precedensu.

– Na wyspie macie przecież komunę Prostego Życia – zauważył Burke. – Co to za różnica, że ktoś zamieszka w waszej wiosce?

– Członkowie komuny sami wybrali swój sposób życia – odparł Steve. – Nie pasuje on do waszych miast, ale dość dobrze współgra z naszymi małymi wioskami. Oni tolerują nas, a my tolerujemy ich. A *terra indigena* tolerują obecność obu grup.

– Zaslugujecie, żeby tu mieszkać – wtrącił Ming, a Monty uznał, że to ogromna pochwała w ustach Niedźwiedzia *terra indigena*.

– W Brittanii, skąd pochodzą moi przodkowie, wasze zdolności nazywane są chyba jasnowidzeniem. – Burke zwrócił się do Steve’a. – Wiedza, której nie można

wyjaśnić. Czy to odpowiedni opis?

– Dostyc – zgodził się Steve.

– Proroctwa? – spytał Monty.

– Nie. – To katagoryczne zaprzeczenie zaskoczyło Monty’ego. Natomiast Simon wyraźnie się spiął. – Intuici nie miewają wizji. Nie widzimy obrazów przyszłości – powiedział Steve z nieco zbyt wielkim naciskiem. – Po prostu zdarzają nam się przecucia, dobre lub złe, związane z tym, co nas otacza.

– A teraz? – spytał Simon. – Co pan czuje teraz?

Wilk i Intuita zmierzyli się wzrokiem. Potem Steve zerknął na Monty’ego i Burke’a.

– Mam przecucie, że nadchodzi burza, i może byłoby dobrze, gdybyśmy mieli wśród nas jeszcze jednego policjanta, nawet jeśli nie jest jednym z nas – powiedział po chwili wahania. – Intuici korzystają z techniki, ale dokonaliśmy wielu wyborów, by utrzymać harmonię z *terra indigena*. Większość ludzi by ich nie dokonała. Czy temu policjantowi będzie dobrze wśród nas?

– Myślę, że Roger zdoła się przystosować – odparł Burke ostrożnie.

Steve poprawił się na krześle.

– Czy on umie jeździć konno?

– Nie wiem. A musi umieć?

– Przyda mu się ta umiejętność. Uprawia jakiś sport?

– W szkole grał w hokeja.

– Bejsbol? Siatkówka? Coś w tym rodzaju?

– Nie wiem.

– Roger ma być policjantem, a nie zapełniać wakaty w drużynach sportowych – zauważył Henry.

– Jedno nie wyklucza drugiego. – Steve wymienił spojrzenia z Mingiem i Flash, po czym skinął głową. – Dobrze. Nie możemy mu płacić wiele, ale pozwolimy mu poszukać tu dla siebie miejsca.

– Dziękuję – powiedział Burke. – Jeśli będę mógł wam jakoś pomóc, wystarczy zadzwonić.

– Przydałyby się informacje, jak się kupuje radiowóz. Nie mamy tu żadnego. – Steve z uśmiechem wstał zza stołu, ale gdy Simon trzy razy uderzył dłonią w blat, natychmiast usiadł z powrotem, a jego uśmiech zniknął. – Może przespacerujecie się po wiosce? – rzucił, wyraźnie spięty. – Pan Wilcza Straż i ja wkrótce do was dołączymy.

Monty i Burke wyszli z pokoju w krok za Henrym i Mingiem. Pochód zamykała



Flash. Na odchodnym Monty obejrzał się przez ramię. Nie bardzo wiedział, dlaczego widok Steve’a pogrążonego w cichej rozmowie z Simonem napelnia go niepokojem.

– Kiedy uprzedził nas pan o swoim przyjeździe na wyspę, sądziłem, że chce się pan wyrwać z Dziedzińca na kilka dni – powiedział Steve. – Przyjazd tutaj to dobry wybór. Blisko do domu, ale odpowiedzialność kogoś innego. Poza tym nie przeszkadza panu to, jak tu żyjemy, czego nie można powiedzieć o Dziedzińcu w Talulah Falls.

– Nie dlatego przyjechałem – odparł Simon. Przez całą drogę na wyspę zastanawiał się, czego właściwie chce się dowiedzieć i jak o to zapytać. Intuici zdołali

przeżyć, dlatego że byli ostrożni. Dotrzymywali umowy, jaką zawarli z *terra indigena*, więc Inni pomagali im studiować na uczelniach w ludzkich miastach albo uczyć się użytecznych zawodów i poznawać sposób działania ludzkich przedsiębiorstw. Uzbrojeni w tę wiedzę, mogli być dla *terra indigena* konsultantami podczas układów z ludźmi. Tubyłcy ziemi nagradzali ich lojalność ziemią i ochroną.

– Nie, nie dlatego pan przyjechał – zgodził się Steve. – Przyjechał pan z policjantami z Lakeside i poprosił, byśmy przyjęli do siebie obcego. Ale to także nie jest powód pańskiej wizyty.

Simonie, odezwał się Henry. Wszyscy już wyszli. Ming, Flash i ja oprowadzimy Burke'a i Montgomery'ego po wiosce.

Dogonię was, jak tylko tu skończę, odparł Simon. Nie wiedział, ile czasu zajmie mu zadanie właściwych pytań, więc postanowił nie tracić ani chwili.

– Powiedział pan porucznikowi Montgomery'emu, że nie miewacie wizji. Na pewno jednak wiecie o *cassandra sangue*.

Steve odsunął się od stołu, wyraźnie przestraszony.

– Niech pan zostawi ten temat.

Interesujące. Simon nie tego się spodziewał, ale reakcja Steve'a podpowiedziała mu, jak poprowadzić dalsze polowanie.

– Nie mogę. Meg to moja przyjaciółka.

– Meg?

– Nasz łącznik z ludźmi i wieszczka krwi. A ponieważ żyje na wolności, pojawiają się pewne... reakcje.

– Więc niech pan ją odda jej opiekunom.

Ignorując błagalny ton Steve'a – i jego dziwną, desperacką nadzieję – Simon zawarczał, szczerząc wydłużone wilcze kły.

– Klatki i strażnicy. Powiedziała, że woli umrzeć, niż wrócić w to miejsce. I mówiła bardzo poważnie. – Odczekał chwilę. – Co pan wie na ten temat?

Przewoźnik potarł twarz i westchnął.

– To czarna karta naszej historii, Intuici nadal się tego wstydzą. Znam ją tylko ze starych opowieści, przekazywanych z pokolenia na pokolenie. – Zawahał się. – Ale najpierw musi mi pan dać słowo, że nie będzie rozmawiał na ten temat z Jerrym Saniarzem ani z jego rodziną.

– Dlaczego?

– Ponieważ jego siostrzenica zaczęła się ciąć, kiedy osiągnęła wiek dojrzewania. Sporo czasu minęło, zanim rodzina zorientowała się, że specjalnie zadaje sobie rany i że ukrywa więcej, niż sądzili. Nie podejrzewali, że może być *cassandra sangue*, ponieważ minęło sześć, może siedem pokoleń, odkąd w którejś z rodzin na wyspie urodziła się wieszczka krwi. Nikt nie wiedział, jak jej pomóc. Pojawiły się pomysły poszukania jednego z tych miejsc, gdzie opiekują się takimi dziewczynami, ale Penny, żona Jerry'ego, była temu przeciwna ze względu na przeszłość. Jest tutejszym historykiem, bada dzieje Intuitów w Thaisii, więc liczymy się z jej opinią.

– Gdzie jest ta dziewczyna? – spytał Simon. Meg dopiero uczyła się, jak żyć poza kompleksem, gdzie ją przetrzymywano. Jego zdaniem radziła sobie świetnie, ale wciąż dręczyło ją mrowienie pod skórą, jakby przepowiednie kasały niczym gzy. Niewykluczone jednak, że innej wieszczce krwi mogłaby wyjaśnić wiele kwestii związanych z wizjami.

– Nie żyje – odparł Steve ze smutkiem. – Zeszłego lata rzuciła się do rzeki i spadła z

wodospadem, zanim ktoś zdołał ją wyciągnąć.

– Przykro mi. – Simon wprawdzie nie czuł żalu ani smutku z powodu śmierci nieznajomej, ale rozumiał, jakie to uczucie stracić kogoś ze swoich i wiedział, że kondolencje to w takim wypadku właściwa reakcja.

– Od tego dnia siostra Penny nie odzywa się do niej.

Tyle słów, a nie padło jeszcze ani jedno, które by mu pomogło.

– Meg mówi, że dziewczęta są trzymane w klatkach. W celach z drzwiami zamykanymi na klucz. Wiąże się je i tnie, kiedy ktoś zapłaci za przepowiednie. Nosila oznaczenie cs759.

– Oznaczenie? – Steve był wyraźnie wstrząśnięty.

– Nie nadają im imion. Własność nie zasługuje na imię. – Simon zauważył gniew wzbierający w oczach jego rozmówcy. – Meg ma srebrną brzytwę. Szerokość jej ostrza wskazuje, w jakich odstępach należy ciąć skórę. Oznaczenie jest wygrawerowane na ręczce.

– Siedem, pięć, dziewięć. Siedemset pięćdziesiąt dziewięć? Trzymali tam siedemset pięćdziesiąt dziewięć dziewcząt? – Steve przecesał ręką włosy. – Kiedy ludzie po raz pierwszy zetknęli się z *terra indigena*, zignorowali granice ustanowione przez samą Namid i doszło do wielkich bitew. Wydawało się, że zostaną całkowicie wyplenieni, a wówczas Namid podarowała części z nich dar wiedzy, którą ludzie nazywają intuicją. Świat przemienił też niektórych ludzi w taki sposób, by ich krew stała się oknem do przyszłości. To coś więcej niż wiedza. Ale taki dar zawsze ma swoją cenę. Kobiety, ponieważ to zawsze były kobiety, po kilku latach wieszczania straciły rozum. Odkryto jednak również, że krew *cassandra sangue* może uspokoić gniew, może złagodzić ból.

– A uczynić kogoś tak biernym, że nie będzie próbował walczyć, kiedy zostanie zaatakowany? – spytał Simon.

Steve wzruszył ramionami.

– O tym nie ma mowy w legendach, ale zachowało się kilka relacji z okresu, kiedy pierwsi osadnicy przybyli do Thaisii. Podobno coś, co *terra indigena* nazywali słodką krwią, potrafiło zakończyć konflikt bez walki. Jest również kilka wzmianek o *terra indigena*, którzy zlizali krew i oszaleli. Jeśli czytać między wierszami, można przyjąć, że i jedno, i drugie ma coś wspólnego z wieszczącymi dziewczętami.

Czyli to się dzieje nie po raz pierwszy, pomyślał Simon. Czyżby ktoś jeszcze natrafił na te wzmianki? Czy to stąd wziął się pomysł produkowania tych dziwnych narkotyków?

– Co to ma wspólnego z Intuitami?

– *Cassandra sangue* wywodzą się od nas. Są wyjątkowe dzięki swojemu darowi, ale kiedy próbujesz się ukrywać w ludzkiej osadzie, kiedy usiłujesz uniknąć piętna kogoś, kto zajmuje się czarami albo włada mocą bogów, ktoś taki stwarza zagrożenie dla wszystkich krewnych. Zabijano całe rodziny, w których rodziły się wieszczki krwi, naprawdę. – Simon kiwnął głową, dając do zrozumienia, że słucha uważnie. – Kilka pokoleń temu coś się zmieniło. Kiedy rozchodziła się wieść o obecności w jakiejś rodzinie *cassandra sangue*, zjawiali się obcy i opowiadali o specjalnym domu, tajemnym miejscu, gdzie takie dziewczęta są bezpieczne, gdzie znajdują dobrą opiekę, a równocześnie nie wystawiają na ryzyko swoich rodzin. Takie rozwiązanie miało być bezpieczne dla wszystkich. We wszystkich relacjach kładzie się nacisk na to, że rodzice oddawali swoje córki, żeby zapewnić

bezpieczeństwo im i reszcie potomstwa.

– Może z początku rzeczywiście tak było – wyraził przypuszczenie Simon.

– Niewykluczone. Ale myśliwi szybko się uczą, jak wytropić poszukiwaną zwierzynę, i wkrótce te wyjątkowe dziewczyny zniknęły z rodów Intuitów.

– Nie do końca – zaprotestował Simon, myśląc o przyjaciółce Meg, Jean, która urodziła się poza kompleksem.

– Być może, ale... – Steve zacisnął dłonie w pięści – ...Ci ludzie! Teraz hodują *cassandra sangue*, prawda? Hodują jak bydło, starając się uzyskać w ich potomstwie pożądane cechy.

– Tak mi się wydaje. Chociaż Meg nie mówi o tym wiele, więc nie mam pewności. Niemniej właśnie tak podejrzewam.

Milczeli przez kilka minut. Simon czuł rozczarowanie. Właściwie nie dowiedział się nic, co mogłoby pomóc Meg.

– Nie chciałbym wzbudzać niepokoju w osadzie, zadając zbyt wiele pytań – odezwał się wreszcie Steve. – Czy chciałby się pan dowiedzieć o wieszczkach krwi czegoś konkretnego?

Wilk zastanawiał się przez chwilę.

– Mrowienie skóry. Meg bardzo często je czuje. Czy tak jest zawsze, jeśli wieszczka mieszka poza kompleksem? Czy to przez to uczucie zaczyna się ciąć?

– Nie wiem. Porozmawiam z Penny, oczywiście poufnie. Myślę, że jej i jej siostrze pomoże świadomość, że rzeka mogła być lepszym rozwiązaniem. Skontaktuję się też z innymi osadami Intuitów i spróbuję się czegoś dowiedzieć.

– Niech pan uważa. Człowiek, który więził Meg, nadal próbuje ją odzyskać. Wysłał za nią pogoń. Zdołali zabić kilku *terra indigena* na moim Dziedzińcu, zanim ich zniszczyliśmy. I omal nie zabili samej Meg.

– Czy to z tego powodu burza odcięła Lakeside?

– Tak.

Steve oparł ręce na stole i podniósł się.

– No dobrze. Dowiem się, ile zdołam, na temat wieszczek krwi. Przyjmujemy też tego policjanta i pomożemy mu się tu zdomowić. Jak już mówiłem, nie możemy mu wiele zapłacić, ale będzie miał żywność, ubranie i dach nad głową.

– Myślę, że chwilowo tyle wystarczy. – Simon również się podniósł.

Steve przyglądał mu się przez chwilę, a potem uśmiechnął się dziwnie.

– Nazwał ją pan przyjaciółką.

– Co?

– Waszą Meg. Nazwał ją pan przyjaciółką. Czy naprawdę Wilk zaprzyjaźnił się z człowiekiem?

Simon zawarczał. Nie mógł się powstrzymać.

– W Lakeside powstało wokół niej ludzkie stado. Całe stado kłopotliwych, niejadalnych kobiet. – No dobrze, to stado składało się z zaledwie trzech dziewczyn, prócz samej Meg, ale kiedy się do czegoś zabierały, wydawało się, że jest ich o wiele więcej. Steve zacisnął wargi i zamrugał szybko. – No co? – prychnął Wilk.

– Intuici, ludzie z Prostego Życia i *terra indigena* wykonują na wyspie różne zadania, ale przynoszą one korzyść każdemu. Sądzę, że dobrze współpracowaliśmy ze sobą przez wiele lat, ale wątpię, żeby Ming, Flash czy jakiś inny tutejszy *terra indigena* kiedykolwiek uznał kogoś z Intuitów za przyjaciela. Mam przeczucie, że ta Meg wiele zmieniała pomiędzy waszym rodzajem a moim. Więcej, niż możecie

przypuszczać.

Teraz Simon przechylił głowę na bok i przyjrzał mu się uważnie.

– Ma pan przeczucie?

– Właśnie. Przeczucie.

Intuici nigdy nie rzucali tego słowa na wiatr.

– Dam znać, kiedy Roger Czereda będzie gotów przybyć na wyspę.

Steve potarł ręką miejsce na plecach, między łopatkami.

– Może to coś podobnego. Mrowienie, o którym pan mówił. Intuici czują się lepiej w małych skupiskach ludzi. Łatwiej wtedy zrozumieć, w jaki sposób inni ludzie pasują do całości, i zauważyć, kiedy coś ulega zmianie. Z tego powodu nie zachęcamy turystów, żeby tu przyjeżdżali, kiedy zwiedzają Talulah Falls. – Simon czekał. – Każdy wybór zmienia przyszłość – dodał Steve po chwili milczenia.

– Czyli za każdym razem, kiedy wybieram, co zjeść na śniadanie, powoduję mrowienie pod skórą Meg?

– Nie. Gdyby tak było, te dziewczyny popadałyby w szaleństwo bez względu na to, jak bardzo ograniczone byłyby ich kontakty z innymi ludźmi. Ponieważ ich rodzaj pochodzi od naszego, kiedy wieszczka przywyknie do swego otoczenia, takie zwyczajne, codzienne wybory przestają na nią wpływać.

Steve był wyraźnie podekscytowany, ale przecież nie znał Meg. Simon nie podzielał jego entuzjazmu.

– Jest z nami od dwóch miesięcy, a mimo to nadal kilka razy dziennie czuje mrowienie.

Steve spowaźniał.

– Jeśli tak, to podejrzewam, że wasza wieszczka przeczuwa nadejście wielkiego zła.

I właśnie to martwiło Simona najbardziej.

– Będziemy w kontakcie.

Steve zawahał się.

– Czy mógłbym odwiedzić niedługo Dziedziniec w Lakeside?

Dlaczego Przewoźnik pyta o to właśnie teraz?

– Chce pan rzucić okiem na Meg?

– Owszem. Ale bardziej zależy mi na tym, żeby to ona rzuciła okiem na mnie.

Simon doszedł do wniosku, że rozszarpanie gardła Przewoźnikowi może i byłoby szczerą reakcją, ale zapewne nieodpowiednią. A ponieważ miał już wystarczająco dużo rzeczy do przemyślenia, postanowił nie zastanawiać się, skąd przyszedł mu do głowy taki pomysł.

Wyszedł bez słowa i ruszył ulicą prosto przed siebie. Henry'ego, Burke'a i Montgomery'ego znalazł na przystani, pakowali właśnie słoiki z dżemem i miodem, które zamierzali zabrać na Dziedziniec.

Steve nie przyłączył się do nich, a Simon uznał, że tak jest lepiej.

W drodze powrotnej do Lakeside spodziewał się pytań, przynajmniej ze strony Burke'a, ale obaj policjanci milczeli, podobnie jak Henry, który myślał zapewne wyłącznie o miodzie.

I dobrze. Miał dość ujadania na dzisiaj. Po rozmowie ze Steve'em postanowił jedno: następnym razem, kiedy Meg będzie chciała się ciąć, potwierdzi swoje podejrzenia co do ludzi, których Namid uczyniła równocześnie wspaniałymi i strasznymi.

Rozdział 14

W następną niedzielę, zgodnie z obietnicą, późnym popołudniem Simon odebrał Sama z kompleksu Wilczej Straży i przygotował wszystko na wieczór filmowy z Meg.

Wprawdzie tylne drzwi do ich mieszkań wychodziły na wspólny korytarz, jednak kiedy zapraszał Meg do siebie, ona zawsze przychodziła od frontu, choć musiała w tym celu włożyć palto i botki. Dziś mu to odpowiadało. Kiedy zdejmowała okrycie – usiłując nie uderzyć niechcący Sama, który podskakiwał wokół niej i nawijał jak katarynka o szkole, nowych filmach i innych szczeniakach – Simon przygotował popcorn i szklanki z wodą. W popcornie było nieco więcej masła i soli niż zwykle, a do tego tak się dziwnie złożyło, że zapomniał przynieść serwetki, zanim się rozebrał i przemienił w Wilka. No cóż, w tej sytuacji, jako uprzejmy gospodarz, będzie musiał pomóc Meg oczyścić ręce w inny sposób, prawda?

Zanim wszedł do bawialni, Meg i Sam zdążyli włączyć pierwszy film i wziąć sobie popcorn, więc od razu zajął swoje stałe miejsce na kanapie.

To był film przygodowy. Wprawdzie dla dzieci w wieku Sama, ale dużo bardziej interesujący niż te, które szczeniak oglądał jeszcze dwa miesiące temu.

Odkąd Meg wywabiła go z klatki, dorósł – i fizycznie, i umysłowo – bardziej niż przez ostatnie dwa lata, kiedy trauma po śmierci matki uwięziła go w jednej formie. Simon przeciągnął się z ukontentowaniem. Film był interesujący, ale bardziej odpowiadała mu drzemka z głową na kolanach Meg.

Nie bardzo wiedział, kiedy coś się zmieniło. Zapewne zasnął głębiej, niż zamierzał. Drzemał, niejasno świadomy dotyku palców Meg zanurzonych w jego futrze, gdy nagle poczuł, że się dusi. Natychmiast ocknął się i zaczął walczyć – a wówczas chwyt na jego szyi zacisnął się mocniej. Wyszczrzył zęby, gotowy gryźć, ale czuł tylko zapach Meg.

Meg? Puść mnie, Meg! Nie mogę oddychać! Nie mogła go usłyszeć, więc spróbował wsadzić łapę między jej ręce a swoją szyję, ale natychmiast uświadomił sobie, co się może stać, jeśli choć draśnie ją pazurem. Meg? MegMegMeg. Chrrrr... – Hej, Meg – odezwał się Sam, chichocząc. – Dusisz wujka Simona. – Och! Przepraszam. – Puściła go i poklepała po łopatkach, a potem pocałowała między uszami.

Simon wolałby mniej klepania, a więcej buziaków, ale i tak dobrze było znów móc oddychać. A następnym razem, zanim znów zacisnęła ręce na jego gardle, zdołał wsadzić łapę między jej ramiona a swoją szyję.

Sam rzucił na niego okiem.

Śmiesznie wyglądasz.

Zawarczał.

Zajmij się lepiej popcornem.

Oczywiście, że wyglądał śmiesznie. Meg wciągnęła go na swoje kolana i używała jak żywej tarczy. Zerknęła na film spomiędzy jego uszu, a kiedy na ekranie działo się coś strasznego, ścisnęła go z całych sił i przyduszała. Simonowi brakowało wskazówek, które kawałki to te straszne – szczeniak był pod tym względem bezużyteczny, podskakiwał na siedzeniu, krzyczał i wył, kiedy Oddział Wilków wykonywał swoją misję, jaka by ona nie była – więc kiedy po raz drugi omal nie dźgnął się łapą w oko, postanowił zwrócić większą uwagę na akcję. Wkrótce jednak doszedł do wniosku, że oddech Meg, mierzwiący mu sierść, jest lepszą wskazówką

niż sama fabuła. Przynajmniej zaczął rozpoznawać oznaki nadchodzącego niebezpieczeństwa na tyle wcześniej, by głęboko nabrać powietrza.

Kiedy film się skończył, Sam skakał podniecony po całej bawialni, a Simonowi wyraźnie strzykało w karku. Opuścił tylne łapy na podłogę i zdołał wysunąć się z objęć Meg.

Wyglądała, jakby posypała sobie twarz mąką.

– Widziałaś, jak Oddział Wilków rozszarpywał wrogów? – spytał Sam, machając rękami. – Wytropili ich i...

– To było straszne!

– Nie, straszne to było, jak prawie ich złapali. Ale znaleźli tych złych i...

Sam.

Sam przestał skakać i spojrzał na Meg.

Kocha ją, pomyślał Simon na widok reakcji chłopca. Nie tak jak kochał Daphne, ale kocha Meg jak siostrę. Jak członka stada. Jak... rodzinę.

– Pewnie dla ciebie był straszniejszy, bo jesteś dziewczyną – powiedział po chwili Sam.

Simon wątpił, żeby to był powód. Podejrzał, że różnica nie wynikała z płci, tylko z faktu, że Meg była człowiekiem. Ale nie poprawił siostrzeńca.

Myślę, że na dziś już dość filmów.

– Chcesz zagrać w karty, Meg? – spytał Sam.

– No... dobrze. – Sięgnęła po miskę z popcornem. – Tylko wyniosę to do kuchni i umyję ręce.

Simon westchnął – widać dziś nie było mu dane wylizać jej rąk – i poszedł się przemienić, zanim wejdzie do kuchni. Zdążył włożyć dzinsy i właśnie wciągał przez głowę sweter, kiedy się zjawiała. Szła niepewnie, a ręce, w których trzymała miskę z popcornem, wyraźnie jej drżały.

– Simonie?

– Tak?

– Czy mogę tu zostać na noc?

Ten film naprawdę musiał ją wystraszyć.

– Jasne. Tylko... Sam będzie dziś u mnie spał. Ale obaj zachowamy wilczą formę. Meg kiwnęła głową, a potem spojrzała na swoje dłonie.

– Futro ci wypada.

Miał wrażenie, że przed filmem wcale nie wypadało. Ale nawet w tej formie skóra trochę go piekła, jak po wyrwaniu włosów.

Nerwowo zaciskające się palce. Wypadające futro. Będzie musiał o tym pamiętać.

– Może zagracie sami? – zaproponował. – Chciałbym jeszcze raz obejść kompleks.

– Dlaczego? – pisnęła Meg. – Czy coś się stało?

– Nic się nie stało. Robię tak co wieczór. Pamiętasz?

– Och... Tak, pamiętam.

Meg nie była króliczkiem, ale dziś wieczorem naprawdę potrzebowała stróża w postaci wielkiego groźnego Wilka. Co było raczej zabawne, zważywszy powód jej strachu.

Zatrzymał się w bawialni i powęszył chwilę, żeby namierzyć Sama, który ukrył się za kanapą. Najwyraźniej zamierzał wyskoczyć stamtąd z warkotem, gdyż strach Meg zdążył uderzyć mu do głowy. Simon zwrócił mu uwagę, że Meg nie będzie chciała oglądać z nimi więcej filmów, jeśli teraz z premedytacją ją nastraszy, a kiedy

malec trochę się opanował, wyszedł na obchód. Przełknął ze dwa razy ślinę, sprawdzając, czy gardło działa prawidłowo, po czym odetchnął głęboko i przeciągnął się, krzywiąc się lekko. Zdecydowanie strzykało mu w karku. Elizabeth Bennefeld miała przy rynku gabinet masażu. Wątpił, żeby któryś z Innych korzystał z jej usług, ale Meg i towarzyszkę z ludzkiego stada lubiły masaże i twierdziły, że dobrze działają na naciągnięte mięśnie, więc może on też powinien się umówić? Jeśli ich wieczory filmowe mają odtąd tak wyglądać, jego szyi przyda się każda pomoc.

Obszedł kompleks, zwracając uwagę, u kogo pali się światło, a u kogo nie, aż zauważył Henry'ego. Niedźwiedź stał w przejściu do garaży.

– Już obejrzelście dwa filmy? – zdziwił się.

– Meg była dziś w stanie znieść tylko jeden – odparł Simon.

Henry zmarszczył brwi.

– Myślałem, że będziecie oglądać to, co wybrał Sam. Coś odpowiedniego dla szczeniaka.

– Właśnie. Ale to był film *terra indigena*.

Henry śmiał się tak długo i tak głośno, że wszyscy mieszkańcy kompleksu zaczęli wyglądać z okien albo otwierać drzwi.

Henry? Simon? zawołał Vlad. Co się dzieje?

To samo pytanie zadali Jester Kojocia Straż, Marie Jastrzębia Straż, Jenni Wronia Straż i Tess.

Ale Simon nie zamierzał wydawać Meg, więc zignorował pytania i wrócił pospiesznie do siebie. Jednak kiedy zamykał drzwi, miał świadomość, że jutro rano wszyscy na Dziedzińcu będą już znali nowiny.

Rozdział 15

W czwartek od rana Simon szykował Zabójczo Dobre Lektury do otwarcia. Od pewnego czasu nie mieli wielu ludzkich klientów, ani tu, ani w Czymś na Ząb. Zrobiło się ich jeszcze mniej po incydencie z zeszłego tygodnia, kiedy to dwie dziewczyny chciały rozsmarować psie kupy po książkach. Ich mocne, paskudne perfumy niemal zamaskowały zapach odchodów, więc udało im się minąć Johna, który tego dnia stał w kasie, ale Blair i Nathan zapędzili je za półki i osaczyli, a potem wyciem wezwali Simona i Vlada.

Ludzkie prawo nie działa na Dziedzińcu. Kilka miesięcy temu Blair i Nathan bez namysłu zabiliby te dwie dziewczyny już za samą intencję zniszczenia książek. Ale tym razem Simon wezwał porucznika Montgomery'ego i zażądał aresztowania wandalek.

Kiedy nadjechały radiowozy na syrenach, dziewczyny były wyraźnie zaskoczone. Miały zostać aresztowane? Wpisane do policyjnych kartotek? Miały zapłacić grzywnę albo iść do więzienia? Ale przecież nic nie zrobiły!

To wtedy Blaira opuściła resztką cierpliwości wobec głupich małąp. Oświadczył, że Wilki są głodne, i spytał, którą rękę może sobie urwać na obiad.

Nikogo nie zaskoczyło, że nagle dziewczyny zmieniły zdanie – zapragnęły zostać aresztowane i ochoczo opuściły księgarnię w asyście uzbrojonych funkcjonariuszy. Nie zdołały niczego zniszczyć, więc brakowało dowodów wandalizmu, oprócz plastikowych toreb z psią kupą. W tej sytuacji ludzkie prawo zapewne nic nie zdziała, jedynie udzieli dziewczynom ostrzeżenia, a to z kolei niezbyt odpowiadało *terra indigena* mieszkającym na Dziedzińcu. Większość wolałaby, żeby Simon po

prostu przekazał Montgomery'emu ich portfele, by policja mogła wypełnić protokół Zmarły, Miejsce Nieznane. Potem Boone z Jastrzębiej Straży wystawiłby dyskretny znak w swoim sklepie mięsny, informujący o dostępności specjalnego mięsa. Dziewczyny nie rozumiały ani nie doceniały decyzji, jaką podjął Simon, ale Montgomery owszem. Ciche „dziękuję” porucznika, kiedy policjanci wyprowadzali dziewczyny z księgarni, potwierdziło, że ludzie dostrzegli w tym wezwaniu próbę utrzymania pokoju jeszcze trochę dłużej. W zamian policja miała zamiar stać na straży ustaleń poczynionych pomiędzy Lakeside a *terra indigena*. Minęło ledwie kilka tygodni, odkąd Zima odcięła miasto od świata zewnętrznego. Codziennie w radiu rozwozono się nad trudnościami, jakie mieli ludzie z naprawą zniszczeń. Małpy nie miały pojęcia, jak blisko całkowitej zagłady znalazły się. Gdyby tamtej nocy Meg zginęła, Zima nie okazałaby im litości, a Lakeside po prostu by zniknęło, jak mnóstwo innych ludzkich osad.

Ponieważ niewiele czasu minęło od burzy i ponieważ Simon miał nadzieję, że ciepłe wiosenne dni złagodzą napięcie w mieście, dawał ludziom czas, by poszli po rozum do głowy – a policji, by załatwiła sprawę na własny sposób. Zresztą sam miał o czym myśleć.

W zeszłym tygodniu pojechał na Wielką Wyspę porozmawiać ze Steve'em Przewoźnikiem, a teraz Przewoźnik przyjeżdżał na Dziedziniec, by spotkać się z kapitanem Burke'em i Rogerem Czernedą. Simon uznał, że najlepiej będzie zorganizować to spotkanie na Dziedzińcu, ponieważ dzięki temu on i Vlad będą mogli w nim uczestniczyć. Ale wówczas pojawiły się dwa problemy. Jednym był Roger Czerneda, a drugim Steve Przewoźnik. Obaj byli młodymi kawalerami, a Przewoźnik wykazywał wyraźne zainteresowanie Meg.

To nie jest moja Meg, pomyślał Simon, zastanawiając się, po co otworzył szufladę kasy. *Przynajmniej nie do końca moja*. W swej ludzkiej formie tubylcy ziemi mogli uprawiać seks z ludźmi, ale nigdy się z nimi nie wiązali.

Natomiast Intuita mógł związać się z *cassandra sangue*. Podobnie jak zwyczajny człowiek.

Nagle poczuł, że na ramionach i piersi wyrosło mu futro, a u rąk pojawiły się wilcze pazury. Nie zdawał sobie sprawy, że warczy ani że wydłużyły mu się kły, póki nie usłyszał zduszonego pisku.

Heather, jedyny ludzki pracownik ZDL, gapiała się na niego niepewnie.

– Powinnam wyjść? – spytała.

Pokręcił głową. Cholera! Przemienił się tak bardzo, że nie mógł już mówić po ludzku! Wyszedł z kasy, zastanawiając się, co jeszcze się przemieniło. Ale wiedział, że klepanie się po głowie, by to sprawdzić, było kiepskim pomysłem.

Nie myśl o ludzkich mężczyznach, kobietach, związkach... nie myśl o niczym. Po prostu idź do biura, zanim wystraszysz Heather na śmierć. Cholera jasna, psiakrew! Kiedy przestała oddzielać ich lada, dziewczyna zamarła, ale Simon przeszedł zdecydowanym krokiem przez magazyn, kierując się ku schodom na górę. Jednak nie mógł znieść myśli o uwięzieniu w zamkniętym pomieszczeniu. Musiał pobiegać. Zdarł z siebie ubranie i porzucił je na podłodze przy tylnym wyjściu z ZDL. Potem wyszedł na zewnątrz, przemienił się w Wilka i zawył z frustracją.

Simon? odezwał się Nathan.

Strzeż Meg, odparł i puścił się biegiem, byle dalej od dzielnicy handlowej Dziedzińca, ignorując niespokojne pytania Elliota i Tess. Bieg drogą mu nie

wystarczył, więc ruszył na przełaj, przez las, przebijając się przez zasy. Oficjalnie rządziła już Wiosna, ale ślady Zimy gdzieś tam były jeszcze widoczne. Biegł, aż zmęczył się tak bardzo, że przestał myśleć o rozszarpaniu Steve'a Przewoźnika za sam fakt, że był mężczyzną. Nie powinien czuć się w ten sposób. Nie rozumiał, dlaczego czuje się w ten sposób.

Meg była dla niego źródłem niespodzianek od chwili, kiedy zatrudnił ją na stanowisku łącznika z ludźmi Dziedzińca. Jego reakcja na Steve'a Przewoźnika to tylko kolejny przykład tego, jaką mu robi wodę z mózgu.

Nie zdziwił się, kiedy w drodze powrotnej przyłączył się do niego Blair.

Wszystko w porządku? spytał.

Świetnie, warknął Simon.

Zmieniłeś zdanie w sprawie spotkania?

Nie w sprawie spotkania.



Przez kilka minut biegli niespiesznie w milczeniu.

Uważaj, Simonie, powiedział wreszcie Blair. Nie możesz stać się zbyt ludzki.

Inaczej patrzymy teraz na kilku z nich, ale większość to nadal mięso.

Wiem. Czym innym była umiejętność przemieniania się w ludzi, a czym innym myślenie jak ludzie.

Blair skierował się do Kompleksu Usługowego, a Simon pobiegł dalej w stronę dzielnicy handlowej.

Terra indigena, którzy mieszkali na Dziedzińcach i obserwowali z bliska rozumne mięso, zawsze groziło nabranie zbyt wielu ludzkich cech. Powinien latem wyjechać na co najmniej dwa tygodnie do interioru, gdzie mógłby przez dłuższy czas pozostawać w formie Wilka i odzyskać poczucie tożsamości. Ale nie będzie mógł tego zrobić. W Lakeside i w całej Thaisii zrobiło się zbyt niespokojnie. Póki nie ustalą, kto produkuje te narkotyki, nie może sobie pozwolić na wakacje.

No i czuł zbyt wielką potrzebę przebywania blisko Meg.

Nie wiedział dlaczego. To wprawiło go w złość – na nieszczęście dla królika, który właśnie tę chwilę wybrał, żeby wyskoczyć z kryjóWKi.

Tess zauważyła czterech młodych mężczyzn po drugiej stronie ulicy – zaczęli napierać na Merri Lee, która stała na rogu i czekała na zmianę świateł. Pchnęli ją tak mocno, że omal nie wpadła pod samochód. Kiedy przeszła na drugą stronę, oni zostali po stronie ulicy należącej do ludzi. Tess nie słyszała, co za nią wołali, ale zobaczyła wyraz twarzy Merri Lee – momentalnie ukryty pod sztucznym uśmiechem.

Godzinę później dalej tam tkwili i obserwowali kawiarnię. A Merri Lee obserwowała ich. Tess, która była jednym z najbardziej zabójczych stworzeń Namid, bez trudu dostrzegła, kto tu jest drapieżnikiem, a kto ofiarą.

– Znasz ich? – spytała.

– Właściwie nie – odparła Merri Lee. – Studiują na uniwersytecie w Lakeside. Z dwoma mam chyba wspólne zajęcia.

Kiedy sprzątała stoliki przy oknie, mężczyźni zaczęli coś wykrzykiwać.

Co oni krzyczą? Tess zwróciła się do Wron, które siedziały na dachu. One też obserwowały.

Że Merri Lee to wilcza dziwka i dostanie to, na co zasługuje, odparł Jake. Czy Merri

Lee uprawia seks z Wilkiem?

Na pewno nie z Simonem, stwierdziła Jenni. Simon lubi naszą Meg. Chwila ciszy.

Czy Simon i Meg uprawiają seks, jak się już pobawią?

Nie, odparła Tess stanowczo. Związek Simona z Meg był zbyt skomplikowany na coś tak prostego jak seks. A Meg się zdenerwuje, jeśli o to spytacie.

Wrony nie odpowiedziały. Nie spodziewała się niczego innego. Pewnie będą dokuczać Wilkowi, by go sprowokować, ale za nic nie zdenerwują wieszczki krwi, która uratowała im życie.

– Wiesz, jak oni się nazywają? – Tess znów zwróciła się do Merri Lee, ale ponieważ dziewczyna pokręciła głową, dała jej spokój.

Tylko Meg, Merri Lee i Heather miały w swojej pracy do czynienia i z Innymi, i z ludźmi. Pozostali ludzie pracownicy Dziedzińca byli zatrudnieni w firmach świadczących usługi tylko dla *terra indigena*. Lorne Kates prowadził Trzy P, Elizabeth Bennefeld, masażystka, pracowała na własny rachunek i dwa razy w tygodniu przyjmowała w gabinecie przy rynku, a Dominic Lorenzo powoli realizował swój plan otwarcia gabinetu lekarskiego na Dziedzińcu. W ciągu ostatnich dwóch tygodni inni zatrudnieni ludzie często dzwonili z informacją, że są chorzy, a niektórzy przestali choćby dzwonić. Nawet konsulac tracili pracowników. Ta sytuacja była skutkiem burzy, która przeszła nad Lakeside na początku lutego i nikogo nie zaskoczyła. Dowodziła jednak, jak krótka jest ludzka pamięć – ci, którzy porzucili pracę na Dziedzińcu, zapomnieli, że tylko ona czyniła ich niejadalnymi w oczach *terra indigena*.

– Merri Lee, przejrzyj magazyn, czy nic nam się nie kończy – poprosiła Tess.

Zaczekała, aż dziewczyna pójdzie na zaplecze, a potem wyszła przed kawiarnię.

Od grupy mężczyzn oddzielała ją teraz tylko szerokość ulicy, ale odległość nadal była zbyt duża, by Tess ujawniła swoją prawdziwą naturę. Ktoś mógł ją zobaczyć, a jeśli zaczną chorować ludzie, którzy przejeżdżali obok Dziedzińca, pojawią się pytania. Tymczasem ona nie zamierzała pozwolić żyć nikomu, kto pozna na nie odpowiedzi.

A przynajmniej żadnemu człowiekowi. Ujawniła swoją prawdziwą naturę, kiedy zabiła Asię Crane, kobietę odpowiedzialną za próbę uprowadzenia Sama i Meg, i od tamtej pory zastanawiała się, czy Henry i Simon wiedzą, do jakiego rodzaju *terra indigena* należy. Żaden nie powiedział ani słowa na ten temat, a ona ceniła sobie ich milczącą akceptację, na tyle by nie sprowadzać świadomie kłopotów na Dziedzińiec, jeśli da się ich uniknąć.

– Zauważyłaś coś, co ci się podoba? – spytała Nyx, podchodząc do niej.

Tess rzuciła okiem w stronę parkingu dla klientów Dziedzińca. Ilu jeszcze Sanguinatich obserwuje ją z cienia?

– Widzę tylko stado kłopotliwych ludzi.

– Hmm, ja widzę raczej jedzenie na wynos.

Tess roześmiała się, co najwyraźniej wkurzyło ludzi. Jeden z nich wyciągnął z kieszeni niewielki pojemnik i pomachał nim w ich stronę.

– Chodźcie! – zawołał. – Zamkniemy dziwkę w słoiku!

Uśmiech Nyx się nie zmienił, ale włosy Tess zrobiły się czerwone z czarnymi pasmami. Czarny to kolor śmierci. Kusilo ją, by pokazać swoją prawdziwą naturę.

Wyczuwała, że Nyx również z trudem powstrzymuje się od ataku.

Ale ostatecznie obie uznały, że szkoda fatygi. Przynajmniej na razie.

Chwilę później, nadal uśmiechając się do mężczyzn, Nyx weszła do Zabójczo Dobrych Lektur, a Tess wróciła do kawiarni.

Wkrótce będzie musiała podjąć decyzję. Wiedziała, że sprawdzanie zapasów nie zabierze Merri Lee wiele czasu. *Terra indigena* nie mieli obowiązku chronić ludzi – przynajmniej nie poza granicami Dziedzińca – ale знаła człowieka, który był bardzo



zainteresowany ochroną Merri Lee.

Zadzwoiła do biura ZDL.

– Vlad? Powiedz Simonowi, że chcę być na spotkaniu z policją.

– Nie macie już ciasteczek o smaku wołowiny? Więc może kurczak? – Słuchając wymówek kierownika Pałacu Milusińskich, Meg wyszczerzyła zęby w sztucznym uśmiechu. Czytała niedawno w gazecie, że zachowanie pozytywnego podejścia ułatwia kontakt nawet z kimś, kto zapomniał, jak należy obsługiwać klientów. Niestety Wilki potrafiły świetnie odczytywać ukrywane emocje. Na widok jej miny Nathan oparł łapy o kontuar i nadstawił uszu. Zważywszy, że zamawiała właśnie ciasteczka dla psów, aż dziw, że tak długo opierał się pokusie podsłuchiwania. – A ciasteczka dla szczeniaków? – spytała. – One też zupełnie wam się wyprzedają? Kiedy spodziewacie się...? Och, już się ich nie produkuje? Tak, nie wątpię, że jest panu przykro.

– Aruuu? – zawarczał cicho Nathan.

Meg odłożyła słuchawkę nieco gwałtowniej, niż było to konieczne. Ktoś otworzył drzwi do recepcji, a Nathan obrócił się szybko, żeby sprawdzić, kto przyszedł.

Harry z Dostarczamy Wszędzie wahał się przez chwilę w progu. W końcu wszedł i postawił swoje paczki na przeciwległym końcu lady, jak najdalej od Wilka.

– Chyba nie muszę pytać, czy macie udany dzień – stwierdził.

– Aruuu!

Meg odetchnęła głęboko, po czym wzięła długopis i podkładkę. Bardzo lubiła Harry'ego; często opowiadał jej o swojej żonie i pokazywał zdjęcia wnuków. Nie powinna się na nim wyżywać.

– Przepraszam, Harry. Mam kłopoty z zamówieniem. – Zaczęła spisywać szczegóły dostawy.

– Och? Jakiego rodzaju kłopoty? – zapytał, a kiedy nie odpowiedziała, spojrzał na Nathana. – Pan zapewne nie może mi powiedzieć?

Wilk przeskoczył przez kontuar i zniknął za drzwiami z napisem „Wstęp wzbroniony”.

– Tylko się ubierz, jeśli chcesz się przemienić! – zawołała za nim Meg. Nathan wrócił po chwili z pudełkiem ciasteczek dla psów i rzucił je na ladę. Harry popatrzył na pudełko, a potem na Meg i uniósł pytająco brwi. Westchnęła ciężko. – Chciałam domówić więcej w Pałacu Milusińskich, ale ich kierownik twierdzi, że zupełnie się wyprzedali, ze wszystkich smaków i wielkości.

– To się zdarza, panno Meg – zapewnił ją Harry. – Jak się pójdzie do sklepu na dzień przed dostawą, wiele półek świeci pustkami. A jeśli towar jest sezonowy, to jak sklep się wyprzedzi, następną dostawę otrzyma dopiero w przyszłym roku.

– Ja to wszystko rozumiem – odparła Meg. – Tylko że kiedy wczoraj zadzwoniłam do Chrupiących Przymaków, żeby zamówić pizzę, powiedzieli mi, że już nie realizują dostaw, a kilka minut później przejechał tędy ich samochód! – Nathan

napierał na nią z całych sił. Kiedy stanął jej na nodze, zakryła mu uszy dłońmi i dodała szeptem: – A Julia Jastrzębia Straż mówi, że kiedy w zeszły piątek pojechali busem na zakupy do centrum handlowego, niektóre sklepy miały wywieszone w drzwiach tabliczki „Tylko dla ludzi”.

Puściła uszy Nathana i zaczęła się drapać przez sweter w prawe przedramię.

Wyraźnie nie mogła się pozbyć tego mrowienia.

– Cholerni głupcy – mruknął Harry i wziął pudełko psich ciasteczek. – Takie chciała pani kupić?

– Owszem, ale...

– Nie noszę przy sobie dużo pieniędzy, ale w przerwie na lunch zajrzę do tego sklepu i kupię ze dwa pudełka. Chyba że mówili prawdę i rzeczywiście się wyprzedali.

– Ja mam pieniądze – oświadczył Simon, który nie wiadomo skąd pojawił się nagle przy ladzie.

Meg nie usłyszała, kiedy wszedł. Nathan gwałtownie przepchnął się obok niej, tak żeby stała pomiędzy nim a Wilkiem w ludzkiej formie. Nagle poczuła się bardzo niska i drobna – ale mrowienie pod skórą wreszcie ustało.

Simon położył na ladzie dwa dwudziestodolarowe banknoty.

– Ludzie zaczną zadawać pytania, jeśli kupi pan zbyt wiele. Wystarczy po jednym pudełku z każdego smaku.

– Świetnie. – Harry schował pieniądze. – Zobaczę, co da się zrobić. – Dotknął ręką daszka czapki i wyszedł.

– Pilnuj recepcji – polecił Simon Wilkowi, po czym wziął Meg pod ramię, zaciągnął ją do sortowni i zamknął za nimi drzwi.

– Nathan nie będzie mógł pokwitować dostaw, chyba że się przemieni – zaprotestowała. – A zapewniam cię, że dostawcy nie będą się czuli swobodnie przy nagim Wilku.

– To potrwa tylko chwilę. Dlaczego drapiesz się po ręce?

– Mrowiło mi ramię. – Kiedy znów spróbowała się podrapać, złapał ją za oba nadgarstki i przytrzymał. – Simon! – krzyknęła.

– Przez cały tydzień nie czułaś mrowienia. Ani tutaj, ani w domu. Nie czułaś potrzeby cięcia się.

Bardzo uważał, żeby jej nie zranić, więc się nie wrywała. Poza tym miał rację w kwestii mrowienia. I do pewnego stopnia również w tej drugiej sprawie. Czasami rozpaczliwie pragnęła poczuć euforię, ale istotnie nie czuła potrzeby przecięcia skóry. Codzienne zajęcia, choć nie niosły ze sobą tej rozkoszy, skutecznie łagodziły potrzebę. A sąsiedzi o niezwykle czułym węchu dodatkowo zniechęcali ją do zadawania sobie ran.

– O co ci chodzi? – spytała.

– Zdaniem Steve’a Przewoźnika z Wielkiej Wyspy Intuici mieszkają w małych osadach po to, żeby móc się dostroić do miejsca i ludzi, którzy ich otaczają.

– Nigdy nie słyszałam o Intuitach.

Simon poruszył się niespokojnie.

– To taki pośredni rodzaj ludzi.

– W jakim sensie pośredni?

– Pomiędzy ludźmi takimi jak porucznik Montgomery a takimi jak ty. Większość nie doświadcza wizji, miewają tylko przeczucia, dobre albo złe.

– Większość? – Serce Meg podskoczyło gwałtownie. – Ale niektórzy je miewają i wygłaszają proroctwa?

Nagle ręce i policzki Simona pokryły się futrem, które po chwili znikło.

Najwyraźniej mimowolne zmienianie postaci było oznaką silnych emocji.

– *Cassandra sanguine* wywodzą się od Intuitów – powiedział. – Przynajmniej tak mnie zapewniano.

Nie chciał mi tego powiedzieć, pomyślała Meg. Więc dlaczego to zrobił? Coś takiego! Jean zawsze się upierała, że takie jak ona mogą żyć w zewnętrznym świecie. Nie urodziła się w kompleksie, kiedyś miała prawdziwą rodzinę i nikt jej nie ciął dla zysku.

Jean...

Meg krzyknęła i znów chciała zacząć się drapać, ale nie mogła, bo Simon nadal trzymał ją za nadgarstki.

Nie mogła się teraz ciąć. Nie przy Simonie i Nathanie. A jeśli Nathan zaraz nie przestanie wyć, zlecą się tu Wilki, Niedźwiedzie i Sanguinati.

– Nic mi nie jest – sapnęła, widząc niepokój w oczach Simona. – Nic mi nie jest.

– Każę mu się wynosić – zawarczał. – Guzik mnie obchodzi, że chce cię poznać.

Nie pozwolę mu wejść na Dziedziniec.

– Komu? – Musi się opanować. Nie może myśleć o Jean ani o kompleksie. Musi się skoncentrować na czymś nowym. Intuici. Czy ci ludzie mogą jej pomóc zrozumieć, jak żyć w świecie zewnętrznym?

– Steve’owi Przewoźnikowi – znów warknął. – Jeszcze tu nie przyjechał, a już cię zdenerwował.

– Nieprawda. Pomyślałam o swojej przyjaciółce, Jean – wyznała Meg. – Nie możesz za to winić pana Przewoźnika. Bardzo chcę go poznać.

– Dlaczego? – Spojrzał na nią czujnie. – Widziałaś go wcześniej?

Nie miała pojęcia o jego istnieniu, póki Simon nie wymienił jego nazwiska, więc dlaczego pyta, czy widziała...?

No jasne. Mogła go przecież zobaczyć w wizjach – tak jak zobaczyła Simona, zanim go jeszcze poznała. Ale nie, nie widziała Steve’a Przewoźnika i nie wiedziała nic ani o nim, ani o ludziach, których nazywano Intuitami.

A czy kontroler o nich wiedział?

Nie myśl o tym teraz. Skup się na Simonie.

– Powiedziałeś, że Intuici mieszkają w małych osadach. Skoro wywodzą się od nich wieszczki krwi, może wiedzą o nich coś ważnego?

Chociaż futro zniknęło z policzków Simona, paznokcie pozostały przemienione w pazury, ale bardzo uważał, żeby jej nimi nie zadrasnąć.

– Zastanawiałem się, czy z tobą nie jest tak samo – wyznał. – Może twoja skóra nie mrowi już przez cały czas, ponieważ do nas przywykłaś?

Meg pomyślała o swojej codziennej rutynie. Gdy co rano otwierała biuro łącznika, w recepcji między dostawami zwykle drzemał Nathan, a czasami również Jake z Wroniej Straży. Wszystkich dostawców widywała co najmniej dwa razy w tygodniu. Chodziła na zajęcia do Spokojnego Umysłu z Merri Lee, Heather i Ruth Stuart. W Zielonym Kompleksie codziennie stykała się z Henrym, Tess, Vladem, Julią Jastrzębią Strażą, Jesterem Kojocią Strażą oraz z Jenni Wronią Strażą i jej siostrami. No i z Simonem.

Czasami czuła mrowienie – jak wtedy, gdy Ruth zapodziała klucze – ale nauczyła

się, że zwyczajnymi sprawami należy zajmować się w zwyczajny sposób, na przykład pomagając przyjaciółce szukać kluczy, i takie drobne mrowienie można zignorować.

– Muszę o tym pomyśleć, upewnić się – powiedziała.

– Nie drapałaś się aż do dzisiaj.

– Czy dzisiaj coś ma się zdarzyć? – zapytała. Zawarczał, a kły mu się wydłużyły. – Może powinieneś wyjść i trochę pobiegać.

– Już to zrobiłem.

Meg westchnęła i spróbowała uwolnić nadgarstki. Simon puścił ją bez protestów.

– Idź na to spotkanie i spróbuj nikogo nie ugryźć. A po pracy możemy pójść na spacer z Samem.

– Dobrze. Niech będzie.

Sprawiał wrażenie nieszczęśliwego. Dlaczego był nieszczęśliwy, skoro sam umówił to spotkanie? Chyba że ma to coś wspólnego z nią?

– Jeśli nie chcesz, nie muszę się spotykać z panem Przewoźnikiem – powiedziała, próbując zinterpretować język jego ciała i wyraz twarzy.

– Powinnaś go poznać. Tylko że... nie przepadam za nim. – Spojrzał na drzwi do recepcji. – Nathan mówi, że policja już przyjechała. I jeszcze jeden samochód.

– Więc powinnam wrócić do recepcji.

Zawahał się, a potem polizał ją po policzku i wyszedł pospiesznie tylnymi drzwiami.

Meg stała jeszcze przez chwilę tam, gdzie ją zostawił, przeglądając w pamięci obrazy szkoleniowe, twarze wyrażające różne uczucia. Potem pokręciła głową i otworzyła drzwi do recepcji, żeby nie drażnić dłużej Nathana.

Jej wzrok padł na książkę *Randkowanie dla idiotów*, którą zostawiła na ladzie.

Zamknęła oczy i wyobraziła sobie serię obrazów: Simon wchodzi do biura, myśli o spotkaniu i o tym dziwnym człowieku, Stevie Przewoźniku, którego zaprosił na Dziedziniec. Simon patrzy na książkę, którą ukrywała aż do teraz, ponieważ nie potrafiłaby mu wyjaśnić, że czyta o tym, jak należy się umawiać z ludźmi, żeby go lepiej zrozumieć. Simon rozważa, co kryje się za zainteresowaniem Steve'a Przewoźnika jej osobą i za jej zainteresowaniem Intuitą. W końcu Simon podczas tej dziwnej rozmowy.

Musiała się mylić, musiała błędnie zinterpretować ostatnie kilka minut. Przecież chodzi o Simona, Wilka *terra indigena*. Bo gdyby był człowiekiem, powiedziałaaby, że jest zazdrosny.



Simon zatrzymał się przed drzwiami pokoju spotkań Stowarzyszenia

Przedsiębiorców i przeprowadził szybką kontrolę.

Ręce? Ludzkie. Uszy? O ludzkim kształcie i bez sierści. Zęby?

– Wystarczy – mruknął pod nosem i wszedł do środka.

Spodziewał się zastać tam Vlada i Henry'ego, choć spotkanie nie miało nic wspólnego z Dziedzińcem w Lakeside. Obecność Tess, z włosami zupełnie czerwonymi i ciasno zwiniętymi w loki, nie była przyjemną niespodzianką.

Po co przyszłaś? spytał.

Muszę o czymś poinformować policję, odparła.

Oczywiście obecny był również Steve Przewoźnik. Może i miał wiedzę, której

potrzebowała Meg, ale nigdy nie nauczy się tak starannie zlizywać z jej rąk masła i soli, jak robi to Wilk.

Myśląc o Przewoźniku wylizującym ręce Meg, Simon mimowolnie zawarczał. Na ten dźwięk wszyscy się wyprostowali – z wyjątkiem Przewoźnika, który chyba próbował wydawać się mniejszy.

Simon? spytał Henry. Czy raczej ostrzegął.

Simon odetchnął i spojrzał na policjantów. Między kapitanem Burke'em a porucznikiem Montgomerym siedział mężczyzna, którego nie znał.

Roger Czerneda był średniego wzrostu, miał jasne włosy i niebieskie oczy. W jego wyglądzie nie było nic agresywnego czy wyzywającego, więc nie powinien mieć kłopotów z Innymi na Wielkiej Wyspie. Jeszcze nie wyleczył się z ran odniesionych w Georgette. Gdyby to były łowy, Wilki spróbowałyby oddzielić go od ludzkiego stada, ponieważ łatwiej byłoby go schwytać.

Zaproszony gość jest niejadalny, napomniał się Simon w myślach i zajął miejsce przy stole. Spojrzenie, jakie rzucił mu Henry, sprawiło, iż przejechał językiem po zębach, chcąc się upewnić, że nadal są ludzkie.

– Dziękujemy za zorganizowanie spotkania – kapitan Burke zwrócił się do Simona, ale zdołał objąć tym stwierdzeniem wszystkich obecnych Innych. – Dziękuję również, że pan Przewoźnik zechciał przyjechać do Lakeside, by poznać Rogera.

– Cieszę się, że mam okazję odwiedzić tutejszy Dziedziniec – powiedział Steve. – Pan Czerneda musi się dowiedzieć kilku rzeczy o Przystani Przewoźników, zanim podejmie ostateczną decyzję. – Odchylił się na krześle i skrzyżował nogi w kostkach. Najwyraźniej znów czuł się swobodnie. – Stosunki panujące na Wielkiej Wyspie nie są czymś wyjątkowym w Thaisii, niemniej stanowimy najbardziej znaną społeczność, w której obok siebie żyją harmonijnie *terra indigena*, komuna Prosteego Życia i Intuici. Nikt z nas nie jest bogaty, jeśli chodzi o pieniądze i dobra materialne, ale wszyscy mają środki do życia.

Ponieważ wynik spotkania w żaden sposób nie wpływał na Dziedziniec w

Lakeside, Simon nie słuchał zbyt uważnie tych peanów na cześć współpracy.

Przystań Przewoźników nie była jedyną ludzką osadą należącą do *terra indigena*.

Dwie podobne społeczności znajdowały się w górach Addirondak; produkowano tam rzeczy interesujące Innych w zamian za ziemię i surowce naturalne.

Społeczności Intuitów nie różniły się jakoś wyraźnie od innych ludzkich osad – tyle że nie miały Dziedzińców, a otaczał je bezpośrednio interior wraz z

zamieszkującymi go *terra indigena*. Intuici nigdy nie zapominali, że ich istnienie

zależy od sprawiedliwej wymiany z Innymi, a ci z kolei pamiętali, że ludzie to nie *terra indigena*, więc nie nawiązywali z nimi przyjaźni i nie zaczęli o nich dbać.

Może teraz powinienes zacząć słuchać, powiedział Vlad. Chyba skończyli.

Co przegapiłem?

Roger zostanie zatrudniony w Przystani Przewoźników. Burke pomoże Steve'owi Przewoźnikowi kupić radiowóz, ponieważ nie mają tam ani jednego. Flash Lisia

Straż zostanie partnerką Rogera, pomoże mu poznać wyspę i obie części wioski.

Czy ktoś go uprzedził, żeby patrzył w inną stronę, jeśli jakiś farmer zgłosi kradzież jajek z kurnika?

Jestem pewien, że Lisia Straż odpowiada za jajka.

– No cóż. – Burke poprawił się na krześle. – Myślę, że to wyczerpuje wszystkie

kwestie...

– Nie – przerwała mu Tess. – Musicie się o czymś dowiedzieć. – Spojrzała na Vlada.

– Chyba że ty im powiesz?

– Niby co? – spytał Vlad, wyraźnie zdumiony.

Słuchając relacji Tess o ludziach, którzy obserwowali Merri Lee, Simon przyglądał się Burke'owi i Montgomery'emu. Złość i troska. Uwaga o wilczej dziwce nie była dla Burke'a zaskoczeniem. Pytanie tylko, kto – policja czy *terra indigena* – zajmie się tą sprawą, zanim dojdzie do starcia. Gdy Tess powtórzyła uwagę o dziwce w słoiku, wyraz twarzy Vlada wskazywał wyraźnie, że jeśli policja się nie pospieszy, Erebus Sanguinati weźmie sprawę w swoje ręce.

– Porozmawiam z kapitanem komisariatu w dzielnicy uniwersyteckiej – obiecał Burke.

– Ta sprawa nie dotyczy tylko Lakeside – odezwał się Przewoźnik. – Słyszeliśmy pogłoski o podobnych zajściach w Talulah Falls. Kilka demonstracji w okolicach tamtejszego Dziedzińca, mowy wygłaszane w college'ach... – Urwał, a po chwili dodał: – Kilka dni temu, wieczorem, doszło do incydentu. Właśnie dlatego postanowiliśmy przejrzeć nasz budżet i zatrudnić policjanta.

– Co zaszło? – spytał Roger, blednąc gwałtownie.

– Do północnego brzegu wyspy, tam gdzie swoje farmy ma komuna Prosteego Życia, przybiła łódź. Ktoś próbował podpalić stodołę.

– Próbował? – powtórzył Simon.

– Nagle spadła ulewa. Lało przez dwie godziny, a deszcz stłumił ogień, zanim farmer zdążył o nim zawiadomić. Równocześnie na rzekę opadła ciężka mgła. Na wodzie nie widziało się własnej ręki.

Simon pomyślał, że Woda musiała tego wieczoru dosiadać Mgły. Nawet *terra indigena* nie mieli pojęcia, w jaki sposób Żywioły dzielą świat na terytoria ani ile ich jest. Był jednak prawie pewien, że Żywioły, które zajmują się Wielką Wyspą i Talulah Falls, mieszkają na jego Dziedzińcu.

– Czy policji udało się znaleźć winnych? – spytał Burke.

Przewoźnik uśmiechnął się do niego krzywo.

– Gęsta mgła i bystra rzeka, a dalej wodospady. Następnego ranka wyciągnęliśmy z wody rozbitą łódź i dwa ciała.

– Czy były pozbawione krwi? – spytał Vlad. – Wiem, że Sanguinati, którzy mieszkają na wyspie, od paru dni interesują się wybrzeżem.

Przewoźnik wzruszył ramionami.

– Spadli z wodospadów. Jeśli umarli wcześniej, Sanguinati zrobili im przysługę.

– Coś jeszcze? – spytał Simon. Kiedy zebrani pokręcili głowami, wstał.

– Jak będzie pan gotowy, proszę przyjechać na wyspę, pomożemy się panu urządzić – Przewoźnik zwrócił się do Rogera.

– Panie Wilcza Straż, ma pan może chwilę? – spytał Montgomery.

– Ale tylko chwilę.

– Zaczekam na zewnątrz – stwierdził Przewoźnik.

– Może oprowadzę naszych gości po rynku? – zaproponował Vlad.

Kiedy wszyscy wyszli, Simon przyjrzał się Montgomery'emu. Nie był chory, ale jego ciemna skóra nie wyglądała też normalnie.

– Coś panu jest? – spytał.

Montgomery uśmiechnął się łagodnie.

– Ostatnio mało sypiam. – No tak. Wilk zwija się w kłębek i drzemie, kiedy tylko ma okazję, ale ludzie rzadko wykazują tyle rozsądku. – Podobno ostatnio odeszło z pracy kilku waszych ludzkich pracowników – podjął porucznik.

– Większość. Dlaczego pan pyta?

– Theral, kuzynka posterunkowego MacDonalda, szuka pracy. Posiada umiejętności, które mogą się przydać doktorowi Lorenzo, jeśli nie zatrudnił jeszcze nikogo do recepcji.

– Dlaczego chce pracować na Dziedzińcu?

Montgomery poruszył się niespokojnie.

– Kilka miesięcy temu zakończyła związek, w którym dochodziło do przemocy. Od tamtej pory dwukrotnie straciła pracę, ponieważ jej były partner przychodził do biura, żeby jej grozić, i wywoływał burdy. Przeniosła się do Lakeside, bo ma tu rodzinę. Obiecałem MacDonaldowi, że porozmawiam z panem na ten temat, na wypadek gdyby szukał pan nowych pracowników. Jeśli jest pan zainteresowany, zadzwoni i umówi się na spotkanie.

Simon podrapał się za uchem. Zastanawiał się, co tak naprawdę chce mu powiedzieć Montgomery.

– Myśli pan, że ten człowiek przyjedzie za nią do Lakeside i będzie próbował sprawiać kłopoty?

– Mam nadzieję, że nie.

– Ale chce pan, żebyśmy go zjedli, jeśli się pojawi?

– Nie, nic z tych rzeczy.

Pomimo zaprzeczenia Simon wątpił, żeby Montgomery zmartwił się bardzo, jeśli będzie musiał wypełnić formularz ZMN kogoś, kto groził kuzynce MacDonalda.

– Porozmawiam z pozostałymi członkami Stowarzyszenia Przedsiębiorców – obiecał.

– Dziękuję.

Kiedy wyszli na zewnątrz, zapragnął nagle, żeby Przewoźnik, który stał koło tylnego wejścia do biura łącznika, wymyślił jakąś kulawą wymówkę i wyjechał, nie spotykając się z Meg.

Nie rozmawiali ze sobą, dopóki policjanci nie odjechali. Dopiero kiedy Henry wrócił do swojej pracowni, a Vlad i Tess do pracy, Steve spojrzął na Simona.

– Kiedy wszedł pan na spotkanie, miałem przeczucie, że tak naprawdę wcale nie chce mnie pan na swoim Dziedzińcu. Ale nie chodzi o cały Dziedziniec, prawda? Chodzi o to biuro. – Simon milczał uparcie. – Czy woli pan, żebym znalazł jakąś wymówkę i wyjechał?

– Nie. – Dokładnie tego chciał, ale nie bardzo wiedział, jak miałby wyjaśnić Meg nagły wyjazd Przewoźnika. Poza tym możliwe, że ten człowiek naprawdę mógł jej pomóc.

– Czy wszyscy *terra indigena* reagują w ten sposób na *cassandra sangue*?

Simon po prostu otworzył drzwi i wszedł na zaplecze biura łącznika. Od razu usłyszał warczenie Nathana, więc pospieszył do sortowni, a Przewoźnik zaraz za nim.

– Oddawaj... – Meg z całej siły ciągnęła za jeden koniec katalogu, podczas gdy Nathan szarpał drugi. – Oddaj... mi... to!

– Przestańcie! – zażądał Simon. Co ty wyrabiasz? spytał Nathana.

Złości się przez niego, odparł Nathan. Przestał ciągnąć, ale nie puścił katalogu.

Próbowałem jej go zabrać, ale Henry ostrzegwał, żeby nie wyrywać jej gwałtownie papieru z ręki, bo może jej przeciąć skórę.

Meg obejrzała się przez ramię i na ich widok splonęła purpurą. Pospiesznie puściła katalog, a Nathan wykorzystał okazję i rzucił go na podłogę.

– Jakiś problem? – spytał Simon.

– Próbowałam złożyć kilka zamówień, ale wszędzie jest to samo. W sklepach jest towar, dopóki nie powiem, że dostawa będzie na Dziedziniec. Wtedy nagle się kończy!

– To problem rządu, nie nasz. Zrób listę sklepów, które odmawiają dostaw, i daj ją Elliotowi. Tylko wpisz na nią sklep dla zwierząt i Chrupiące Przymaki.

– A po co Elliotowi taka lista?

– Umowa z ludźmi przewiduje kary za odmowę dostaw na Dziedziniec, a obowiązkiem rządu jest stać na straży jej postanowień.

– Są jakieś kary? Świetnie – stwierdziła Meg.

Widzisz? pomyślał Simon, rzucając Przewoźnikowi spojrzenie z ukosa. *To nie jest słodki, mięciutki króliczek. Jest w niej coś z Wilka.*

– Meg, poznaj Steve’a Przewoźnika, burmistrza Przystani Przewoźników – powiedział głośno. – To jest Meg Corbyn, nasz łącznik z ludźmi.

Przewoźnik wyciągnął rękę na powitanie. Jedynie obawa, że może spudłować i przypadkiem skaleczyć Meg, powstrzymała Simona od wbicia w nią zębów.

Ledwie dotknęli swoich dłoni, natychmiast je cofnęli. Steve poruszył się niespokojnie, kiedy Meg zaczęła się drapać po ramieniu. Odwrócił wzrok i spojrzał na pudełko leżące na stole do sortowania.

– Co to? – zapytał.

– Ciasteczka dla psów – odparła.

– Ciasteczka dla Wilków – powiedział równocześnie Simon.

– Jedna z rzeczy, które nagle zniknęły ze sprzedaży – dodała Meg z goryczą, która zaskoczyła i zmartwiła Simona. W dodatku zaczęła drapać się mocniej. Wiedział, że jeśli nie przestanie, nawet sweter nie ochroni jej skóry.

Steve wziął pudełko i wysypał z niego kilka ciasteczek.

– Czy muszą być identyczne? – spytał.

Meg nagle przestała się drapać.

– To znaczy?

Pokazał jej jedno ciasteczko.

– Takie jak to. Szukamy nowych zajęć dla mieszkańców Wielkiej Wyspy, czy są to Intuici, członkowie komuny Prostego Życia, czy *terra indigena*. Znam kilka kobiet, które może zainteresować opracowanie przepisu na podobne ciasteczka.

– Świeżo pieczone ciasteczka dla Wilków? – upewniła się Meg.

– Czemu nie?

Simon na wszelki wypadek odsunął się od Przewoźnika. Meg była nim zdecydowanie za bardzo zainteresowana i coraz trudniej przychodziło mu pamiętać, że Steve jest niejadalny.

– Chcę, żeby obejrzał pan coś jeszcze – zdecydowała, po czym zaprowadziła go do recepcji i wskazała wilcze posłanie.

Steve rzucił okiem na Simona, milcząco prosząc o pozwolenie, a potem przykucnął i obejrzał je dokładnie.

– Macie może jakieś zbędne, które mógłbym zabrać ze sobą?

– Chyba zostały jeszcze dwa w sklepie na rynku – odparł Simon. – Może pan jedno wziąć.

– Dziękuję. – Steve wstał i uśmiechnął się do Meg, ale jego uśmiech szybko zbladł.

– Kiedy Intuita ma przecucie, zawsze towarzyszy mu jakiś fizyczny znak – dziwne uczucie w żołądku albo napięcie określonej grupy mięśni. U pani ten objaw jest mocniejszy, prawda?

Simon zbliżył się do Meg, gotowy ją chronić.

– Zna pan jakąś wieszczkę krwi? – spytała. – Czy na wyspie jest taka dziewczyna?

Steve ze smutkiem pokręcił głową.

– Nie wiedzieliśmy, jak jej pomóc, i umarła.

– Och... tak mi przykro.

– Mnie również. – Poruszył się niespokojnie. – Lepiej już sobie pójde.

– Zaprowadzę pana do sklepu – zaproponował Simon.

– Dziękuję panu za pomoc – powiedziała Meg.

– Proszę mi mówić po imieniu. Nie ma powodu do takich formalności.

Meg uśmiechnęła się – a Simon po raz kolejny z trudem powstrzymał warczenie. W milczeniu poszli na rynek. Przewoźnik nie powiedział ani słowa, póki nie odebrali wilczego posłania i nie zapakowali do bagażnika jego samochodu. Dopiero wtedy spojrzął na Simona.

– Panie Wilcza Straż, chciałbym wyjaśnić, że chociaż pragnąłbym mieć przyjaciółkę w panie Corbyn, nie uganiam się za pańską dziewczyną.

– Nie jest moja. – Meg była wspaniała w roli piszczącej zabawki, więc dlaczego Przewoźnik nie chciał się za nią uganiać?

Steve uśmiechnął się.

– Jest łącznikiem z ludźmi, a pan jest przywódcą Dziedzińca. W tym sensie jest pańska.

Simon przechylił głowę i nagle pojął, że Steve nie będzie węszył wokół Meg. Wprawdzie nie był ani Intuitą, ani wieszczką krwi, ale miał dobry instynkt.

– Ma pan zamiar nawiązać z nami współpracę – powiedział, już łagodniej. – Dlatego chce pan produkować ciastka i legowiska. Co powiedzą na to *terra indigena* na Wielkiej Wyspie?

– W Talulah Falls dzieje się coś złego. Czujemy to, podobnie jak *terra indigena*, którzy żyją na wyspie – odparł Przewoźnik. – Ming Niedźwiedzia Straż próbował rozmawiać z Innymi, którzy władają Dziedzińcem w Talulah Falls, ale oni uważają, że tubylcy ziemi z Wielkiej Wyspy są zbyt zaprzyjaźnieni z ludźmi. Powiedzieli Mingowi, że Inni powinni brać od ludzi ich produkty, a nie pomagać im w pracy. Nie sądzę, żeby zawsze wykazywali takie podejście, ale obecnie rządzący Dziedzińcem w Talulah Falls chcą mieć jak najmniej do czynienia z ludźmi.

– Czyli Ming też chce nawiązać stosunki z Dziedzińcem w Lakeside?

Steve pokiwał głową.

– Dotąd sprzedawaliśmy w sklepach w Talulah Falls pamiątki dla turystów produkowane na wyspie. Ale w tym roku, kiedy nasi przedstawiciele handlowi pojechali do Falls zebrać zamówienia na letni sezon turystyczny, nikt nie chciał u nas niczego zamówić, a niektórzy mówili wprost, że nie będą współpracować z kimś, kto stawia ludzi na ostatnim miejscu. Nasi przedstawiciele wyczuwali też wrogość, zawsze kiedy dochodziło do spotkania *terra indigena* i obywateli miasta... – Urwał, jakby szukał odpowiednich słów. – Kiedy w Talulah Falls zaczną się kłopoty –

a moim zdaniem to tylko kwestia czasu – *terra indigena*, którzy rządzą tamtejszym Dziedzińcem, nie będą rozmawiać z policją i nie dadzą rządowi szansy, żeby wszystko naprawić. Więc jeśli to możliwe, wolę robić interesy z panem. Simon nie sądził, żeby okazał więcej litości, jeśli kłopoty zaczną się w Lakeside, ale chwilowo mógł się zgodzić na układ handlowy, który przyniesie korzyści obu stronom.

Kiedy Przewoźnik odjechał, okazało się, że Meg zamknęła biuro łącznika na południową przerwę i poszła na lunch z Heather i Merri Lee. Miał ochotę nawarczeć na kogoś za to, że opuściła Dziedziniec z dwoma kobietami, które nie mają kłów ani pazurów, by ją obronić, ale kiedy poszedł do Zabójczo Dobrych Lektur, John wyjaśnił mu, że dziewczęta pojechały na lunch do Pikantnych Dań, a Henry i Vlad udali się do Chrupiących Przymaków po pizzę. Ponieważ obie jadłodajnie mieściły się w tym samym centrum handlowym, dziewczyny będą miały ochronę.

Wprawdzie ludzie z Chrupiących Przymaków narazili się Meg w kwestii dostaw na Dziedziniec, ale tylko głupiec ryzykowałby gniew Niedźwiedzia.

Miał masę rzeczy do przemyślenia, wręcz za dużo, a w tej chwili i tak niewiele mógł z tym zrobić. Ale jedno mógł na pewno.

Podniósł słuchawkę i zadzwonił do doktora Lorenzo, żeby porozmawiać z nim o kuzynce posterunkowego MacDonalda.



Rozdział 16

Pod koniec marca Wrony z Dziedzińca w Talulah Falls zaczęły latać do tej części miasta, gdzie chodziło najwięcej turystów. Posilali się tutaj i kupowali w sklepach pamiątki. Przez trzy dni obserwowały, jak ludzie wrzucają błyszczące zabawki do koszy na śmieci – zabawki, które były tylko trochę zepsute, co zdaniem Wron wcale nie umniejszało ich wartości. Obserwowały, jak ludzie wyrzucają jedzenie – było zawinięte w serwetkę, więc nawet nie zabrudziło się od śmieci. Obserwowały te wszystkie małe skarby – i pracowników miasta, którzy wieczorem opróżniali kosze na śmieci. Ponadto w okolicy sporo było błyszczącego, monet, które wypadły ludziom z kieszeni i lśniły zachęcająco w słońcu.

Przez trzy dni Wrony opierały się pokusie i tylko obserwowały. Ale czwartego dnia kilka nastoletnich ośmieliło się podleciec na ziemię, by zabrać błyszczące, smakowity kasek albo porzuconą zabawkę.

I nic się nie stało. Ludzie, których wabiła woda spadająca z urwiska, wcale ich nie zauważyli. Więc piątego dnia więcej Wron poleciało po jedzenie i błyskotki.

Szóstego – przy koszach zebrało się ich mnóstwo; grzebały w poszukiwaniu błyszczących przedmiotów i smacznych kasek. Siódmego dnia kosze, w których było najwięcej rzeczy atrakcyjnych dla Wroniej Straży, eksplodowały, zabijając i Wrony, i turystów.

Tego wieczoru jeden z Sanguinatic, którzy tropili ludzi odpowiedzialnych za eksplozję, nie wrócił na Dziedziniec w Talulah Falls. A następnego ranka w Lakeside Meg Corbyn obudziła się z krzykiem.

– Meg! – Simon załomotał pięścią w drzwi kuchenne sąsiadki. Stał we wspólnym dla obu mieszkań korytarzu, pospiesznie wciągając dzinsy, które złapał w przelocie, kiedy usłyszał krzyk. – Meg! – Zawarczał na wciąż zamknięte drzwi. Z mieszkania nie dochodził żaden dźwięk.

Wepchnął rękę do kieszeni i wyciągnął klucze do mieszkania Meg. Wetknął jeden w zamek i przekręcił, ale nadal nie mógł wejść.

Po co oprócz zamka użyła jeszcze zasuwki? Przecież nikt nie przychodził do niej w odwiedzinach kuchennym wejściem prócz niego i Sama, kiedy szczeniaki tu nocowały. Drzwi prowadzące na zewnątrz były zamknięte, a on sprawdzał je co wieczór przed pójściem spać, więc nie musiała się obawiać intruzów. Zresztą wiedział, że jest sama. Wczoraj oświadczyła mu spokojnie, że chce spędzić tę noc bez jego towarzystwa.

– I właśnie po raz ostatni posłuchałem cię w sprawie tego, kto gdzie śpi – burknął pod nosem i znowu załomotał w drzwi. – Do cholery, Meg! Co ty tam takiego robisz, że nie chcesz mnie wpuścić? – Odpowiedź, jaka mu się nasunęła, sprawiła, że zaczął drapać w drzwi, choć był w ludzkiej formie. – Meg! – Jego ramiona i pierś pokryły się futrem, kiedy całym ciężarem rzucił się na drzwi, wyłamując framugę i zasuwkę. Ruszył biegiem do sypialni, ale zapach świeżej krwi kazał mu skręcić do łazienki. Pchnął drzwi, ale gdy usłyszał krzyk Meg, przecisnął się z trudem przez wąską szparę, żeby ponownie jej nie uderzyć.

Siedziała na podłodze i krwawiła. Cięcie biegło w poprzek jej klatki piersiowej, tuż pod piersiami. Za długa rana. Zbyt wiele krwi.

– Meg... – Ledwie znalazł dość miejsca na podłodze, by uklęknąć obok niej.

– Simonie, musisz mnie wysłuchać... – wysapała.

– Jasne.

Jego przyjaciółka krwawiła. Wszystko jedno, że była człowiekiem. Jego przyjaciółka Meg krwawiła zbyt obficie.

Pochylił głowę, ale wahał się jeszcze.

Wiedział, że jeśli to zrobi, wpadnie we wściekłość, tak jak ostatnim razem, gdy podczas ataku na Dziedziniec rozcięła sobie podbródek, a on musiał ją zawieźć do ludzkich chodzących ciał.

Wszystko jedno. Ona jest teraz jedną z nas. Oczyść ranę. Pozbądź się zapachu krwi i ukryj jej słabość.

Szybko zliżał krew wypływającą z rozcięcia, żeby nie kapała na ręcznik, który Meg ułożyła na podłodze.

– Simonie... – jęczała. – Simonie, widzę... Nie dam rady, muszę mówić. Musisz mnie wysłuchać!

Na chwilę ogarnęła go wściekłość, ale zaraz znikła. Słyszał głos Meg i coś się zmieniło.

Zlizywał dalej krew.

Zawsze miała dobry smak. Ale teraz był wręcz wyborny.

Lizał.

Lubił brzmienie jej głosu, nawet kiedy na niego krzyczała. A właśnie to robiła.

Była...

Uderzył go zapach podniecenia, równie kuszący jak zapach krwi.

Przysiadł na piętach, żeby zbliżyć nos do tego nowego, cudownego zapachu. Jego ludzkie ciało zareagowało gotowością, którą trudno było zignorować.

– Simonie... – Coś w jej głosie. Coś, co... powinno go niepokoić. – Musisz zapamiętać – błagała.

Zapamiętać? O tak. Ten cudowny smak Meg. Ale żadnego gryzienia. Nie wolno szarpać ciała, ponieważ... Dlaczego? Tak dobrze byłoby spróbować jej ciała. Tak

cudownie. Ale nie ciała Meg. Nie skrzywdzi Meg. Nigdy. Musi coś zapamiętać. Coś, co mówiła Meg, kiedy pojawiła się krew.

– Muszę to zapisać... – wymamrotał.

– Tak, pośpiesz się.

Próbował wstać, żeby iść po papier i ołówek, żeby zapisać... Co? Słowa! Żeby zapisać słowa! Tak ładnie pachniała, a smakowała jeszcze lepiej. Nawet jej włosy, choć nadal w dziwnym pomarańczowo-czerwonym odcieniu, nie śmierdziały już po tym, co z nimi zrobiła.



Słowa. Ważne, żeby zapisać słowa Meg.

Chwytając się umywalki, spróbował wstać na nogi. Niewykluczone, że na swoje.

Nie był pewien, ponieważ zupełnie ich nie czuł. Czy nadal miał nogi?

– Zapisać – zawarczał. Powinien być wściekły, więc dlaczego nie był? Nie był chory, ale nie był też zdrowy. Przeniknął go strach i na moment rozjaśniło mu się w głowie. Na szafce stał koszyk pełen pędzelków i słoiczków z kolorową zawartością. Kobiące zabawki. Złapał kredkę do oczu i zaczął pisać na lustrze słowa, które wylewały się teraz z Meg. Coś było z nim nie tak, okropnie nie tak. Ale pisał, póki nie przestała mówić. Potem upuścił kredkę i osunął się na podłogę. – Meg? – Polizał krew, która nadal sączyła się z rany, i zaskomlił. – Meg?

Miała szkliste oczy. Nie była nawet w stanie unieść ręki, choć próbowała.

– Masz włochate uszy – stwierdziła słabo.

Potrzebna im pomoc... Jemu potrzebna jest pomoc...

Henry!

Simon? Co się stało?

Chory. Meg... ranna. Spiesz się.

Meg krwawiła. Musiał coś zrobić z tym krwawieniem. To waż...ne.

Położył się na niej i przycisnął twarz do jej słodkiego brzucha, by móc wdychać te wszystkie cudowne zapachy.

Znajome zapachy i dźwięki.

Meg pachniała wspaniale. A smakowała jeszcze lepiej.

– Chyba wreszcie dochodzi do siebie.

Ten głos należał do Blaira, stróża porządku na Dziedzińcu.

Dlaczego głos Blaira budził w nim strach?

– Simon? – To był Vlad, też wyraźnie zły. Dlaczego zły? Czy Vlad zlizywał...?

– Meg! – Simon spróbował się poruszyć, usiąść, ale miał wrażenie, że ciało mu się poplątało, nic nie działało normalnie.

Vlad złapał go za ramiona i podciągnął. Teraz już wyraźnie widział furię w jego oczach.

– Coś. Ty. Zrobił? – zawarczał Sanguinati.

Zrobił? Zaczął sobie przypominać.

– Meg krwawiła... – Jego głos też brzmiał jakoś dziwnie. Szczeka nie poruszała się odpowiednio, żeby formować słowa. Co...?

Nagle obok Vlada pojawiła się Tess. Włosy wokół jej twarzy były czarne, czarne, czarne, ale reszta miała kolor czerwieni, wściekłości. Skręcały się i poruszały w przerażający, hipnotyczny sposób.

– Wiemy o Meg – powiedziała. – Teraz pytamy o ciebie.

Rozejrzał się, żeby nie patrzeć na nią i na Vlada. Bawialnia w jego mieszkaniu? Jak się tu dostał? Potem spojrzął na swoje ciało – i ocknął się do końca.

Jedna noga była ludzka, natomiast druga w połowie uda przechodziła w tylną wilczą łapę. Kiedy powęszył i uświadomił sobie, ilu Innych na niego patrzy, odruchowo podwinął ogon, by ochronić ludzkie genitalia. Sierść na piersi. Ręce, które nie do końca wyglądały jak ręce. Raczej nie miał ochoty sprawdzać, jak wygląda jego twarz.

Był pomiędzy formami – to znaczy, że nie był ani człowiekiem, ani Wilkiem. Wielu *terra indigena*, którzy mieszkali w interiorze, potrafiło przybrać mniej więcej ludzką postać, choć nigdy nie mogliby uchodzić za ludzi. Ich druga forma zawsze była czymś pośrednim, jak wilkołak z horrorów. Inni, którzy mieszkali na Dziedzińcu, starali się nie przyjmować formy pośredniej, przynajmniej kiedy przebywali wśród ludzi, ale wszyscy mieli zwyczaj przemieniać fragmenty ciała, jeśli potrzebny był im jakiś aspekt drugiej formy. Na przykład uszy, żeby lepiej słyszeć. Albo pazury i kły. Jednak nawet jeśli robili to instynktownie, taka przemiana miała w sobie pewną symetrię. Tymczasem to... To było ciało, nad którym ktoś stracił kontrolę.

Spojrzał na Blaira, który obserwował go ze współczuciem przemieszonym z gniewem.

Potem koło Blaira stanął Henry. W jego oczach nie było współczucia – było za to wiele gniewu.

Simon wiedział, że musi wybrać jedną formę. I to jak najszybciej. Miał ochotę zmienić się w Wilka, zwinąć się gdzieś w kłębek, żeby wszystko przemyśleć, zrozumieć, ale był przywódcą Dziedzińca, a przywódca nie może się ukrywać. Z wysiłkiem dokończył przemianę w człowieka. Dziwne. Zupełnie jakby wpadł w coś lepkiego, coś, co spowolniało jego refleks i ograniczało możliwości przemiany. Tak trudno nie okazywać strachu. Nie sposób nie czuć strachu.

Musiał się jednak wreszcie przemienić w człowieka, ponieważ Vlad go puścił, a Tess rzuciła mu na kolana koc, żeby przykrył swoją nagość.

– Gdzie jest Meg? – spytał. Musiał się napić. I coś zjeść. Jednak przede wszystkim potrzebował odpowiedzi na to pytanie.

– Meg jest u mnie – odparł Henry. – Od samego rana. Są z nią Nathan, Jester i Jake. Oglądają razem filmy.

– Od rana? – Nie widział okna, za wiele osób je zasłaniało, ale światło wydawało mu się mniej więcej takie samo, jak wtedy gdy wchodził do kuchni Meg.

– Słońce zachodzi – stwierdził Henry. – Znalazłem was w jej łazience dziś rano. Pamiętasz?

– Nie pamiętam, jak przyszedłeś, ale pamiętam, że cię prosiłem... – Simon starał się przypomnieć sobie szczegóły. – Meg krwawiła... Długie cięcie... Zbyt głębokie... Za dużo krwi... Pisałem słowa...

– Kiedy Henry cię znalazł, wezwał mnie i Blaira – wtrącił Vlad. – Wynieśliśmy cię z łazienki, żeby Henry mógł zająć się Meg. – Pochylił się i teraz jego oczy były na tym samym poziomie, co oczy Simona. – Byłeś przytomny. Przez wiele godzin byłeś przytomny, ale nic cię nie obchodziło. Kompletnie nic. Mogliśmy obciąć ci ręce i nogi, a ty byś się tylko przyglądał. Zażyłeś narkotyk, którym ludzie zaprawili przynętę na Wrony. Dostał się na Dziedziniec, a ty go zażyłeś. Musimy wiedzieć, jak to się stało.



Simon spojrział Vladowi w oczy.

– To nie jest wina Meg. Sądziłem, że będę potem wściekły, jak ostatnim razem.

Myślałem, że stanę się silniejszy i będę mógł lepiej jej pomóc.

Vlad przyjrzał mu się uważnie.

– Co nie jest winą Meg?

– Sanguinati unikają słodkiej krwi *cassandra sangue* wcale nie z powodu prorocत्व, które w niej płyną. Erebus się mylił. Nie piją jej, dlatego że wieszczki krwi są dziełem Namid, równocześnie straszliwym i cudownym.

Vlad wyprostował się i cofnął o krok.

– O czym ty mówisz?

– Ten narkotyk to krew *cassandra sangue*.

– Który? – spytał Henry. – Są przecież dwa, a działają i na *terra indigena*, i na ludzi.

Simon przełknął ślinę. Naprawdę musiał się czegoś napić.

– Oba.

Skręcając na parking Ptasiego Centrum, Burke rzucił okiem na Monty'ego.

– Słyszał pan coś więcej od doktora Lorenzo na temat stanu Meg Corbyn?

– Nie, kapitanie. Od rana ani słowa. – Monty zdążył mu już zrelacjonować swoją rozmowę z Dominikiem Lorenzo. Meg Corbyn miała nietypowe cięcie – za długie i za głębokie – ale nic nie wskazywało na to, że nie zrobiła go sobie sama. Po zamknięciu rany Lorenzo zalecił odpoczynek i dietę bogatą w żelazo. – Planuje zajrzeć do panny Corbyn jutro rano, po dyżurze.

Burke wydał dźwięk pośredni między chrząknięciem a warknięciem i zatrzymał samochód na parkingu.

– Zajmijmy się więc naszym problemem.

Monty wysiadł, pełen ulgi, że podróż z ulicy Orzechowej nie trwała długo. Burke był potężnym mężczyzną i przebywanie z nim w ciasnej przestrzeni samochodu nie było zbyt przyjemne, zwłaszcza kiedy jego błękitne oczy płonęły ledwie kontrolowaną wściekłością.

Oczywiście ta furia miała swoje powody. W miarę jak napływały wiadomości z Talulah Falls, rząd i siły policyjne Lakeside zaczęli sobie uświadamiać, że jeśli nie zachowają ostrożności, z powierzchni ziemi może zniknąć więcej niż jedno miasto. Talulah Falls było beczką prochu. Nie chodziło już o to, czy ludzie stracą kolejny fragment Thaisii. Chodziło o to, jak duży będzie to fragment.

Mieszkańcy i turyści uwięzieni w Falls to najpewniej dopiero początek. I właśnie dlatego kapitan Douglas Burke i porucznik Crispin James Montgomery stali o zachodzie słońca na parkingu centrum handlowego i czekali, aż wszystkie radiowozy dotrą na miejsce.

Monty zauważył wśród nich grupę Louisa Gresha. Zaciekawilo go, czy dowódca saperów został wezwany, czy też sprowadził tu swój oddział na własną rękę.

– Panowie... – zaczął Burke, kiedy jego ludzie zebrali się wokół niego.

W tej samej chwili zadzwoniła komórka Michaela Debany'ego.

– Przepraszam, kapitanie – powiedział posterunkowy, ale zamiast wyłączyć telefon, odszedł na bok, żeby odebrać. Kiedy dwie minuty później wrócił na swoje miejsce u boku partnera, Lawrence'a MacDonalda, był blady jak ściana.

– Co się stało? – spytał Monty.

– Dzwoniła panna Lee, ta, która pracuje w Czymś na Ząb.
Monty kiwnął głową. Choć sam wiedział od razu, o kogo chodzi, inni policjanci zapewne potrzebowali takiego uściślenia.

– I?

– Została napadnięta. Przez studentów z uniwersytetu. Dotarła do domu, ale nie czuje się tam bezpiecznie.

– Wie pan, gdzie ona mieszka? – spytał Burke. Kiedy Debany przytaknęła, kapitan wskazał gestem MacDonalda. – Jedźcie do niej obaj. Zawieźcie ją na ostry dyżur do szpitala, gdzie pracuje doktor Lorenzo, chyba że jej stan będzie wymagał przewiezienia gdzieś bliżej. – Debany i MacDonald pobiegli do radiowozu. – A tymczasem wy... – Burke wyglądał bardziej dziko niż jeszcze chwilę temu. Wskazał ręką centrum. – Za pięć minut macie mi sprowadzić do Chrupiących Przymaków kierowników albo właścicieli wszystkich tutejszych sklepów. Jeśli któryś będzie protestował, aresztujcie go i zawieźcie na komisariat.

Monty zamrugnął.

– Pod jakim zarzutem, kapitanie?

– Pod zarzutem zawracania głowy – warknął Burke. – W obecnej sytuacji to wystarczy, by spędzić noc w naszym areszcie.

Na bogów na dole i na górze, pomyślał Monty. *Przecież on mówi serio.*

Nikt nie zakwestionował rozkazu, policjanci po prostu rozeszli się po sklepach.

– Mogę się przyłączyć? – spytał Gresh, podchodząc do Monty'ego i Burke'a.

– Jasne – odparł kapitan. – Dajcie mi chwilę. – Wyjął komórkę i odszedł kilka kroków.

– Atak na pracownika Dziedzińca to zły znak – stwierdził Gresh cicho, przyglądając się klientom centrum, którzy niepewnie zerkali na radiowozy. Niektórzy wrócili do samochodów i odjechali z parkingu, ale większość po chwili zajęła się własnymi sprawami, ignorując zamieszanie.

– Ludzie się boją i są wzburzeni, a w takich warunkach nie zawsze myślą racjonalnie – odparł Monty. Zgadzał się z Louisem. Nękanie i napady to zły znak w każdej sytuacji, ale obecnie stanowiło to policzek dla stworzeń, które i tak pragnęły ich śmierci. No i oczywiście było to łamanie ludzkiego prawa.

– Nie wiem, jak było na komisariacie w Toland, w którym pracowałeś, ale tutaj wiele można się dowiedzieć przy ekspresie do kawy. A najnowsze plotki głoszą, że kapitan ma nową wtykę w wydziale policji na Wielkiej Wyspie. – Gresh spojrzał pytająco na Monty'ego, a ten rzucił okiem na Burke'a, który nadal rozmawiał przez telefon, a potem kiwnął lekko głową. Kapitan nie zastrzegł, że informacje otrzymane od Rogera Czernedy są poufne, a zresztą większość i tak pokazywano w wiadomościach.

– Na rzekę opadła mgła tak gęsta, że nie widać czubków własnych butów. Przez jakiś czas pozostał wąski, wolny od niej kanał, którym mogły kursować promy i barki z zaopatrzeniem, ale potem Wielka Wyspa została zupełnie odcięta od lądu. – Zawahał się i dodał: – Podobno w tej mgle grasuje coś, co poluje na desperatów, którzy próbują wydostać się z Talulah Falls łodziami.

– Sanguinati?

– Być może. W takim mleku trudno szukać ciał, chyba że się człowiek o nie potknie. – Nie była to tak do końca prawda, jednak niektóre informacje Czernedy były poufne, na przykład ta o Sanguinatim, który poinformował Steve'a

Przewoźnika, że rzeka została oddana we władanie innemu drapieżnikowi, takiemu, którego do Talulah Falls zwabiła obfitość zwierzyny. Co to mogło być, że bały się tego nawet wampiry?

– Te ładunki w koszach na śmieci były prymitywne – stwierdził Louis po chwili. – Ktokolwiek je podłożył, nie miał żadnych względów dla ludzi. Chciał zabić Wrony... i zapewne rozpętać wojnę. – Rzucił okiem na Burke'a, który już kończył rozmowę. – Sądziś, że do tego to zmierza? Do wojny?

Niewykluczone, pomyślał Monty.

– Mam nadzieję, że nie – powiedział głośno.

Burke przyłączył się do nich akurat w chwili, gdy policjanci zaprowadzili pierwszą grupę kierowników sklepów do Chrupiących Przysmaków.

– Mark Wheatley, kapitan komisariatu przy uniwersytecie, pośle ludzi, żeby pilnowali mieszkania panny Lee, póki Debany i MacDonald nie dotrą na miejsce – oznajmił. – Tak na wszelki wypadek. A teraz załatwmy tę sprawę. – Już miał ruszyć ku pizzerii, kiedy jego wzrok padł na młodego człowieka obładowanego termicznymi torbami z gorącą pizzą, który szedł do firmowego samochodu. – Hej, ty! – zawołał za nim. – Wracaj do środka!

– Ale...

– Synu, jeśli wsiądziesz do tego samochodu, dostaniesz pięć tysięcy dolarów grzywny i spędzisz pięć dni w areszcie. A twój szef doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Dostawca, ledwie na tyle dorosły, żeby mieć prawo jazdy, przez chwilę gapił się na Burke'a, a potem posłusznie zawrócił do pizzerii.

Kapitan ruszył za nim, wyjmując z kieszeni odznakę i rozpinając kurtkę, tak by wszyscy widzieli broń. Monty był zdania, że wystarczy sam wyraz jego twarzy, żeby nastraszyć zebranych. Wraz z Louistem wszedł za przełożonym do środka. Przy stolikach siedzieli klienci, posilali się po pracy albo czekali na odbiór zamówień.

– Proszę o uwagę – głos Burke'a przebił się przez gwar rozmów. – I niech ktoś wyłączy tę cholerną muzykę! – Zapadła cisza. Kapitan uniósł rękę z odznaką. – Wy wszyscy, wynocha – powiedział, wskazując drugą ręką klientów. – Chrupiące Przysmaki będą zamknięte przez godzinę. Weźcie sobie pudełka i zabierzcie ze sobą pizzę. Macie na to cztery minuty. A ty – wskazał dostawcę. – Ty siadaj tam.

– Nie może go pan zatrzymywać! – Zza lady wyszedł mężczyzna z plaketką kierownika na piersi. – Musi rozwieźć dostawy!

– Podobno Chrupiące Przysmaki nie realizują już dostaw. Dopilnujemy, żeby to była prawda. Macie trzy minuty. Potem wychodźcie, z jedzeniem lub bez. – Część klientów pobiegła do lady po pudełka na wynos. Większość po prostu uciekła. Burke zaczął, aż właściciele i kierownicy sklepów zbiorą się przy stolikach. – Zapewne zdajecie sobie sprawę, dlaczego tu jesteście – rozpoczął. – Wszystkie sklepy w tym centrum handlowym otrzymały ostrzeżenia na temat kar grożących za odmowę dostaw na Dziedziniec – jeśli realizują dostawy – oraz sprzedaży towarów *terra indigena*. Polecono wam usunąć z okien wystawowych wywieszki „Tylko dla ludzi” i handlować zgodnie z umową zawartą przez miasto Lakeside z *terra indigena*. Wiem jednak, że wielu z was nadal łamie postanowienia tej umowy. Dlatego od tej chwili będziecie ponosić konsekwencje swojego zachowania. Jeśli łamiecie prawo, ponieważ otrzymaliście takie polecenie, podacie nam nazwisko właściciela firmy i to on odsiedzi karę w więzieniu i zapłaci grzywnę.

– My też mamy prawa! – zawołał mężczyzna w koszuli z logo Pałacu Milusińskich.

– Mamy prawo odmawiać obsługi klientów!

– Czy ktoś z was słyszał może, co się dzieje w Talulah Falls? – spytał Burke ze swoim dzikim uśmiechem. – Przez cały dzień otrzymuję raporty od tamtejszej policji, więc mogę wam opowiedzieć rzeczy, których nie usłyszycie w wiadomościach. – Monty poczuł bolesny ucisk w żołądku. Sam wiele słyszał przez ostatnie kilka godzin i nie bardzo chciał wiedzieć, czego dowiedział się Burke. – Talulah Falls zostało porzucone przez Innych. – Kapitan nie zwrócił uwagi na pojedyncze wiwaty. – Oznacza to, że nie ma tam nikogo, z kim mogliby negocjować tamtejszy rząd czy policja. Rozumiecie, co to znaczy? Miasto Talulah Falls zostało odcięte od świata. Drogi zostały zabarykadowane albo zniszczone, a przed blokadami utworzyły się gigantyczne korki. Nikt nie może wyjechać z miasta, nikt nie może do niego wjechać. Nie ma dostaw węgla, drewna, benzyny, żywności, leków, niczego. Mieszkańcom zostało tylko to, co było w mieście przed detonacją bomb.

– A co z turystami? – spytał jeden z kierowników. – Na pewno o tej porze roku byli tam już turyści.

– Miasto było dobrze zaopatrzone, ale obecność przyjezdnych powoduje szybsze zużywanie się jego zasobów. – Pomruki i szuranie nogami. – Myślicie, że to przypadek, że telefony nadal działają, a rozgłośnia radiowa i stacja telewizyjna wciąż mogą nadawać? – spytał Burke. – Czy nie słyszycie przesłania? Ponieważ to jest przesłanie. Ludzie zabili *terra indigena*, a teraz za to zapłacą.

– Zabicie wampira to przysługa dla wszystkich – odezwał się ktoś.

– Powiedz to rodzinom tych czterech ofiar, które zmasakrował szalony zabójca Sanguinatiego. I spróbuj sobie wyobrazić, jak to jest utknąć w mieście, w którym na wolności chodzi ktoś, kto rozczłonkował sześćdziesięcioletnią kobietę i jedenastoletniego chłopca, a ich części powsadzał do słoików. – Jakaś kobieta i dwóch mężczyzn zaczęli się przeciskać przez tłum w stronę łazienek. Reszta zebranych wyglądała tak, jakby zaraz mieli iść w ich ślady. – Chcecie więcej? – spytał Burke. Pokręcili głowami, ale i tak kontynuował: – Dziś po południu przez teren uniwersytetu w Talulah Falls przeszło tornado, akurat podczas wiecu ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko. Akademiki nadal stoją, ale cała reszta została zrównana z ziemią. Tamtejszego uniwersytetu już nie ma. Drugą uczelnię w Falls strawił pożar. I tym razem akademiki ocalały, ale reszta budynków spłonęła do fundamentów. – Burke popatrzył na zebranych. Nagle wydał się Monty’emu bardzo zmęczony. – Panie i panowie, wszystkie drogi dojazdowe do Lakeside prowadzą przez lasy. To, co się stało w Talulah Falls, to surowa lekcja. Musimy wyciągnąć z niej naukę. W wielu miastach i osadach Thaisii dzieją się teraz złe rzeczy, a *terra indigena* z pewnością zaczęli się już zastanawiać, czy opłaca im się dłużej tolerować naszą obecność. Nasi przodkowie handlowali z nimi w zamian za ziemię i jej zasoby. Taka wymiana trwa do dziś. Jeśli przestaniecie dostarczać towary, które interesują Innych, nie zdziwcie się, kiedy odetną wam surowce niezbędne do życia.

– Ludzie zaczęli wymieniać między sobą niespokojne spojrzenia. – Każdy sklep, który nie usunie wywieszki „Tylko dla ludzi”, jutro zostanie ukarany grzywną, a właściciel pójdzie do więzienia. Jeśli pojutrze wywieszki nie znikną, ich miejsce zajmie inna: „Likwidacja sklepu”, a właściciel uda się radiowozem na długą przejażdżkę.

Monty rzucił okiem na Louisa, który gapił się na Burke'a, wyraźnie wstrząśnięty.
– Rząd Lakeside tego nie robi – rzucił nerwowo kierownik Pałacu Milusińskich.
– Istotnie – zgodził się Burke z przerażającą uprzejmością. Monty miał wrażenie, że podłoga zafalowała mu pod nogami. Ludzi, którzy popełnili najgorsze przestępstwa, zabierano na długą przejażdżkę do interioru i pozostawiano tam bez jedzenia, wody i butów. Coś takiego było równoznaczne z wyrokiem śmierci. Monty zastanawiał się, jak wyglądała wcześniejsza służba Burke'a w policji. Co takiego zobaczył, że tak uparcie starał się utrzymać pokój między ludźmi a *terra indigena*, skoro był nawet gotów zabrać kogoś na długą przejażdżkę? Co takiego się zdarzyło, że przełożeni Burke'a dawali mu wolną rękę, tam gdzie chodziło o Innych? –
Skończyliśmy tutaj – powiedział kapitan. – Wracajcie do swoich sklepów. –
Początkowo podnosili się z wahaniem, jakby nie byli pewni, czy naprawdę pozwolili im odejść. A potem nagle wszyscy rzucili się do wyjścia. – Poruczniku? – Burke otworzył portfel i wyjął dwie pięćdziesiątki.

– Tak, kapitanie?

– Niech pan zamówi cztery duże pizze dla Dziedzińca. Zabierzecie je z Kowalskim. Jestem pewien, że zdążą wam je przygotować przed spotkaniem ze Stowarzyszeniem Przedsiębiorców.

– Oczywiście. Z czym mają być? – wyjąkał właściciel pizzerii, a gdy Monty złożył zamówienie, zapytał niepewnie: – Czy możemy realizować dostawy?

– Nie wiem – odparł Burke z dzikim uśmiechem. – Możecie?

– Tak. Od tej chwili nie będzie żadnych problemów z dostawami na Dziedziniec. Burke pokiwał palcem na Monty'ego i Louisa, wskazując, żeby wyszli za nim na słówko.

Kiedy byli już na zewnątrz, Monty odetchnął głęboko. W powietrzu dało się wyczuć spaliny, ale i tak było tu lepiej niż w pizzerii, gdzie panowała duszna atmosfera strachu.



– Skończyliśmy – oznajmił kapitan, kiwając głową czekającym na dalsze rozkazy policjantom. Ci pospiesznie wsiedli do radiowozów i odjechali.

Monty zauważył, że przy radiowozie czeka na niego Kowalski.

– Coś pana niepokoi, kapitanie? – spytał Louis.

– Oprócz Sanguinatiego zamordowanych zostało czterech ludzi – odparł Burke cicho.

– W tym starsza kobieta i chłopiec – uściślił Monty.

– I jeszcze dwie kobiety, obie młode, około dwudziestki. Prócz tornada i pożarów doszło do kilku bardzo ograniczonych terytorialnie trzęsień ziemi – jednak na tyle silnych, by porzucać słoiki z pólki w spiżarni.

Monty'emu znów przewróciło się w żołądku.

– Ten chory drań, który ich zabił, uciekł, zanim jego słoje z okazami zaczęły się tłuc. – W oczach Burke'a pojawił się dziwny wyraz.

– Kim były te kobiety? – spytał Monty.

– Jedna mieszkała w Talulah Falls i studiowała na tamtejszym uniwersytecie.

Druga to *cassandra sangue*. Policja z Falls przesłała mi mailem zdjęcie, mam je w samochodzie. Jeśli nadarzy się okazja, poruczniku, niech pan sprawdzi, czy panna Corbyn zna tę dziewczynę.

Meg ugryzła drugi kawałek pizzy i przeżuwała powoli, rozkoszując się smakiem. Tak naprawdę nie była głodna, ale połączenie sosu, ciasta i pieczonego sera łagodziło pustkę, którą czuła w żołądku, lepiej niż stek i sałatka ze szpinaku. Oczywiście była wdzięczna za mięsne posiłki i sałatki, które przygotowywano jej przez cały dzień. I za witaminy, które przyniósł jej doktor Lorenzo, i za odkażenie i posklejanie plastrami długiego cięcia. Doktor stwierdził, że rana jest bardzo czysta, i spojrzał pytająco na Meg, ale odparła, że nie wie, jak to się stało. Skłamała, a on o tym wiedział. Wszyscy wiedzieli.

Popełniła błąd wynikający z desperacji. Powinna była przewidzieć, że uzależnienie od euforii nie minie tak łatwo.

Nic dziwnego, że tak wiele dziewcząt umierało, gdy nikt ich nie kontrolował. Wieszcza krwi nie chciała się ciąć, ona musiała się ciąć. Jeśli zignorować tę prawdę, prędzej czy później zdarzy się coś, co zmieni konieczność w gwałtowny przymus – to wtedy dziewczyny cięły skórę wszystkim, co wpadło im w ręce. I to wtedy popełniały przy tym fatalne błędy.

Powinna ustalić sobie grafik cięcia, powinna to ułożyć tak, żeby ktoś mógł nad nią wtedy czuwać i zapisywać, co widziała. Gdyby tak zrobiła...

Nikt nie chciał jej powiedzieć, co się dzieje z Simonem. Czyżby coś mu się stało? Coś poszło nie tak, przecięła sobie dwa razy więcej skóry, niż powinna, i w dodatku za głęboko. Proroctwa wylewały się z niej jak wodospad. Próbowwała je powstrzymać, próbowała milczeć, żeby zapamiętać wizje, skoro nie miał ich kto wysłuchać, ale zobaczyła rzeczy tak straszne, że musiała mówić, musiała doświadczyć euforii, w której zatraciło się wszystko, co widziała.

Kiedy Simon otworzył drzwi do łazienki, walnął ją w nogę tak mocno, że nabił jej siniaka, ale nie zwrócił na to uwagi. Ważne było tylko to, że miał ją kto wysłuchać. Jednak on zajął się wylizywaniem rany i nagle coś mu się stało. Zupełnie jakby przestał być Simonem. Nie był przywódcą, nie był Wilkiem, zrobił się... słodki. Milutki i sentymentalny.

A dotyk jego języka na skórze, kiedy lizał ją, jakby była najwspanialszą rzeczą na świecie, w połączeniu z euforią przynoszoną przez słowa proroctwa sprawił, że chciała...

– Meg? – Tuż przy uchu usłyszała natarczywy szept Jester. – Meg? Przystań myśleć o tym, o czym myślisz.

Zamrugła i wróciła do rzeczywistości.

Kojot odsunął się od niej, wężąc delikatnie. Kiedy Nathan zawarczał ostrzegawczo, przesunął się na sam koniec kanapy.

Meg spojrzała zaskoczona na Nathana, który zaczerwienił się i zaskomlał cicho, a potem odwrócił wzrok. Poprawił się na krześle, jakby zrobiło mu się niewygodnie. Tymczasem jej trzeci towarzysz, Jake Wronia Straż, przyglądał jej się intensywnie, a oczy mu błyszczały.

Miała zupełnie mokre majtki. Myślała o Simonie i miała mokre majtki. A co najmniej dwaj obecni w pokoju mężczyźni potrafili wywęszyć zapach jej podniecenia.

– Przepraszam... – wybąkała.

– Nie ma sprawy. – Jester poklepał ją ostrożnie po ramieniu. – Tylko to się robi... myłace.

Nagle straciła apetyt. Odłożyła pizzę na talerzyk i wytarła palce w serwetkę.

Gdyby Simon był tu w formie Wilka, wylizałby jej rękę do czysta. Nie, nie może teraz myśleć o Simonie.

Tylko że nie mogła myśleć o niczym innym. Był sobą, kiedy wchodził do łazienki, a potem to się zmieniło, przestał być Simonem. Simon by ją wysłuchał, nie pozwoliłby się rozproszyć. Widziała słowa zapisane na lustrze w łazience, kiedy Henry wynosił ją na rękach. Czyżby tylko tyle powiedziała? Tak niewiele, choć zużyła tyle skóry? A może powiedziała więcej, tylko Simon tego nie zapisał i przypadło na zawsze?

Tess, Henry i Vlad zapewniali ją, że Simonowi nic nie jest, ale im nie uwierzyła. Oni chcieli, żeby Simonowi nic nie było, a to nie to samo.

– Jester? – starannie dobierała słowa. Kojot był jej przyjacielem, ale czasami mylił uczynność z przewrotnymi psikusami. – Gdzie jest Simon?

– Na spotkaniu z porucznikiem Montgomerym – odparł, rzucając okiem na Nathana. – Policja przyszła na spotkanie. Przynieśli pizzę.

– Przecież nie siedzi na spotkaniach przez cały dzień. – A nawet jeśli, dlaczego nie wpadł na chwilę sprawdzić, jak ona się czuje, albo chociaż nie zadzwonił? Przecież Sam, chociaż był szczeniakiem, zadzwonił do niej, choć głównie po to, żeby ponarzekać, że musi dziś nocować w kompleksie Wilczej Straży. Tyle że wszyscy wiedzieli, że lubi się bawić ze szczeniakami i że zawsze sypia z Wilczkami w dni



powszednie.

Meg przyjrzała się uważnie Kojotowi.

– Powiesz mi? Powiesz mi, jeśli stanie się coś złego?

Jester westchnął.

– Tak, Meg. Powiem ci, jeśli Simonowi coś się stanie.

Simon nie lubił odczuwać strachu. Nie lubił być chory i roztrzęsiony. I chciał, żeby już minęło to dziwne uczucie, które go rozpraszało i sprawiało, że czuł się pusty. Ponieważ wiedział, co mogłoby wypełnić tę pustkę.

Żałował również, że porucznik Crispin James Montgomery był taki pomocny i okazywał troskę o rzeczy, które były ważne dla *terra indigena*. Bo gdyby zachował dystans, Simon nie czułby się zobowiązany do dzielenia się informacjami.

Zebrali się w pokoju spotkań Stowarzyszenia Przedsiębiorców na piętrze księgarni, ponieważ musieli podjąć pewne decyzje – a nie wszystkie z nich dotyczyły Innych. Montgomery zapewne nie czuł się zbyt swobodnie jako jedyny człowiek obecny na spotkaniu. Prócz niego przyszli też Vlad, Henry, Blair, Elliot i Tess.

Gdy tylko Henry, Blair i Vlad zorientowali się, że dzieje się coś dziwnego, zamknęli Działanie, a Henry wezwał doktora Lorenzo i zaprowadził go do Zielonego Kompleksu, żeby zajął się Meg. Vlad zadzwonił do Heather i Lorne'a z informacją, że sklepy będą zamknięte i nie muszą przychodzić do pracy, ale oboje i tak zjawili się na Działaniu. A Elizabeth Bennefeld zadzwoniła z pytaniem, czy nikt nie potrzebuje jej usług. Tymczasem Merri Lee...

– Dziękuję, że pozwoliliście panie Lee zająć jedno ze swoich mieszkań – zaczął Montgomery.

Zawsze spokojny, zawsze grzeczny. Żadnego wyzwania, żadnej walki o dominację.

– Przeznaczyliśmy jedno z mieszkań dla pracujących u nas kobiet – odparł Simon.

– Nie ma więc żadnych przeciwwskazań, żeby z niego skorzystała.

Inni dali swoim pracownikom dostęp do tych mieszkań jedynie tymczasowo, żeby mieli się gdzie schronić podczas śnieżycy. Ale Tess i Vlad widzieli Merri Lee, kiedy oficer Debany przywiózł ją z pogotowia, i uznali, że póki sprawa nie zostanie w jakiś sposób załatwiona, dziewczyna będzie bezbronna w swoim mieszkaniu w okolicach uniwersytetu. Ponadto Debany powiedział, że dwie koleżanki, z którymi dzieliła mieszkanie, wołałyby, żeby się przeprowadziła, ponieważ nie chciały stać się celem napaści z uwagi na wspólne mieszkanie z wilczą dziwką.

– Oto, co nam wiadomo o sytuacji w Talulah Falls – podjął Montgomery. Simon słuchał go uważnie, nieco zaskoczony tempem eskalacji konfliktu. Pamiętał jednak dobrze, że kiedy zaatakowano Dziedziniec w Lakeside, a Meg została ranna, Żywioły i ich rumaki zareagowały równie szybko, sprowadzając na miasto burzę. Gdyby nie tacy ludzie jak Montgomery, Kowalski i doktor Lorenzo, Lakeside mogłoby już nie istnieć. Był zaskoczony, ale reszta Innych kiwała głowami, dając do zrozumienia, że wiedzą już o sytuacji w Falls, jak również o tym, że Wielka Wyspa została odcięta od ładu. Była jednak dobrze przygotowana, by przetrwać blokadę, a pomiędzy ludźmi a *terra indigena* nie dochodziło tam do konfliktów. Być może to dlatego napięcie w Talulah Falls osiągnęło punkt krytyczny w tak szybkim tempie. Mieszkańcy tamtejszego Dziedzińca ostatnio negatywnie wyrażali się o współpracy *terra indigena* z ludzkimi społecznościami na Wielkiej Wyspie. Podobne niezadowolenie wzbudził w nich niedawny sukces Dziedzińca w Lakeside, któremu udało się nawiązać współpracę przynajmniej z częścią tutejszych mieszkańców. Z drugiej strony, jeśli ludzie nie zamierzali dotrzymać swoich umów z *terra indigena*, ci nie widzieli powodu, by zachować dłużej ich miasta. Simon zgadzał się z przywódcami Dziedzińca w Talulah Falls, że należy wyplenić w ludziach przekonanie, iż mają prawo do wszystkiego, czego zapragną, choć miał też szczerą nadzieję, że ludzie z Lakeside pomogą mu uniknąć konieczności podjęcia takiej decyzji. – Pan Przewoźnik poprosił mnie, bym przekazał wam podziękowania za dzisiejsze ostrzeżenie – zakończył Montgomery, rzucając Simonowi spojrzenie, które wyraźnie pytało: „Co się z panem dzieje?” – Nie wie, ile z tego, co mu powiedziano, jest poufne, więc poprosił, żebym sam z wami o tym porozmawiał, na wypadek gdyby coś dotyczyło Lakeside.

Simon rozłożył kawałek papieru na niskim okrągłym stole stojącym w kręgu krzesel.

– Wie pan, że Meg cięła się dziś rano? – spytał. Montgomery potwierdził milcząco.

– Myślę, że część proroctwa została... utracona, a część nie została spisana we właściwy sposób. Ja... – Pokręcił głową, jakby chciał się z czegoś otrząsnąć. – Oto, co przekazaliśmy Przewoźnikowi.

Porucznik pochylił się i przeczytał krótką listę słów, które Simon zapisał na lustrze w łazience.

uśmiechnięty rekin

spadająca woda

ukryć dzieci

dym i potłuczone słoje

blizny

trzęsąca się piwnica

spadające słoje

rekin

ukryć dzieci

– Myślę, że to wyjaśnia trzęsienia ziemi – powiedział cicho, a potem zmarszczył brwi. – Ale... rekin? Czy w rzece Talulah żyją rekiny?

– Nie – odparł Simon. – Rekinia Straż nie strzeże jezior i rzek.

– Może te słowa to symbole mające oznaczać coś innego?

Henry pokiwał głową.

– Przynajmniej jeśli chodzi o rekina. Ale spadająca woda wskazuje jednoznacznie na Talulah Falls.

Montgomery przeczytał listę jeszcze raz.

– Ukryć dzieci. Powtórzyła to dwa razy, podobnie jak słowo „rekin”.

– Może chodzi jej o jakiegoś drapieżnika, który zagrozi dzieciom na Wielkiej Wyspie? – wyraziła przypuszczenie Tess. – Ale może też chodzić o Falls albo Lakeside. Sądzimy, że wzmianka o bliznach dotyczyła samej Meg.

– Nie, nie nie wydaje mi się. – Montgomery wyjął z koperty kolorową fotografię i położył ostrożnie na stole. – Myślę, że panna Corbyn mówiła o tej dziewczynie. – Simon nie zauważył w niej nic niezwykłego prócz... Czy na lewej połowie jej twarzy naprawdę widział równe blizny? – Policja z Falls odkryła szczątki czterech ofiar w piwnicy, gdzie znaleziono zabitego Sanguinatiego – wyjaśnił porucznik. – Jedna z nich była *cassandra sangue*.

Simon poczuł, jak wydłużają mu się kły.

– Nie pokaże pan tego Meg.

– Przynajmniej nie dzisiaj – dodał Henry stanowczo, a Simon i Blair wyszczerzyli groźnie zęby. – Teraz Meg powinna mieć spokój. A Simon musi panu powiedzieć coś jeszcze. Nie wiemy, czy ta wiedza pomoże w tej chwili komuś w Talulah Falls, ale wszystko rozgrywa się bardzo blisko Lakeside, więc uzgodniliśmy, że policja powinna o tym wiedzieć.

Simon spojrzał na zdjęcie. Wieszcza krwi, taka jak Meg. Nieżywa. Był przywódcą. Może i czuł się dziś chory i przestraszony, ale był przywódcą Dziedzińca w Lakeside i bez względu na to, co sobie myśli policja czy inni *terra indigena*, Meg nigdy nie znajdzie się na takiej fotografii.

– Panie Wilcza Straż? – odezwał się Montgomery. Równie ostrożnie, jak zaraz po burzy. Porucznik podejrzewał, co było wówczas przyczyną nadmiernej agresji Simona, ale miał dość rozsądku, by nie zadawać pytań.

– Kiedy znalazłem Meg w łazience, bardzo krwawiła, a ja... zlizalem krew, żeby oczyścić ranę. – Simon przełknął ślinę. Musiał się napić. Wody, a jeszcze lepiej czegoś mocniejszego. – Myślałem, że zrobię się potem wściekły, że będę mógł ją ochronić, pomóc jej. – Spojrzał Montgomery'emu w oczy. – Tak jak zeszłym razem.

– Porucznik kiwnął głową na znak, że rozumie.

– Ale nie zrobił się pan zły?

– Tylko na chwilę. Potem poczułem się dobrze – tak dobrze, że nie mogłem się skupić, nie mogłem jej... Kazała mi spisać wszystko, co mówiła, a ja próbowałem, ale tak naprawdę chciałem się tylko położyć i czuć się w ten sposób. – Pamiętał erekcję, pożądanie, jakie odczuwała jego ludzka forma. Nie pamiętał natomiast, żeby próbował je zaspokoić.

– Czy teraz dobrze się pan czuje?

Coś w głosie Montgomery'ego... Simon zmusił się do koncentracji.

– Nie... jeszcze nie.

– Opisał pan właśnie doświadczenie odpowiadające działaniu narkotyku o nazwie euforka. Nic dziwnego, że tak pan zareagował. Uzależnia jak opiaty. – Monty urwał i popatrzył na zebranych. – Mamy doniesienia o co najmniej jednym zgonie z przedawkowania. Ofierze po prostu przestało zależeć na przetrwaniu.

Pełna napięcia cisza.

– Przez większość dnia Simon zachowywał się zupełnie biernie, nie mógł o siebie dbać ani się bronić – powiedział wreszcie Henry.

– Rozumiem. – Montgomery odetchnął głębiej, zanim spytał: – Jest pan pewien, że nie przyjął pan nic innego? Zupełnie pewien?

– Jestem pewien, że narkotyk, który nazywacie wilczeniem, pochodzi z krwi *cassandra sangue* – odparł Simon. – I że to samo dotyczy euforki.

To uzależniało? W takim razie czy to uczucie pustki i tęsknoty minie, czy może będzie chciał ugryźć Meg, żeby znów się tak poczuć? I jakim cudem dwa tak diametralnie różne efekty mogła wywołać ta sama substancja? Jego reakcja na krew Meg zmieniała się niemal z liźnięcia na liźnięcie. Jak? Dlaczego?

Montgomery poprawił się na krześle.

– Chciałbym przedyskutować tę sprawę z doktorem Lorenzo, oczywiście w ścisłej tajemnicy.

– Jeśli ktoś się dowie... – zaczął Simon ostrzegawczo, ale porucznik wszedł mu w słowo:

– Zdaję sobie sprawę z zagrożenia, panie Wilcza Straż, naprawdę. Wiem również, że doktor Lorenzo ma zamiar odwiedzić pannę Corbyn jutro rano. Chciałbym się wtedy z wami spotkać.

– Nie z Meg. – Simon czuł, że wszyscy na niego patrzą. Wziął kartkę z przepowiednią i zdjęcie martwej *cassandra sangue*. Czy to była Jean, przyjaciółka Meg, o której wspominała? Ta, która upierała się, że ma imię, a nie tylko symbol? – Najpierw wysłuchamy tego, co obaj z doktorem Lorenzo będziecie mieli do powiedzenia na temat tych narkotyków, a potem porozmawiam z Meg.

– Świetnie. – Monty wstał. – Jeśli to już wszystko, to muszę wracać na komisariat.

– To wszystko.

Simon zaczekał, aż porucznik zejdzie na dół, a potem poderwał się z miejsca. A przynajmniej próbował. Nadal był roztrzęsiony, nadal...

Zaskomlał, kiedy zobaczył, że jego palce zmieniają kształt, mimo wysiłków, by to powstrzymać.

– Wszystko w porządku. Zachowałeś ludzką formę, póki nie wyszedł – zapewnił go Vlad, a w jego głosie słychać było współczucie. – Simonie, musisz odpocząć.

Nie musiał odpocząć. Musiał być przy Meg.

– Idę do domu. – Podał Vladowi zdjęcie i listę. – Przechowaj to. Pod kluczem. Nie chcę tego w Zielonym Kompleksie.

– Odwiozę cię – zaproponował Blair.

Nie zaprotestował. Bardzo potrzebował przemiany w Wilka i nie mógł liczyć na to, że zdoła utrzymać ludzką formę do czasu przyjazdu do domu.

Vlad wziął papiery i poszedł do biura ZDL. Elliot oświadczył, że musi wracać do konsulatu. Burmistrz z pewnością zostawił mu kolejne wiadomości, gdyż za wszelką cenę starał się utrzymać komunikację z Dziedzińcem, żeby Lakeside nie podzieliło

losu Talulah Falls.

Simon ruszył za Blairem do wyjścia. W pokoju zostali tylko Tess i Henry – Tess wyraźnie miała jakąś sprawę do Niedźwiedzia. Jej prawdziwa natura objawiła się na tyle, że nie mogła już uchodzić za człowieka, a włosy – czarne z kilkom czerwonymi pasmami, choć jeszcze przed chwilą były czerwone z zielonymi pasmami – wiły się dziwnie wokół jej twarzy. Henry miał wrażenie, że sięgają po niego, czekają na okazję, żeby złapać go za gardło i dusić.

– Nie chcę ci zrobić krzywdy, Niedźwiedzia Straż. – Nawet jej głos był teraz inny, bardziej dziki. – Ale nie tylko ja mam dziś kłopoty z kontrolowaniem swojej natury.

Henry kiwnął głową.

– Mówisz o Simonie.

– I o tobie.

Wskazała jego dłoń, a on aż poderwał się, zaskoczony. Pazury Niedźwiedzia na ludzkich palcach. Kiedy zaczął się przemieniać?

– Meg przyniosła ze sobą kłopoty, ale przyniosła również dobro – stwierdził. – Była dla nas dobra.

– Zgadzasz się z tobą. Ochroniliśmy ją przed ludźmi, którzy chcieli ją skrzywdzić. Teraz musimy zrobić to samo dla jej ludzkiego stada.

Nie słyszał, żeby gdzieś jeszcze wśród Innych żyło takie ludzkie stado. Uważali je obecnie za część Dziedzińca i obejmowali taką samą ochroną jak mieszkających tu *terra indigena*.

Ale Merri Lee to nie Meg. Meg uciekała przed wrogami i nie miała żadnych powiązań z ludzkim światem, kiedy tu przybyła. Natomiast Merri Lee miała przyjaciół i rodzinę. Prawda?

Nagle uświadomił sobie, jak niewiele wie o ludziach, którzy dla nich pracują.

– Co proponujesz? – spytał.

– Pójdziemy do jej mieszkania i spakujemy jej rzeczy – odparła Tess. –

Podejrzewam, że ma ich niewiele, więc zapewne bardzo je sobie ceni.

Jeśli tak, to dzieliła tę cechę z *terra indigena*. Czy dotyczyło to wszystkich ludzi z ludzkiego stada? Pomyśli o tym innego dnia.

– A co z jej nauką?

– Po kolei. – Włosy Tess przestały się wić.

– Blair weźmie jedną furgonetkę, ja drugą.

– Powinien pojechać z nami jakiś policjant, żeby uniknąć nieporozumień.

Henry kiwnął głową.

– Porozmawiam z posterunkowym Debanym i z Merri Lee, a ty załatw z Blairem samochody.

Tess wstała, ale odwróciła jeszcze do niego twarz.

– Wiesz, kim jestem – stwierdziła.

– Dorastałem na Zachodzie, niedaleko granicy z High North. Nie dostrzegałem związku z legendami, póki nie zobaczyłem, jak umarła Asia Crane. Wtedy odgadłem prawdę.

– Ale nikomu nic nie powiedziałeś.

– Wyeliminowałeś wroga. Co miałem powiedzieć? – zawahał się. – Jeśli chodzi o



tego drapieżnika, który grasuje po rzece i którego unikają nawet Sanguinati...

Zastanawiam się, czy wokół Talulah Falls nie poluje przypadkiem inny Żniwiarz.
– To niewykluczone. Przez następne kilka dni będzie tam masa zwierzyny. Wielu drapieżników z okolic jezior Etu i Tahki ściągnie do Falls.

Tyle sam podejrzewał. W innym okresie życia byłby jednym z nich.

Wstał, górując nad Tess, podobnie jak górował nad wszystkimi innymi mieszkańcami Dziedzińca.

– Czy tylko po to jedziemy, Tess? Żeby zabrać rzeczy Merri Lee?

Jej włosy znów zaczęły się wić.

– Tylko po to.

Wyszła z pokoju z opuszczoną głową, żeby nikt nie spojrzał w jej twarz, w jej oczy. Żniwiarze odbierali energię życiową – po trochu albo od razu całą. Byli najbardziej groźnymi drapieżnikami Namid, najbardziej skuteczną bronią świata, jeśli należało przetrzebić jakiś gatunek. Byli drapieżni i efektywni, ale na szczęście było ich niewielu. Może jednak to nie Żniwiarze byli jednak najgroźniejszą bronią Namid? Henry potrząsnął głową, żeby pozbyć się tych myśli. Potem ruszył do mieszkania nad pracownią krawiecką, żeby porozmawiać z Merri Lee i Michaeliem Debanym. Simon zapukał do kuchennych drzwi mieszkania Meg. Wiedział, że jest w domu. Słyszał głos Jake’a i urywany śmiech Jester’a, którzy szli z powrotem do mieszkania Henry’ego, i domyślił się, że ją tam odprowadzili.

Była w domu, ale czy go wpuści?

Otworzyła i zmierzyła go wzrokiem.

– Przykro mi, że wyłamałem ci drzwi. – Wcale nie było mu przykro, ale tak właśnie mówili ludzie w podobnych sytuacjach.

Cofnęła się.

– Wejdz. – Wszedł do kuchni, usiłując ukryć radość i ulgę, jakie poczuł. – Masz ochotę na pizzę? – spytała. – Porucznik Montgomery chyba źle oszacował liczbę osób, które będą uczestniczyć w wieczorze filmowym, bo zostało jeszcze całe mnóstwo.

– Nie, dziękuję. – Sam jej zapach sprawił, że aż trząsnął się z pragnienia. Nie miał pojęcia, jak je zaspokoić, nie robiąc przy tym czegoś niewybaczalnego.

– Powiesz mi, co ci się stało? Ponieważ dziś rano coś ci się stało, a... – Zaczęła ugniatać lewe ramię, zapewne usiłując pozbyć się mrowienia. – Nadal źle się czujesz?

– Nie chcę o tym mówić. Nie dziś, dobrze?

– Więc czego chcesz?

Słowa wylały się z niego zupełnie nieoczekiwanie. Zachowywał się jak mały przerażony szczeniak, co było okropnie upokarzające.

– Mogę zostać u ciebie na noc? Sam nocuję u Elliota, a ja... Nie chcę być sam dziś w nocy.

Popatrzyła na niego z niepokojem.

– Chcesz spać ze mną?

– Tak.

Zrobiła niepewny gest ręką.

– W tej formie?

– Nie. Jako Wilk. Nie przemienię się w człowieka. Obiecuję. – Nie był pewien, czy zdoła dotrzymać tej obietnicy, ale wiedział, że jeśli nie dotrzyma, po raz ostatni znajdzie się na tyle blisko Meg, by móc się przytulić.

Nie wiedział, co takiego dostrzegła w jego twarzy, w jego oczach. Nie był dziś silnym, dominującym Wilkiem, stojącym na czele Dziedzińca. Nie czuł się dominantem.

– Dobrze – powiedziała, lecz pogroziła mu palcem. – Ale jak będziesz miał futro, nie warcz na mnie, że zabieram całą kołdrę.

Spuścił wzrok.

– Dobrze.

– Simon, przecież żartowałam – zachnęła się wesoło.

Nie wiedział, jak zareagować, więc zamknął kuchenne drzwi, na ile się dało, i poszedł za nią do sypialni. Kiedy była w łazience, zdjął dzinsy, sweter i grube skarpety, a potem przemienił się, pełen ulgi, że jego ciało reaguje w znany sposób. Przeciągnął się i zaczął tarzać, i zrobił wszystko, co tylko przyszło mu do głowy, żeby sprawdzić, czy przemienił się całkowicie. Wreszcie, zadowolony – zresztą i tak czas mu się kończył, ponieważ Meg spuściła wodę, odkręciła kran i zaraz miała wyjść z łazienki – wskoczył na łóżko i zajął dokładnie jego połowę. Wprawdzie był większy od Meg, ale nie chciał się rozpychać.

Położyła się i okryła kołdrą, ale ręce zostawiła na zewnątrz.

– Powinnaś spać na wznak, ponieważ cięcie jest długie – wyjaśniła. – Ale jak mam pamiętać, żeby spać na wznak, kiedy już zasnę? I nie wolno mi moczyć rany przez dwa dni, więc mogę się myć tylko gąbką. I nie będę mogła umyć włosów. Drażni mnie to, sama nie wiem dlaczego. – Simon też nie wiedział, ale zaskomlał ze współczuciem. Meg westchnęła i zanurzyła palce w jego futrze. – Nie postąpiliśmy dziś właściwie, prawda?

Nie mógł się z tym nie zgodzić. Ale ponieważ nie był w stanie naprawić błędów popełnionych rano, nie zamierzał myśleć o tym, w jaki sposób utracone części przepowiedni Meg mogłyby zmienić los Talulah Falls.

Odetchnął jej zapachem – i poczuł jak pragnienie przygasa. Ciepło, wygoda i przyjaźń. Gdyby tylko przestał popełniać błędy, mógłby to wszystko zachować już na zawsze.

Poczuł, że się odprężyła, a po chwili zasnęła, z palcami zanurzonymi w jego futrze. Wyciągnął szyję i polizał ją delikatnie po policzku.

Jej smak uspokoił go, tak jak wtedy w szpitalu, gdy miotała nim wściekłość.

Polizał ją jeszcze raz, a potem zamknął oczy i zasnął.

Rozdział 17

Simon pędził w blasku pełni księżyca za najwspanialszym, najbardziej soczystym mięsem, jakie znał. Wkrótce będzie jego, całe jego.

Gonił ją, aż zaczęła opadać z sił. Takie nogi nie dają szybkości potrzebnej, by uciec przed Wilkiem.

Dogonił ją, wyczuł rytm jej ruchów, złapał ją zębami za łokieć – i pociągnął w dół. Upajający zapach krwi. I mięso, tak wyborne, ponieważ to była...

Meg!

Gwałtownie zerwał się z łóżka. Przerażony, dysząc ciężko, rozglądał się wokół.

Panująca w pokoju szarówka wskazywała na wczesny poranek, ale dla Wilka światła było dość. Meg nie było w łóżku, ale... Odruchowo zaczął się przemieniać, przypomniał sobie jednak o obietnicy, że pozostanie w wilczej formie, więc tylko wetknął głowę pod kołdrę i powęszył.

Krew.

Odsunął się od łóżka i zawył, wypełniając swą pieśń rozpaczą i strachem. Simon? zaskoczony głos Vlada, który mieszkał dwa mieszkania dalej. Tess i Henry mieszkali po drugiej stronie kompleksu, ale wkrótce i oni zaczną się domagać odpowiedzi.

Tymczasem on jej nie znał. Miał tylko wspomnienie swoich zębów...

Zawył znowu i... w progu sypialni stanęła Meg. Włączyła górne światło, na chwilę oślepiając ich oboje.

– Co się stało? – spytała.

Meg! Skoczył ku niej, ale gdy poczuł zapach krwi, wycofał się, skomląc. Czuł tę cudowną woń i to było w porządku, ale smak w jego ustach już nie.

– Co się z tobą dzieje? – wyglądała na zmęczoną. – Jesteś ranny? Chory?

To niesprawiedliwe! Kazała mu przysiąc, że się nie przemieni, a teraz zadaje pytania, na które nie mógł jej odpowiedzieć, ponieważ nie potrafiła komunikować się na sposób *terra indigena*.

Pokręcił głową. Tylko tyle mógł zrobić w tej sytuacji.

Na chwilę oparła się o futrynę.

– No dobrze. Skoro nic ci nie jest, muszę... spuścić wodę i umyć ręce. Myślałam, że coś się stało i nie dokończyłam.

Wróciła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi, mocniej niż zwykle.

Wtedy frontowe drzwi do jej mieszkania otworzyły się i zamknęły z trzaskiem.

– Meg! – zawołał Vlad. Simon natychmiast się przemienił, złapał dzinsy, które zostawił na podłodze koło łóżka, i założył je, zanim Vlad dotarł do sypialni. – Co się dzieje? – spytał wampir.

– Nie jestem pewien.

– Jesteś chory?

– Nie. – Prawdę powiedziawszy, kiedy się całkiem rozbudził, poczuł się zupełnie dobrze. Oszołomiony, owszem, ale wypoczęty i pełen energii.

Meg wróciła z łazienki i zmierzyła wzrokiem ich obu.

– Co się z wami dziś dzieje?

– Poczulem krew – wyjaśnił Simon. – I zdenerwowałem się. – Popatrzył na jej piersi. Czy rana się otworzyła? Jeśli się otworzyła i zaczęła krwawić, to czy Meg znów wypowie prorocstwo? A może się cięła? Czy to dlatego poszła do łazienki? – Mam coś zapisać?

– Nie. – Meg była wyraźnie spięta. – Tej krwi nie towarzyszy wizja ani prorocstwo. Przechylił głowę na bok.

– To są jakieś inne rodzaje krwi?

Vlad, który stał bliżej Meg, zajrzał jej w twarz i cofnął się o krok. A Wilk pożałował, że założył dzinsy i nie może przemienić ogona, żeby zakryć nim genitalia.

– Jestem kobietą! – krzyknęła. – To jest normalne! – Simon spojrział pytająco na Vlada, który wydawał się równie zaskoczony jak on. – Uważacie, że chociaż innym dziewczynom to się zdarza, mnie nie powinno?

Zapewne najlepiej będzie nie wspominać, że choć mieszka na Dziedzińcu od trzech miesięcy, po raz pierwszy zrobiła tę kobiecą rzecz. Może wieszczki krwi mają cieczkę raz na kwartał? Skąd Inni mają to wiedzieć? Ich ludzkie pracownice zwykle brały sobie wtedy wolne, żeby nie podniecać drapieżników zapachem krwi, więc tak naprawdę po raz pierwszy miał do czynienia z kobietą, która robiła coś takiego, a nie była *terra indigena* – zresztą u większości rodzajów *terra indigena* samica

miewała cieczkę tylko raz albo dwa razy w roku.

– Meg... – zaczął słabo Vlad, ale zmiażdżyła go wzrokiem

– Skoro nie mogę wrócić do łóżka, idę zaparzyć sobie rumianku.

Jak na tak niską i szczupłą osobę, potrafiła okazać siłę bizona.

Vlad spojrział niepewnie na Simona.

– Co się dzieje?

– Myślę, że Meg ma cieczkę. – Wiedział, że ludzie tak tego nie nazywają, ale był zbyt oszołomiony, żeby przypomnieć sobie teraz właściwe słowo. – Śniło mi się coś. Musiałem wyczuć zapach krwi, bo...

Vlad odchylił kołdrę, ale gdy zobaczył rozmazaną na prześcieradle krew, przykrył je z powrotem.

– Nie chcę, żeby Meg wściekła się na mnie za wtykanie nosa w jej prywatne sprawy, więc nie widziałem tego. – Poprawił poduszkę i zmarszczył brwi. – Dlaczego zjadłeś róg poduszki?

To by wyjaśniało ten dziwny smak w jego ustach. Zamiast odpowiedzieć, Simon założył sweter.

– Ty zajmij się Henrym i Tess, a ja zajmę się Meg, dobrze? – Zatrzymał się na chwilę w progu. – Ludzkie kobiety. One wtedy wariują, prawda?

– Jeśli wierzyć temu, co piszą mężczyźni – odparł Vlad.

Usłyszeli w kuchni brzęk, a potem pełen złości okrzyk Meg.

Simon westchnął.

– Chyba się nie mylą.



„Poranne wiadomości. Wczoraj wieczorem rozgłośnia radiowa i stacja telewizyjna w Talulah Falls przestały nadawać. Około północy zostały zerwane linie telefoniczne. Rzecznik burmistrza Lakeside zapewnia, że czyni się wszelkie wysiłki, by na powrót nawiązać kontakt. Wczoraj w nocy doszło do tragedii na kampusie uniwersytetu w Lakeside. Ponad dwustu studentów zapadło na tajemniczą chorobę. Cztery osoby zmarły. Lekarze i policja starają się ustalić źródło pochodzenia choroby. Naczelny lekarz odmówił odpowiedzi na pytanie, czy mamy do czynienia z zarazą, jednakże wszystkie zajęcia na uniwersytecie zostały zawieszane do odwołania. Mówiła Ann Hergott z WZAS, wiadomości co pół godziny. A teraz...”
Mężczyzna siedzący przed Montym w autobusie wyłączył przenośne radio i uśmiechnął się pokornie do współpasażerów.

– Przepraszam, miałem nadzieję, że już zidentyfikowano przyczynę choroby.

Śledczy wiedzą o niej dość, żeby nie pytać o źródło, pomyślał Monty, odwzajemniając z roztargnieniem uśmiech. Potem wyjrzał przez okno na ulicę Króliczego Ogona, którą właśnie mijali. Kilka tygodni temu do szpitala zaczęli się zgłaszać ludzie z podobnymi objawami. A widok tych czterech zmarłych mężczyzn dziwnie przypominał Asię Crane. Sposób, w jaki umarła, przypominał o koszmary senne nawet doświadczonych patologów i policjantów.

Przyczyna choroby i śmierci mieszkała na Dziedzińcu w Lakeside – a policja nic nie mogła w tej sprawie zrobić.

– Kapitan Burke pana szuka – powiedział Kowalski, gdy tylko Monty dotarł do swego biurka.

– Już? Przyszedłem wcześniej, ponieważ mam dziś rano spotkanie z Simonem

Wilczą Strażą i doktorem Lorenzo.

– Mam wrażenie, że kapitan jest tu od dłuższego czasu. – Kowalski zawahał się. – Debany słyszał wiadomości i zadzwonił do mnie. Jest trochę wystraszony.

– Nie dziwię się. – Debany był jednym z tych, którzy znaleźli Asię Crane. – Gdzie jest teraz?

– W mieszkaniu na Dziedzińcu. Nie chciał, żeby panna Lee była w nocy sama. Ale przyjdzie na swoją zmianę.

Monty przyjrzał się partnerowi.

– Czy z Ruthie wszystko w porządku?

Kowalski uśmiechnął się, ale jakby z przymusem.

– Dyrektor szkoły, w której uczy, zasugerował, żeby wzięła bezpłatny urlop.

– Dlaczego? – Monty uniósł brwi. – Ponieważ reszta nauczycieli nie chce mieć do czynienia z „wilczą dziwką”?

– Coś w tym rodzaju. Do końca roku szkolnego zostało tylko kilka tygodni. Ruthie chce się utrzymać na posadzie najdłużej jak zdoła. Jeśli jedno z nas straci pracę, raczej nie będzie nas stać na własne mieszkanie. – Kowalski wskazał głową biuro kapitana. – To nie jest dobry dzień, żeby kazać mu czekać, poruczniku

Kiedy tylko Monty wszedł do biura, Burke kazał mu zamknąć drzwi i usiąść.

– Nadal ma pan zaplanowane spotkanie ze Stowarzyszeniem Przedsiębiorców Dziedzińca?

– Tak, kapitanie. Za niecałe pół godziny.

– W takim razie będę się streszczał. Słyszał pan o uniwersytecie?

– I o utracie łączności z Talulah Falls – odpowiedział Monty.

– W sprawie Falls nic nie możemy zrobić, możemy natomiast dołożyć starań, żeby pomóc kapitanowi Wheatleyowi opanować sytuację na uniwersytecie.

– Tak jest. – Co mieli zrobić? Odpowiedź była prosta: powstrzymać ludzi od eskalacji konfliktu.

Burke pchnął w stronę Monty’ego leżący na biurku dokument. Porucznik podniósł i zaczął czytać:

– „Jeśli jeszcze raz tkniecie coś, co należy do nas, to samo stanie się z wami wszystkimi”. – Zakręciło mu się w głowie. – Co to jest?

– Wiadomość pozostawiona przy jednym z ciał, zapisana w notatniku chłopaka. Myślę, że znaczenie jest jasne.

– Simon Wilcza Straż nie pozwoliłby na to. – Przynajmniej taką miał nadzieję.

– Pamięta pan, ta dziwna choroba pojawiła się już raz, kilka tygodni temu, mniej więcej w czasie, kiedy umarł Darrell Adams. Podejrzewaliśmy wówczas, że na Dziedzińcu żyje coś, co potrafi zabijać spojrzeniem. Jeśli to stworzenie zechce zabić wszystkich studentów uniwersytetu, nie sądzę, żeby Simon Wilcza Straż mu przeszkodził. – Uśmiech Burke’a był dziki jak zwykle, ale teraz kryło się w nim współczucie. – Jest pan dość naiwny, prawda, poruczniku?

– To znaczy?

– Urodził się pan i wychował w Toland?

– Tak. Rodzina mojego ojca wyemigrowała do Thaisii z Afrikah kilka pokoleń temu i osiedliła się w Toland. Większość rodziny mojej matki mieszka na Wyspach Burzowych.

– Ale nigdy wcześniej nie miał pan tak naprawdę kontaktów z Innymi, prawda?

Monty pokręcił głową.

– Zanim tu przyjechałem, nie wiedziałem nawet, że wampiry noszą nazwisko Sanguinati ani że rządzą Dziedzińcem w Toland.

– I dlatego właśnie jest pan naiwny. Sanguinati rządzą Dziedzińcem w Toland od dwustu lat albo dłużej – Burke odetchnął. – Na bogów na dole i na górze, jak wielu jeszcze policjantów w Toland nie ma pojęcia nawet o takich podstawowych sprawach?

Monty, urażony, zamierzał wstać, ale się powstrzymał.

– Powierzono nam utrzymywanie porządku wśród własnego rodzaju. Większość policjantów z Toland nie ma kontaktu z *terra indigena*. W Lakeside jest podobnie. Ten komisariat i jego personel to jedyni policjanci, którzy mają regularnie do czynienia z Innymi. We współpracy z kłami i pazurami nie kryje się żadna chwała!

– Kłami i pazurami? – Burke złączył palce i oparł dłonie o brzuch. – To istny wybuch z pana strony. Dlaczego mam wrażenie, że nie ma nic wspólnego z Talulah Falls ani ze studentami z tutejszego uniwersytetu?

– Muszę iść na spotkanie. – Monty nie chciał wyjaśniać, że za jego zachowaniem tak naprawdę kryje się wczorajszy telefon od Elayne. Mówiła bełkotliwie, zapewne piła przez kilka godzin, zanim do niego zadzwoniła. Powinien był się rozłączyć od razu, zważywszy, że o takiej porze nie miał szans na rozmowę z Lizzy, ale słuchał cierpliwie, jak rozprawia o swoim nowym kochanku, o tym, jak to za jego sprawą coś się stanie i jak bardzo czeka na lato, które spędzi z nim w posiadłości jego rodziny w Cel-Romanii.

Nagle uświadomił sobie, że myśli na głos.

– Znalazł pan coś o panu Strzępielu albo o jego planach w Thaisii? – spytał Burke. Monty pokręcił głową.

– Gdyby Elayne się dowiedziała, że badam Strzępiela, oskarżyłaby mnie o zazdrość, a już w tej chwili trudno mi wydobyć z niej jakiegokolwiek informacje na temat Lizzy.

– Ja nie jestem jej byłym kochankiem, a biorąc pod uwagę obecne napięcie w miastach nad Wielkimi Jeziorami, mam powody, by chcieć dowiedzieć się więcej o panu Mikołaju Strzępielu i jego planowanych wystąpieniach, szczególnie jeśli zamierza wkrótce tu przyjechać. A jeśli uznam za stosowne podzielić się tą wiedzą z moimi ludźmi, to jest to wewnętrzna sprawa policji.

Monty poczuł ogromną ulgę. Przyjmie każdą pomoc, żeby zachować kontakt z córką. Ale myśl o Lizzy kazała mu zastanowić się nad czymś jeszcze.

– Kapitanie? Dlaczego nikt nie próbuje pomóc ludziom w Talulah Falls?

Burke rzucił mu przeciągłe spojrzenie.

– Załóżmy, że gubernator Regionu Północno-Wschodniego poleci każdemu miastu i osadzie wysłać pewną część swoich sił policyjnych do Falls, by uwolnić uwięzionych tam ludzi, oczywiście o ile chociaż część z nich jeszcze żyje. Jak te siły miałyby dotrzeć do Falls?

– Pociągiem – odparł Monty mimo podejrzeń, że właśnie znów dowodzi swojej naiwności. – Albo autokarami i... – Nagle zrozumiał wiele rzeczy. Dlaczego miasta kontrolowane przez ludzi są w Thaisii tak bardzo oddalone od siebie. Dlaczego policja w każdym mieście jest jedyną uzbrojoną służbą przeszkoloną w utrzymywaniu porządku wśród ludzi – i powstrzymywaniu ich od prowokowania Innych do rzezi.

– Wszystkie drogi prowadzą przez lasy – powiedział Burke łagodnie. – Jeśli tylko

terra indigena zobaczą taki transport, zrobią to, co zawsze robili tu, w Thaisii – i w każdej innej części świata. Oni zniszczą wroga, porucznika. Zablokują drogi, przerwą linie kolejowe i nie zostawią żadnych świadków. A jakie pana zdaniem są szanse, że pozwolą potem naprawić drogi i linie kolejowe?

– Żadne – odparł Monty i wzdrygnął się mimo woli. – Ale dla nich to również będzie niedogodność.

– Nie aż taka jak dla nas. Założę się, o co pan chce, że zbudowali sobie drogi, które są dla nas niedostępne. – Burke westchnął. – Mam nadzieję, że rząd w Falls zdoła wynegocjować zgodę na dalsze istnienie miasta i na wymianę mieszkańców.

– Na co?



– Kiedy coś takiego zdarzyło się po raz ostatni, byłem jeszcze dzieckiem i nie pamiętam nawet, w którym regionie to się stało. Doszło do starć między ludźmi a Innymi. Ludziom groziła eksterminacja, ale Inni nie chcieli całkowicie likwidować miasta, chcieli tylko nie mieć więcej do czynienia z jego mieszkańcami. Więc kilka innych osad zorganizowało wymianę – ich mieszkańcy przenieśli się do obłożonego miasta, a tamci zostali przesiedleni. Dla wszystkich był to nowy początek. Gdyby mój ojciec był młodszy i nie miał rodziny, zapewne też by się przeniósł. Ale sytuacja między nami a Innymi była bardzo napięta i matka nie chciała przeprowadzać się z dziećmi w takie miejsce.

– Myśli pan, że to samo stanie się w Falls?

– Nie wiem. Wiem natomiast, że farmerzy z Georgette uzyskali od *terra indigena* pozwolenie na powrót do domów. Nie brali udziału w starciach, więc Inni wyrazili zgodę. Nie pozwolono natomiast pozostać nikomu z mieszkańców Georgette. Ostatnich wysiedlono kilka dni temu. – Burke wziął teczkę i położył na środku biurka. – Spóźni się pan na spotkanie, poruczniku.

– Tak jest. – Monty wstał. – Myśli pan, że Inni obawiają się niektórych rodzajów wśród swoich?

Kapitan otworzył teczkę, ale nie podniósł głowy.

– Myślę, że niektórzy z nich czasami się boją. A są tacy, którzy nie boją się niczego prócz samego końca świata – a może nawet i tego nie.

– Jadę z tobą – oświadczyła Meg. Wrzuciła swoją torbę na tył PNK, mając nadzieję, że Simon nie zauważył, jak się przy tym skrzywiła. Dlaczego każdy ruch ręką drażnił ranę na piersi? Nie pamiętała, żeby tak było po cięciach w kompleksie. No ale z drugiej strony dziewczęta nie robiły potem nic, tylko siedziały spokojnie na szkoleniu.

– Wiem – odparł Simon, rzucając jej ostrożne spojrzenie. – Podwiozę cię na rynek. Chciałaś poznać tę kobietę, która będzie pracować dla doktora Lorenzo, i przejrzeć nowości w bibliotece. Nie możesz pracować jeszcze przez kilka dni.

– Owszem, chcę poznać Theral MacDonald i przejrzeć nowości w bibliotece, ale chcę również sprawdzić, jak się czuje Merri Lee. Pobili ją, a żaden z was nie uznał za stosowne mi o tym powiedzieć!

Zauważyła, jak coś się zmienia w jego twarzy, i po chwili zidentyfikowała ten wyraz. Jeśli będzie dalej naciskać, dominujący samiec poczuje się zmuszony potwierdzić swoją pozycję.

– Miałem zamiar ci powiedzieć – warknął. – Wczoraj ta wiedza nie była ci

potrzebna. Kto ci powiedział?

– Masz rację, może to i lepiej, że wczoraj nie wiedziałam. – Meg nie zamierzała zdradzić, że dowiedziała się wszystkiego zaledwie kilka minut temu, od Jenni Wroniej Straży, kiedy Simon poszedł do garażu po PNK, jakby uważał, że cięcie na piersi odjęło jej nogi. Choć z drugiej strony głupio było wyklócać się z kimś, kto starał się okazać zrozumienie, szczególnie jeśli zrozumienie człowieka było dla tego



kogoś czymś nowym. – Ale nie o tym mówiłam. Jadę z tobą na to wasze spotkanie z porucznikiem Montgomerym i doktorem Lorenzo. – O tym też wspomniała jej Jenni, narzekając, że Wrony nie zostały zaproszone. Kły Simona wydłużyły się, a w jego bursztynowych oczach pojawiły się te dziwne czerwone iskierki, wskazujące, że jest wściekły. W dodatku jego policzki nagle pokryły się futrem. – Będziecie rozmawiać o tym, co wczoraj przytrafiło się nam obojgu, prawda? – naciskała Meg, nie zwracając sobie głowy konsekwencjami. – O tym, co widziałam w wizji, i o tym, co stało się z tobą? Więc powinnam wziąć w nim udział.

Patrzył na nią, a futro cofnęło mu się z twarzy. Jeśli nie liczyć tych czerwonych iskierek i kłów, które nadal były nieco za długie, mógł znów uchodzić za człowieka. Ale nie sądziła, żeby czuł się jak człowiek, szczególnie kiedy przeszedł na jej stronę PNK i uwięził ją między swoim ciałem a maską pojazdu, choć bardzo uważał, żeby jej nie dotknąć.

– Daj mi brzytwę – warknął.

Już o tym kiedyś rozmawiali.

– Jest moja.

– Może rzeczywiście powinnaś być na tym spotkaniu, ale nie pójdziesz na nie z brzytwą w kieszeni. Nie w dniu, kiedy masz te kobiece fochy.

Przez chwilę żałowała, że nie jest tak silna jak niektóre bohaterki w książkach.

Naprawdę miała teraz ochotę chwycić PNK i rozbić na głowie Simona.

Kobiece fochy! Jak on śmie!

– To nie ja wyłam dziś rano na całe gardło – teraz ona warknęła. – Co takiego ci się śniło, że zżarłeś moją poduszkę?

Pochylił się ku niej i naparł na nią całym ciałem.

– Śniło mi się, że cię gryzę.

No dobrze, minęło sporo czasu, odkąd groził, że ją zje albo ugryzie, ale tym razem jego słowa nie zabrzmiały tak jak kiedyś. Zabrzmiały mroczniej, bardziej groźnie.

Przełknęła ślinę, a on zatrzymał na chwilę wzrok na jej szyi. Czy widział, jak bije jej puls, czy słyszał uderzenia serca?

– Spóźnimy się – szepnęła.

Cofnął się o krok i wyciągnął rękę. Nie spierała się dłużej. Wyjęła srebrną brzytwę z kieszeni dżinsów i podała mu, a on schował ją do własnej kieszeni. Potem obszedł PNK i wsiadł za kierownicę. Meg, nieco roztrzęsiona, zajęła miejsce pasażera i zatrzasnęła za sobą drzwiczki. Jeśli reszta Innych jest tak samo wzburzona jak Simon, może lepiej będzie, jeśli jednak nie pójdzie na to spotkanie.

Monty nie ucieszył się na widok Meg Corbyn wchodzącej do pokoju spotkań wraz z Simonem. Podejrzewał, że Dominic Lorenzo podziela jego uczucia. Obaj mieli nadzieję, że najpierw porozmawiają z Innymi na temat podejrzeń doktora, a dopiero potem spotkają się z ich łącznikiem z ludźmi.

Henry Niedźwiedzia Straż i Tess wskazali nowo przybyłym miejsca przy niskim stole, po czym sami usiedli. Obecni byli również Elliot i Blair Wilcza Straż, ale zamiast usiąść, stali pod ścianą. Raczej obserwatorzy niż uczestnicy?

– Może lepiej... – zaczął Monty, ale Simon wyszczerzył zęby.

– Szukamy odpowiedzi. To jest również sprawa Meg, a ona chce tu być. Gdzie jest Vlad? – Spojrzał na Henry'ego.

– Już idzie – odparł Niedźwiedź. – Prosił, żeby na nich poczekać.

Simon zawahał się, a potem zajął miejsce obok Meg, siedzącej krzesło w krzesło z Tess.

Po chwili istotnie do pokoju wszedł Vladimir Sanguinati. Towarzyszyła mu niezwykle piękna kobieta, ubrana w długą, staroświecką suknię z czarnego aksamitu z obszernymi rękawami. Podobnie jak Vlad miała oliwkową cerę, czarne włosy i czarne oczy. W Montym natychmiast obudziło się zainteresowanie.

Ciekawe, ilu mężczyzn, którzy próbowali przemienić to zainteresowanie w czyny, przeżyło.

Ale jego największą uwagę przyciągnął starzec, który wszedł za parą Sanguinatic. Miał starcze, sękaty, żylaste dłonie i zrogowaciałe paznokcie, ubrany był równie staroświecko, jak jego towarzysza, ale jego strój w ogóle nie sprawiał wrażenia uszytego z materiału.

– Dzień dobry, panie Erebusie – powiedziała Meg, zaskoczona, ale też wyraźnie ucieszona jego widokiem.

Uśmiechnął się do niej łagodnym uśmiechem starca.

– Jak się dziś miewa nasza Meg?

Monty poczuł ciarki na plecach. Ten lekki akcent w jego głosie to musiała być maniera. Za bardzo przypominał sposób mówienia czarnych charakterów z filmów, które oglądał jako chłopiec, żeby mógł być prawdziwy. A to kazało mu się zastanowić, jak brzmiałby ten głos bez akcentu.

– Dobrze – odparła Meg z uśmiechem.

– Musi na siebie uważać przez kilka dni – zaznaczył Simon. – Żadnego dzwigania worków z pocztą i paczek. Prawda? – to pytanie skierował do doktora Lorenzo.

– Musiałbym najpierw obejrzeć ranę, ale na pewno nie zaszkodzi uważać – odparł Lorenzo.

– Dziadku, to jest porucznik Crispin James Montgomery, a to doktor Dominic Lorenzo – dokonał prezentacji Vlad. – Panowie, oto Erebus Sanguinati.

Najwyraźniej wśród zebranych tylko Tess nie obawiała się Erebusa, choć jej włosy, dotąd brązowe i lekko falujące, teraz skrzyły się w loki i zmieniły kolor na zielony z czerwonymi pasmami.

Kiedy Sanguinati zajęli miejsca wokół stołu, drzwi otworzyły się raz jeszcze i do pokoju weszły cztery kobiety.

Monty natychmiast je rozpoznał. To one wywołały burzę, która omal nie zrównała z ziemią Lakeside. Ich obecność wskazywała, że wynik spotkania może mieć dla wszystkich poważne konsekwencje.

Simon skinął im głową, po czym przedstawił je gościom:

– To Woda, Powietrze, Wiosna i Zima. – Lorenzo, wyraźnie zaskoczony, spojrzał na Monty'ego, jakby chciał spytać: „Naprawdę?” Monty leciutko kiwnął głową. A więc naprawdę. W spotkaniu postanowiły wziąć udział nawet Żywioty. I czy to możliwe, że zmiennokształtni i wampiry czuli się w ich obecności równie

niezręcznie jak ludzie? W sumie nic w tym dziwnego, przecież zamieć może zabić nie tylko człowieka, ale i Wilka. Simon skierował wzrok na Vlada. – Masz tę listę z proroctwem?

Wampir podał mu kopertę.

– Tu jest wszystko.

Simon wyjął kartkę papieru i położył na stole przed Meg.

– Tyle zapisałem z tego, co mówiłaś. Myślę, że było tego więcej, ale... – Urwał i tylko na nią patrzył.

– Na pewno było więcej obrazów – szepnęła. – Niemal... pamiętam.

Palce jej prawej dłoni, spoczywającej na udzie, poruszały się nerwowo. Paznokcie wbiły się w materiał spodni, jakby chciały się dobrać do skóry. Lewa ręka robiła to samo, przesuwając się w górę po prawym ramieniu. Kiedy dotarła do piersi, Lorenzo zrobił protestujący gest i Simon przytrzymał ją za nadgarstek.

– Nie, Meg.

Tess podeszła do biurka i wzięła z niego notatnik i długopis. Wróciła i pochyliła się, żeby zwrócić na siebie uwagę Meg.

– Mów, wieszczko, a my cię wysłuchamy.

Rozkaz i obietnica. Monty nie wiedział, czy Tess próbuje zahipnotyzować Meg, czy może to tylko takie wyrażenie, ale wieszczka przez chwilę patrzyła na nią uważnie, a potem przeniosła wzrok na kartkę z listą słów.

Lewą ręką znów sięgnęła do ramienia. Simon puścił ją, ale widać było, że w każdej chwili jest gotów znów ją przytrzymać, gdyby spróbowała otworzyć ranę na piersi albo zrobić sobie inną krzywdę.

Meg pochyliła się i dotknęła papieru, przesuwając palcami po słowach „uśmiechnięty rekin”.

– Samochód. Wschód słońca – powiedziała dziwnie spokojnym głosem, marszcząc w zamyśleniu brwi. Tess zapisała jej słowa. Monty sięgnął do kieszeni po własny notatnik i długopis, a potem poprosił wzrokiem Simona o pozwolenie. Ten tylko skinął krótko głową. – Gęsi i walizki – mówiła dalej Meg, a jej palce przesuwały się po papierze. – Mgła. Woda. Ukryć dzieci. Rekin. – Na chwilę przestała się drapać po ramieniu i przesunęła palcem po lewym policzku. – Potłuczone słoje. Grudkowaty dym. Blizny.

Monty wzdrygnął się. Kątem oka zauważył, że ręce Lorenzo drżą. Obaj widzieli zdjęcia z miejsca zbrodni, przesłane z Talulah Falls, zanim przerwano łączność. Słowa Meg, na pozór niejasne, były ścisłym opisem znaleziska z piwnicy w Falls.

– Coś jeszcze? – spytała Tess.

Meg patrzyła na listę.

– Ciastka w kształcie ludzi płynące łodzią. – Rozluźniła rękę. Zamrugowała szybko, a potem jej twarz przybrała przepraszający wyraz. – Tylko tyle pamiętam. Nie wiem, co to znaczy.

– Interpretacja to już nasze zadanie, nie twoje – powiedziała Tess stanowczo.

Simon położył rękę na plecach Meg.

– Podać ci coś?

– Wody – odparła. – Pić mi się chce.

– Doradzałbym jakiś sok owocowy – zasugerował Lorenzo, przyglądając się wieszczce.

– Ja przyniosę – zaoferował Elliot. – Czy tylne wejście do Czegoś na Ząb jest

otwarte?

Tess kiwnęła głową, nie odrywając wzroku od swojej listy. Tymczasem Simon ostrożnie zwrócił się do Meg:

– Obrazy, które widzisz, mogą nabierać różnego znaczenia, w zależności od tego, jak się je połączy, prawda?

Kiwnęła głową.

– Tym razem wspomniałaś o samochodach – powiedział Henry. – Może na samochodzie namalowane są jakieś symbole?

– Wschód i zachód słońca – powiedział Blair. – Czyli kierunki.

– Ktoś podróżuje? – spytała Tess. – Jedzie z zachodu na wschód?

– Podróżuje... Meg, czy pamiętasz, w którą stronę leciały gęsi?

Meg zamknęła oczy.

– Na północ.

– Coś, co w twojej wizji przybiera kształt rekina, podróżuje na wschód i północ – zdecydował Simon.

– Ale rekin nie może przecież jeździć samochodem! – zaprotestowała Meg i rozejrzała się po twarzach zebranych. – Bo nie może, prawda?

Henry wzruszył ramionami.

– Mało prawdopodobne, żeby ktoś z Rekiniej Straży przebywał w tych okolicach, ponieważ nie mamy tu zbiorników z odpowiednią wodą dla ich drugiej formy. Ale jeśli rekin ma symbolizować drapieżnika, który jedzie w naszą stronę i stanowi zagrożenie dla dzieci...

Monty wszystko skrzętnie notował, zastanawiając się, czy właśnie w taki sposób interpretowało się wizje *cassandra sangue*, przekształcając je w prorocтва. Będzie musiał sam to sobie poskładać, po kolei, póki będzie miał spotkanie świeżo w pamięci – i poprosić Wilczą Straż o pozwolenie na przekazanie tych informacji dalej, na wypadek gdyby faktycznie jakimś dzieciom groziło niebezpieczeństwo.

– Mgła i woda ukryją dzieci – powiedziała Tess, spoglądając na cztery kobiety, które stały koło drzwi i w milczeniu przysłuchiwały się rozmowie.

– Mgła musi trochę odpocząć – odparła Woda. – Pracowała ciężko przez kilka ostatnich dni. – Rzuciła okiem na Powietrze i Zimę. – Mgła to nie jedyny sposób na odstraszenie podróżników – dodała.

W Żywiolach było coś zbyt obcego, by choć przez chwilę mogły uchodzić za ludzi. To było coś więcej niż owal twarzy i wyraz oczu. Sprawiały wrażenie, jakby ich związek z namacalnym kształtem był w najlepszym razie słaby – i jakby wołały, by tak pozostało.

– Owszem – stwierdziła Zima. – Pozwolimy Mgle odpocząć przez dzień czy dwa. Grom i Błyskawica ucieszą się z wolności.

– I Cyklon – dodała Woda. – I Wir Wodny, który jest teraz wśród nas.

Monty wzdygnął się.

W Lakeside jeszcze nie usunięto wszystkich zniszczeń po burzy. Nie chciał nawet myśleć o tym, co kolejna zrobiłaby z okolicą.

– Czy kwiaty nie umrą, jeśli wezwiecie burzę? – spytała z troską Meg.

Żywioly zwróciły na nią swoje nieludzkie oczy. Nagle Wiosna uśmiechnęła się, a powietrze w pokoju zrobiło się ciepłe i wonne.

– Cienka warstwa śniegu nie skrzywdzi tego, co kwitnie w tej części mojej pory. A wiatr zabierze stare, by zrobić miejsce na nowe.

– Zatrzymam Cyklon i Wir Wodny na rzece – obiecała Woda.
– Będziemy latać w nocy, wraz z burzą, a Wrony, Jastrzębie i ludzie na Wielkiej Wyspie będą wypatrywać wroga za dnia – dodała Zima.
Meg uśmiechnęła się.
– Dobry pomysł. A wtedy ciastka mogą pływać w... Pan Przewoźnik! – zawołała nagle. – Miał porozmawiać ze swoimi ludźmi o wypieku ciasteczek dla Wilków!
– Czyli jedzie do nas dostawa – mruknął Simon.
– Pozostają blizny i dym – powiedziała Tess, a kiedy spojrzała na Erebusa Sanguinatiego, w jej włosach nagle pojawiły się czarne pasma.
– Jeden z Sanguinaticich zginął, prawda? – spytała Meg i oczy zaszkliły jej się łzami.
– Tak mi przykro, panie Erebusie. Może gdybym cięła się wcześniej, mogłabym...
– Nie – przerwał jej Erebus głosem pełnym napięcia. – Słodka krew jest równocześnie wspaniała i straszna. Nie można jej przelewać bez powodu.
– Ale trzeba ją przelewać – szepnęła Meg.
– Musisz o tym porozmawiać z Simonem – odparł łagodnie starzec. – I z ludzkim chodzącym ciałem – dodał z ociąganiem.
Lorenzo wciągnął powietrze przez zęby. Tylko w ten sposób okazał, że teraz rozumie, jak uważnie Sanguinatici obserwowali Meg Corbyn.
Simon znów wziął kopertę. Wyjął z niej zdjęcie i położył na stole. Kiedy Meg zbladła, objął ją ramieniem.
– To cs783...
– Jak miała na imię? – spytał.
– Nie miała imienia. Nie chciała. Nie była... taka jak Jean i ja. Chciała, żeby ktoś się nią opiekował, chciała czuć euforię. Tylko na tym jej zależało. Lubiła życie w kompleksie. – Meg wzdrygnęła się. – Jej zdaniem na zewnątrz nie było nic, tylko obrazy, których musiała się nauczyć, żeby opisywać wizje.
– Czyli nie uciekła tak jak ty?
Pokręciła głową. Nikt się nie odezwał. Nikt się nawet nie poruszył. Inni czekali z upiorną cierpliwością na dalsze słowa Meg.
– Kontroler musiał ją sprzedać – powiedziała wreszcie. – Albo pozbył się jej z jakiegoś powodu.
– Spróbuj domyślić się, z jakiego – poprosił łagodnie Simon.
– Nie była... Chodzące imiona nie zawsze uważały, co przy nas mówią. Usłyszałam kiedyś, jak oceniali dziewczyny. Powiedzieli, że przepowiednie cs783 są celne, ale brakuje im polotu. Nie miewała takich wizji jak Jean.
– Albo jak ty?
Wilcza Straż wyraźnie krążył wokół tematu, który mieli zamiar przedyskutować na tym spotkaniu.
Wywręczył go Henry:
– Czas porozmawiać o tym, co się zdarzyło wczoraj rano – oświadczył nagle, zniecierpliwiony. – Meg, powiedz nam, co pamiętasz.
– Miałam zły sen, okropny... Obudziłam się z krzykiem, ponieważ bardzo się bałam, ale nie wiedziałam czego – odparła. – Musiałam się ciąć, żeby zobaczyć niebezpieczeństwo. Powinnam była najpierw kogoś wezwać... – Simon zawarczał. – ...ale nie mogłam zwlekać. Miałam wrażenie, że skóra zaraz pęknie mi sama z siebie... – Dotknęła nosa. – Tak jak pękła mi tutaj, kiedy śniłam o krwi i czarnych piórach na śniegu.

– Więc położyłaś się na ręczniku w łazience i zrobiłaś długie cięcie – stwierdził Henry.

– Nie pamiętam ręcznika ani tego, że się kładłam. Nie pamiętam, żebym wybierała miejsce, w którym przeciąć skórę. Po prostu... po prostu się cięłam. Potem próbowałam powstrzymać słowa i opanować ból, ponieważ tylko tak można zapamiętać proroctwo.

– Ból? – odezwał się Lorenzo.

Meg zbladła, wyraźnie nie mogąc wykrztusić ani słowa, więc wyręczył ją Simon:

– Póki wieszczka nie zacznie mówić, odczuwa straszny ból. W ten sposób karze się te dziewczęta – tnie się ich skórę, ale uniemożliwia mówienie.

Monty rzucił okiem na lewe ramię Meg. Pamiętał dobrze siateczkę blizn, którą widział, gdy była w szpitalu.

– To potwierdza moje podejrzenia – stwierdził doktor.

– Co jeszcze, Meg? – spytał Henry. – Co się zdarzyło po cięciu?

– Przyszedł Simon, ale nie był Simonem...

Wilcza Straż poruszył się niespokojnie.

– A kim innym miałem być?

– Byłeś Simonem, a potem przestałeś być. Zrobiłeś się miękki i lepki.

Odskoczył od niej gwałtownie.

– Nieprawda!

– Prawda! Nic ci nie było, a potem zacząłeś wylizywać ranę i...

Erebus poderwał się z miejsca, a jego twarz przybrała okropny wyraz.

– Nie pijemy słodkiej krwi!

Simon też się poderwał, a jego kły wyraźnie się wydłużyły.

– Ta zasada dotyczy twoich, nie moich.

– Zlizywałaś moją krew – ciągnęła Meg drżącym głosem. – Zlizywałaś moją krew, a potem zachorowałaś.

– Nie zachorowałem – warknął.

Meg też wstała. Patrzyła teraz na Monty'ego.

– To dlatego zdarzają się te złe rzeczy, prawda? To dlatego Wrony były zbyt chore, żeby odlecieć.

On się o nią boi, pomyślał Monty, rzucając okiem na Simona. *Nie chce, żeby powiedziała pozostałym, czego się domyśliła.*

– Nie zachorowałem! – krzyknął Simon. – Siadaj, Meg, i przestań się wygłupiać albo cię ugryzę!

– Nie wygłupiam się, a ty nie możesz mnie ugryźć!

– Mogę cię złapać zębami naprawdę mocno!

– Nie!

Zafascynowany i przerażony, Monty ujrzał, jak nogi Erebusa zmieniają się w dym – wszystko, i ciało, i spodnie. Ujrzał, że Vlad i kobieta wampir zrywają się na równe nogi, że Henry podnosi się z miejsca, górując nad pozostałymi, a jego palce kończą się wielkimi pazurami Niedźwiedzia. Ujrzał, jak we włosach Tess pojawiają się szerokie czarne pasma. Blair i Elliot odsuwali pospiesznie krzesła na boki, żeby stanąć między wampirami a Simonem, który patrzył teraz wyłącznie na Meg. Tylko Żywioły wydawały się niewzruszone, ale Monty miał wrażenie, że ich zainteresowanie jest jeszcze bardziej przerażające niż szykujące się tu starcie. Nagle Simon złapał Meg za ramiona, ignorując jej zaskoczony okrzyk bólu, i

poderwał ją w górę, tak że stanęła na palcach. Nawet teraz musiał się trochę pochylić, by spojrzeć jej prosto w oczy.

– Nie wiem, ile trwają te kobiece fochy podczas ciecarki, ale nie pozwolę ci zrobić nic głupiego, póki nie będziesz jasno myśleć! – wrzasnął. – A jeśli zaczniesz się wygłupiać, ugryzę cię bez względu na wszystko!

Meg patrzyła prosto w oczy Wilka, które ze złości zrobiły się zupełnie czerwone. A potem złapała go za sweter. Sądząc z tego, jak się skrzywił, musiała mu przy okazji wyrwać garść futra.

– Maszynka do mięsa – szepnęła. Jej oczy, twarz, głos były dziwnie pozbawione wyrazu. Wszyscy zamarli. – Sen o maszynce do mięsa – ciągnęła. – Potrzeba bólu, potrzeba strachu, żeby zemleć najlepsze mięso. Ręka w maszynce, przemiel wszystko. Niech mięso żyje, póki uczynasz i miesasz. On mnie znajdzie! On...

Simonie!

Kiedy upadła, osunął się wraz z nią na podłogę. Trzymał ją mocno w ramionach i lizał po policzku.

– Meg? Meg!

– Przepuście mnie. – Lorenzo przepchnął się między Henrym a Tess. Przyklął obok Meg i nagle znalazł się twarzą w twarz z mężczyzną z głową Wilka, który warczał na niego i szczyrzył kły. – Chcę pomóc – powiedział doktor z naciskiem. – Przecież dlatego zgodził się pan, żebym otworzył gabinet na Dziedzińcu. Żebym mógł jej pomóc.

Blair położył rękę na ramieniu Simona.

– On panu na to pozwoli.

Monty podziwiał odwagę doktora. Wątpił, żeby sam ośmielił się zbliżyć tak bardzo do tych przerażających kłów.

– Zemdlała – stwierdził Lorenzo. – W taki sposób jej organizm chroni ją przed tym, co zobaczyła. To by częściowo wyjaśniało euforię, jakiej doświadczają te dziewczyny. – Cofnął się nieco. – Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy ją położyć?

– W biurze jest wilcze legowisko – powiedział Vlad. – To po drugiej stronie korytarza.

– Zaczyna odzyskiwać przytomność, ale ktoś powinien przy niej zostać.

– Ja zostanę z naszą Meg – odezwała się Zima.

Blair ścisnął ramię Simona.

– Simon – powiedział ostrzegawczym tonem.

Wilcza Straż wyglądał już niemal jak człowiek, kiedy Meg otworzyła oczy.

– Masz włochate uszy – oświadczyła niepewnie.

Zaskomlał cicho.

– Połóżmy ją – zdecydował doktor Lorenzo, podnosząc się z klęczek. – A potem chciałbym się z wami podzielić kilkoma przemyśleniami.

Simon wstał, trzymając Meg w ramionach. Vlad otworzył mu drzwi do biura, a Lorenzo, Zima i kobieta wampir poszli za nimi.

Monty zgarbił się na krześle, wyczerpany rzutem adrenaliny sprzed kilku minut.

Starał się na nich nie patrzeć, ale miał wrażenie, że wszyscy *terra indigena* próbują odzyskać równowagę. Erebus znów był w pełni człowiekiem, podobnie jak Henry.

Czarne pasma zniknęły z włosów Tess, a Blair i Elliot zajęli swoje miejsca pod ścianą.

Zastanawiał się, czy ktoś z nich zdaje sobie sprawę, że Simon Wilcza Straż zaczyna

kochać Meg Corbyn? Czy Wilcza Straż rozumie własne uczucia do tej dziewczyny? A co z Meg? Co ona czuje? I co zrobią Inni, jeśli jeden z nich będzie chciał się związać z człowiekiem?

Kolejna komplikacja. Jednak to, co Meg powiedziała przed chwilą, było bardziej niepokojące i zapewne dużo pilniejsze.

Simon, Vlad i Lorenzo wrócili i zajęli swoje miejsca przy stole.

– Co się stało Meg? – spytała Tess. – Nie spała i nie cięła się. Dlaczego miała wizję? I dlaczego to nie brzmiało jak wizje, które miewała wcześniej?

Wszyscy popatrzyli na lekarza.

– Mam wrażenie, że poruszyła się zbyt gwałtownie i wczorajsza rana znów zaczęła krwawić – odparł Lorenzo. – To otworzyło ją na przepowiednię... albo pozwoliło przypomnieć sobie szczegóły snu.

– Vladimir powiedział mi, że nasza Meg ma cieczkę i do dobrego tonu należy ignorowanie zapachu krwi – stwierdził Erebus, groźnie patrząc na Vlada.

– Ma cieczkę i jest z tego powodu drażliwa – wyjaśnił Simon.

Monty naprawdę wiele by dał, by nie odbywać z zebranymi tu mężczyznami rozmowy na temat cyklu płodności ludzkich kobiet.

– Czy drugie źródło krwi wyjaśnia tę senną wizję?

– Nie – odparł Simon. – Meg mówi, że czasami wizje wyglądają jak fragmenty filmów. – Spojrzał na Lorenzo. – Jeśli to była wizja pochodząca z wczorajszego cięcia, dlaczego nie doznała euforii, skoro mogła mówić?

– Nie wiem. Może dlatego że to nie jest nowe cięcie? – Lorenzo odetchnął głęboko, a potem zwrócił się do Erebusa Sanguinatiego: – Proszę pamiętać, że nie wyrażam opinii na temat waszych tabu, po prostu czynię obserwacje na temat zmiennokształtnych i krwi *cassandra sanguine*. – Zaczekał, aż Erebus kiwnie głową, po czym ciągnął: – Nie sądzę, żeby przyczyną kłopotów był fakt, że pan Wilcza Straż skonsumował krew panny Corbyn. Myślę, że problemem było raczej jej przedawkowanie. – Wszyscy obecni w pokoju drapieźnicy skupili na nim wzrok. – Brakuje informacji o wieszczkach krwi, co jest niezwykle, zważywszy, że te dziewczęta wymagają stałej opieki lekarskiej, ale to temat na osobną rozmowę. Chodzi mi o to, że nie mam dowodów na poparcie swej tezy. Być może w waszych legendach znajdzie się coś, co potwierdzi moje domysły.

– Jakie domysły? – spytał Simon.

– Ciało ludzkie to tak naprawdę mieszanka związków chemicznych. W zależności od sytuacji wydziela różne substancje. Mam tu na myśli reakcję: walczyć czy uciekać, strach, złość, agresję... – Doktor spojrzał na Simona. – Panna Corbyn miała ranę na podbródku, kiedy przywiózł ją pan do szpitala. Był pan wówczas zły i agresywny w sposób nieadekwatny do sytuacji.

Simon pokiwał głową.

– Wylizałem tę ranę, żeby ją oczyścić.

– Ale wczoraj rano, kiedy pan ją znalazł, zaczęła wygłaszać proroctwo, więc w krwi, którą pan zlizywał, znalazły się substancje odpowiedzialne za euforię. W zasadzie przyjmował pan silny środek uspokajający.

– Czyli Wilki reagują na krew Meg różnie, w zależności od tego, czy w danej chwili jest szczęśliwa, czy przerażona? – spytał Henry, spoglądając na Simona.

– Nie tylko Wilki – odparł Lorenzo z przekonaniem. – Ten, kto wykorzystuje te dziewczyny, by produkować narkotyki nazywane wilczeniem i euforką, bierze też

na cel ludzi. Myślę, że krew *cassandra sangue*, jest zarówno cudownym lekiem, jak i niebezpieczną trucizną.

– Dzieło Namid, równocześnie straszne i cudowne – stwierdził Erebus.

– Jadowite żaby – powiedział równocześnie Monty, myśląc o programie przyrodniczym, który oglądali kiedyś z Lizzy. – Nie są niebezpieczne, jeśli zostawić je w spokoju, ale ich skóra wydziela truciznę, która zabije każdego, kto spróbuje je zjeść. – Rozejrzał się po twarzach zebranych i dodał szybko: – Oczywiście nie porównuję panny Corbyn do żaby.

– Ależ to doskonale porównanie – zapewnił go Lorenzo. – Zaatakuj wieszczkę krwi, przestrasz ją albo zrób jej krzywdę, a jej krew przemieni się w groźną broń. Podejrzewam, że gdybyście pochłonęli taką dawkę krwi, jaką pochłaniacie z upolowanej zwierzyny, pozabijalibyście się nawzajem. Dziewczyna umiera, ale jej zabójcy również. To dobry powód, żeby skreślić *cassandra sangue* z listy jadalnej zwierzyny. Z drugiej strony macie swoje chodzące ciała, a zatem opatrujecie rany. My w szpitalach używamy opiatów, by zmniejszyć ból, ale kiedyś, gdy ścieżki ludzi i Innych skrzyżowały się po raz pierwszy, dziewczyna, której krew unieruchamiała rannego w takim stopniu, że można było nastawić mu kość albo zeszyć ranę, musiała być bardzo cenna. Takiego daru się nie marnuje. Jednak zbyt duża dawka jej krwi, podobnie jak zbyt wielka dawka opiatów, może się okazać zabójcza. A przedawkowanie jest nieuniknione, jeśli upoluje się wieszczkę.

– Ta *cassandra sangue*, którą znaleziono w piwnicy – odezwał się Erebus. – Każdy Sanguinati wiedziałby, że nie jest zwierzyną i nie wolno jej tknąć.

– Wszyscy wyczuliśmy, że Meg nie jest zwierzyną – zgodził się Simon.

– Co to wszystko oznacza? – spytała Tess. – I jak opanujemy jej potrzebę cięcia się? Lorenzo westchnął.

– Nie mam pojęcia. Jak powiedziałem, brakuje informacji o wieszczkach krwi. Być może dziewczynę o mniejszych zdolnościach wieszczych dałoby się odzwyczaić od używania brzytwy, ale wątpię, żeby panna Corbyn była w stanie przestać się ciąć. Jeśli to, czego byłem tu świadkiem, jest typowe, cięcie i euforia, którą ze sobą niesie, stanowią zawór bezpieczeństwa, pozwalający jej zachować zdrowe zmysły. Jestem przekonany, że jeśli ma zostać wśród was...

– Oczywiście, że zostanie wśród nas – warknął Simon.

– ...to będziecie musieli opracować grafik albo jakoś to z nią uzgodnić. Nie może być sama, kiedy się tnie. Ta rana jest głębsza, niż powinna, ale nie zagraża jej życiu. Jednak jeśli przypadkiem przetnie sobie tętnicę, a będzie sama, możecie nie być w stanie jej uratować.

– Całe życie spędziła w klatce. Nie zamkniemy jej w kolejnej, nawet żeby ją ocalić – stwierdził Henry.

– Ale weźmiemy pod uwagę to, co pan powiedział – dodała Tess.

Była to wyraźna odprawa, znak, że spotkanie zostało zakończone.

Monty odetchnął z ulgą, kiedy Vladimir, Erebus i ich towarzyszką wyszli z pokoju wraz z Żywiołami. Lorenzo poszedł sprawdzić, jak się czuje Meg. Blair, Elliot i Tess wyszli chwilę później.

– Niech pan ostrzeże swoich ludzi o rekinie – powiedział Simon zmęczonym głosem. – A ja zawiadomię Steve'a Przewoźnika.

– Myślę, że kapitan Burke będzie chciał porozmawiać z posterunkowym Czernedą o nowych informacjach. Jeśli zajdzie taka konieczność, ustawimy zapory na

drogach.

Simon pokiwał głową.

– Intuicy wyczuwają nadciągające kłopoty.

Monty czuł się skołowany. Pożegnał się z Simonem i Henrym i zszedł na dół, by zaczekać na Lorenzo. Zadzwoił do Kowalskiego, który wraz z Debanym odwiedził Merri Lee, i ustalili, że spotkają się za pięć minut.

Lorenzo zszedł na dół cztery minuty później, więc poszli na parking razem.

– Co za spotkanie – sapnął Monty.

– Dowiedziałem się o wiele więcej, niż się spodziewałem – odparł Lorenzo.

Słyszac jego ponury ton, porucznik zatrzymał się.

– Jak pan ocenia szanse panny Corbyn na przeżycie?

Doktor odwrócił wzrok. Po chwili westchnął.

– Przy takiej wrażliwości na prorocтва sądzę, że była zgubiona już po pierwszym cięciu.



Rozdział 18

Następnego ranka Douglas Burke przestudiował uważnie notatki Monty'ego na temat dodatkowych informacji uzyskanych od Meg Corbyn.

– Maszynka do mielenia mięsa – westchnął, prostując się. – Na bogów na dole i na górze. Naprawdę odniósł pan wrażenie, że panna Corbyn widziała *cassandra sangue*, którą mielono żywcem?

– Tak, panie kapitanie – odparł Monty. – I doktor Lorenzo również.

– To cud, że te dziewczyny w ogóle są w stanie zachować zdrowe zmysły.

Burke nie był osamotniony w swojej opinii. Wczoraj wieczorem Monty oglądał telewizję, ale zupełnie nie rozumiał tego, na co patrzy. Widok Meg wygłaszającej proroctwo wstrząsnął nim tak bardzo, że zaczął się zastanawiać, czy wieszczki krwi naprawdę nie muszą przebywać pod nadzorem. Och, oczywiście nie tak strasznym, jak w miejscu, z którego uciekła, ale z pewnością musiały istnieć jakieś azyle, które nie przypominały więzienia.

– Lorenzo planuje dziś rano zajrzeć na Dziedziniec – dodał. – Obiecał, że do mnie zadzwoni i przekaże mi nowiny.

– Pan nie zamierza tam jechać?

– Póki Coś na Ząb i Zabójczo Dobre Lektury nie otworzą się dla klientów, dość trudno jest mi tam wpadać ot tak. Nie chcę się im narzucać.

Burke pokiwał głową.

– A Kowalski? Albo Debany i MacDonald? Oni mają prywatne powody do wizyt.

– Posterunkowy Debany dzwonił kilka minut temu. Na drzwiach sklepów są wywieszki „Tylko dla mieszkańców”, ale biuro łącznika i konsulat otworzyły się jak zwykle.

– Wątpię, żeby to pan Simon Wilcza Straż zdecydował o otwarciu biura łącznika – stwierdził Burke sucho.

Monty mimo woli uśmiechnął się przelotnie.

– Też tak sądzę. Debany zauważył, że Wilcza Straż i Henry Niedźwiedzia Straż wyjechali wczoraj z Dziedzińca jednym z busów. Wrócili dosłownie chwilę przed jego telefonem do mnie.

– Cóż, albo się dowiemy, dokąd pojechali i po co, albo nie.

– Nadal ani słowa z Talulah Falls?

– Nie. Miasto wciąż jest odcięte od świata, ale mam nadzieję, że ktoś z ludzi przeżył. – Burke wstał zza biurka. – Mam spotkanie z szefem. Nie mogę kazać mu czekać.

Monty wrócił na swoje stanowisko pracy.

– Jedziemy gdzieś, poruczniku? – spytał oczekujący na niego Kowalski.

Dokąd pojechał wczoraj Wilcza Straż? Czy uda się tego dowiedzieć?

– Na razie nie.

Simon odprowadził PNK do garażu, a potem wszedł za Meg do biura łącznika.

– Na pewno dasz sobie dziś radę? – Otworzył jej torbę, wyjął dwa pojemniki z jedzeniem i schował do lodówki pod blatem.

– Nic mi nie będzie – odparła zniecierpliwionym tonem.

No cóż, gdyby pozwoliła, by porządnie ją obwąchał, nie musiałby pytać, jak się czuje.

Wzięła klucz od głównego wejścia i poszła do recepcji. Kiedy wróciła do sortowni, stanął naprzeciwko niej, po drugiej stronie stołu, wyjął z kieszeni srebrną brzytwę i położył na blacie, ale nie puścił.

– To twoje. – Nie nalegała dotąd, żeby zwrócił jej brzytwę. Być może była tak samo jak wszyscy przerażona tym, co zdarzyło się wczoraj. Zapewne dlatego czuł, że musi ją zwrócić. – Meg... – Co właściwie miał powiedzieć?

– Póki mnie nie ukarał, nie miałam pojęcia, jak bardzo euforia nas chroni – powiedziała, dotykając lewego ramienia, tego na którym miała krzyżujące się blizny. – Tak sobie myślę, że być może zaczęłyśmy ciąć skórę, chcąc się uwolnić od tego, co widziałyśmy, żeby jakoś się tego pozbyć – i dopiero z czasem zaczęło chodzić o coś więcej. – Słuchał uważnie i w milczeniu. – Ja nie mogę przestać się ciąć, Simonie – dodała po chwili. – Wątpię, czy któraś z nas to potrafi.

– Wiem. Ale... wszystkie umieracie tak młodo, Meg. Nawet jeśli to prawda, że możecie znieść tylko tysiąc cięć... – Simon poruszył się niespokojnie i zaskomlał cicho. – Miałem piętnaście lat, kiedy pierwszy raz zobaczyłem wieszczkę krwi. Potrafiłem już utrzymać ludzką formę na tyle dobrze, żeby uchodzić za człowieka, i wraz z grupą innych młodych *terra indigena* pojechałem na wycieczkę do świata ludzi. To było osiedle na skraju naszego, więc w zasadzie trudno je było uznać za bardzo ludzkie, ale dla nas to była prawdziwa nowość, po raz pierwszy w życiu kupowaliśmy sobie coś do jedzenia i jakieś drobiazgi. Była tam taka staruszka. Ręce miała opalone na brązowo i na tym tle jej blizny wydawały się zupełnie białe. Siedziała przy małym stoliku w słomianym kapeluszu na głowie i przepowiadała przyszłość z kart. Widzieliśmy tam grupę młodych ludzi, mniej więcej w naszym wieku. Nie wiem, co robili, może byli na wycieczce podobnej do naszej. Wyśmiewali się z tej staruszki z powodu jej blizn. Moi towarzysze robili to samo, naśladując ludzi. A ona nagle spojrzała na mnie i po prostu musiałem się zatrzymać. Wyjęła brzytwę, srebrne ostrze zamigotało w słońcu, kiedy przecięła sobie policzek. A potem powiedziała mi, kim będę. – Simon zamrugał. Puścił brzytwę i cofnął się o krok.

Patrzyli na siebie w milczeniu.

– Czy wiesz, jak tego dokonała? – spytała w końcu Meg. – Czy ktoś będzie ją jeszcze pamiętał w tamtej osadzie, żeby mi wyjaśnić, jak zdołała dożyć starości, pomimo że się cięła?

– Nie wiem. Nie wiem nawet, czy ta osada nadal istnieje, ale spróbuję się dowiedzieć, jeśli ci na tym zależy.

– Tak, chciałabym to wiedzieć. – Meg przycisnęła dłonie do blatu stołu. Nie sięgnęła po brzytwę. – Moja skóra była bardzo kosztowna. To dlatego mam tak niewiele blizn w porównaniu z innymi dziewczętami.

– Masz zaledwie dwadzieścia cztery lata. Jak na kogoś w tym wieku blizn jest dużo. – Zbyt dużo. Większość wieszczek nie dożywała trzydziestego piątego roku życia. – Znajdziemy odpowiedź. Znajdziemy sposób, żebyś mogła się zestarzeć. Do oczu Meg napłynęły łzy. Zamrugowała szybko, by się ich pozbyć.

– Ale póki co, panie Wilcza Straż, mam swoją pracę, a pan ma swoją. Usłyszał w jej głosie kpinę – ale także przypomnienie, że to jej terytorium. Ten budynek należał do niej.

– Nie zapomnij o wizycie doktora Lorenzo – rzucił, wychodząc z sortowni.

– Nie zapomnę.

– I nie zapominaj o jedzeniu.

– Nie zapomnę! Idź do pracy, Simonie!

Wyszedł, uśmiechając się szeroko. Najwyraźniej nic jej nie było. Miał ochotę przemienić się w Wilka i pobiegać kilka minut, ale zadowolił się szybkim spacerem wokół rynku. Ostatnio tyle się działo, że zupełnie nie zwracał uwagi na sklepy w dzielnicy handlowej Dziedzińca, nie wiedział nawet, czy mają kłopoty z zaopatrzeniem. Prawdę powiedziawszy, nie miał pojęcia, czy księgarnia otrzymuje jakiegokolwiek dostawy. Będzie musiał zapytać o to Włada.

Wszedł na rynek i zobaczył osobę, która na pewno nie powinna tu przebywać o tej porze.

– Aruuu! – zawył. Ten dźwięk nie brzmiał tak samo, kiedy wydawało go ludzkie gardło, niemniej kobieta zatrzymała się i zaczęła na niego.

Ruthie Stuart. Samica posterunkowego Kowalskiego. Zwykle zachowywała się rozsądnie, więc powinna wiedzieć, że Dziedziniec jest nadal zamknięty dla wszystkich ludzi prócz pracowników. No ale z drugiej strony należała do ludzkiego stada Meg, więc mogła po prostu odwiedzić Merri Lee i przyjść po sprawunki dla niej. Jednak i to nie wyjaśniało, co robi tu o tej porze.

Zwolnił, kiedy zobaczył wyraz jej twarzy. Była nieszczęśliwa i zła, a jak wynikało z jego doświadczeń, nieszczęśliwa i zła samica to niebezpieczna samica.

– Co tu robisz? – spytał, obserwując ją uważnie, niepewny, czy go nie zaatakuje.

– Muszę zrobić zakupy w spożywczym. Wiem, że Dziedziniec jest zamknięty, ale mam przepustkę i nie sądziłam, że komuś będzie to przeszkadzać.

Nie było to kłamstwo, ale i nie do końca prawda.

– Jest rano. Rano pracujesz. Więc co tu robisz?

Odpowiedź wyjaśniła wszystkie uczucia malujące się na jej twarzy.

– Dali mi bezpłatny urlop.

Simon przechylił głowę.

– Dlaczego? – spytał. A potem przypomniał sobie sytuację w Talulah Falls, kłopoty na uniwersytecie w Lakeside i ludzi, którzy pobili Merri Lee. I już wiedział. – Nie chcę cię, ponieważ przychodzisz na Dziedziniec?

– Tak.

– Więc po co przychodzisz?

– Ponieważ uważam, że ludzie są ślepi – odparła ze złością Ruthie. – Nic nie

upoważnia nas do zabierania czegoś, co do nas nie należy. Czytałam waszą historię i porównywałam z naszą.

Naprawdę? Może powinien zwrócić większą uwagę na to, co Ruthie zamawia w ZDL? Albo wypożycza z biblioteki na rynku?

– Z tego, co zrozumiałam, jeśli ludzie pokazują wam jakiś produkt albo wynalazek, który wam się podoba, uwalniacie zasoby potrzebne do jego produkcji. Ponieważ jednak cenicie świat bardziej niż rzeczy albo zyski, nigdy nie uwalniacie ich tyle, ile chcą ludzie, a oni zawsze okazują wam z tego powodu niechęć. Są ślepi, ale ja nie muszę być ślepa.

Jej własny rodzaj wykluczył ją, tak samo jak kiedyś wykluczył Intuitów i zmusił do zawierania oddzielnych umów z *terra indigena*. Jak mógł to wykorzystać na korzyść Dziedzińca i samej Ruthie?

– Co robiłaś w pracy?

– Jestem... byłam... nauczycielką. Uczyłam młodsze dzieci.

– Czego?

– Och, zwykłych przedmiotów. Arytmetyki, pisania drukowanymi literami i kaligrafii, ortografii, historii, literatury, podstaw komputera.

– Mamy już nauczycieli tych przedmiotów – mruknął pod nosem, ale potem pomyślał, że to nie do końca prawda. Nikt nie uczył młodych obsługi komputerów.

– W tej chwili szukam jakiegokolwiek pracy – dodała szybko Ruthie. – Nie muszę być nauczycielką.

Czy ktoś w świecie ludzi ją zatrudni? myślał Simon, przyglądając jej się z coraz większym zainteresowaniem. *Mало prawdopodobne*, odpowiedział sobie. *Nie w tej chwili.* Ale on może znaleźć zastosowanie dla człowieka, który rozumie ludzki świat i nie będzie próbował oszukiwać niedoświadczonych *terra indigena*.

– Pomyślę nad jakąś pracą dla ciebie – obiecał. – A dziś, jak skończysz zakupy, spytaj Heather, czy nie potrzebuje pomocy przy realizacji zamówień.

– Dziękuję, panie Wilcza Straż.

Wrócił do ZDL, myśląc o wczorajszym spotkaniu i możliwościach, jakie dałoby mu zatrudnienie Ruthie.

Terra indigena zwykle mieszkali na Dziedzińcu kilka lat, a potem wracali do interioru i na ich miejsce przybywała nowa grupa. Wczoraj wieczorem Inni, którzy opuścili Dziedziniec w Talulah Falls, ogłosili, że nie zamierzają tam wracać. Mają dość tych oszukańczych, kłamliwych małp. Mają dość ludzkiego rządu, który nie dotrzymuje obietnic i pozwala na to samo mieszkańcom miasta. Uważali, że na ludzi powinno się uderzyć wcześniej – i mniej z nich zostawić przy życiu. Nawet Wrony, które zwykle uwielbiały ludzkie osady, nie chciały zostać w Talulah Falls. Wszystkie postanowiły wrócić do interioru. Zapewne przez resztę życia jedyni ludzie, z jakimi ci *terra indigena* będą mieli do czynienia, to Intuici.

Okazywali zbyt wiele wrogości wobec ludzi. Zbyt wiele urazy. No i ewidentnie zazdrościli Innym mieszkającym na Wielkiej Wyspie. Bo ci nie musieli przez cały czas walczyć z ludźmi o swój udział w plonach i mięsie. Niczego im nie brakowało, gdyż ludzie bez protestów dostarczali im wszystko, co potrzebne.



Simon rozumiał, że frustracja w Talulah Falls narastała od dawna. Czy nie czuł się tak samo, kiedy przybył do Lakeside, by stanąć na czele tutejszego Dziedzińca? Ilu

ludzi Stowarzyszenie Przedsiębiorców zatrudniło – i wyrzuciło – w ciągu kilku ostatnich lat? Ilu odeszło, kiedy zrozumieli, że fakt, iż *terra indigena* nie znają niektórych ludzkich spraw, nie czyni ich automatycznie głupimi i naiwnymi? Wczoraj poznał też nowych mieszkańców Dziedzińca w Talulah Falls. Niektórzy mogli uchodzić za ludzi i to oni mieli komunikować się z ludzkim rządem. Ale wielu wybrano ze względu na ich gotowość do wyplenienia małą, jeśli te naruszają zasady. Wielu nowych mieszkańców Dziedzińca w Talulah Falls nie miało prawie żadnego doświadczenia z ludźmi ani pojęcia, jak należy się wobec nich zachowywać. Nowi przywódcy uczęszczali do ludzkiego college'u, by poznać ogólne zasady biznesu i ludzkiego rządu, ale to nie to samo, co wykonywanie codziennych czynności w ludzkim świecie.

Tubylcy ziemi zamieszkujący okolice jezior Etu i Tahki odwiedzali ostatnio Dziedziniec w Lakeside. Chcieli obejrzeć rynek i zrobić zakupy bez napięcia, które zwykle psuje tę przyjemność w ludzkich sklepach. Ludzie spotykani przy tej okazji okazali się grzeczni i pomocni, dlatego zamierzali przyjechać jeszcze raz i nauczyć się więcej. W związku z tym na wczorajszym spotkaniu zadano mu pytanie, czy zgadza się, żeby jego rynek stał się poligonem doświadczalnym dla *terra indigena*. Simon odparł, że po powrocie obaj z Henrym porozmawiają o tym ze Stowarzyszeniem Przedsiębiorców.

Może więc to bez znaczenia, że ludzie przestali przychodzić do ZDL i Czegoś na Ząb, pomyślał, otwierając tylne wejście do księgarni. Z pomocą Meg i jej ludzkiego stada Dziedziniec w Lakeside stanie się centrum treningowym dla Innych – niegroźni, zaufani ludzie będą uczyć młodych tubylców ziemi. *Czy nie w ten sposób nawiązaliśmy pierwsze porozumienia z ludźmi?*

Poleciał Heather, żeby znalazła jakieś zajęcie dla Ruthie, jeśli ta przyjdzie szukać pracy, a sam poszedł na górę do biura i zamknął drzwi na klucz. Nie zabezpieczyło go to przed Vladem, który w formie dymu mógł przepłynąć szparą pod drzwiami albo dziurką od klucza, ale nie przejmował się możliwością podsłuchania przez Sanguinatiego, ponieważ Vlad wiedział, dlaczego musi wykonać te telefony. Usiadł za biurkiem i zamknął na chwilę oczy. Podejmował wielkie ryzyko, zamierzając powiedzieć przywódcom ze Środkowego Zachodu, co jest źródłem narkotyków, które wywołały takie zamieszanie w podległej im części Thaisii. Ale zrównoważył ich stanowisko obecnością przedstawicieli regionu Wyżyn Północnego Wschodu, gdzie narkotyki w ogóle jeszcze się nie pojawiły.

Nieważne, co się stanie, nieważne, kogo jeszcze trzeba będzie zabić, jedno wiedział na pewno – nie dopuści, by jakiś *terra indigena* zabił Meg.

Mgła na rzece Talulah podniosła się wreszcie i prom, który zapewniał łączność między dwiema częściami Przystani Przewoźników, znów zaczął kursować, choć załoga z niepokojem obserwowała niebo. Szybko przewieziono mieszkańców, którzy utknęli po niewłaściwej stronie rzeki, uzupełniono zapasy i dostarczono zaległą pocztę.

Po niebie szybowwały Jastrzębie i Orły, a Wrony przysiadły na promie – jawny symbol bezpieczeństwa dla pasażerów i załogi. Ale rybacy zostali w domach, nawet mieszkańcy Przystani Przewoźników nie mieli odwagi wypłynąć na rzekę. Za każdym razem, kiedy jakaś łódź próbowała opuścić Talulah Falls, zrywała się burza – marznący deszcz, śnieg, wichur. Przez dwie doby burza zaczynała się o zachodzie słońca, a kończyła o wschodzie; w ciągu dnia błękitne bezchmurne niebo boleśnie

przypominało ludziom, co mogą stracić, jeśli spróbują zabrać coś, co do nich nie należy.

W niedzielę James Ogrodnik zastał przed swoją stodołą szarego kuca w kropki. Konik wyraźnie czekał na posiłek, więc James dał mu siana i otworzył drzwi do wolnego boksu. Kucyk zachowywał się tak, jakby zawsze tu mieszkał, przychodził i wychodził, kiedy chciał, a gdy Lorna Ogrodnik wyszła z domu, nie odstępował jej na krok. Wreszcie pokroiła jabłko na kawałki i pozwoliła, by dzieci go poczęstowały. Konik był wyraźnie zadowolony z tego faktu.

Następnego ranka James odwiedził komunę Prosteego Życia, rozpytując, czy nikomu nie zginął szary kucyk. Zadał to pytanie również Mingowi Niedźwiedziej Straży, którego spotkał po drodze.

– Mgła się nie zgubiła, ona czeka – odparł Niedźwiedź.

James w drodze powrotnej do domu ostrzegał więc wszystkich, że Żywioły jeszcze nie skończyły z Wielką Wyspą, rzeką i Talulah Falls.

Kiedy Roger Czerneda zająrzył do niego podczas obchodu, James powiedział mu to samo.

Burza szalejąca wokół Talulah Falls ucichła w poniedziałek wieczorem, a wówczas ludzie zaczęli znajdować na chodnikach zapieczętowane paczki. Ta pozostawiona przed ratuszem zawierała ludzką głowę i portfel z dokumentami, z których wynikało, że zmarły był właścicielem domu, w którym zabito Sanguinatiego i cztery inne osoby.

We wtorek rano z policją w Przystani Przewoźników skontaktował się przez radio jakiś zapłakany człowiek. Błagał, by ktoś przekazał Innym wiadomość: „Ocaleli w Talulah Falls chcą negocjować z *terra indigena*”.



Rozdział 19

W środę rano Steve Przewoźnik i Jerry Saniarz stali obok siebie przy relingu promu. Rzeka była spokojna, a niebo bezchmurne, więc wielu mieszkańców Wielkiej Wyspy zjawilo się na przystani, by popłynąć na stały ląd.

Lois Greene, redaktorka „Reportera z Wielkiej Wyspy”, wydrukowała dzień wcześniej specjalne wydanie swojego pisma, na pierwszej stronie podając listę środków ostrożności opracowaną przez Steve’a, nie zdziwił go więc widok plecaków, które zamierzali ze sobą zabrać udający się na stały ląd.

Simon Wilcza Straż przesłał mu e-mailem uzupełnione proroctwo, a Steve dostał gęziej skórki, gdy je przeczytał. Ponadto wiadomość, że jeden z rumaków Żywiołów w formie kuca zamieszkał na farmie Ogrodników, ponieważ „czeka”, wskazywała, że to, co nadchodzi, raczej ich nie ominie.

– Zajmiesz się tą dostawą? – spytał Steve, kiedy zeszli z promu z trzema plastikowymi pojemnikami.

– Jasne – odparł Jerry. – Szkoda tylko, że nie mam więcej towaru, dla takiego ładunku trochę żal benzyny.

– Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, kolejne dostawy do Lakeside będą zdecydowanie większe, a dzieciaki, które potrzebują zajęcia na lato, bez trudu znajdą pracę, ponieważ firmy będą miały masę zamówień.

Wstawili pojemniki na pakę furgonetki czekającej na parkingu w porcie.

– Wkrótce się przekonamy. – Jerry zamknął tylne drzwi furgonetki i wsiał za

kierownicę. – Dam znać, jak wrócę.

Steve zaczekał, aż Jerry odjedzie, a potem wrócił na prom. Zamierzał pomóc swemu bratu, Willowi, zapakować zaopatrzenie na pokład. Potem chciał iść do księgarni i kupić sobie „Wiadomości Lakeside”, by mieć co czytać w drodze powrotnej na wyspę. Ale nagle poczuł mrowienie na skórze między łopatkami. Popatrzył na niebo, a potem na wodę. Nadal bezchmurnie i bezwietrznie

Coś nadchodzi, pomyślał, kiedy Will wyprostował się nagle i również spojrzał badawczo na rzekę i niebo.

Zanim zdążył podejść do brata, zadzwoniła jego komórka.

– No więc Ruthie będzie uczyć Innych na Dziedzińcu, jak się zachowywać w ludzkim świecie – tłumaczył Kowalski, kiedy ruszali z parkingu komisariatu na ulicy Orzechowej. – Będzie robić coś takiego, jak my niedawno w Czymś na Ząb, ale w bardziej sformalizowanej formie. Nie zarobi może tyle, ile w szkole, ale poradzimy sobie dzięki kredytowi w sklepach na rynku.

W wesołym głosie kolegi Monty dostrzegł fałszywą nutę.

– Nie chcesz, żeby Ruthie pracowała na Dziedzińcu, prawda?

– Ja? Skąd! – zapewnił Kowalski. – Ale wczoraj byliśmy na kolacji u moich rodziców i ojciec mówił, że u niego w pracy tych, którzy pomagają Innym, uważa się za zdrajców. Mój brat studiuje na uczelni technicznej i tam słyszy to samo. – Zawahał się. – Osobiście uważam, że praca z *terra indigena* w końcu się opłaci, ale...

– Ale obawiasz się o bezpieczeństwo Ruthie?

– Tak. Szczególnie zważywszy na to, co przydarzyło się Merri Lee. Niektóre przyjaciółki Ruthie – dziewczyny, które zna jeszcze z podstawówki – zerwały z nią, ponieważ odwiedza Dziedziniec i pomaga Innym. A teraz jest jeszcze gorzej z powodu sytuacji w Talulah Falls... i tych programów w telewizji, w których wciąż dyskutuje się o tym, jakim prawem *terra indigena* chcą nam dyktować, kto będzie rządził w ludzkich miastach...

– Mogą nam dyktować warunki, ponieważ alternatywą jest zniszczenie miasta – odparł Monty cicho. – Ja rozumiem to tak: Talulah Falls nie jest już miastem kontrolowanym przez ludzi, a rząd, jaki tam powstanie, będzie się zajmował takimi sprawami, jak zapewnienie dostaw prądu i wody, a także komunikacją z Innymi, którzy obecnie przejęli Dziedziniec.

– Mam wrażenie, że do większości ludzi to jeszcze nie dotarło – stwierdził Kowalski. – Że Talulah Falls to teraz ludzkie osiedle na terytorium Innych i że to oni stanowią tam prawo – i wymierzają karę, jeśli ktoś je złamie.

Od rana w radiu powtarzano raport specjalny: warunkiem podjęcia negocjacji przez *terra indigena* jest opuszczenie Talulah Falls przez wszystkich wyższych urzędników.

Inni pozbywali się z miasta potencjalnych przeciwników, ale *terra indigena*, którzy zamieszkiwali dotąd tamtejszy Dziedziniec, też opuścili Talulah Falls. To miało być nowe rozdanie. *Tabula rasa*. Ostatnia szansa, by ludzie nadal mogli mieszkać w Talulah Falls, choć już nie na własnych warunkach. W wiadomościach praktycznie się o tym nie mówiło, podobnie jak o ludziach, którzy zginęli lub zaginęli w Falls.

Jeśli nie będziemy uważać, zmarłych i zaginionych będzie więcej, pomyślał Monty.

– Jak sądzisz, Karl, ilu *terra indigena* z Thaisii miewa jakiegokolwiek kontakty z ludźmi? Pięć procent? Może mniej. Na tym kontynencie muszą żyć miliony

tubylców ziemi, a na całej Namid setki milionów, może nawet miliardy. I tylko drobny ułamek z nich choćby widział kiedyś człowieka. A jeszcze mniej dostrzega w nas coś więcej niż mięso. – Monty uśmiechnął się z goryczą. – Nasi przodkowie nauczyli Innych tkąć, budować chaty, uprawiać ziemię, konstruować łodzie, łowić ryby i rozpalać ogień. Wszystkiego, co im było naprawdę potrzebne, nauczyli się całe wieki temu. Jak sądzisz, czy nasza technologia interesuje *terra indigena*, którzy mieszkają w oddaleniu od ludzkich osad?

– Raczej nie, jeśli ujmuje to pan w ten sposób – odparł Kowalski.

– Cały czas myślę o ruchu Ludzie Przede i Nade Wszystko. Ciekawe, czy ktoś z nich zainteresował się kiedykolwiek historią świata, a przede wszystkim historią Thaisii.

– Dlaczego?

– Inni zwykle zostawiają ludzi w spokoju – póki nasze działania nie przyciągają ich



uwagi.

Meg zauważyła, że ostatnio przychodzi niewiele poczty. I niewiele dostaw. Pozostaje tylko czekać.

Ze stosu czasopism, które zabrała z Zabójczo Dobrych Lektur, wyjęła egzemplarz magazynu „Natura!”. Obecnie nikt nie dostarczał jej obrazów, które pomagałyby identyfikować rzeczy widziane w prorocत्वach – nie miała już dostępu do grubych albumów ze zdjęciami, które znała ze szkolenia – więc postanowiła, że zacznie tworzyć własne, żeby ci, którzy będą słuchać jej prorocत्व, mieli jakiś punkt odniesienia.

Kolorowe zdjęcia zwierząt z całego świata fascynowały ją, ale musiała pamiętać, żeby ograniczać liczbę nowych obrazów. Przestała doświadczać tego niepokojącego stanu zawieszania umysłu – Merri Lee nazwała to przepełnieniem pamięci – jeśli codziennie oglądała tylko kilka nowych wizerunków, a potem wracała do czasopism, które oglądała już wcześniej. Tak było jej łatwiej, tym bardziej że wiele nowych obrazów absorbowała codziennie, po prostu wykonując swoje obowiązki. Dziedziniec zaczął się zmieniać. Codziennie rozkwitały nowe kwiaty, a na nagich dotąd gałęziach drzew pojawiły się najpierw nabrzmiące pąki, a potem zielone liście. Codziennie jechała znajomą drogą do pracy przez zupełnie nowy krajobraz. Była tym oczarowana i podniecona, ale czasami musiała przyznać sama przed sobą, że ogromną ulgę sprawia jej powrót do własnego mieszkania, gdzie nic się nie zmieniało.

Cassandra sangue są w stanie zaabsorbować ograniczoną liczbę nowych obrazów, a potem ich umysł się zamyka. Czy zawsze tak było, czy też rozwinęto w nich tę cechę, podobnie jak potrzebę cięcia skóry, żeby je uzależnić?

Wszystko jedno, i tak pewnie powinna wspomnieć o tym Simonowi. Albo może lepiej Henry’emu – Niedźwiedź po prostu przyjmie tę informację, nie czyniąc wokół niej zbędnego szumu.

Nie miała pojęcia, jak długo wpatruje się w zdjęcie małej, jaskrawo ubarwionej żaby, kiedy dobiegło ją warczenie Nathana.

– Halo? – usłyszała czyjś głos. Gdy wyszła do recepcji, zobaczyła potężnego mężczyznę z trzema prostokątnymi plastikowymi pojemnikami i grubą kopertą. – Panna Meg Corbyn? – spytał.

Na dźwięk jej imienia Nathan zawarczał głośniejsze. Nie widziała go, co oznaczało, że stoi przed ladą, gotowy do ataku.

– Tak, to ja. – Nie znała tego dostawcy i nie składała ostatnio żadnych zamówień. Miała wrażenie, że już nikt na Dziedzińcu niczego nie zamawia. Bus kilka razy pojechał do centrum handlowego, ale tylko kilku *terra indigena* udało się na zakupy, a wśród nich zawsze byli Henry, Vlad albo Nyx – jakby chcieli przypomnieć ludziom, że mają się zachowywać poprawnie.

– Jestem Jerry Saniarz z Przewozów Saniarzy. Mam dla pani dostawę i pozdrowienia od Steve’a Przewoźnika z Wielkiej Wyspy. Mogę postawić pudełka na ladzie i pokazać papiery?

– Och, tak, jasne. – Kiedy nie ruszył się z miejsca, Meg rzuciła stanowczo: – W porządku, Nathanie, spodziewałam się tej dostawy. – Wilk cofnął się, ale tylko na tyle, by Jerry mógł podejść do kontuaru. Saniarz postawił pojemniki jeden na drugim, ale gdy otaksował wzrokiem Meg, przestawił je jeden obok drugiego, żeby mogła przeczytać etykiety na wieczkach. – Piekarnia Eamerów? – Spojrzała na niego pytająco.

– Prowadzą ją dwie siostry: Mary i Claire. Same pieką – wyjaśnił Jerry. – Mamy w Przystani Przewoźników jeszcze drugą piekarnię, ale ta specjalizuje się w chlebie, bułkach i takich tam. Pieką dobry chleb, ale kiedy Steve zapytał, kto byłby zainteresowany wypiekaniem specjalnych ciastek dla Wilków, to Mary i Claire zgłosiły się na ochotnika. One...

Meg przytrzymała pojemnik, który Nathan spróbował zrzucić na podłogę.

– Nathan! – zawołała z przyganą. – Jeśli zrobisz to jeszcze raz, nie dam ci nawet okruszka! – Znieruchomiał, przyglądając się jej przez chwilę, a potem zawył. – Och, nie przesadzaj – rzuciła ze zniecierpliwieniem. – Nie zachowuj się jak szczeniak. – Znowu wycie. Po chwili w oddali zawył inny Wilk. I następny. I jeszcze jeden. Jerry zbladł jak ściana, więc Meg zdjęła pokrywkę z jednego pojemnika i wyjęła ciastko. – Masz. Masz, masz, masz... Och, zobacz, ma kształt krowy. To urocze. – Przez chwilę kodowała w głowie ten obraz.

Nathan tymczasem położył przednie łapy na ladzie i delikatnie wyjął ciastko z jej ręki.

– Te w kształcie krowy mają zapewne smak wołowiny – zauważył Jerry. – Claire mówiła, że upiekły kilka smaków. Wszystko jest wyjaśnione w papierach.

Nathan pobiegł na wilcze posłanie po drugiej stronie recepcji, a choć udawał zajętego ciasteczkiem, Meg zauważyła, że nie spuszcza oka z Jerry’ego Saniarza. Nim zdążyła otworzyć kopertę, trzasnęły drzwi na zapleczu i rozległ się głos Simona:

– Meg!

Wpadł do recepcji z takim impetem, że niemal przewrócił ją na ladę. Od razu zmierzył wrogim spojrzeniem przybysza.

– Wszystko w porządku – zapewniła go pospiesznie Meg.

– Saniarz? – spytał równocześnie Simon.

– Dzień dobry, panie Wilcza Straż. – Jerry dotknął palcem daszka czapki. – Przywiozłem próbki.

Meg zauważyła, że głos mu lekko drży, a na czoło wystąpiły kropelki potu. Nie przeoczyła też faktu, że przed frontowym wejściem do biura tłoczą się Wilki.

Wprawdzie nigdy wcześniej nie widziała Blaira w wilczej formie, ale mogła się

założyć, że to on wpatruje się płonącymi oczami w Saniarza. Z pozostałych dwa były młode, a trzeci, ten który stanął na tylnych łapach i przez okno obserwował, jak Nathan je ciastko, z pewnością był jeszcze szczeniakiem.

– Aruuuu! – pojedynczy głos Wilka za oknem szybko zmienił się w cały chór. Meg złapała garść ciastek w kształcie krowy, ominęła Simona i otworzyła przejście w kontuarze. Wilki na zewnątrz cofnęły się na tyle, by mogła uchylić wejściowe drzwi.

– Proszę – powiedziała. – Macie po ciastku i przestańcie hałasować. Młodsze Wilki wzięły ciasteczka i odeszły. Blair przez długą chwilę mierzył ją wzrokiem, a potem wziął ostatni smakołyk i też sobie poszedł.

Kiedy wróciła, Simon otworzył kopertę i dwa pozostałe pojemniki. Z jednego wyjął przysmak.

– O smaku ludzi? – spytał z wyraźnym zadowoleniem.

Nathan nastawił uszu i zawył z zainteresowaniem, na co Jerry zbladł jeszcze bardziej, choć nie wydawało się to możliwe.

Meg przejrzała papiery.

– Nie, te w kształcie ludzi są z rumiankiem. Działają uspokajająco.

– Uspokajająco? – W głosie Simona pojawił się groźny ton.

– Rumianek uspokaja – wyjaśniła Meg, przeglądając resztę informacji z piekarni. – Często piję wieczorem herbatę z rumianku.

– Naprawdę? – zdziwił się Wilcza Straż.

– Naprawdę. – Popatrzyła na pojemniki. – No dobrze, te w kształcie krowy mają dodatek wołowego tłuszczu. Te podłużne są z miodem i pewnie będą smakować Henry'emu. A te... co to właściwie jest?

– Indyk – odparli chórem Jerry i Simon.

– No więc te indyki są drobiowe, a te w kształcie ludzi są z rumiankiem. Piekarnia prosi nas o uwagi na temat smaku i kształtów. – Meg przejrzała jeszcze raz papiery, a potem zwróciła się do Jerry'ego: – Nie widzę faktury.

– To są próbki, piekarnia chce się upewnić, że produkuje dokładnie to, czego szukacie – wyjaśnił Jerry. – Potem ustalicie z Mary i Claire ceny i wielkość zamówień. A Steve zapewne porozmawia z panem Wilczą Strażą o zwiększeniu przydziałów dla wyspy, żebyśmy mogli je produkować.

– Porozmawiam z nim, jeśli coś z tego wyjdzie – odparł Simon.

– Nie – powiedziała nagle Meg stanowczo. Kiedy wszyscy na nią spojrzeli, wskazała drzwi frontowe. Trzy wilczki wróciły, a chrupanie w biurze zamilkło. – Czy możemy ustanowić zasadę, że nie wolno używać wycia jako formy przymusu? – spytała z irytacją.

Simon popatrzył na młode, które natychmiast przybrały uległe pozy.

– Jeśli cię denerwują, ugryź je w nos – poradził.

– Wątpię, żeby w moim przypadku to podziałało – westchnęła, po czym zapisała dane Przewozów Saniarzy i podpisała wizytówkę, którą dał jej Jerry.

– Ma pan chwilę? – Simon zwrócił się do Saniarza.

– Jasne. – Jerry znów trącił palcem daszek czapki. – Miło było panią poznać, panno Corbyn.

– Dziękuję. – Meg przeniosła wzrok na Simona. – Mogę już dzwigać?

– Nie – odparł w tej samej chwili, gdy Nathan poderwał się z posłania. Dokładnie tego się spodziewała.

– Więc sam zanieś ciastka do sortowni.



– Po co?

– Żeby mogła je posortować. – Jeśli pojemniki nie znajdą się w pomieszczeniu, do którego dostęp był bardzo ograniczony, podłoga w recepcji w mgnieniu oka zostanie zaśmiecona okruskami przez tłoczące się tu Wilki. Meg nie zamierzała jednak mówić tego dominującemu Wilkowi, i to w dodatku w obecności człowieka. Musiał jednak domyślić się, dlaczego chce przenieść pojemniki, ponieważ mruknął pod nosem:

– Ja też chcę ich spróbować.

– Przygotuję próbki. Muszę wiedzieć, które smaki preferujecie i ile będziecie ich zamawiać.

Simon spojrział niepewnie na pojemniki.

– Ile czasu można je przechowywać?

Wzruszyła ramionami.

– W papierach było coś o możliwości zamrażania. Z pewnością nie wytrzymają tak długo, jak te psie, które zamawiałam z Pałacu Milusińskich, ale kilka dni na pewno. Dlaczego pytasz?

Zaskomlał cicho.

– Za dwa dni odbędzie się tu spotkanie. Chcę, żeby trochę zostało.

Simon czuje się niepewnie z powodu spotkania? Ale przecież chyba sam je zwołał? zastanawiała się Meg.

– Odłożę dość, by wystarczyło na twoje spotkanie – obiecała.

Simon wyniósł ciastka do sortowni, a potem przeskoczył przez kontuar i wyszedł z biura wraz z Jerrym Saniarzem.

Co to za spotkanie? spytała samą siebie Meg i natychmiast poczuła mrowienie na plecach, znak, że odpowiedź można znaleźć w przepowiedni. Zaciśnęła zęby i zaczęła, aż uczucie minie, a potem zadzwoniła do kilku sklepów na rynku. Szukała małych pojemników, do których mogłaby przełożyć ciasteczka. Na przystań wjechał kolejny autobus pełen dzieci. Kiedy Steve'a ogarnęło to dziwne uczucie, nagle rozdzwoniła się jego komórka. Najpierw zadzwonili dyrektorzy szkoły podstawowej i liceum, a także dwóch przedszkoli po lądowej stronie Przystani Przewoźników – oni też nagle zaczęli mieć złe przecucia. Potem odebrał telefon od ciotki Lu, która oznajmiła, że szykuje łódź, żeby była pod ręką, na wypadek gdyby jej potrzebował. Chwilę później zadzwonili jego rodzice i powiedzieli, że ich barka wypływa z wyspy wcześniej, niż podano w rozkładzie. Roger Czerneda podjechał do przystani nowym czarno-białym wozem patrolowym Wielkiej Wyspy. Miał włączoną syrenę i koguta. Pozostałe pojazdy stróżów porządku nie wyglądały tak imponująco. Były to zwykłe wozy ze zdejmowanymi kogutami. Zabawne. Wszystkie te pojazdy, z wyjątkiem jednego, znalazły się dziś rano w lądowej części osady.

Coś nadchodzi, pomyślał Steve, pocierając kark. *Ukryjcie dzieci.* Nikt nie miał wątpliwości, gdzie należy je ukryć – jedynym odpowiednim miejscem była wyspa.



Ani prom, ani barka nie przewoziły tam ostatnio nikogo, kto nie byłby jej

mieszkańcem.

Jeśli coś zaatakuje Przystań Przewoźników, uderzy w tę część wioski, która znajduje się na stałym lądzie. Wyspa była dobrze strzeżona, Sanguinati obserwowali jej północny i wschodni brzeg, gdzie znajdowały się farmy komuny Prostego Życia. Niedźwiedzia Straż obserwowała zachodni brzeg, a Ming Niedźwiedzia Straż patrolował przystań. Jastrzębie i Orły szybowały w powietrzu, uważając na rzekę i drogi prowadzące do Przystani Przewoźników. Wrony rozproszyły się po części wioski leżącej na stałym lądzie, gotowe podnieść alarm, jeśli zauważą obcego. Lisia i Kojocia Straż rozproszyły się wokół granic. Patrole podjęła nawet Sowia Straż. Trudno byłoby przygotować się lepiej.

Kiedy Jerry Saniarz zaparkował swoją furgonetkę, Steve uniósł dłoń na powitanie. Roger Czerneda zawrócił radiowóz i zaparkował obok.

– Na bogów na dole i na górze, co się dzieje? – spytał Jerry, patrząc na żółte autobusy i barkę.

– Zauważyłeś coś niezwykłego w Lakeside? – spytał Steve. Talulah Falls nadal było odcięte od świata, więc do ich wioski można było dojechać tylko gruntowymi drogami przez tereny rolnicze. Ich oznaczenia były na tyle niejasne, że nikt obcy nie powinien tu trafić. Natomiast jeśli ktoś wybrał drogę wzdłuż wybrzeża jeziora Etu, najpierw musiałby przejechać przez Lakeside. Zapewne zatrzymałby się właśnie tam. Obcemu łatwiej jest zniknąć w mieście.

Tyle że policja w Lakeside miała większe możliwości niż skromne siły stróżów porządku w Przystani Przewoźników. Mogła sprawdzać numery i prawo jazdy przyjezdnych, dysponowała też kilkoma nowoczesnymi wozami patrolowymi z kamerami, które mogły rejestrować podejrzaną jazdę. W porównaniu z Lakeside Przystań Przewoźników, zatrudniająca na pełny etat zaledwie jednego policjanta, a i to od niedawna, była dużo łatwiejszym celem.

– Simon Wilcza Straż wypytywał mnie o Wielką Wyspę – odparł Jerry. – Oczywiście nie miałem pojęcia, co tu się dzieje.

– Przenosimy dzieci na wyspę. Zaraz po twoim wyjeździe wszystkich zaczęły dręczyć złe przeczucia.

Potem tylko odpowiadał na pytania i odbierał telefony, usiłując równocześnie pomóc Willowi załadować na prom dodatkowe zapasy. Gdy tylko ostatni autobus znalazł się bezpiecznie na barce, zadzwonił do Wilczej Straży. Wprawdzie żaden z Intuitów nie miał przeczucia dotyczącego terenów poza Przystanią Przewoźników, ale gdyby nie ostrzeżenie Meg Corbyn, nie wiedzieliby przecież, o co chodzi i kogo powinni chronić. Dlatego uznał, że uczciwie będzie ostrzec Innych z Lakeside.

– Po co ktoś miałby przyjeżdżać do Przystani Przewoźników? – spytał Jerry. – Co tu jest takiego, czego nie można znaleźć w innych osadach?

Steve zastanawiał się przez chwilę, po czym powiedział z powagą:

– My tu jesteśmy.

Blair Wilcza Straż w ludzkiej formie wszedł do biura łącznika tuż po tym, jak Meg wróciła z przerwy. Towarzyszył mu młody Wilk, jeden z tych, które dziś rano odpowiedziały na wezwanie Nathana.

Na jej widok młody Wilk rzucił się ku lądzie, ale źle obliczył skok i zawisł na przednich łapach, tylnymi drapiąc bezradnie po kontuarze, żeby podciągnąć się wyżej. Blair chwycił go za skórę na karku i ściągnął z lady.

– Dostałeś jedno ciastko i wystarczy. Ona ci więcej nie da – powiedział, a potem

zwrócił się do Meg: – To jest Jedynak. Przysłała go dwa dni temu Wilcza Straż z Gór Addirondak. Będzie tu teraz mieszkał. – Gdy tylko Blair go puścił, Jedynak zajął się oglądaniem rzeczy, która budziła zainteresowanie każdego Wilka – miękkiego posłania dla psów, które Meg zamówiła w Pałacu Milusińskich, gdy Nathan zaczął pilnować biura łącznika. Jedynak rzucił się na nie i zaczął się tarzać. Wyraźnie brał je w posiadanie. – Spróbuj na nie nasikać, a odgryzę ci ogon – ostrzegł Blair. – Albo Nathan to zrobi.

Jedynak, leżący na wznak z łapami w powietrzu, tylko na niego spojrzął i pomachał ogonem.

Nie był jeszcze dorosły, ale zachowywał się, jakby był młodszy od Sama.

Meg nie pamiętała żadnych obrazów Wilków, które mogłaby wykorzystać jako odniesienie, ale czuła, że coś jej tu umyka. Pochyliła się do Blaira.

– Czy on wie, że nie wolno mu się przemieniać tam, gdzie mogą go zobaczyć ludzie? Nie chcę wyjaśniać policji, dlaczego po parkingu dla dostawców włóczy się nagi nastolatek.

Jak na razie nikt nie złożył skargi na Nathana, któremu zdarzało się wychodzić z biura nago, ale wątpiła, żeby z Jedynakiem miała tyle szczęścia.

Coś mignęło w oczach Blaira. Litość? Rezygnacja?

– Jest jedynakiem – powiedział tonem wyjaśnienia. – Tacy jak on nie zmieniają formy, jaką mieli w chwili urodzenia.

– Więc nazywa się Jedynak...

– Ponieważ jest jedynakiem – powtórzył. – Jego mózg czasami się zacina, nie pozwalając mu zapamiętać pewnych informacji. Takie Wilki nie potrafią odpowiednio szybko nauczyć się wszystkiego, co jest im potrzebne do życia. Jeśli dożyją wieku dorosłego, stają się spokojniejsze i nieźle sobie radzą, ale większość nie jest w stanie przeżyć w interiorze na tyle długo, by osiąść całą niezbędną wiedzę. Dziedziniec jest dla nich najbezpieczniejszym miejscem.

– Nie mam dla ciebie żadnych paczek – powiedziała Meg.

– Nie spodziewam się teraz przesyłek. – Blair nie lubił przebywać wśród ludzi, ale lubił mechanizmy – szczególnie maszyny, które potrafiły przekształcać słońce i wiatr w energię elektryczną. Podejrzewała, że toleruje ją tylko dlatego, że szybko dostarcza mu części, które zamawia do swoich projektów.

– Więc przyszedłeś do biura przedstawić mi Jedynaka?

Blair pełnił na Dziedzińcu funkcję stróża porządku i był zdecydowanie bardziej dziki niż Simon. Nie była pewna, czy naprawdę wierzył w zasadę „Nie wolno gryźć Meg”.



– Jedynak będzie tu stróżował przez najbliższe dwa popołudnia – odparł Blair. – Ma się uczyć.

Ha! Podejrzewała, że Jedynak potrzebuje raczej opiekuna. I że to na nią spadł ten obowiązek, ponieważ inne Wilki są zajęte.

– Nathan nie będzie przychodził? – spytała. Dostawcy przyzwyczaili się do Nathana, a on ich znał i reagował tylko na obcych, tak jak w przypadku Jerry’ego Saniarza.

– Będzie, ale dziś po południu potrzebuję go gdzie indziej.

Choć Wilki na ogół nie wykazywały przywiązania do przedmiotów, Meg

podejrzewała, że poważnemu stróżowi, jakim był Nathan, nie będzie miło dzielić posłania z taką fajtlapą jak Jedynak.

– Może sprawdź, czy w sklepie na rynku zostało jeszcze jakieś posłanie, żeby Jedynak i Nathan nie musieli się dzielić tym? – spytała przyciszonym głosem. Zauważyła, jak irytacja na twarzy Blaira zmienia się w rezygnację, kiedy Jedynak, nadal leżąc na grzbiecie z łapami w górze, zaczął jodłować „aruuueeuuuurooo!”.

– Tak, lepiej sprawdź.

Kiedy Steve Przewoźnik, wychodząc ze Skwierczących Burgerów, zobaczył na ulicy Rogera Czernedę, pomyślał, że być może tym razem przecucie myliło ich wszystkich. Wrony nadal stróżowały w wiosce, a Jastrzębie i Orły szybowały po niebie. Roger Czerneda od wielu godzin patrolował część wioski położoną na lądzie stałym, a Flash Lisia Straż i Ming Niedźwiedzia Straż pilnowali przystani.

– Późny lunch? – spytał Steve.

Roger kiwnął głową i przeczytał szyld:

– Skwierczące Burgery?

– Jeszcze ich nie próbowałeś?

– Poznawałem sklepy na wyspie.

– To są najlepsze hamburgery w rejonie jeziora Etu – zapewnił go Steve. – Nie mamy ich na wyspie, ponieważ Burt boi się wody. Za nic nie wsiądzie do łodzi.

– Żartujesz?

– Bynajmniej. Robią tu też świetne kanapki z pieczoną wołowiną.

– W takim razie chyba...

– Kra, kra, kra, kra – rozległo się nagle.

– ... spróbuję – dokończył Roger nieuważnie.

Obaj równocześnie zobaczyli samochód jadący główną ulicą, który po chwili zaparkował kawałek od nich. Steve zauważył tablicę rejestracyjną ze Środkowego Zachodu. Wrony zajęły pozycje na okolicznych drzewach.

Mężczyzna, który wysiadł, zawahał się na ich widok. Gdy ruszył w ich stronę, rozdzwoniła się komórka Steve'a.

Jego mama jak zawsze miała świetne wycucie czasu.

– Przyda mi się pomoc – powiedział szybko, odwracając się, żeby to wyglądało jak prywatna rozmowa, nijak niezwiązana z przybysem.

– Steve, mam właśnie dziwne przecucie. – Urwała. – Jaka pomoc?

– Masz pod ręką coś do pisania?

– Tak.

Oczywiście, że miała.

– To zanotuj. – Przyciszonym głosem Steve podyktował matce rejestrację obcego samochodu, podał jego markę i model. – Teraz muszę kończyć, ale oddzwonię. – Rozłączył się, akurat gdy obcy do nich podszedł. Był niski i żwawy, a jasne włosy miał ostrzyżone tak krótko, że prawie ich nie było widać. Do tego niewielkie okulary i słodki uśmiech. Steve z miejsca go znienawidził, ale przybrał miły wyraz twarzy i czekał. Miał przecucie, że ten człowiek wcale nie ma ochoty z nim rozmawiać, a już na pewno nie chce zwracać na siebie uwagi policji. – Zawędrował pan daleko od domu – stwierdził, wskazując samochód.

Obcy obejrzał się przez ramię.

– Ach, no tak. Rzeczywiście. Podróż w interesach. Chciałem odwiedzić Talulah Falls – słyszałem wiele o tamtejszych wodospadach – ale mam wrażenie, że mają

jakieś kłopoty? Nie wpuszczają do miasta nikogo prócz mieszkańców?

Niefrasobliwy ton. Łatwy do zlekceważenia, a jednak dziwnie hipnotyczny. Głos, który zdawał się szeptać: „Zaufaj mi” niezależnie od tego, co mówił.

– Czy telewizja na Środkowym Zachodzie nie donosiła o zajściach? – spytał Steve.

– Nie zwróciłem uwagi. Czasami takie wiadomości odrywają nas od rzeczy naprawdę ważnych. Chciałbym porozmawiać z jakimś reprezentantem tutejszych władz. Czy któryś z panów mógłby pokierować mnie we właściwe miejsce?

– Nie ma takiej potrzeby. – Miejsce między obojczykami Steve’a zaczęło gwałtownie mrowić. – Jestem burmistrzem tej wioski, a mój przyjaciel policjantem.

– Odczekał chwilę. – A pan to...?

– Phineas Jones.

Steve natychmiast pożałował, że nie nosi rękawiczek i musi dotknąć tej skóry.

Patrzył na wyciągniętą dłoń przybysza o moment zbyt długo, zanim wyciągnął swoją.

– W jakiej branży prowadzi pan interesy, panie Jones? – spytał Roger.

– W zasadzie trudno to nazwać interesami. Jestem przedstawicielem pewnego filantropijnego przedsięwzięcia.

– Zabrakło wam na Środkowym Zachodzie bogatych sponsorów, że musi pan podróżować aż tak daleko? Taka podróż musiała pochłonąć wiele kartek na benzynę. – Roger podrapał się po głowie i poprawił czapkę. – Zapewne ma pan już umówione spotkania, których rezultaty z nawiązką pokryją koszty?

Ciężka cisza. Słodki uśmiech Jonesa nabrał lodowatego wyrazu.

Celna uwaga, pomyślał Steve.

– Jestem specjalistą na pewnym bardzo szczególnym polu – powiedział wreszcie Jones. – A choć zamierzałem odwiedzić Falls, żeby zobaczyć na własne oczy ten cud natury, do Przystani Przewoźników sprowadziła mnie... No cóż, ujmując rzecz delikatnie, słyszałem, że w zeszłym roku pewna dziewczyna odebrała tu sobie życie. Podobno wcześniej nałogowo cięła sobie skórę. Niektórzy rodzice sądzą, że dziewczęta z tego wyrosną, i nie podejmują żadnych kroków, by zapewnić im fachową opiekę. A z naszych obserwacji wynika, że jeśli w jakiejś społeczności pojawia się dziewczyna wykazująca takie tendencje, zwykle jest tam też kilka innych, którym nadal udaje się ukrywać nałóg. Rodzice zapewne widzą objawy, ale nie do końca pojmują, o czym one świadczą. Póki nie jest za późno.

Steve podejrzewał, że uwadze Phineasa Jonesa umyka niewiele, ale miał nadzieję, że nie wyczuje jego niepokoju.

– Mam wrażenie, że niewłaściwie interpretuje pan ten wypadek – stwierdził.

Znów ten zimny, słodki uśmiech.

– Och, czyżby? W zeszłym roku dziewczyna wskoczyła tu do rzeki i utonęła. Jak inaczej można to zinterpretować?

– No cóż, nie wskoczyła do rzeki, tylko do niej wpadła. Tu jest silny prąd, a kawałek dalej zaczynają się bystrza. Tutejsi potrafią pływać, a i tak co roku rzeka zabiera co najmniej jedną osobę i co najmniej jedna łódź spada z wodospadów. Może słyszał pan w wiadomościach, że kilka dni temu jacyś idioci próbowali wypłynąć na rzekę podczas mgły? Łodzie ratunkowe i wolontariusze nadal szukają ich ciał i resztek łodzi. To się zdarza, choć oczywiście za każdym razem jest to tragedia.

– W takim razie powinienem porozmawiać z dyrekcją waszych szkół. Czasami

nauczyciele...

– Panie Jones – przerwał mu Steve uprzejmym tonem. – Myślę, że powinien pan raczej wsiąść do samochodu i odjechać, ponieważ zapewniam pana, że bardziej niż w tej chwili nie zbliży się pan do żadnego dziecka w Przystani Przewoźników.

– Filantropi, których reprezentuję, chcą jedynie pomóc tym dziewczynom – stwierdził Jones. – Nie ma powodu się denerwować. Czego pan się boi?

Zaufaj mi... Ilu rodziców żałowało, że zaufało temu głosowi?

– No cóż, boję się Niedźwiedziej Straży, która rządzi tymi terenami aż po Lakeside – odparł Steve. – Boję się, jak zareagują na obcego wtykającego nos w nie swoje sprawy. Powinien pan więcej uwagi poświęcić wydarzeniom w Talulah Falls, panie Jones. To niedobry czas na takie wizyty w rejonie Wielkich Jezior. Może objaśnię, jak znaleźć drogę powrotną? To dość skomplikowane.

Znowu ciężka cisza.

– Nie – powiedział wreszcie Jones. – Nie, myślę, że wiem już wszystko. Do widzenia, panowie.

Patrzyli za nim, gdy wracał do samochodu i odjeżdżał. Wrony wzbily się w powietrze. Steve wiedział, że Wronia, Jastrzębia i Orla Straż będą śledzić samochód Jonesa tak długo, jak zdołają.

– Roger? – spytał po chwili milczenia.

– Tak?

– Czy Phineas Jones przypominał twoim zdaniem uśmiechniętego rekina?

– Owszem. Z całą pewnością.

Steve z powagą pokiwał głową.

– Zadzwońię do Simona Wilczej Straży.



Usłyszawszy pukanie do tylnych drzwi biura, Meg poszła otworzyć. W progu stała Merri Lee.

Na szkoleniu Meg widziała filmy przedstawiające kobiety, które napadnięto – pokazywano jej zdjęcia pobitych ciał i twarzy. Była również świadkiem pobicia na śmierć jednej z dziewcząt – na jej skórze nie dawało się zarobić tyle, by opłacało się ją trzymać. Kontroler nagrał tę sesję, a potem pokazywał im tak często, że doświadczenie w dużym stopniu straciło siłę oddziaływania.

W dużym stopniu, lecz nie do końca.

Wszystkie te obrazy nabrały dodatkowego znaczenia, kiedy ujrzała twarz przyjaciółki.

– Czy na pewno powinnaś już chodzić? – spytała, wpuszczając ją do środka.

– Doktor Lorenzo kazał mi dużo odpoczywać i zachować rozsądek – odparła Merri Lee, wchodząc na zaplecze. – Minał już tydzień od... Przez pierwsze kilka dni głównie spałam, czytałam i oglądałam filmy. Nawet dwa razy umówiłam się na masaż. Ale zaczyna mnie już nosić. Chcę robić coś pożytecznego. – Zawahała się. – Kawiarnia jest nadal otwarta tylko dla mieszkańców Dziedzińca i Tess mnie nie potrzebuje. Zaproponowałam Heather, że pomogę jej realizować zamówienia na książki, ale ona strasznie przeżywa to, co mi zrobili, i mam wrażenie, że nie będzie się czuła przy mnie swobodnie, dopóki siniaki nie znikną.

Meg mogła zrozumieć uczucia Heather. Mieszkała w ludzkiej części miasta, a widok Merri Lee musiał jej wciąż przypominać, że jako wilczej dziwce grozi jej to

samo.

Natomiast ona nie miała powodów, by unikać Merri Lee, ponieważ praktycznie nie wychodziła poza Dziedziniec.

– Myślisz, że Tess pozwoli nam umyć te pojemniki w Czymś na Ząb? – spytała, wskazując sześć niewielkich pudełek. – Muszę przygotować próbki ciastek dla Wilków, ale tutaj jest tylko umywalka.

– Wezmę je i umyję – odparła Merri Lee, akurat gdy z recepcji dobiegło jodłujące „arruuueouuu!”. – Co to? – spytała.

Meg westchnęła.

– To Jedynek.

Po wyjściu przyjaciółki Meg otworzyła duże plastikowe pojemniki. Blair nie zabronił jej dawać ciastek Jedynakowi. Sięgnęła po krowę, zawahała się, po czym wzięła smakołyk w kształcie człowieka i poszła do recepcji.

Stanąła za kontuarem i chowając ciastko za plecami, poklepała ladę.

– Jedynek, chodź tutaj. Przednie łapy na ladę. – Podbiegł i energicznie podskoczył, stając na tylnych łapach. Uniosła palec, by zwrócić jego uwagę. – Ostrożnie – ostrzegła, po czym pokazała mu ciastko.

Nie był jeszcze na tyle duży, by wskoczyć na kontuar albo go przeskoczyć, nie potrafił też skupić się na tyle, by spuścić z oczu ciastko, wziąć rozpęd i skoczyć jeszcze raz. Po trzech nieudanych próbach wyrwania smakołyku, zaczęło do niego docierać polecenie Meg. Kiedy po raz czwarty pokazała mu przysmak, ostrożnie wyjął go z jej dłoni.

A kiedy wracał na posłanie, by tam rozkoszować się ciastkiem, udało mu się potknąć o własną łapę.

Meg westchnęła i wróciła na zaplecze, by zaczekać na Merri Lee. Jedno ciasteczko z rumiankiem na pewno nie zrobi Jedynakowi krzywdy, a wszyscy odetchną z ulgą, jeśli choć trochę się po nim uspokoi, bo jeśli będzie musiała słuchać jego jodłowania przez kolejną godzinę, znajdzie najcięższą paczkę, jaką zdoła udźwignąć, i walnie nią Blaira prosto w głowę.

Gdyby Jedynek zadrasnął ją w palec...

Nagle poczuła w lewej ręce mrowienie, tak silne, że aż paliło ją pod skórą.

Jedynek i... zęby.

Kiedy Merri Lee wróciła, Meg zdążyła już przygotować wszystko w łazience.

Jedynek wciąż jeszcze był zajęty ciastkiem i nawet nie zauważył, jak zamyka na klucz drzwi do recepcji. Może i lepiej, że to nie Nathan pilnował dziś biura łącznika, bo natychmiast by się zorientował, o co jej chodzi, i wszcząłby alarm, zanim wyjęłaby klucz z zamka.

– Potrzebna mi twoja pomoc – powiedziała od razu.

– Co się dzieje z twoją ręką? – spytała Merri Lee, odkładając pojemniki na mały okrągły stolik. – Dlaczego wciąż ją pocierasz?

– Muszę przeciąć skórę. A ty musisz zapisać prorocstwo.

Merri Lee cofnęła się gwałtownie.

– Meg, to nie jest dobry pomysł. Nie mam kwalifikacji...

– Coś się stanie! – krzyknęła Meg.

– Zawołam Tess... Albo Henry'ego.

– Nie ma czasu! – Meg zaczęła oddychać chrapliwie, usiłując się skupić. – Nie potrafię ci wyjaśnić, jak to działa, przynajmniej nie w tej chwili, ale jeśli tego nie

zrobię, komuś stanie się krzywda!

– Na bogów na dole i na górze – wymamrotała Merri Lee. – Dobrze, już dobrze. Co mam robić?

– Wszystko przygotowałam. – Meg przeszła pospiesznie do łazienki, usiadła na zamkniętym sedesie i otworzyła srebrną brzytwę. – Po prostu zapisz to, co powiem, a jak przetnę skórę, powiedz: „Mów wieszczko, a ja cię wysłucham”. Kontroler tak nie postępował, ale kiedy Tess tak robi, łatwiej jest mi się skupić.

Meg przesuwała brzytwę nad lewym ramieniem, szukając miejsca, gdzie mrowienie będzie najsilniejsze. Kiedy ostrze znalazło się nad jej małym palcem, skóra zdawała się wręcz wibrować. Zaciśnęła zęby, starając się opanować, i wykonała precyzyjne cięcie. Potem, nadal zaciskając zęby, odłożyła brzytwę do umywalki. Miała ochotę krzyknąć, kiedy zalała ją fala bólu stanowiącego preludium przepowiedni. A potem Merri Lee wypowiedziała zachętę i wraz z pierwszym jej słowem ból zmienił się w euforię. Meg opisywała wizje kłębiące się w jej umyśle, a krew kapała do umywalki.

Kiedy przyszła do siebie, Merri Lee wpatrywała się w nią, nawet nie mrugając.



– Łał... – szepnęła. – To było fascynujące i... okropne. – Meg odwróciła wzrok. – Przepraszam. Po prostu... łał. – Merri Lee sapnęła. – Meg, musimy do kogoś zadzwonić. Zabandażować ci najpierw palec?

– Nie musisz tu ze mną siedzieć. Po prostu daj to prorocstwo Henry’emu. On przekaże je Simonowi.

Nigdy nie sądziła, że wieszczzenie wygląda okropnie. Może wszyscy klienci Kontrolera tak uważali? A może jest inaczej, kiedy płacisz masę pieniędzy, by poznać swoją przyszłość?

– Oczywiście, że muszę – odparła Merri Lee energicznie. Odkręciła kran, regulując temperaturę wody. – Zanurz tu palec.

Meg pozwoliła przyjaciółce przemyć i osuszyć ranę, a potem ją odkazić i zabandażować.

– Zadzwon do Henry’ego lub Tess – poprosiła, gdy wyszły wreszcie z łazienki. Postanowiła, że brzytwę wyczyści później. – Simon będzie wściekły.

Merri Lee rzuciła jej dziwne spojrzenie.

– Nie pamiętasz, co mówiłaś, prawda?

Meg pokręciła głową.

– Żeby zapamiętać prorocstwo, wieszczka musi je przełknąć, czyli milczeć – wyjaśniła.

– Czy to boli?

– Tak.

Merri Lee w zamyśleniu pokiwała głową.

– Zadzwonię do Henry’ego. – Zatrzymała się w progu sortowni. – Meg?

Przepraszam, że powiedziałam, że to okropne. W pewnym sensie to jest okropne, owszem, ale chciałabym to lepiej zrozumieć. I móc jakoś pomóc. – Urwała. – Mam pomysł. Sprawdzę, czy Lorne sprzedaje fiszki w Trzy P.

Kiedy Merri Lee poszła do sortowni zadzwonić do Henry’ego i Lorne’a, Meg wróciła do łazienki i wymyła brzytwę. Chciała ją schować, zanim stłoczą się tu Inni. Vlad wszedł do biura ZDL.

– Znowu spotkanie?

Simon, który siedział za biurkiem, wzruszył ramionami.

– Ludzie bez przerwy się spotykają.

– Wiem. Ciekawe, kiedy mają czas na coś innego.

– Zamknijcie drzwi – polecił Simon, gdy do biura weszli Tess, Henry i Blair.

– Oho. Nic dobrego – mruknął Blair, ale wykonał polecenie.

Simon uznał, że nie ma powodu zwlekać, więc od razu przeszedł do rzeczy:

– Po odjeździe Jerry’ego Saniarza zadzwonił do mnie Steve Przewoźnik. Wielu Intuitów miało dziś rano złe przeczucia, więc przewieźli wszystkie dzieci na wyspę. Blair pokiwał głową.

– To dlatego chciałeś, żeby Nathan patrolował parking dla dostawców, zamiast siedzieć w biurze łącznika?

– Tak. Przewoźnik zadzwonił do mnie znowu kilka minut temu. W Przystani Przewoźników zjawił się niejaki Phineas Jones.

– Czego chciał? – spytał Vlad.

– Nie powiedział, ale Przewoźnik podejrzewa, że szuka wieszczek krwi. Nazwał go uśmiechniętym rekinem – odparł Simon.

– Czy ten rekin nadal przebywa w Przystani Przewoźników? – spytała Tess.

Simon pokręcił głową.

– Steve kazał mu jechać w swoją stronę. Wronia, Jastrzębia i Orla Straż śledziły jego samochód aż do Lakeside, ale potem zgubiły go w ruchu ulicznym. Zapewne postanowił się tu zaszyć.

– Zadzwońmy do porucznika? – spytał Blair. – Czy on może wytropić Jonesa?

– Wątpię – stwierdził Vlad. – Jones to pospolite nazwisko, a w Lakeside jest masa hoteli, gospód i pensjonatów. Nie wiemy nawet, jak on wygląda, a informacja, że przychodzi na myśl uśmiechniętego rekina, raczej policji nie pomoże.

– Przewoźnik mi go opisał, a teraz obaj z Czernedą robią jego portret pamięciowy – powiedział Simon. – Jak skończą, przyślą go nam i porucznikowi

Montgomery’emu. Uważam, że wcale nie musimy go szukać. Wiemy, że tu jest, i tyle nam wystarczy. W Lakeside jest tylko jedna wieszczka krwi. – Spojrzał na Blaira. – Posadziłeś w biurze łącznika Jedynaka?

– Owszem – odparł Blair. – Ale żaden z niego Wilk stróżujący.

– Nathan będzie w pobliżu. Za dwa dni zjadą się tu przywódcy ze Środkowego Zachodu, Północnego Wschodu i Wyżyn Północnego Wschodu. Zamykamy rynek dla ludzkich klientów, ale ludzcy pracownicy mają pracować jak zwykle. Marie Jastrzębia Straż będzie obserwować ZDL, a Nathan patrolować teren wokół rynku, biura łącznika i konsulatu.

– I ja też – zdecydował Blair. – Jedynak potrafi co najwyżej przewrócić kogoś, żeby sprawdzić, czy nie przyniósł czegoś do jedzenia.

Rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi i John wetknął głowę do biura.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale właśnie dzwoniła Merri Lee. Powiedziała, że Henry albo Tess muszą natychmiast przyjść do biura łącznika. Meg wygłosiła prorocstwo.

Simon wstał gwałtownie, odepchnął Johna i zbiegł schodami na dół. Ale nie był równie szybki jak Vlad, który po prostu otworzył okno, przemienił się w dym i spłynął na chodnik. Kiedy Simon go dogonił, Vlad zdążył już z powrotem przybrać ludzką formę i otwierał właśnie drzwi na zaplecze biura łącznika.

Wpadli do środka ramię w ramię, a za nimi Henry, Tess i Blair. Merri Lee wydała cichy okrzyk zaskoczenia i poderwała się z miejsca.

– Miałaś rację, że nie przyjmą tego dobrze, Meg – powiedziała, kiedy już udało jej się opanować.

Simon przyjrzał się wieszczce. Siedziała za stołem, nieco blada, a na małym palcu lewej ręki miała niewielki opatrunek.

Chciał zerwać bandaż, chciał zobaczyć ranę i wylizać ją do czysta. Chciał...

Ostrzegawcze warknięcie Henry'ego zatrzymało go w połowie drogi do stołu.

– Parzysz herbatę? – spytała Tess.

Merri Lee kiwnęła głową.

– Miętową dla mnie, a rumiankową dla Meg.

– Ja dokończę. Ty siadaj przy stole.

Kiedy Merri Lee nie wykonała żadnego ruchu, Simon spróbował się cofnąć, ale za jego plecami tkwili Henry i Blair.

– Wszystko w porządku, Meg? – spytał Vlad.

Kiwnęła głową, a potem spojrzała na Merri Lee.

– Powiedz im.

Merri Lee usiadła na brzegu krzesła i sięgnęła po notes oraz rozsypane fiszki.

– Nie byłam pewna, jak to się zwykle robi, więc zrobiłam dodatkowe notatki.

– Najpierw słowa – zdecydował Henry.

Merri Lee spojrzała na listę.

– Zęby. Nie! Kanapka. Czaszka i skrzyżowane kości. Miotła. Jaskrawe żaby. Ręka. Rekin. Czajnik.

Simon miał ochotę wyszczerzyć zęby i zawyć z frustracji. Kolejny tajemniczy nonsens. I dwa elementy, które pojawiły się w poprzednich przepowiedniach – przy czym przynajmniej jeden z nich oznaczał coś zabójczego.

Tess postawiła kubki na stole. Spojrzała na listę, a potem na fiszki.

– Co to za rysunki?

– Skojarzenia – wyjaśniła Merri Lee. – To były nie tylko słowa, Meg gestykulowała, kiedy je wypowiadała. Od razu przypomniała mi się taka zabawa z dzieciństwa, w której układa się historyjkę z obrazków na kartach. Można zmieniać kolejność obrazków trzy razy, żeby ulepszyć historię.

Tess rozsunała fiszki, żeby obejrzeć wszystkie rysunki. Potem wzięła notatnik i pokazała go Innym.

Simon spojrzał na pierwszą fiszkę i wyszczerzył zęby na widok karykatury głowy Wilka z jakimś symbolem na wyszczerzonych zębach. Merri Lee skuliła się na krześle, co wskazywało, że szczerzenie zębów nie jest w tej chwili najlepszym pomysłem, ale nie mógł się powstrzymać.

– Zakaz szczerzenia zębów? – spytał Vlad.

– Zakaz gryzienia – odparła Merri Lee. – Ten symbol oznacza zakaz, a kiedy Meg powiedziała „zęby” i „nie!”, naśladowała gryzienie.

– Naprawdę? – Meg była wyraźnie zaskoczona.

– Kazałaś mi zapisywać słowa, ale uznałam, że gesty też są ważne. Więc wydaje mi się, że to ma znaczyć „zakaz gryzienia”. – Merri Lee popukała paznokciem w fiszkę.

– Czaszka i piszczele oznaczają truciznę – powiedziała Tess, oglądając inną fiszkę. – Wiemy o tym, odkąd Meg wygłosiła prorocstwo, które ocaliło kucyki. – Popatrzyła na listę słów. – Kanapka? To nie brzmi groźnie. Ręka też nie.

Simon poczuł, że ramiona i plecy pokryło mu futro. Musi pozostać człowiekiem. Musi zachować nad sobą kontrolę. Musi wysłuchać wszystkiego do końca i nie krzyknąć na Meg, że go nie wezwała.

– Za każdym razem, kiedy Meg mówiła „kanapka”, robiła taki gest, jakby rozsmarowywała sobie coś na ręce – wyjaśniła Merri Lee, kładąc przy fiszce z trucizną karteczki z kanapką i ręką. – Kanapka niekoniecznie musi oznaczać jedzenie. Może chodzi o coś, co ma kilka warstw? Chyba że wizje należy rozumieć dosłownie.

– Nie wiem – stwierdziła Meg, kiedy wszyscy spojrzeli na nią pytająco. – Nie zajmowałam się interpretacją wizji, więc nie wiem, jakie są zasady.

– Żaby? – spytała Tess.

Merri Lee rzuciła okiem na Meg i przysunęła fiszkę z żabą.

– Kiedy poszłam do sortowni, żeby zadzwonić do Henry’ego, zobaczyłam na ladzie pismo. Było otwarte na zdjęciu z żabami.

Vlad wyszedł i po chwili wrócił z gazetą. Kiedy przelatywał wzrokiem po tekście artykułu, jego twarz stawała się coraz bardziej poważna.

– Śmiertelna trucizna. Sposób na obronę przed drapieżnikami, zjedzenie takiej żaby zabija. Montgomery wspominał niedawno o jadowitych żabach.

Henry pochylił się nad stołem i położył fiszkę z żabą obok czaszki i piszczeli.

– Nie można sobie posmarować ręki trucizną – powiedział Simon. – Przecież można się w ten sposób zabić. Prawda?

– Kanapka. – Tess ułożyła dłonie jedną nad drugą, zostawiając między nimi odstęp. – Dwie warstwy ochronne, a między nimi trucizna?

Wszyscy popatrzyli na historyjkę ułożoną z rysunków na fiszkach. A potem przenieśli wzrok na Meg.

– Do cięcia wieszczki są przywiązywane, więc wątpię, żebym wcześniej gestykulowała – powiedziała. – Nie pamiętam, żebym to robiła i teraz. Ale te fiszki...

– Dotknęła jednej. – Kontroler mógł postępować podobnie, układając obrazki, aż sekwencja zacznie coś znaczyć dla klienta.

– Może to rekin gryzie, a „nie!” to ostrzeżenie? – podsunęła Merri Lee. – Meg nie wspomniała o Wilku, tylko o rekinie i żabie, a żaby nie gryzą. Przynajmniej nie słyszałam, żeby gryzły.

Merri Lee nie musiała mówić o Wilku, pomyślał Simon. Ona wie, kto może ugryźć intruza. I Merri Lee też.

– Dzwonił do mnie Steve Przewoźnik. Wiemy, że rekin to człowiek o nazwisku Phineas Jones.

– Wiemy? – sapnęła Meg.

– A jeśli zmienimy kolejność obrazków i poszukamy innej historii? – spytał Henry i zaczął przekładać fiszki. Merri Lee wyciągnęła rękę, zawahała się, a potem zmieniła kolejność dwóch z nich.

– To jest historia – powiedziała. – Nie gryź rekina, który trzyma w ręce kanapkę z trucizną.

– A miotła i czajnik? – spytał Simon.

Merri Lee pokręciła głową i odsunęła na bok te dwie fiszki.

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko tyle, że mają ze sobą coś wspólnego.

Simon nie zauważył, kiedy Blair wyszedł do recepcji. Zauważył natomiast jego powrót. Blair trzymał w ręce pół ciastka i patrzył na Meg oskarżycielskim

wzrokiem.

– Dałaś to Jedynakowi? – spytał.

– Chciałam, żeby się uspokoił, więc dałam mu ciastko z rumiankiem – odparła, wytrzymując jego spojrzenie. – Wolałbyś, żebym cię ugryzła za sprowadzenie tu jodującego Wilka?

Gdyby to był ktoś inny, zostałby ugryziony za sam ton, pomyślał Simon i zwrócił się do Blaira:

– Czy coś się stało?

– Ten cholerny Jedynak śpi w recepcji – warknął Blair. – W ogóle nie zauważył, że się tu pojawiliśmy. A miał stróżować! – ostatnie zdanie skierował z wyrzutem do Meg.

– Napiszę do piekarni, że ciastka z rumiankiem są trochę zbyt silne – obiecała. – I za duże. Nie chciałam go uspić, tylko trochę uspokoić.

Simon przyglądał się w milczeniu Meg i Merri Lee. Dobrze ze sobą współpracowały, a fiszki to był doskonały pomysł, bo pozwalały w różny sposób układać obrazy, które Meg widziała w swoich wizjach. Jednak nie zmieniało to faktu, że powinny były do niego zadzwonić, zanim Meg przecięła skórę. W końcu była jego przyjaciółką, więc powinien o tym wiedzieć. I to dlatego, zamiast je pochwalić, warknął:

– Jesteście w stanie nie pakować się w kłopoty chociaż przez jedno popołudnie?

– Och, Simon – jęknęła Tess.

Ręka Henry'ego wylądowała nagle na jego ramieniu, omal go nie przewracając.

– Nasza Meg nie wpakowała się w kłopoty – powiedział basem Niedźwiedź. – Była z nią przyjaciółka, mogła jej udzielić pomocy. A dzięki tej wizji ocalimy kilka istnień.

– Powinnaś iść do domu i odpocząć, Meg – rzucił Simon. Może mógłby pojechać razem z nią, przytulić się do niej na chwilę albo w coś się pobawić? Mogliby też obejrzeć film, razem, na kanapie.

– Merri Lee pomaga mi przygotować próbki ciastek – odparła, a jej głos zabrzmiał tak, jakby jedyna zabawa, na jaką miała teraz ochotę, to walenie Wilka po głowie czymś ciężkim.

Ostrzegawczy pomruk dał mu do zrozumienia, że czas się wycofać, zanim Henry zachęci go do tego w inny sposób. Takie akcje ze strony Niedźwiedzia zwykle bywały bolesne.

Wyrwał z notatnika strony z prorocstwem i wyszedł, by na zewnątrz poczekać na Vlada i pozostałych.

– No dobrze – powiedział Blair, kiedy już dołączyli do Simona. – Możemy dawać te rumiankowe ciastka młodym, kiedy czas spać, ale stróżujący Wilk powinien być przynajmniej na tyle przytomny, żeby reagować na otoczenie, nawet jeśli to jedynak.

– Niech Nathan wróci do biura na tę ostatnią godzinę – zdecydował Simon.

– Mowy nie ma. Jest zbyt przyjacielski, żeby czuwać nad tymi dwiema. – A więc dominujący stróż porządku na Dziedzińcu planował sam zadomowić się w biurze na resztę godzin pracy Meg.



– Nie podoba mi się, że nasza Meg właśnie teraz miała tę wizję – powiedział Henry. – Myślicie, że jest jakiś związek między spotkaniem naszych przywódców a

pojawieniem się tego rekina na naszym terytorium?

– Jeśli poluje na wieszczkę krwi, tym związkiem jest Meg – odparł Vlad. – To z jej powodu Simon zwołał to spotkanie.

– Trzeba założyć, że wróg również kieruje się przepowiedniami – powiedziała Tess. – Czy będąc na jego miejscu, nie wykorzystywalibyście *cassandra sangue*, żeby określić najlepszy moment uderzenia w nas?

– Kiedy ten Phineas Jones zjawi się na Dziedzińcu, będzie zdolny nas zabić, jeśli zareagujemy na zagrożenie w zwykły sposób – stwierdził Simon.

– W takim razie użyjemy ludzkiej broni zamiast zębów – odparł Henry. – Wszystko jedno, w jaki sposób, ale nie dopuścimy, żeby ten Jones opuścił Dziedziniec z Meg.

Simon pokiwał głową.

– Nie zabierze jej stąd.

– Halo?

– Inni wykorzystują pańską własność.

– Jest pan pewien?

– Tak. I to nie tylko dla siebie. Rozdają też próbki pozostałym zainteresowanym. Miałem doskonały trop, ale nie zdołałem zdobyć towaru, ponieważ transakcja spaliła na panewce jeszcze przed moim przybyciem. Spodziewali się mnie.

– Gdzie to było? W Lakeside?

– Nie, w Przystani Przewoźników. Teraz jestem w Lakeside. Zaczekam ze dwa dni, aż wszystko się uspokoi, a potem spróbuję odzyskać pańską własność.



Rozdział 20

– Dzwoni pan Smith.

Kontroler podniósł słuchawkę.

– O co chodzi?

– Te wybrakowane dziewczyny, które panu sprzedałem. Chcę je z powrotem.

– Uzgodniliśmy przy sprzedaży, że nie będzie zwrotów.

– Tak, wiem, ale moje najlepsze dziewczyny przechodzą załamanie. Wszystko jedno, o co pyta klient, one mówią tylko o zabójcy, niszczycielu, krwi, ogniu i śmierci. Klienci żądają zwrotu pieniędzy, ponieważ nie za to zapłacili.

– W przepowiedni ważna jest interpretacja, panie Smith. Pańskim zadaniem jest interpretować to, co widzi wieszczka. A wszyscy zdajemy sobie sprawę, na czym polega ta sztuka.

Chwila milczenia.

– A jeśli dziewczęta mówią prawdę o przyszłości moich klientów?

– To mało prawdopodobne.

Kolejna chwila ciszy.

– Jeśli chodzi o te dziewczyny...

– Nie są dostępne. Zostały już zużyte. Do widzenia, panie Smith.

Kontroler rozłączył się, ale jeszcze przez chwilę patrzył na telefon. Potem nacisnął przycisk interkomu i zaczął czekać, aż zgłosi się asystentka.

– Tak, proszę pana?

– Niech mi przygotują cs747.

„Wiadomość dnia. Miasto na Środkowym Zachodzie poddane kwarantannie. Pojawiły się pogłoski, że przyczyną serii aktów przemocy, w wyniku których śmierć poniosło kilka osób, była partia skażonej mielonej wołowiny. Zdaniem władz to izolowany przypadek, ale zaleca się ostrożność i pozbycie się mięsa kupionego w ciągu ostatnich trzech dni”.

Monty, zgnębiony i fizycznie, i psychicznie, wyłączył radio. Czas wychodzić do pracy. Chciał usłyszeć, co Burke ma dziś do powiedzenia swoim ludziom – i co ma do powiedzenia prywatnie.

Wątpił, by ktokolwiek prócz niego, Dominica Lorenzo i kapitana Burke’a wiedział o tym, co ujawniła Meg Corbyn w tym dziwnym wtórnym proroctwie. Dla śledczych, którzy prowadzą sprawę na Środkowym Zachodzie, zapewne będzie wielkim zaskoczeniem odkrycie, że wołowinę skażono ludzkim mięsem. Kontroler patrzył obojętnie, jak opiekunowie poprawiają pasy, którymi



unieruchomili siedzącą na krześle wieszczkę. Dziewczyny zawsze krępowano przed cięciem, żeby się nie wrywały. Pozwalało to uniknąć marnowania skóry i proroctwa. Jak inni pracujący w tej branży, Kontroler stracił ostatnio kilku cennych klientów – ludzi, którzy regularnie korzystali z jego usług, a teraz wymawiali się od kolejnych wizyt.

Nie zależało im na proroctwach? Nie, jego klienci nie należeli do ludzi, którzy cokolwiek pozostawiają przypadkowi. Zapewne zaczęli korzystać z usług kompleksów na Zachodnim Wybrzeżu albo jednego z tych „domów opieki” na Południowym Wschodzie. Zadowalali się usługami gorszej jakości dziewczyn. A skoro tak wygląda ich wdzięczność za cenne informacje, jakich dostarczał im do tej pory, to pieprzyć ich wszystkich. Przepowiednie można odczytywać na wiele sposobów, dokładnie tak jak powiedział temu idiotce Smithowi. Aż do niedawna jego dziewczęta i jego interpretacje były najlepsze w branży.

Nadszedł więc czas, by wykorzystać własne zasoby i dowiedzieć się, dlaczego po ucieczce tej dziwki cs759 sprawy zaczęły przybierać tak fatalny obrót. Jeśli nie uda mu się jej odzyskać, musi ją zniszczyć.

Jednak nie przyszedł tu, by dowiedzieć się o los Meg Corbyn. Przyszedł tu wyłącznie dla siebie.

Pstryknął palcami i zaczekał, aż cs747 skupi na nim wzrok.

– Opowiedz mi o mojej przyszłości. Co widzisz wokół mnie? Mów. Powiedz mi, co widzisz. – Kazał przeciąć najlepszą skórę. Na tej dziewczynie zostało jej niewiele, ale lepsza od niej była tylko cs759. – Opowiedz mi o mojej przyszłości. Powiedz mi, co widzisz – powtarzał raz za razem, kiedy krew zaczęła płynąć.

Opierała się. Mimo straszliwego bólu, jaki przenikał ciało wieszczki, zanim zaczęła mówić, ta dziwka zawsze przez kilka sekund stawiała opór, a on nigdy nie miał pewności, czy mówi mu wszystko, co widzi.

– Mapa – oznajmiła w końcu rozmarzonym głosem. – Trzymasz mapę Thaisii. Krwawi. Wszystkie miasta krwawią. Kap, kap, kap na podłogę, na buty. – Urwała. – Wiedzą, jak się nazywasz.

Przez chwilę Kontroler nie mógł oddychać. Nikt nie znał jego prawdziwego imienia.

– Jak? – spytał chrapliwie.
– Zabójca – uśmiechnęła się i spojrzała mu w oczy zupełnie przytomnym wzorkiem. – Niszczyciel.
Nagle wybuchnęła upiornym, szalonym śmiechem.
Wściekły, poderwał się z miejsca.
– Opatrzcie ją i zaprowadźcie do celi.
Następnym razem, kiedy będzie potrzebował resztek do zmielenia, ta dziwka będzie pierwsza na liście.
Jean leżała na swojej wąskiej pryczy, dryfując na resztkach euforii. Czy chodzące imiona ją zgwałciły? A może jej ciało było zbyt poznaczone bliznami, żeby mogła je



zainteresować? Musiała się trzymać dla tych kilku chwil, zanim ból zmusi ją do mówienia. Mogłaby wytrzymać dłużej, ale wtedy Kontroler nabrałby podejrzeń i kazałby im staranniej przeszukać jej celę. A wówczas mogłyby wyjść na jaw jej drobne, potajemnie robione cięcia. Tego musiała uniknąć. Wizje mówiły jej, że musi wytrzymać jeszcze tylko trochę dłużej.

Wszystkie miasta krwawiły z powodu Kontrolera. Tak wyglądała przyszłość ludzi w Thaisii. Tylko jedna osoba mogła ją zmienić, ale nie był nią Kontroler.

– Meg... – Jean uśmiechnęła się lekko.

Zasypiała, zastanawiając się, dlaczego w sekretnych wizjach wciąż widzi swoją pokrytą bliznami rękę trzymającą słoik miodu.

Meg jechała swoim PNK do kompleksu Wilczej Straży. Tylko w Zielonym Kompleksie tolerowano obecność ludzi, ponieważ było to miejsce, gdzie obok siebie żyło wiele rodzajów Innych. Pozostali woleli mieszkać wśród swoich i nawet kiedy rozwoziła dostawy, musiała uważać, by nie potraktowali jej jak intruza, wchodziła więc tylko do tych części, które przeznaczono na pocztę.

Jednak dziś przed pracą chciała zobaczyć się z Samem, dlatego jechała do kompleksu Wilczej Straży z pojemnikiem ciasteczek połamanych na mniejsze kawałki, odpowiednie dla szczeniaków. Zabrała też kilka całych ciastek dla dorosłych Wilków.

Kiedy zajechała na miejsce, szczeniaki bawiły się właśnie przed kompleksem.

Większość, zajęta zabawą, nie zwróciła na nią uwagi, ale jeden zatrzymał się, gdy wysiadła z PNK, a potem ruszył ku niej biegiem. Jego łapy wciąż były za duże w stosunku do reszty ciała.

– Sam! – wykrzyknęła radośnie, przykucając i otwierając ramiona na powitanie. Jej okrzyk zwrócił uwagę innych szczeniaków, które ochoczo ruszyły biegiem za Samem.

Na ten widok Meg podniosła się odruchowo. Sam może i pamięta, że trzeba się z nią obchodzić delikatnie, ale reszta szczeniaków o tym nie wie. Mogą ją zranić zębami albo pazurami. Nawet jeśli nie zrobią tego celowo, takie rany mogą mieć straszliwe konsekwencje dla nich wszystkich.

Ostre „arruuu!” zatrzymało szczeniaki w pół drogi.

Meg obejrzała się. Szła ku nim jakaś kobieta. Po części utrzymywała ludzką formę, ale na pewno nikt nie wziąłby jej za człowieka – miała futro zamiast włosów i sterczące wilcze uszy.

– Dzień dobry – powiedziała grzecznie Meg i uśmiechnęła się do kobiety, a potem

przykucnęła, żeby przytulić Sama. Wił się, lizał ją i mówił coś po wilczemu, a inne Wilczki zaczęły mu wtórować. Po chwili wyprostowała się ze śmiechem. – Przepraszam, nie mówię po wilczemu.

– Nie wolno się przemieniać na dworze – rzuciła kobieta surowo w stronę szczeniaków. – Jest za zimno, żeby nosić ludzką skórę bez ubrania.

Świetnie, przynajmniej nie będę musiała patrzeć na stado roznegliżowanych dzieciaków, pomyślała Meg, otwierając drzwi PNK od strony pasażera.

Na widok pojemnika z ciastkami szczeniaki rzuciły się do niej, omal jej nie przewracając.

– Spokój! – zażądała, zanim kobieta zdążyła zareagować. – Grzeczne szczeniaki dostają ciastka. A niegrzeczne obchodzą się smakiem.

Przez chwilę Wilczki przepychały się i podgryzały wzajemnie, ustalając między sobą kolejność, aż wreszcie ustawiły się grzecznie za Samem i patrzyły na Meg wyczekująco. Kobieta milczała.

Meg wciąż zaskakiwało to, ile można osiągnąć za pomocą zwykłej prośby. Rumaki Żywiółów, gdy przybierały formę kucyków, roznosiły po Dziedzińcu pocztę, dlatego codziennie pojawiały się przy biurze łącznika z kosztami na grzbietach. Dawła im wówczas różne przekąski – marchewki albo jabłka, a w poniedziałki kostki cukru. Kiedy zaczynały się przepychać do poczęstunku, przypomnienie, że tylko grzeczne kucyki rozwożą pocztę i dostają przysmaki, wystarczyło, by je zdyscyplinować. Wbrew dobrodusznemu wyglądowi kucyki, które nie bez powodu nosiły takie imiona jak Tornado czy Lawina, były niebezpieczne i bez trudu mogłyby zawalić jej na głowę cały budynek, więc odwoływanie się do ich dobrych manier miało swoje uzasadnienie.

– To świeżo pieczone ciasteczka – powiedziała Meg, otwierając pojemnik. –

Specjalny przysmak. – Wyjęła jeden kawałek i pokazała szczeniakom. Sam zbliżył się i z przesadną ostrożnością wyjął z jej ręki ciasteczko, demonstrując kolegom, jak należy to robić. Kiedy ostatni szczeniak dostał swój smakołyk, wszystkie odbiegły, żeby zjeść w spokoju, a Meg znów spojrzała na kobietę. – Jestem Meg, łącznik z ludźmi.

Oczywiście dla żadnego *terra indigena* nie była to tajemnica. Meg zdawała sobie sprawę, że jest nie tylko pracownikiem Dziedzińca, ale i głównym źródłem rozrywki dla Innych.

Miała nadzieję, że kobieta będzie jej na tyle ciekawa, że pozwoli jej wyjaśnić, po co przyjechała do kompleksu.

– Nie jesteś dominującą samicą, a jednak cię posłuchały – odezwała się wreszcie Wilczyca.

– Nie dostałyby ciastek, gdyby nie były grzeczne.

Wilczyca pokręciła głową.

– Są jeszcze młode, ale gdyby zaatakowały cię całą watahą, bez trudu odebrałyby ci ciastka. Usłuchały cię, ponieważ z jakiegoś powodu było to dla nich ważne. Nie jesteś dominantem, ale też nie jesteś zwierzyną. Interesujące. Jestem Jane, chodzące ciało Wilczej Straży. – Dotknęła lekko swego wilczego ucha. – Nie wzbudzają w tobie strachu?

Meg zastanowiła się nad tym pytaniem. Zdarzało jej się widzieć Simona pomiędzy formami, zwykle kiedy reagował na coś gwałtownie i instynktownie zapożyczał z obu form elementy, które były mu w danej chwili potrzebne. Wprawdzie znała obie

jego formy, ale taki widok zawsze budził w niej dziwny niepokój.

– Twój wygląd sprawia harmonijne wrażenie – powiedziała szczerze. Nie



wiedziała, czy Jane nie potrafi całkiem się przemienić, czy może jest to jej świadomy wybór, ale nagle pojęła, dlaczego czasami Zabójczo Dobre Lektury i Coś na Ząb otwarte są tylko dla mieszkańców Dziedzińca. Ludzie i Inni zawsze mieli kłopoty z porozumiewaniem się. Takie fizyczne przypomnienie, że ci, którzy rządzą Thaisią – i większością świata – nigdy nie byli i nigdy nie będą ludźmi, mogło tylko podgrzać i tak już wybuchową atmosferę. – Cieszę się, że cię spotkałam. – Meg sięgnęła do PNK i wyjęła drugi pojemnik z ciastkami. – Pan Wilcza Straż zarezerwował większość ciastek z tej dostawy na swoje spotkanie, ale chciałabym, żeby dorosłe Wilki też ich spróbowały. O ile będą miały ochotę. Muszę wiedzieć, czy warto je zamawiać w Przystani Przewoźników. – Wyciągnęła pojemnik w stronę Wilczycy. – Krowy są o smaku wołowiny, indyki drobiowe, a...

Jane wyjęła ciastko.

– Te są o smaku ludzi?

Meg stłumiła westchnienie. To będzie jej pierwsza uwaga dla piekarni: nie należy wypiekać ciastek w kształcie ludzi. Wilki były nimi zdecydowanie zbyt zainteresowane i wszystkie wyciągały ten sam logiczny, choć niepokojący wniosek na temat ich smaku.

– Nie, te są rumiankowe – wyjaśniła. – Rumianek to zioło, z którego parzy się herbatkę na uspokojenie. Dałam jedno Jedynekowi, a on... No cóż, zasnął na kilka godzin.

– Słyszałam. – Jane powąchała ciastko.

– Chyba będzie za twarde dla ludzkich zębów – ostrzegła Meg pospiesznie, gdyż Jane najwyraźniej zamierzała je ugryźć. Nie była szczególnie ciekawa, jak wyglądają ludzkie usta pełne wilczych zębów. – Pomyślałam, że może znajdziesz dla nich zastosowanie. Można je zamrozić i rozmrażać, dopiero kiedy będą potrzebne.

– Tak, przydadzą się na pewno – powiedziała Jane w zamyśleniu.

– Są jeszcze ciastka z miodem. Te podłużne. – Jane zmarszczyła nos, potwierdzając podejrzenia Meg, że Wilki raczej nie będą nimi zainteresowane. Ale Henry wziął kilka, a Jenni Wronia Straż chciała podzielić się nimi z siostrami. – Lepiej już pojedę, bo spóźnię się z otwarciem biura. – Meg zamknęła drzwi od strony pasażera. – Daj mi znać, jak smakowały wam ciastka.

Kiedy wsiadła do PNK, szczeniaki ruszyły biegiem w jej stronę, jednak szybko zorientowały się, że teraz to Jane ma ciasteczka. Kiedy odjeżdżała, tylko jeden szczeniak wydał z siebie smutny, skrzypiący skowyt.

Mimo tabliczki „Tylko dla mieszkańców” wywieszonej w drzwiach Zabójczo Dobrych Lektur Monty pukał tak długo, aż Simon zdecydował się otworzyć, choć nie wpuścił go do środka.

– To nie jest odpowiednia pora, poruczniku. Przez kilka następnych dni Dziedziniec będzie miał gości i nasze sklepy nie będą otwarte dla ludzi.

– Mam kilka pytań i potrzebuję odpowiedzi – odparł Monty stanowczo. – A kilku wybranych ludzkich klientów może się panu przydać.

Simon przyglądał mu się przez chwilę bursztynowymi oczami naznaczonymi drobinkami czerwieni. W końcu cofnął się, pozwalając mu wejść.

Zamknął drzwi na klucz i podszedł do wystawy. Monty ruszył za nim. Kiedy zauważył nazwiska autorów na grzbietach książek, chwilowo zrezygnował ze swoich pytań.

– Alan Wilcza Straż? – Wziął do ręki jedną. – Nigdy o nim nie słyszałem. O czym pisze? – Czerwona farba rozchlapaną na okładce dość obrazowo ilustrowała treść książki, ale uznał, że rozsądniej będzie zapytać.

– Thrillery i horrory. – Simon uśmiechnął się drapieźnie. – Jak pan zapewne odgadł po nazwisku, autor należy do *terra indigena*. Na pewno pan o nim nie słyszał, o ile nie wypożycza pan książek z naszej biblioteki. Ale może pan zapytać Ruthie. Mam wrażenie, że czytała jego powieści.

Tak, na pewno zapyta Ruthie. I Kowalskiego.

– Słyszałem, że bus z Dziedzińca dwa razy zajeżdżał dziś na stację kolejową.

– My pozwoliliśmy wam przeprowadzić tory między miastami, a wy nam korzystać z waszych pociągów. Taka jest umowa.

– Nie kwestionuję prawa Innych do korzystania z pociągów, panie Wilcza Straż. Ale wspominał pan, że ma pan gości. Niepokoi mnie to, zważywszy wydarzenia w Talulah Falls.

Simon nie odrywał wzroku od wystawy.

– Przywódcy *terra indigena* muszą przedyskutować pewne sprawy. Czy ludzcy przywódcy nie spotykają się w podobnych celach?

– Owszem. Ale kiedy nasi przywódcy się spotykają, skutkiem tych spotkań na ogół nie jest znikanie całych miast.

Wilcza Straż zaśmiał się zimno, po czym wyszedł na zaplecze.

Zebrań przywódców *terra indigena*? Od jak dawna je planowano? Co było jego powodem? I dlaczego na gospodarza wybrano właśnie Dziedziniec w Lakeside?

Simon wrócił po chwili i podał Monty'emu grubą książkę.

– Wy macie swoją wersję historii Thaisii, a my mamy swoją – powiedział. – Ani przez chwilę proszę nie sądzić, że na waszych przywódcach nie ciąży wina za znikanie miast. A teraz niech pan zada swoje pytania i stąd znika.

Czy naprawdę chcę wiedzieć, jakich wyborów dokonaliśmy? pomyślał Monty. Ilu ludzi widziało tę wersję historii Thaisii? I dlaczego Wilcza Straż pokazuje mi ją właśnie teraz?

Ta książka to ostrzeżenie – tyle zrozumiał.

Z wysiłkiem skupił się na celu swojej wizyty.

– Słyszał pan o mieście objętym kwarantanną na Środkowym Zachodzie?

– Słyszałem to, co mówili w radiu – odparł Simon i przekrzywił głowę. – Boi się pan spytać?

– Owszem. – Monty odetchnął. – Maszynka do mięsa. Ciało, które nadal żyje.

Mielone mięso zostało zanieczyszczone tkankami *cassandra sangue*, prawda?

Dlatego ludzie, którzy je zjedli, zrobili się agresywni.

– To możliwe. – Pozornie w wyglądzie Simona Wilczej Straży nic się nie zmieniło,



ale Monty na pewno nie pomyliłby go w tej chwili z człowiekiem.

– Narkotyki produkowane z krwi *cassandra sangue* dotrą tylko do ograniczonej liczby ludzi bez względu na wysiłki dilerów. Ale mielone mięso? Całe rodziny oszaleją, i to bez żadnego ostrzeżenia. Kto był celem, panie Wilcza Straż? Czy to

kolejna faza ataku na ludzi i Innych?

– Na nas nie – powiedział Simon w zamyśleniu. – Wieszczyki krwi nie wydzielają zapachu zwierzyny. Nie chodzi o to, że są niejadalne, one po prostu nie są zdobyczą. Gdybyśmy to my dostali takie mięso, od razu poczulibyśmy, że coś jest nie tak, bez względu na to, jak ktoś starałby się to ukryć. Żaden *terra indigena* nie zjadłby tyle, by pojawiły się objawy. Oczywiście gdyby tym mięsem była skażona zwierzyna, moglibyśmy nie wyczuć tego na czas. W ten sposób wielu Innych przyjęło nieświadomie wilczenie i euforkę.

– Czyli celem są ludzie – stwierdził Monty.

– Mam wrażenie, że ktoś na was eksperymentuje. Chce was wykorzystać do zabijania zmiennokształtnych i Sanguinatic.

– Mam wrażenie, że temu komuś chodzi o wszystkich *terra indigena*.

Simon rzucił mu dziwne spojrzenie.

– Sprowokowanie Żywiołów to błąd, którego ludzie raczej nie przetrwają.

Vlad stał w tylnych drzwiach do ZDL i przyglądał się furgonetce, która minęła właśnie zaplecze biura łącznika i parkowała obok wejścia na podwórze Henry'ego. Choć na spotkanie przybyli dwaj przedstawiciele Dziedzińca w Toland, Sanguinatici nie byli zachwyceni tym pomysłem. Pomiędzy *terra indigena* czasami wybuchały konflikty – w końcu wszyscy byli drapieżnikami, a ich terytoria często nakładały się na siebie – ale zawsze jednoczyli się przeciwko wspólnemu wrogowi: ludziom. Simon ryzykował, zakładając, że przywódcy ze Środkowego Zachodu nie są aż tak rozgoryczeni i źli, żeby podjąć radykalne kroki wobec ludzi. Na ile Vlad się orientował, przybysze ze Środkowego Zachodu i Rejonu Wielkich Jezior, gdzie ruch Ludzie Przede i Nade Wszystko cieszył się największym poparciem, byli pełni goryczy i gniewu.

Simon ryzykował także, zwołując to spotkanie i sprowadzając wszystkich do Lakeside, ale starał się wyrównać siły i dlatego zaprosił trzech *terra indigena* z Wyżyn Północnego Wschodu – części Thaisii, gdzie kłopoty w ogóle nie wystąpiły. Bobbie Niedźwiedzia Straż uczyła w jednym z nielicznych w Thaisii college'ów *terra indigena*. Ludzkemu profesorowi, który przyjechał kiedyś z wizytą i wygadywał jakieś bzdury o wyższości ludzi, powiedziała, że gdyby chciała zajmować się gównem, nasrałaby sobie na łapę. A profesor, choć nikt go nie zjadł w drodze powrotnej do domu, nigdy więcej nie otrzymał zaproszenia.

Alan Wilcza Straż pisał thrillery, bardzo popularne wśród *terra indigena* – szczególnie tych, którzy nigdy nie widzieli człowieka w naturze.

Ostatni z tej trójki wysiadł właśnie z furgonetki i podniósł rękę na powitanie.

Charlie Wronia Straż był wysoki i chudy, miał miłą twarz i bystre inteligentne oczy Wrony. Jak wielu *terra indigena* nie potrafił dokładnie naśladować wyglądu człowieka. Ale ponieważ był muzykiem, wykorzystywał tę ułomność na swoją korzyść – związywał czarne włosy w koński ogon, a pióra, których nie zdołał przemienić, traktował jak ozdobę.

– Dlaczego nie przyjechałeś pociągiem? – spytał Vlad.

– Nie mogłem – odparł Charlie, wskazując kciukiem pakę furgonetki. – Nie miałbym jak tego przewieźć.

Vlad poszedł bliżej.

– A co to jest?

– Drewno. Henry, pomóż nam – zawołał Charlie, gdy na podwórzu pojawił się

Niedźwiedź. – Mam wrażenie, że to stare drzewo ma coś do opowiedzenia, więc ci je przywiozłem.

Henry podszedł bliżej, przyjrzał się pniakowi i pokiwał głową.

– Solidny kawałek.

Vlad wszedł na pakę i pomógł Charliemu zepchnąć pień z samochodu. Henry dźwignął go z lekkim stęknieniem i zaniósł do pracowni.

– Przywiozłem też gitarę. – Charlie zamknął furgonetkę. – Wiem, że nie spotykamy się dla zabawy, ale... A co to?

– Człowiek – odparł Vlad, podążając za jego wzrokiem. Theral MacDonald, nowa... właściwie kto? Nowa asystentka doktora Lorenzo? Odbieraczka telefonów?

Eksplodująca kulka futra? Na pewno członkini ludzkiego stada Meg. Kilka miesięcy temu ludzie, którzy pracowali na Dziedzińcu, po prostu robili swoje i schodzili Innym z drogi. Teraz zaczęli wyrażać opinie.

– Wiem – stwierdził Charlie. – Chodziło mi raczej o to, co ona niesie. Wygląda jak futerał na skrzypce. Macie tu ludzi, którzy grają?

Ponieważ

gość

był

wyraźnie

zachwycony

perspektywą

poznania

umuzycznionego człowieka, Vlad zawołał:

– Pani MacDonald!

Theral była nowym pracownikiem Dziedzińca. Wciąż jeszcze chodziła z pochyłą głową i twarzą ukrytą we włosach, żeby nie widzieć otaczających ją *terra indigena* – jakby to gwarantowało, że oni nie widzą jej. Typowa mentalność zwierzyny, ale kiedy się tu zadomowi, to powinno się zmienić. Usłyszawszy wołanie, zatrzymała się i po chwili wahania niechętnie ruszyła w ich stronę.

– Tak, panie Sanguinati?

– Co niesiesz? – spytał Charlie. – Czy to skrzypce?

– Tak, to skrzypce.

Uśmiechnął się do niej, a potem zwrócił się do Vlada:

– Może zagramy wszyscy na rynku? O ile pamiętam, macie tam coś w rodzaju sceny?

– Panna MacDonald dopiero zaczęła u nas pracować, więc nie sędzę, żeby to był dobry pomysł – odparł Vlad i zwrócił się do Theral: – Zostaje pani tutaj?

Krótko kiwnęła głową.

– Lawrence odbierze mnie po służbie. Pan Wilcza Straż powiedział, że mogę poczekać na niego u Merri Lee.

To powiedziawszy, poszła na górę, gdzie znajdowały się mieszkania wynajmowane pracownikom, i zapukała. Chwilę później drzwi otworzyła Merri Lee – musiała na nią czekać.

– Jak zamierzasz tym zawrócić? – spytał tymczasem Vlad, oceniając wzrokiem pustą przestrzeń, ograniczoną garażami, podwórzem Henry’ego i zapleczem ZDL, Czegoś na Ząb i biura łącznika. Furgonetka była zdecydowanie większa niż PNK, które zwykle tu parkowały.

Charlie uśmiechnął się szeroko.

– Bardzo ostrożnie – odparł i jego uśmiech zniknął. – Simon też musi poruszać się bardzo ostrożnie.

– Wiem – stwierdził Vlad, a potem dodał w myślach: *Jeśli zmiennokształtni będą chcieli rozlewu krwi, Sanguinati ich poprą i Simon będzie miał problem.*

Rozdział 21

– Skoro ustaliliście, co powoduje chorobę, wypełnijmy jej źródło – zawarczał Joe Wilcza Straż.

– Źródłem są dziewczęta szczególnego rodzaju – odwarknął Simon. – To nie ich wina, że z ich krwi produkuje się narkotyki. Są wykorzystywane. Specjalnie zadaje się im rany, żeby uzyskać krew.

– Źródłem są ludzie, więc rozwiązanie jest proste – uciął Joe.

– Na Północnym Wschodzie mieliście dwa incydenty. – Jackson Wilcza Straż uczynił gest w stronę Simona. – A teraz na Północnym Zachodzie pojawili się ludzie tak agresywni, że przestali wykazywać instynkt samozachowawczy. Ale to Dziedzińce na Środkowym Zachodzie są celem ludzi zarażonych chorobą, której źródłem jest krew straszliwych dzieł Namid. Jeśli wkrótce nie powstrzymamy ataków, dojdzie do masakry.

Simon napotkał ostrzegawcze spojrzenie Henry'ego i odsunął się nieco od stołu, słuchając w milczeniu dyskusji. Wilcza Straż i Kojocia Straż ze Środkowego Zachodu poniosły największe straty, nie wspominając już o Wroniej Straży, która atakowana była wszędzie, gdzie pojawiły się nowe narkotyki. Wszyscy tak się skupili na straszliwej stronie dzieła Namid, że nie chcieli wysłuchać tego, co miał do powiedzenia o wieszczkach krwi.

Cheryl Jastrzębia Straż, Patty Wronia Straż i Vera Sowia Straż domagały się odpowiedzi na pytanie, jak odszukać ten szczególny rodzaj ludzi w miastach, gdzie mieszka ich tyłu. Simon miał na ten temat własne przemyślenia, ale nie zamierzał się nimi dzielić, póki nastroje się nie uspokoją.

Wilki i Kojoty chcą rzezi, zwrócił się do Henry'ego.

Trudno im się dziwić. Mają największe straty, nie licząc Wron. Pozwól im mówić. W końcu uświadomią sobie, że nie zdołają zabić źródła, nie ryzykując zatrucia.

Ale czy zorientują się na czas? pomyślał Simon. Siedzieli z gośćmi w bibliotece Dziedzińca już od godziny, a końca kłótni nie było widać.

Zastanawia mnie natomiast, dlaczego Sanguinati z Dziedzińca w Toland nie wyrażają żadnej opinii, stwierdził Henry.

Vlad również nic nie mówił. Simona zaczęło niepokoić jego milczenie.

Być może zaniepokoiło ono również Roya z Panterzej Straży, ponieważ zwrócił się wprost do Sanguinaticich:

– Stavros? Tolya? A co wy macie do powiedzenia?

– Sanguinati nie skrzywdzą słodkiej krwi – odezwał się Vlad spokojnie.

Wszyscy zamilkli, uświadomiwszy sobie groźbę, jaka kryła się w tych słowach.

– Przecież przez te narkotyki straciliście jednego ze swoich – powiedział po chwili Jackson.

– Sanguinati nie piją słodkiej krwi – dodał Vlad, już bardziej stanowczo. – Nie krzywdzimy słodkiej krwi. A jeśli zajdzie taka potrzeba, wystąpimy przeciwko wszystkim *terra indigena*, którzy spróbują to zrobić.

Nic dziwnego, że Stavros i Tolya milczeli. Zresztą Vlad też tylko powtarzał słowa

Erebusa, który wprost zagroził wojną zmiennokształtnym, jeśli spróbują wyeliminować *cassandra sangue*.

Alan Wilcza Straż spojrział porozumiewawczo na Bobbie Niedźwiedzią Straż i Charliego Wronią Straż, którzy kiwnęli lekko głowami.

– Posłuchajcie – powiedział. – Od godziny gonimy własny ogon. Możemy dalej tak gadać od jednego wschodu słońca do następnego i nie dojść do żadnych wniosków, ponieważ odpowiedzi nie ma w tej bibliotece. – Zwrócił wzrok na Simona. – Powiedziałeś, że masz jedną z nich na swoim Dziedzińcu. Czas, żebyś pokazał nam to straszliwe dzieło Namid.

Simon niechętnie zaprowadził gości do tylnego wejścia do biura łącznika. Chciał im opowiedzieć o Meg, o tym, jak gorliwie starała się wypełniać obowiązki łącznika z ludźmi i jak wiele zdołała tu zmienić. Chciał, żeby dostrzegli w niej nie przedstawicielkę rasy, która stanowi zagrożenie dla *terra indigena*, tylko ją samą. Ale oni już zdecydowali, że Meg jest strasznym dziełem Namid i że należy wyplenić cały jej rodzaj.

Kiedy otworzył drzwi, usłyszał krzyk Meg. Był tak przerażający, że Simon rzucił się biegiem do sortowni, a za nim Vlad, Henry i goście. Jednak w progu stanął jak wryty, a pozostali wpadli na jego plecy.

Meg kuliła się na stole do sortowania, wśród rozrzuconych katalogów i poczty, a Jedynek, z myślą w zębach, szykował się do skoku.

– Jedynek! – wrzasnął Simon, ledwie zdolny mówić po ludzku.

Na dźwięk jego głosu oboje się odwrócili. Meg zaczerwieniła się, co zapewne ładnie wyglądałoby przy jej naturalnie czarnych włosach, ale ponieważ ufarbowała je na pomarańczowo, wyglądała jeszcze dziwniej niż zwykle. Jedynek, nagle uświadomiwszy sobie, że chyba wpadł w tarapaty, opuścił głowę, żeby wypuścić mysz.

Wtedy Meg pisnęła jeszcze głośniej:

– Nie puszczaj jej!

Choć Simon był w ludzkiej formie, i tak położył uszy na ten przenikliwy dźwięk.

Poczuł, że za jego plecami zrobiło się pusto – wszyscy z wyjątkiem Vlada i Henry'ego wycofali się gwałtownie. Mysz najwyraźniej żyła, bo gdy tylko pojawiła się okazja do ucieczki, zaczęła gwałtownie machać łapkami.

Jedynek. Simon nie był pewien, czy jeszcze może mówić, więc przeszedł na sposób porozumiewania się *terra indigena*.

Jedynek rzucił mu rozżalone spojrzenie.

Meg nie chce się ze mną bawić!

Vlad wydał dziwny, zduszony dźwięk, a Henry zdecydowanym gestem otworzył dostawcze drzwi sortowni.

– Jedynek, wynieś tę mysz na zewnątrz. Natychmiast. I połóż ją na trawie przy rynku.

Choć młody Wilk czasami miał kłopoty z myśleniem, tym razem nie miał wątpliwości, co powinien zrobić. Uciekł, wciąż trzymając zwierzątko za ogon.

Charlie wziął się za zbieranie listów rozrzuconych po podłodze. Po chwili wahania inni *terra indigena* też zaczęli podnosić koperty i odkładać na stół.

– Meg? – Henry rozejrział się. – Gdzie masz stołek? Jak weszłaś na stół?

– Nie pamiętam – odparła i usiadła na brzegu blatu. – Jedynek gonił mnie z tym... gryzoniem... i nagle znalazłam się na stole.

Zanim Simon zdążył do niej podejść, Henry wziął ją pod rękę i ściągnął ze stołu. Meg, nadal zaczerwieniona, splotła dłonie i spróbowała się uśmiechnąć.

– Dzień dobry. Jestem Meg, łącznik z ludźmi Dziedzińca w Lakeside.

– Miło nam poznać – powiedział Charlie, odwzajemniając uśmiech.

Pozostali wymamrotali pod nosem niewyraźne powitania, a potem wycofali się na zewnątrz – wszyscy prócz Niedźwiedzia.

Henry? zawołał Simon.

Powęszę tu, żeby sprawdzić, czy Jedynek nie przyniósł innych zabawek.

Mieliśmy kiedyś w biurze gniazdo myszy.

Chyba będzie lepiej, jeśli Meg uwierzy, że przyniósł tę mysz z zewnątrz, nie uważasz?

No tak. Jeśli ich łącznik dojdzie do wniosku, że Jedynek znalazł swoją zabawkę w biurze, Nathan, niezależnie od powierzonych mu obowiązków, będzie musiał co rano sprawdzać, czy nie ma myszy.

Simon doskonale rozumiał ogłupiałe miny przywódców *terra indigena*, którzy zjechali się do Lakeside. Spodziewali się zobaczyć groźnego drapieżnika, przeciwnika co najmniej dorównującego im siłą, a nie niską kobietę z włosami w dziwnym kolorze, która boi się myszy.

– Simonie? – odezwał się Charlie po długiej chwili milczenia. – Przecież to była tylko mysz.

– Wiem.

– Mała mysz.

– Wiem.

– Więc tak wygląda straszliwe dzieło Namid? – upewnił się Alan po kolejnej chwili milczenia.

– Tak. To jest Meg.

Znów cisza.

– Dlaczego jej sierść ma taki dziwny kolor? – chciała wiedzieć Bobbie.

– To było przebranie.

Bobbie wydała dziwny dźwięk, na wpół śmiech, na wpół pełne niedowierzania parsknięcie.

– A co takiego udawała? Jeden z tych słupków, które ludzie stawiają na ulicy, kiedy kleją dziury?

Simon zawarczał cicho, urażony w imieniu Meg. Zauważywszy jednak, że jego goście wymieniają zdezorientowane spojrzenia, wpadł na pewien pomysł.

– Może popytacie o Meg innych mieszkańców Dziedzińca?

– A więc znają ją nie tylko członkowie Stowarzyszenia Przedsiębiorców? – spytał



Jackson Wilcza Straż, wyraźnie zaskoczony.

Vlad zaczął się śmiać.

– Myślę, że każdy na Dziedzińcu w Lakeside może opowiedzieć wam coś o Meg.

– Proponuję, żebyśmy spotkali się w bibliotece za dwie godziny – powiedział Alan, rozglądając się po zebranych.

– Zostawimy tam ubrania – zdecydowała Bobbie Niedźwiedzia Straż. – Jest szansa na coś do jedzenia, kiedy wrócimy?

Simon pokiwał głową.

– Tess powiedziała, że ma kawę i coś na śniadanie, a Mięso i Zielenina serwuje posiłki przez cały dzień.

– Będziemy mieli okazję zobaczyć innych ludzkich pracowników Dziedzińca? – spytała Bobbie.

– Tak.

Goście poszli do biblioteki, by zostawić ubrania i przemienić się, a Simon i Vlad zostali sami przed biurem łącznika.

– Masz dość innych spraw na głowie – powiedział Sanguinati. – Niech Blair wyjaśni Jedynakowi zasadę „Żadnych żywych zabawek”.

– Miejmy nadzieję, że naprawdę nie znalazł tej zabawki w biurze – mruknął Simon.

– Mogło być gorzej.

– Wątpię.

Vlad uśmiechnął się szeroko.

– Mógł znaleźć szczura.

Dwie godziny później ponownie wszyscy zebrali się w bibliotece. Większość gości rzucała niepewne spojrzenia na Simona i Vlada. Alan był wyraźnie zaintrygowany, a Charlie rozbawiony, szczególnie że Joe i Jackson wrócili pokryci śniegiem i z sopelkami lodu zwisającymi z ogonów.

Simon uznał, że Żywioty albo ich rumaki musiały się dowiedzieć, iż przybysze wypowiadali niepochlebne opinie na temat Meg.

– Mamy wiele do przemyślenia – powiedziała z wahaniem Cheryl Jastrzębia Straż.

– Te wieszczki krwi. Nie mogą być wszystkie takie jak wasza Meg.

– Masz rację – odparł. – Ale uważam, że nie wolno ich winić za to, że ktoś wykorzystuje je jako broń. Tak naprawdę one nie mają żadnego wyboru.

Rozdział 22

W sobotę Meg wyjęła z magazynku miotłę i śmietniczkę, a Merri Lee zaczęła sprzątać kuchnię na zapleczu biura.

– Dzisiaj w Czymś na Ząb było dziwnie – powiedziała. – Przyszli przywódcy *terra indigena*, a Ruth, Theral, Lawrence i Michael siedzieli przy stoliku i udawali ludzkich klientów. Nawet Lorne przyszedł kupić kawę i paszteciki na wynos. Przyszły też Jenni Wronia Straż i jej siostry, siedziały przy stoliku, spłoszone i rozchichotane. Meg przerwała zamiatanie.

– Dlaczego Jenni była spłoszona? Przecież ma wysoki status w tutejszej Wroniej Straży, prawda?

Merri Lee uśmiechnęła się szeroko.

– Mam wrażenie, że Charlie Wronia Straż to prawdziwa sława wśród Wron. Myślę, że Jenni... To zupełnie tak, jakby mnie zdarzyło się siedzieć obok gwiazdora filmowego, w którym się kocham. – Meg pokiwała głową. Nie rozumiała tego uczucia, ale przekształciła opis w obraz, który będzie mogła sobie później przypomnieć. – W każdym razie uderzyło mnie kilka rzeczy. To była elita *terra indigena*, ci z nich, którzy mają do czynienia z ludźmi, a odniosłam wrażenie, że większość nigdy nie była w kawiarni ani nie jadała w takiej restauracji jak Mięso i Zielenina. – Meg zmarszczyła brwi i wróciła do zamiatania. To, co powiedziała Merri Lee, wymagało przemyślenia. Chciała jej przerwać, ale przyjaciółka mówiła chyba także po to, żeby sama mogła zrozumieć, więc postanowiła zaczekać. – Na przykład wszyscy brali sobie łyżeczkę miodu i zjadali, zamiast polać nim ciepłe placuszki,

które podała im Tess.

Merri Lee przerwała na chwilę, by pójść do łazienki wypłukać szmatkę.

– Czy jedzenie miodu jest niewłaściwe? – zawołała za nią Meg. Nagle poczuła mrowienie w lewym ramieniu. Dlaczego wzmianka o słoikach z miodem wywołała to uczucie?

Merri Lee po chwili wróciła na zaplecze.

– Samo w sobie nie. – Otworzyła kuchenkę mikrofalową i przetała wewnątrz. – Ale wiesz, jak to jest ze snobami – dla nich to dowód, że Inni nie są równi ludziom, skoro nie wiedzą nawet, jak należy jeść miód. – Przerwała pracę i spojrzała na Meg. – Kiedy pan Wilcza Straż zatrudnił Ruth, żeby uczyła Innych, jak robić ludzkie rzeczy – takie proste, jak składanie zamówienia w restauracji, albo kiedy należy używać widelca, a kiedy łyżki – myślałam, że to dziwaczne. Ale my wynosimy takie rzeczy z domu, a jeśli nie wiesz tego wszystkiego, ludzie cię lekceważą. – *Naprawdę?* pomyślała Meg. *Naprawdę lekceważysz mnie, ponieważ tylu rzeczy nie wiem?* Nie sądziła, żeby dziewczyny pracujące na Dziedzińcu naprawdę tak myślały, ale był to kolejny dowód na to, jak bezradna czułaby się poza kompleksem, gdyby nie wylądowała tutaj. – Dopiero teraz zrozumiałam, jak postępowy jest ten Dziedziniec. – Merri Lee odgarnęła włosy, a potem sięgnęła po czajnik elektryczny. – I wolę się nie zastanawiać, ile razy ludzie powiedzieli Innym „Tak to się robi” i oszukali ich, żeby potem się z nich naśmiewać. Zaczynam rozumieć, jak doszło do tych zdarzeń w Talulah Falls i winnych miastach. Skoro Inni nie mogą nam zaufać w tak prostych sprawach, dlaczego mieliby nam wierzyć, kiedy mówimy o rzeczach ważnych? – Odwróciła się i popatrzyła na Meg. – Dlaczego wciąż pocierasz rękę? Co się dzieje? Mam zadzwonić do Tess?

– Co? – Meg spojrzała na dłoń, którą nieświadomie pocierała lewe ramię, żeby złagodzić mrowienie. – Nie, nie dzwoń do Tess.

– Meg? – Merri Lee była wyraźnie zaniepokojona.

Trzymała w ręce czajnik. A Meg miotłę.

– Czajnik i miotła – szepnęła Meg. To były przedmioty, które widziała w swoim proroctwie, tym o rekinie i truciźnie.

– O bogowie... – sapnęła Merri Lee. – Dwa ostatnie obrazy, których nie potrafiłyśmy umiejscowić.

– Nie chcę, żeby Jedynek siedział sam w recepcji – oświadczyła Meg stanowczo. Mrowienie narastało. Odstawiła miotłę i poszła szybko do recepcji, gdzie Jedynek bawił się piłeczką. Najwyraźniej robił to już od dłuższego czasu, bo zabawka przy każdym odbiciu zostawiała na podłodze mokry ślad. Meg nie miała najmniejszej ochoty brać do ręki czegoś tak obślinionego. – Jedynek, chodź do sortowni – poleciała i odchyliła drzwiczki pod blatem kontuaru, żeby Wilk mógł przejść. Patrzył na nią przez chwilę, po czym jak gdyby nigdy nic znów podrzucił piłeczkę. Nie wiedziała, czy postanowił ją zignorować, czy po prostu mózg mu się zawiesił i nie dotarło do niego, co powiedziała. – Chcesz ciasteczko?

To usłyszał na pewno. Odsunęła się, żeby jej nie przewrócił, i zamknęła na zasuwkę przejście w kontuarze. Potem, zaciskając zęby, ponieważ mrowienie w ramieniu nasilało się, zamknęła również dwie ukryte zasuwki pod blatem. Wróciła na zaplecze, z Jedyakiem płaczącym się pod nogami, i otworzyła pojemnik z ciastkami, które odłożyła specjalnie dla niego. Miała ochotę znów dać mu rumiankowe, ale kiedy wyciągnęła rękę w ich kierunku, ta zaczęła niemal

wibrować. Wzięła więc ciastko w kształcie krowy, z którym Jedynek od razu rozłożył się na podłodze koło stolika i krzesel.

Nie zaprotestowała, kiedy przyjaciółka wzięła ją za ramię i zaprowadziła z powrotem do sortowni.

– Co się dzieje, Meg? – spytała Merri Lee. – Miotła i czajnik to wskazówki. Co to oznacza?

– Mrówki pod skórą.

– To źle, prawda? Powinnyśmy do kogoś zadzwonić?

Meg spróbowała uspokoić oddech.

– Już mi przechodzi. Zwykle mrowienie oznacza, że ma się stać coś złego, ale jeśli mija, to coś się nie zdarzy. – W tym momencie mrowienie wróciło jednak z taką siłą, że aż wydała stłumiony okrzyk. Gdy Merri Lee sięgnęła po telefon, Meg złapała ją za rękę. – Nie... Stań przy drzwiach do sortowni, ale nie pokazuj się.

– Nie strasz mnie, Meg.

Sama też się bała, ale kiedy drzwi otworzył niski, żwawy mężczyzna, wyszła do recepcji i stanęła za kontuarem.

To nie był dostawca. Nie był ubrany jak dostawca i nie niósł żadnych paczek.

Wszystkie blizny na ciele Meg nagle zaczęły palić żywym ogniem. Wszystkie prócz tych, które powstały już po przybyciu na Dziedziniec.

– W czym mogę pomóc? – spytała.

– Och, to ja przyszedłem pomóc pani – odparł przesadnie miłym tonem.

Zaufaj mi.

Nie usłyszała tych słów, ale mogłaby przysiąc, że je wypowiedział.

– Nie potrzebuję pomocy.

Jego uśmiech był słodki, ale oczy za szklami okularów wydawały się pozbawione uczuć.

– Ależ potrzebuje pani. Widzę to. Czuję. Przytłacza panią świat i w końcu panią zniszczy. Ale ja mogę zabrać panią w bezpieczne miejsce, w dobre miejsce, gdzie będzie pani miała opiekę. Chciałaby pani?

Oczywiście, że by chciała. Kto by nie chciał być bezpieczny? I gdyby tylko blizny nie piekły jej tak bardzo, położyłaby dłoń na jego wyciągniętej ręce i poszła za tym cichym, zniewalającym głosem do...

Nagle rozległ się cichy syk Merri Lee. Był ledwie słyszalny, ale wystarczył, by wywołać odpowiedni obraz szkoleniowy – węża unoszącego się z koszyka i człowieka grającego na jakimś instrumencie. Zaklinacz węży.

– Jak się pan nazywa? – spytała Meg, jednocześnie robiąc krok w tył, by nie znaleźć się w zasięgu rąk mężczyzny.

– Nazywam się Phineas Jones. Przyjechałem, żeby pani pomóc. – Obszedł kontuar i odsunął zasuwkę. Ale przejście, dodatkowo zabezpieczone, nie dało się otworzyć.

Phineas Jones, pomyślała Meg i usłyszała szept Merri Lee:

– Rekin, rekin, rekin...

Nie wolno gryźć.

Dzięki niech będą bogom, że Nathan nie był dziś rano stróżującym Wilkiem.

Jedynek ciągle był zbyt zajęty ciastkiem, żeby zwrócić uwagę na obcego, ale Nathan bez wahania ugryzłby rękę, którą Jones do niej wyciągał, bez względu na ostrzeżenia.

Cofała się, póki nie stanęła w drzwiach sortowni.

– Za kilka minut zamykam biuro na przerwę. Jeśli potrzebuje pan pomocy, proszę się umówić w konsulacie.

Wpatrywał się w nią tymi pustymi oczami.

– Musisz ze mną iść. Pomogę ci, sprawię, że ból zniknie.

Nadal chciała mu uwierzyć, wprost nie mogła się powstrzymać. Ale czujna Merri Lee, ukryta za drzwiami, złapała ją za sweter, przypominając, że już ma pomoc, i to ze strony przyjaciół, którym ufa.

– Musi pan wyjść – powiedziała Meg, siląc się na stanowczy ton, choć sama słyszała, jak głos jej się łamie. – Zamykamy. – Znow napał na przejście, szukając ukrytych zasuwek. Wiedziała, że jeśli wejdzie dalej, nie tylko ona znajdzie się w niebezpieczeństwie. – Biuro jest zamknięte! – krzyknęła i wycofała się do sortowni. Zamknęła za sobą, a potem podbiegła sprawdzić dostawcze drzwi.

– Meg? – szepnęła Merri Lee. – Myślę, że on chciał cię zahipnotyzować. Wiesz, co to znaczy?

– Zaklinacz węży – odparła i wybiegła na zaplecze. Nie zamknęła tylnego wyjścia. Inni odbierali tędy pocztę dla rynku, ZDL i Czegoś na Ząb – a poza tym, choć nikt nie mówił tego na głos, wszyscy bali się, że jeśli będzie się cięła, nie dotrą do niej na czas, jeśli drzwi będą zamknięte.

Jedynak wstał, kiedy weszły na zaplecze. Meg nie wiedziała, czy w końcu wyczuł, że coś jest nie tak, czy po prostu zjadł ciastko i miał nadzieję na więcej. Bez względu na powód Wilk oddzielał ją od Phineasa Jonesa, kiedy ten stanął w progu.

– Proszę wyjść! – wrzasnęła Merri Lee. – Dzwonię po policję!

Meg nigdy nie miała się dowiedzieć, czy to ton głosu Merri Lee, czy słowa, czy może jej strach, który Jedynak musiał wyczuć, sprawiły, że młody Wilk ruszył w stronę Jonesa, który pospiesznie wycofał się za drzwi.

– Nie wolno gryźć! – krzyknęła jeszcze, kiedy Wilk puścił się biegiem za Jonesem. Reszta przypominała krótkie kadry z filmu, tyle że sama w nim występowała. Jest w biurze, łapie miotłę... cięcie... jest na zewnątrz, krzyczy, gdy Phineas Jones unosi obronnym gestem ramię, a Jedynak szykuje się do skoku, żeby ugryźć intruza... cięcie... bierze zamach miotłą i wali Jedynaka z taką siłą, że przewraca go na ziemię... cięcie... Wrony kraczą, Wilki wyją... cięcie... ktoś krzyczy, kiedy ona wali miotłą Phineasa Jonesa... cięcie... znow ktoś krzyczy, kiedy Merri Lee wali go czajnikiem... cięcie... otaczają ją ciała, które równocześnie są i nie są ludzkie... cięcie... Simon łapie ją za ramiona, odciąga na bok, krzyczy coś do Charliego Wroniej Straży i...

Nagle znow znalazły się na zapleczu biura, ona i Merri Lee, obie równie skołowane i przerażone. Charlie zasłaniał wejście swoim ciałem i nie pozwalał im podejść do okna, skąd mogłyby zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz.

Krzyki. Ryki. Wycie. Krakanie. Wrzaski.

Cisza.

– Simon chce, żebyście zadzwoniły na policję. Powiedział, że wiecie, na którą – powiedział nagle Charlie.

Meg i Merri, podtrzymując się wzajemnie, przeszły chwiejnie do telefonu w sortowni. Ręce Meg drżały tak bardzo, że ledwie mogła podnieść słuchawkę.

– Nie pamiętam numeru do porucznika Montgomery'ego – powiedziała bezradnie.

– Zadzwonimy do Michaela. On zawiadomi kogo trzeba. – Merri Lee wybrała

numer.

Kiedy Michael Debany odebrał, w drzwiach sortowni stanął Charlie.

– Powiedzcie policji, żeby przysłali ludzi, którzy potrafią obchodzić się z niebezpiecznymi rzeczami.

Meg przekazała wiadomość Michaelowi i zapewniwszy go drżącym głosem, że żadna z nich nie została ranna, wróciła wraz z Merri Lee na zaplecze.



– Zaparzę herbatę. – Merri Lee podeszła do blatu i rozejrzała się bezradnie. – Gdzie jest czaj... – Przełknęła gwałtownie, a potem pobiegła do łazienki i zwymiotowała. Meg powoli osunęła się na podłogę.

– Meg? – Łagodny głos, ale zupełnie inny niż głos Phineasa Jonesa. Taki, któremu naprawdę mogła zaufać.

Przyjrzała się Charliemu, który przykucnął obok niej.

– Masz w brwiach piórka – stwierdziła.

Poruszył się niespokojnie, wyraźnie skrepowany.

– Mam kłopoty z utrzymaniem ludzkiego kształtu.

Ostatnio wszyscy mieli kłopoty z utrzymaniem ludzkiego kształtu. Ludzkie zęby nie są tak praktyczne, jak kły i dzioby, i...

Chwyciła Charliego za rękaw.

– Nie wolno gryźć. Trujące żaby. Powiedz Simonowi, że nie wolno gryźć!

– On wie. – Charlie poklepał ją po ręce. – Powiedziałaś mu, powiedziałaś nam wszystkim. Nie pamiętasz?

Była zbyt przerażona, żeby pamiętać.

– Jestem zmęczona – szepnęła, puszczając rękaw Charliego. – Okropnie zmęczona.

Powiedz Simonowi, że mrowienie znikło.

Słyszała jeszcze, że Merri Lee wróciła z łazienki i o coś pyta, ale usnęła, zanim Charlie zdążył odpowiedzieć.

Monty starał się nie myśleć o tym, co zastaną na Dziedzińcu. Na razie musi mu wystarczyć, że Simon zadzwonił. To znaczy nie osobiście, ale polecił to zrobić. Poprosił o ludzi, którzy potrafią obchodzić się z niebezpiecznymi rzeczami. Nie bardzo wiedząc, czego się spodziewać, Monty zadzwonił do Louisa Gresha, dowódcy saperów. Simon i Vlad już go znali, a znajoma twarz zadziałała na ich korzyść, bez względu na to, co się stało.

Na bogów na dole i na górze, niech to nie będzie zamach na terra indigena, którzy przyjechali na spotkanie, zaklinał w duchu Monty. Nie chciał się nawet zastanawiać, co się stanie z Lakeside, jeśli ktoś odważył się na coś takiego.

Wszystkie radiowozy z komisariatu przy ulicy Orzechowej jechały na Dziedziniec z włączonymi syrenami – jechali tam wszyscy, łącznie z kapitanem Douglasem Burke'em, którego samochód praktycznie siedział im na zderzaku. Monty miał nadzieję, że Kowalski nie będzie musiał gwałtownie hamować.

Debany i MacDonald byli już na miejscu, ich radiowóz stał przy wjeździe na parking. Kowalski zatrzymał się przed wjazdem na parking dla dostawców, skutecznie go blokując.

Louis nie będzie zadowolony, że go odcięli. A może wręcz przeciwnie – ucieszy się, że nie musi wjeżdżać na teren, gdzie ludzkie prawo nie obowiązuje?

Prosili, żebyśmy przyjechali, przekonywał sam siebie Monty, wysiadając z

samochodu i podchodząc pospiesznie do MacDonalda.

– Gdzie jest Debany? – zapytał bez zbędnych wstępów.

– W konsulacie. Panna Corbyn chyba zemdląca, a panna Lee jest strasznie roztrzęsiona. Sanguinati i Wilcza Straż nie chcieli, żeby przechodziły obok... – MacDonald pozieleniał. – Są w biurze Elliota Wilczej Straży. Michael próbuje je uspokoić, ale nie będzie ich przesłuchiwał. Ponieważ spotyka się z panną Lee, uznaliśmy, że pan powinien to zrobić.

Monty bardziej wyczuł, niż zobaczył, że podchodzi do niego Burke. Spojrzał na konsulat i dostrzegł unoszący się po obu stronach wejścia dym.

– Był tu pożar?

– Nie, poruczniku – szepnął MacDonald. – Sanguinati trzymają wartę.

Dało się słyszeć, jak Burke wciąga powietrze przez zęby. W przejściu między budynkami pojawił się Simon Wilcza Straż, równocześnie dołączył do nich Louis Gresh.

– Najpierw popatrzcie – polecił Simon. – Potem zdecydujecie, kto jeszcze powinien przyjechać. Wszyscy szukamy odpowiedzi, więc zostaniemy, żeby posłuchać. Niektórzy zmiennokształtni w swojej podstawowej formie, reszta w ludzkiej – mniej więcej.

Odwrócił się i odszedł, a oni po chwili wahania ruszyli za nim.

– Przygotujcie się, panowie – powiedział Burke cicho.

Gdy znaleźli się na tyłach biura łącznika, Monty był mu wdzięczny za to ostrzeżenie. Kiedy Meg Corbyn wylądowała w szpitalu, widział Simona Wilczą Straż w formie przypominającej wilkołaka, ale nawet to nie przygotowało go na taki widok.

Inni wyglądali jak potwory z koszmarów sennych. Nie byłoby to takie straszne, gdyby byli po prostu zniekształceni, ale harmonijne połączenie ciała zwierząt i ludzi budziło grozę i przypominało, że dla tych istot ludzie na zawsze pozostaną tylko mięsem.

Louis wydał cichy jęk, ale przybrał chłodny, profesjonalny wyraz twarzy, kiedy ruszyli za kapitanem ku *terra indigena* stojącym wokół...

...Inni rozstąpili się na boki, odsłaniając zwłoki człowieka, miotłę i czajnik elektryczny.

– Co to jest? – spytał Burke.

Monty podążył za jego spojrzeniem i stwierdził, że kapitan nie pyta ani o człowieka, ani o przedmioty. Patrzył na tylne wejście do księgarni, skąd dobiegało ich żałosne „arrrruuuu!”.

– To Jedynek – odparł Simon. – Meg ocaliła mu życie, ale jego w tej chwili obchodzi tylko to, że uderzyła go miotłą.

Zawodzący Wilk stał przed tylnym wejściem do księgarni, unosząc tylną łapę, jakby był ranny.

– Coś mu się stało? – spytał Monty.

Simon wzruszył ramionami.

– Zapewne ma siniaka. Uciekł, zanim zdążyła uderzyć go drugi raz, więc raczej nie złamała mu łapy.

– A ten człowiek?

– Phineas Jones.

Burke sapnął ze złością.

– Ten, który był w Przystani Przewoźników dwa dni temu? Potrafił się dobrze zaszyć. Nie byliśmy w stanie go znaleźć, nawet dysponując portretem pamięciowym. Czy wiecie, dlaczego przyszedł na Dziedziniec? Simon zawarczał, a jego kły wyraźnie się wydłużyły.

– Po Meg. – Przez chwilę próbował się opanować, a potem objął gestem wszystkich obecnych *terra indigena*. – Mieliśmy przerwę w rozmowach i właśnie wyszliśmy z biblioteki, kiedy usłyszeliśmy krzyki Meg i Merri Lee.

– Wycie – poprawił go jakiś Wilk.

– To był okrzyk wojenny – stwierdziła z aprobatą kobieta z czarnym futrem na głowie.

– Wszystko jedno. Kiedy przybiegliśmy na miejsce, okazało się, że Meg i Merri Lee biją tego człowieka miotłą i czajnikiem. Zdołaliśmy je od niego odciągnąć, a Charlie zabrał je do środka. Meg cały czas krzyczała, że nie wolno go gryźć. Każdy członek Niedźwiedziej Straży mógł go powalić jednym ciosem pięści, więc otoczyliśmy go, a wtedy on podciągnął rękaw kurtki i ugryzł się w rękę. Po chwili umarł, więc kazałem Meg wezwać ludzi, którzy potrafią się obchodzić z niebezpiecznymi rzeczami.

– Na czym pana zdaniem polega niebezpieczeństwo? – spytał Louis.

– Trucizna – odparł krótko Simon.

Nagle Monty zrozumiał, dlaczego Meg Corbyn walnęła miotłą młodego Wilka.

– No dobrze, a wiecie może, jaka to trucizna? – drażył Gresh.

– Żabia – parsknął Simon.

Burke drgnął gwałtownie i wszyscy *terra indigena* nagle skupili na nim wzrok.

– Niech pan nawet nie pyta – powiedział, kiedy Louis spojrział na niego z zaciekawieniem. – Informacja pochodzi z wiarygodnego źródła.

– Nie macie nic przeciwko temu, żebyśmy zabrali ciało? – spytał Monty.

Simon pokręcił głową.

– Nie chcemy mieć na naszej ziemi trującego mięsa.

– Czy moglibyśmy prosić o opuszczenie tego terenu, kiedy będziemy pracować?

– Uważajcie z tą miotłą i czajnikiem – odezwał się kolejny Wilk. – Kiedy odciągałem samice, zauważyłem że czajnik jest mokry.

– Rękaw marynarki denata też jest mokry – zauważył Louis, przyklękając przy ciele. – Jeśli miał tu przyczepiony pojemnik z trucizną, uderzenia mogły spowodować jego pęknięcie. – Spojrzął na Monty'ego. – W ten sposób dużo łatwiej było mu zażyć truciznę.

– Mógł zabić wielu z nas, gdybyśmy ugryźli zatrute mięso – stwierdził Henry Niedźwiedzia Straż.

A zapewne by go ugryźli, gdyby Meg Corbyn ich nie ostrzegła, pomyślał Monty. Inni nie odeszli. Wycofali się pod garaże i stanęli w małych grupkach. Były wśród nich Wrony i Jastrzębie, a na dachach siedziało nawet kilka Sów.

– Zajmę się przewozem ciała – zdecydował Louis.

– A ja porozmawiam z panną Lee i panną Corbyn, jeśli już się uspokoiły – powiedział Monty.

– Chciałbym być obecny przy tych przesłuchaniach – zaznaczył Burke. Kowalski, Debany i MacDonald czekali na nich przed biurem łącznika, rzucając niespokojne spojrzenia na Nyx Sanguinati, widoczną przy drzwiach konsulatu.

– Pan Wilcza Straż uważa, że denat przyszedł tu za Meg Corbyn – podjął Monty. –

Musiał tu gdzieś zaparkować samochód, ale wątpię, żeby to był ten sam pojazd, którym przyjechał do Przystani Przewoźników. Debany, MacDonald, poszukajcie auta na ulicy. Kowalski, ty weź posterunkowego Hilborna i sprawdźcie parking i samochody przy Jeleniu i Zającu. Zwróćcie szczególną uwagę na samochody zaparkowane w niedozwolonych miejscach i te z naklejką wypożyczalni.

– Tak jest.

Kiedy jego ludzie odeszli, Monty i Burke ruszyli do konsulatu.

– Chciałbym przesłuchać pannę Lee i pannę Corbyn, jeśli są w stanie złożyć zeznania – powtórzył Monty.

– Vlad mówi, że porozmawiają z wami – odparła Nyx.

W tej samej chwili w progu konsulatu stanął Elliot Wilcza Straż.

– Idźcie za mną – polecił, uprzednio zmierzwszy policjantów wzrokiem.

Monty nigdy nie widział biura burmistrza, ale mógłby się założyć, że nie ma tam mebli takiej jakości, jak w biurze Elliota. Niewątpliwie wszyscy, którzy sądzili, że Wilka można lekceważyć, przeżywali przykre zaskoczenie na widok tego gabinetu. Meg i Merri Lee siedziały na skórzanej kanapie, blade i roztrzęsione. Podziękował Vladowi, kiedy podsunął mu proste krzesło. Burke stanął na tyle blisko, żeby wszystko słyszeć, ale nie brał udziału w przesłuchaniu. Nie trwało zresztą długo. Merri Lee, która zdążyła już zrobić notatki, opowiedziała im o tym, jak Meg przeczuła niebezpieczeństwo, i o hipnotycznych właściwościach głosu Phineasa Jonesa. Meg mówiła głównie o mrowieniu pod skórą i usuwaniu Jedynaka z recepcji.

Słuchając ich zeznań, Monty stwierdził, że dobrze sobie poradziły. Działy racjonalnie aż do chwili, kiedy Jedynak zaatakował Jonesa. Wtedy zdały się na insty nkt. *Miotła i czajnik. Zaatakowały niebezpiecznego człowieka miotłą i czajnikiem, żeby ocalić Wilka!* Poczul, że robi mu się słabo.

– To zadanie nie tylko dla policji, ale również dla dyplomaty – stwierdził Burke cicho, kiedy znów znaleźli się na miejscu zdarzenia.

– Uważa pan, że wybuchną zamieszki, ponieważ Phineas Jones zabił siebie zamiast *terra indigena*?

– To niewykluczone, ale nie myślałem o mieszkańcach Lakeside, poruczniku. Myślałem o Innych. Ilu z tych, którzy obserwują nas przy pracy, kiedykolwiek wcześniej rozmawiało z człowiekiem? Wilcza Straż wezwał nas tu na pomoc. Wątpię, żeby któremuś z tych tam w ogóle przyszło coś takiego do głowy.

– Rozumiem – odparł Monty. Pojawiła się okazja, by zmienić dynamikę stosunków pomiędzy ludźmi a Innymi. Nie wolno jej zmarnować.

Burke zatrzymał się nagle.

– W takim razie zostawiam pana z... – Monty zdążył już przywyknąć do wilczego zawodzenia, dlatego nie od razu zarejestrował, że umilkło. – Na bogów na dole i na górze – mruknął Burke i wbił oczy w ziemię. Simon i Henry, którzy stali obok Louisa i sanitariuszy szykujących ciało do transportu, przesunęli się, tak by zasłonić im widok na tyły budynków. Wszyscy *terra indigena* jak na komendę spojrzeli w inną stronę. Gdy Monty odchylił się nieco, zdążył zauważyć kręcone włosy Tess, zupełnie czarne z kilkoma czerwonymi pasmami, zanim Burke złapał go za ramię i zduszonym głosem kazał mu odwrócić wzrok. Przez chwilę widział niewyraźnie, a jego serce nie potrafiło odnaleźć właściwego rytmu. Zamrugał kilka razy i wszystko wróciło do normy. – Boją się jej – stwierdził kapitan. – Inni boją się na nią patrzeć.

– Ale to jest Tess. Ona... – Nagle Monty pomyślał o śmierci Asi Crane tamtej nocy, kiedy zaatakowano Dziedziniec, a potem o śmierci tych studentów, którzy napadli na Merri Lee. Kilka tygodni temu Burke wysunął przypuszczenie, że na Dziedzińcu żyje coś, co może zabijać spojrzeniem. Czyżby to była Tess? Czy ktoś odpowie mu na to pytanie? A jeśli tak, to czy Tess pozwoli mu potem żyć?

Tuż obok zatrzymał się PNK.

– Nathan, zabierz Jedynaka do kompleksu Wilczej Straży – polecił Simon. – Niech Jane się nim zajmie.

Kiedy Tess do nich podeszła, Monty stwierdził, że Burke ma rację. Reszta *terra indigena* wyraźnie starała się schodzić jej z drogi, z wyjątkiem Simona, który wyszedł jej na spotkanie. Monty'emu przypomniały się stare filmy, które kochał jako dziecko, te, w których dwaj rewolwerowcy stawali na środku ulicy w jakimś zakurzonym małym miasteczku i rozwiązywali spory za pomocą pistoletów.

– Masz. – Tess podała Nathanowi zawiniątko w papierowym ręczniku. Nathan konsekwentnie unikał jej spojrzenia. – Daj to Jedynakowi, kiedy już wsadzisz go do PNK, tylko powiedz potem Jane, że zjadł ciastko z rumiankiem. – Kiedy podeszła do Simona, jej włosy zmieniły kolor z czarnego na czerwony, a czerwone dotąd pasma stały się zielone. Podała mu pojemnik, jeden z tych, w których Coś na Ząb dostarczało posiłki do firm na rynku. – Dziewczyny powinny coś zjeść, a nie sądzić, żebyś chciał je tutaj sprowadzać.

Simon Wilcza Straż demonstracyjnie spojrzał jej prosto w oczy. Zupełnie jakby chciał powiedzieć wszystkim: „Tess nie stanowi już zagrożenia”.

– Dzięki – rzucił, biorąc pojemnik. – Musimy się zastanowić, jak je zająć dziś wieczorem.

Tess roześmiała się.

– Myślę, że wystarczą romantyczne filmy dla dziewczyn i mnóstwo czekolady.

Tylko nie narzekaj, jak będą ci płakać w futro.

Louis obejrzał się, żeby spojrzeć na Simona i Tess. Burke wyraźnie się zakrztusił.

A Monty, choć nie zauważył, żeby czyjeś uszy zmieniły kształt, wiedział, że wszyscy Inni uważnie słuchali tej wymiany zdań.

– Ach te samice – mruknął Simon, gdy Tess odeszła. Spojrzał na Monty'ego, jakby tylko czekał, że ten zacznie się śmiać. – Zaniosę im jedzenie, a potem będę w ZDL, gdyby pan mnie potrzebował – dodał jeszcze i nachmurzony odszedł w stronę konsulatu.

Burke poszedł sprawdzić, czy ludzie wysłani na poszukiwanie pojazdu Jonesa na coś trafili, a Monty został z Louistem i sanitariuszami. Po chwili niepewnie podszedł do nich Alan w towarzystwie Charliego Wroniej Straży, z którego włosów sterczało kilka piór. Wahali się przez chwilę, póki nie dołączył do nich Vladimir Sanguinati. Dopiero wówczas ich ciekawość przeważała nad nieufnością.

– Mogę o coś spytać? – odezwał się Wilk.

– Zamierzasz to opisać w swoich opowiadaniach? – zainteresował się Vlad, ale Wilk wzruszył tylko ramionami.

– A co chciałby pan wiedzieć? – odezwał się pospiesznie Monty.

– Czy to... normalne... u ludzi? – Alan był równocześnie zdumiony i zaintrygowany.

– Nie ma nic normalnego w eksplodujących kłębkach futra – mruknął Vlad, co wywołało śmiech Wrony.

– Rozmawiałem z ludźmi, kiedy zbierałem materiały do książki, i wszyscy twierdzili, że w chwilach zagrożenia używa się pistoletów albo noży, albo pałek. Wronia Straż przytaknął mu.

– Wrzeszcząca kobieta z czajnikiem nie wydaje się niebezpieczna.

– Pozory mylą! – parsknął Alan. – Jak ludzie sobie z nimi radzą?

– Nie wiem jak inni, ale ja wolałbym odgrodzić się od takiej drzwiami z solidnym zamkiem, zanim spróbuję z nią porozmawiać – stwierdził Louis, prostując się. Monty stłumił śmiech.

– Kiedy ludzie walczą o życie, swoje albo cudze, używają jako broni wszystkiego, co wpadnie im w ręce...

– Ciekawe... – sapnął Alan, a potem spojrzał na Vlada. – Czy macie tu więcej takich eksplodujących kłębków futra?

Sanguinati wskazał zaplecze księgarni.

– Nazywa się Heather. Zwykle zachowuje się jak królik, ale może wybuchnąć. Powiedz jej, że poprosiłem cię o autograf.

Alan zmarszczył brwi.

– Autograf?

– Autor podpisuje się na swoich książkach. Ludzie uwielbiają takie egzemplarze z podpisem.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia. Ale w ten sposób będziesz mógł z nią swobodnie porozmawiać.

– Pójdę z tobą – zdecydował Wronia Straż. – To całkiem zabawne. – Spojrzał na Monty’ego i Louisa. – Czy w księgarni jest jakaś broń?

– To sklep z książkami, a książkę można nie tylko czytać, można też nią rzucić – powiedział Monty głosem pozbawionym wyrazu.

Wronia Straż przekrzywił głowę.

– Nie miałem pojęcia, że wy, ludzie, życie wśród tylu niebezpieczeństw – stwierdził, po czym razem z Wilkiem skierował się ku księgarni. Vlad tymczasem poszedł w stronę rynku.

Louis odchrząknął.

– No cóż. Możemy już zabrać ciało. Poślę czajnik i miotłę do laboratorium, niech poszukają na nich śladów trucizny. I porozmawiam z tymi od zagrożeń biologicznych, dowiem się, jak zmyć truciznę z chodnika. Jeśli uznają, że sami powinni to zrobić, dam znać. Aha, tu obok znalazłem pustą buteleczkę. Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale kazałem ją wciągnąć na listę dowodów i zbadać. Ostrożne sformułowanie. Ani słowa na temat możliwego związku buteleczki z niedawną próbą otrucia mieszkańców Dziedzińca. Ale rozsądnie będzie ją stąd zabrać, zanim jakiś ciekawski młody *terra indigena* zainteresuje się nią i stanie się nieszczęście.

– Dzięki – powiedział Monty. – Doceniam twoją pomoc.

Louis odwrócił się, tak żeby *terra indigena*, którzy nadal im się przyglądali, nie widzieli jego twarzy.

– Teraz wyglądają jak ludzie. Z większością minąłbym się na ulicy, nawet nie podejrzewając, kim są.

Monty westchnął. *Terra indigena* widzieli, w jaki sposób policja zareagowała na ich wezwanie pomocy. Widzieli, jak pracuje, a wkrótce otrzymają wszelkie

informacje, jakie uda mu się odnaleźć o Phineasie Jonesie. Podejrzał jednak, że większość z nich po powrocie do domu podzieli się z bliskimi przede wszystkim historią o wybuchających kłębkach futra, które za pomocą czajnika i miotły ocaliły Wilka przed złymi ludźmi.

Rozdział 23

Po szybkim posiłku w Mięsie i Zieleninie Simon, Vlad, Henry i goście Dziedzińca ponownie zebraли się w bibliotece. Tess przyszła chwilę później; jej włosy były mocno skręcone i zupełnie czerwone. Niedobrze. Niepokojące było również to, jak reszta *terra indigena* zareagowała na jej widok. Aż do niedawna Simon nie znał prawdziwej natury Tess, ale wyglądało na to, że przynajmniej kilku jego gości natychmiast rozpoznało rodzaj, do którego należy.

– Musimy znaleźć człowieka nazywanego Kontrolerem – powiedział Wilcza Straż, z wysiłkiem opanowując chęć poprawienia się na krześle, kiedy Tess usiadła obok niego. – I miejsce, gdzie ludzie produkują narkotyki z krwi *cassandra sangue*.

– Trzeba też skłonić ludzkie rządy, żeby lepiej pilnowały miejsc, gdzie mieszkają wieszczki krwi – dodał Vlad. – Musimy dać im do zrozumienia, że wiemy, z czego produkuje się te narkotyki, i że to na nich spada cała odpowiedzialność.

– Będą tylko jęczeć i twierdzić, że nic nie mogą zrobić – parsknęła Cheryl Jastrzębia Straż. – Nie chcą, żebyśmy znaleźli te miejsca.

– Wkrótce zechcą – powiedział Simon cicho. – Ale najpierw musimy jak najbardziej zawęzić krąg poszukiwań. A do tego potrzebna nam jest Meg.

– Nie – syknęła Tess, a połowa jej loków gwałtownie poczerniała. Natychmiast pożałował, że nie może się odsunąć. Jej włosy przywodziły mu na myśl rozwścieczone węże. – Tysiąc cięć – ciągnęła. – Czy wiesz, ile ich już na niej wykonano? Ile życia zabierzesz jej w imię tych łowów?

Charlie Wronia Straż pochylił się ku nim.

– O co jej chodzi?

– Za każdym razem, kiedy skóra *cassandra sangue* zostaje przecięta, zbliża się ostateczne cięcie, to, które ją zabije albo doprowadzi do szaleństwa – wyjaśnił Vlad.

– Ale nie o to ci chodziło, Simonie, prawda? Nie chciałeś prosić Meg, żeby się cięła.

– Owszem, właśnie o to chcę ją poprosić – odparł Wilcza Straż. Przemyślał sprawę podczas przerwy na posiłek. – O jedno cięcie. Ale zanim przyłoży brzytwę do skóry, postaramy się dostarczyć jej jak najwięcej informacji. Ona wie więcej, niż sądzi, o tym, jak tu dotarła. Widzi wszystko jako obrazy, więc musiała coś zapamiętać, przynajmniej z niektórych etapów swojej podróży do Lakeside. Musimy znaleźć dla niej obrazy, które odpowiadają temu, co widziała.

– Wiedziała, jakiej trucizny użyje Phineas Jones, ponieważ zobaczyła zdjęcie tych żab w gazecie – stwierdziła Tess, a jej loki nieco się rozluźniły.

Henry pokiwał głową.

– To będzie jak łamigłówka, z której trzeba wyjmować kawałki, żeby zobaczyć obrazek.

Teraz nie tylko Charlie, ale i Alan Wilcza Straż pochylił się do przodu, wyraźnie zaintrygowany. Za to przywódcy ze Środkowego Zachodu sprawiali wrażenie zrezygnowanych. Simon potrafił ich zrozumieć. On też nie miał ochoty krążyć, żeby



złapać trop zwierzyny, skoro można było obrać prostą drogę. Ale dla nich Meg była

tylko człowiekiem i nie do końca zdawali sobie sprawę z tego, jak zareagują Żywioły, jeśli stanie się jej krzywda.

– Czy wy wszyscy naprawdę potraficie tylko srać we własnej norze? – parsknęła z irytacją Bobbie Niedźwiedzia Straż. – Może w końcu powiesz, o co ci chodzi.

– Jak się przemieszcza człowiek z jednego miasta do drugiego? – spytał spokojnie Simon. – Pociągiem, autobusem, samochodem. Ludzie nie chodzą pieszo nawet do sąsiedniej osady, a tym bardziej do innego regionu. Pociągi mają stacje, a autobusy jeżdżą po określonych trasach.

– Niektóre zatrzymują się przy stacjach kolejowych – wtrącił Alan, kiwając głową.

– Kiedy Meg dotarła na Dziedziniec, nie była ubrana odpowiednio do warunków panujących w Regionie Północno-Wschodnim – zauważyła Tess.

– Mogła zgubić zimowy płaszcz albo gdzieś go zostawić – sprzeciwił się Vlad. – Albo też ubrudził się w sposób, który zwracał na nią uwagę. Musiała też gdzieś się zatrzymać, żeby ufarbować włosy na rudo.

Wszyscy goście jak jeden mąż przekrzywili głowy, wyraźnie zaskoczeni.

– Kolor jej włosów to rudy? – spytał wreszcie Charlie.

Vlad niecierpliwie machnął ręką.

– Miał być rudy.

– Pozwalamy ludzkim fotografom robić zdjęcia interioru, krajobrazów i zwierząt – ciągnął Simon. – Na pewno fotografują też ludzkie osady. Mamy w bibliotece i w księgarni książki o wszystkich regionach Thaisii. Jutro z ich pomocą spróbujemy zawęzić obszar, na którym ukrywa się wróg Meg.

– Jeśli pokażemy jej właściwe zdjęcia, może nie będzie musiała się ciąć – dodał Henry, po czym wstał i przeciągnął się. – Dość. Czas odpocząć – zdecydował i wyszedł z biblioteki.

– Tak, czas odpocząć – powtórzył Simon, ponieważ to on powinien oficjalnie zakończyć spotkanie. Goście posłusznie zaczęli wstawać, szurając krzesłami, i wychodzić z biblioteki. Wreszcie Simon, Vlad i Tess zostali sami. – Jedno cięcie – powiedział Wilcza Straż. – Poproszę Meg tylko o jedno cięcie.

– A jeśli będzie nam potrzeba więcej informacji, żeby zawęzić pole poszukiwań? – spytał Vlad.

Simon uśmiechnął się krzywo.

– Wówczas poprosimy o pomoc naszych przyjaciół z policji.

Meg siedziała w swojej bawialni i obracała w palcach brzytwę. Po jednej stronie rączki znajdował się dekoracyjny ornament, po drugiej inskrypcja „cs759”.

Oznaczenie – nie imię.

Czy w Lakeside mieszkały jakieś młode wieszczki krwi? Dziewczęta, które dopiero zaczynały się ciąć? Które miały nazwiska, rodziny, życie? Które miały wybór? A może *cassandra sangue* rodziły się z tym uzależnieniem, z tą potrzebą?

Otworzyła brzytwę i utkwiała wzrok w ostrzu. Szerokie na ćwierć cala – dokładnie



tylko powinien wynosić minimalny odstęp pomiędzy kolejnymi cięciami: proroctwa były wtedy wystarczająco od siebie oddzielone bez niepotrzebnego marnowania dobrej skóry. Tak łatwo mogłaby teraz uzasadnić użycie brzytwy. Przecież to mogłoby komuś pomóc. Prawda?

To takie rozciągnięte w czasie samobójstwo. Choć bardzo niewiele blizn na jej

ciele pochodziło z cięć, które wykonała z wyboru.

Phineas Jones nie żył. Przyjęła ten fakt z ulgą, a po powrocie do mieszkania przez godzinę przypominała sobie obrazy przedstawiające śmierć, jakie zapamiętała ze szkolenia. Dlaczego rozgryzł pojemnik z trucizną na ramieniu? Czy uważał, że taka śmierć będzie szybka i mniej bolesna? Na pewno zatłuczenie przez Niedźwiedzia albo rozszarpanie przez watahę wściekłych Wilków nie byłoby bezbolesne, ale... Wiedział rzeczy, których nie chciał zdradzić Innym. Jeśli poszukiwał wieszczek krwi, mieszkających poza kompleksami, na pewno wiedział, jak znaleźć Kontrolera i innych takich jak on. Połknął truciznę, żeby tego nie zdradzić. Ale ona musiała się tego dowiedzieć. Tylko nie wiedziała jak.

Kiedy pod drzwiami rozległo się wycie, drgnęła tak gwałtownie, że omal nie zacięła się w palec. Zamknęła pospiesznie brzytwę i schowała ją do kieszeni, a potem poszła otworzyć.

W progu stał Simon w wilczej formie. W pysku trzymał kawałek miękkiego kolorowego sznura. Wilcza zabawka. Spojrzał na nią i pomachał ogonem.

– O nie – powiedziała. – Znam tę zabawę. Teraz to tylko „chodźmy na spacer”, ale potem będzie „potrzymaj na chwilę mój sznurek”, aż w końcu zaczniesz mnie gonić, bo okaże się, że kto ma sznurek, ten zwierzyna. – Przekręcił głowę, jakby chciał powiedzieć: „Oczywiście. Na co czekasz? Zakładaj płaszcz”. – Zaczekaj chwilę. Nie zamykając drzwi, Meg poszła po płaszcz i klucze. Simonowi na pewno nie spodoba się jej pomysł, więc może jeśli się z nim pobawi, zezłości się trochę mniej, kiedy mu powie, że zamierza się ciąć, żeby znaleźć Kontrolera.

Zamknęła drzwi i zeszła po schodach. Simon deptał jej po piętach.

Szedł obok Meg, powarkując cicho. Przeklęta, tajemnicza ludzka samica. Przecież знаła tę zabawę. Ale choć próbował oddać jej sznurek z sześć razy, odkąd skręcili w drogę prowadzącą do Stajni Kucyków, ona po prostu sobie szła z rękami w kieszeniach! To miała być zabawa?

Kiedy wreszcie wyjęła ręce, nastawił czujnie uszy, gotów do zabawy, ale ona tylko zakryła usta i ziewnęła. Lubił spacerować z Meg, kiedy miał czas, by spokojnie powęszyć, ale teraz sądził, że idą się bawić, więc...

Złapała za sznurek tak niespodziewanie, że odruchowo zapał się i pociągnął gwałtownie. Wtedy puściła sznurek i krzyknęła wesoło:

– Gonię! – Po czym skoczyła w jego stronę.

A on, ponieważ nie był na to przygotowany, odskoczył. I wtedy naprawdę zaczęła go gonić!

Zaraz! To ja miałem gonić ciebie!

Oczywiście nie słyszała mowy *terra indigena*, więc biegła za nim dalej i próbowała złapać go za ogon!

Meg go nie słyszała, ale inne Wilki owszem.

Simon? zawołał Blair. Simon!

W jednej chwili zewsząd ruszyli ku nim członkowie Wilczej Straży – Blair, Nathan, John, Elliot i Jane. Nawet Allan, Joe i Jackson przyłączyli się do wieczornego wilczego pędu.

Zauważył, że Joe i Alan biorą na cel Meg, uznawszy zapewne, że nagle zrobiła się agresywna. Rozumiał, dlaczego Joe tak myśli – pochodził ze Środkowego Zachodu, gdzie mieli ostatnio największe kłopoty z ludźmi. Z kolei w książkach Alana ludzie odgrywali zawsze rolę czarnych charakterów, więc nic dziwnego, że chciał bronić

zaatakowanego Wilka.

Zanim zdążył coś powiedzieć, Blair i Nathan zbili Joe i Alana z trasy, a Jane i Elliot zablokowali Jacksona. W tej samej chwili Meg pokazała palcem Simona i krzyknęła: – On ma sznurek!

I wtedy wszystkie Wilki ruszyły w jego stronę.

Simon zawrócił gwałtownie i przebiegł obok Meg, która śmiała się tak bardzo, że ledwie mogła utrzymać się na nogach. Teraz, kiedy nie było już żadnych wątpliwości co do natury zabawy, wszyscy członkowie Wilczej Straży rzucili się w pogoń. A ponieważ Simon nie musiał już trzymać się drogi, by ułatwić zabawę Meg, która nie widziała po ciemku, rzucił się pędem między drzewa i zatoczył koło, by znów dopaść tę podstępłą kobietę.

Kiedy ponownie znalazł się na drodze, z watahą depczącą mu po piętach, Meg biegła truchtem w stronę Zielonego Kompleksu z Nathanem u boku. Simon nie wiedział, czy to był pomysł samego Nathana czy Blaira, ale ucieszył się, że ktoś pilnuje, by nie pomyłono jej z prawdziwą zwierzyną.

Twoja kolej, powiedział, kiedy zrównał się z nim Blair.

Stróż porządku posłusznie zabrał sznurek i pobiegł dalej.

Idź, polecił Simon Nathanowi i skoczył na niego, gdy Wilk się zawahał.

Moja Meg! zawołał Nathan i natychmiast odskoczył poza zasięg zębów Simona, po czym pobiegł dogonić watahę.

To nie jest moja Meg, pomyślał Simon niechętnie, dostosowując tempo do jej kroków. „Moja Meg” sugeruje coś więcej niż przyjaźń, prawda? Niebezpiecznie jest tak myśleć. Ludzka forma ułatwiała kontakty, ponieważ ludzie nie potrafili porozumiewać się z kimś, kto nie wygląda jak oni. Ale przyjęcie od niej zbyt wielu cech, zbytnie upodobnienie się do człowieka, mogło spowodować utratę kontaktu z własnym rodzajem, samotność i brak miejsca, które można nazwać domem. Był Wilkiem i zawsze nim będzie. Nie zmieni tego fakt, że przyjaźni się z człowiekiem. I nie tylko on, również Henry, Vlad, Tess, Jenni, Jester. Nawet Zima nazywała Meg przyjaciółką. Czy Nathan...? *Moja Meg*. Dobrze, może dzielić się z innymi Wilkami Meg piszcząca zabawką, ale z nikim nie podzieli się Meg przyjaciółką. Oczywiście z wyjątkiem Sama. Tak będzie sprawiedliwie, ponieważ to Sam pierwszy zaprzyjaźnił się z Meg, a poza tym był jeszcze szczeniakiem. *Moja Meg*. Znów wprowadziła w jego życie zamieszanie. Będzie musiał później jeszcze raz to wszystko przemyśleć. Meg, zadyszana, zwolniła kroku. Jej oddech wyrównywał się dużo szybciej niż jeszcze parę miesięcy temu, co go ucieszyło. Była teraz silniejsza, w lepszej kondycji.

– Musimy porozmawiać, Simonie – powiedziała, kiedy skręcili do Zielonego Kompleksu i skierowali się do jego mieszkania. Otworzyła drzwi i puściła go przodem. Westchnął. Wiedział, że muszą porozmawiać, ale rozmowa oznaczała konieczność przemienienia się, więc poszedł do sypialni i ubrał się szybko. Czekala na niego w bawialni. – Sam już u ciebie nie mieszka? – spytała ze smutkiem i nagle dotarło do niego, że ona tęskni za szczeniakiem. Wiedział, że Sam też za nią tęskni. – Nie przez cały czas. W tej chwili jest bezpieczniejszy wśród Wilczej Straży. Ale kiedy następnym razem przyjdzie z wizytą, możesz spędzić z nami cały dzień – odparł. – Pozwolimy ci nawet wybrać filmy. – Tylko wcześniej będzie musiał wyjaśnić Samowi, jak należy się zachowywać, jeśli film, który ktoś inny uważa za ciekawy, okazuje się śmiertelnie nudny.

Meg uśmiechnęła się.

Kiedy był w ludzkiej formie, uważała, żeby się do niego za bardzo nie zbliżać. W zasadzie to rozumiał, ponieważ jego ludzka forma wykazywała taki rodzaj zainteresowania jej osobą, który z pewnością nie pasował do przyjaźni. Ale kiedy był Wilkiem, pozwalała mu się tulić podczas oglądania filmów. Tak samo było z lizaniem: nie miała nic przeciwko temu, kiedy był w wilczej formie, ale już całowanie przez ludzką formę traktowała jak zagrożenie. Co nie miało sensu, skoro przecież za każdym razem to był on. Wilk. Wszystko jedno, jak wyglądał. Może to wina samej Meg? W końcu zachowywała się bardziej jak szczeniak, który dopiero poznaje świat, niż jak dorosła kobieta. I nie pachniała tak, jakby interesowały ją pocałunki. Oczywiście jego też nie interesowały, ponieważ byli przyjaciółmi, a pocałunki, w przeciwieństwie do wylizywania, powodowały zamieszanie.

Może naprawdę powinien przeczytać jeden z tych romansów o ludziach i Wilkach, żeby dowiedzieć się, jak funkcjonuje kobieca logika?

– Simonie – powiedziała Meg cicho.

Jej ton przypomniał mu, dlaczego musieli porozmawiać – i dlaczego tak bardzo chciał tego uniknąć.

– Tak, Meg?

– Ktoś wykorzystuje krew wieszczek do produkcji narkotyków, które wywołują konflikty między ludźmi a *terra indigena*. Ktoś miele je żywcem, żeby zakazić mięso i doprowadzać ludzi do ataków szału. Musicie to przerwać, zanim będzie za późno, zanim nie da się tego opanować. – Zadarła dumnie podbródek. – Potrzebujesz prorocstwa, żeby znaleźć Kontrolera. A ja jestem gotowa je wygłosić.

Zaproponowała dokładnie to, o co zamierzał ją poprosić. Ale ponieważ wiązało się to z jej bólem, instynktownie wyszczerzył zęby i zawarczał.

– Nie proszę cię, żebyś wsadzała łapę w pułapkę, żeby nas ocalić.

– Nie, nie prosisz. Ale gdyby ktoś z watahy uczynił taki wybór, zaakceptowałbyś jego decyzję. – Warczenie zmieniło się w skowyt. Chociaż wcale mu się to nie podobało, mówiła prawdę. No ale Meg zawsze mówiła prawdę. – Zrobię to jutro.

– Nie. – Pokręcił głową. – Najpierw spróbujemy ustalić, co pamiętasz z podróży do Lakeside. W ten sposób nie zmarnujemy twojej skóry.

– Dobrze. A teraz powinnam iść do siebie i odpocząć.

Chciał iść z nią, chciał tej nocy zwinąć się w kłębek i spać przy niej. Ale dobiegające z oddali wycie Wilków przypomniało mu, że Dziedziniac ma gości, którzy mogą opacznie zrozumieć jego przyjaźń z człowiekiem – szczególnie takim, który był straszliwym dziełem Namid.

Rozdział 24

Choć niedziela zwykle była dniem odpoczynku, tak dla ludzi, jak i dla *terra indigena*, następnego ranka wszyscy goście zebrali się we frontowej części Zabójczo Dobrych Lektur. Henry i Vlad stanęli za ladą, a Tolya i Stavros Sanguinati unosili się pod sufitem w formie dymu. Tess zajęła miejsce w przejściu między ZDL a Czymś na Ząb. Simon czekał na Merri Lee, Heather, Ruthie i Theral.

Weszły do księgarni od zalecza i wyraźnie drgnęły na widok tłumu *terra indigena*, ale kiedy pokiwał na nie palcem, podeszły posłusznie. Zadzwoił do nich wczoraj wieczorem, kazał im przyjść do pracy na cały dzień i powiedział, że na miejscu wyjaśni im po co.

Zanim zdążył otworzyć usta, wszystkie równocześnie wyjęły z plecaków notatniki i długopisy. Wszędzie chodziły z plecakami. Meg miała torebkę, którą zabierała do pracy i na rynek, małą i niezawierającą niczego interesującego. Wiedział, ponieważ sprawdził. Natomiast te plecaki były na tyle duże, by pomieścić wiele ciekawych rzeczy. Miał ochotę zajrzeć do któregoś z nich.

– Dziś mam dla was specjalne zadanie – zaczął. Dziewczyny otworzyły notatniki na pustych stronach, zapisały datę i spojrzały na niego wyczekująco.

Kątem oka zauważył, że Bobbie Niedźwiedzia Straż garbi ramiona, jakby szykował się do ataku. Wśród *terra indigena* nagle pojawiło się napięcie.

Gdyby tę czynność wykonała tylko jedna dziewczyna, nikt nie zwróciłby na to uwagi. Ale wszystkie cztery? Czy coś takiego należy robić na wszystkich spotkaniach? Czy każdy powinien mieć notes i długopis, czy tylko kobiety? Czy w ten sposób podczas negocjacji z *terra indigena* ludzie subtelnie dawali im do zrozumienia, że są gorsi i nic nie rozumieją? Jeśli nauczyciele, których opłacali – i to dobrze opłacali – by nauczyli ich, jak zachowywać się w stosunkach z ludźmi, celowo omijali takie elementy, w czym jeszcze oszukiwali Innych?

I – co najważniejsze – jak o to zapytać, skoro pytania wystawiały ich na ryzyko oszustwa?

– Panie Wilcza Straż? – Merri Lee, rozglądając się po twarzach *terra indigena*, przerwała jego rozmyślenia. – Miał nam pan wyjaśnić, co powinnyśmy robić.

– Ten człowiek, który zjawił się tu wczoraj był... – Simon zawahał się. Nie chciał mówić, co się stanie, kiedy Inni znajdą swoją zwierzynę.

– Ktoś go wynajął, żeby wyszukiwał wieszczki krwi – stwierdziła Merri Lee z taką złością w głosie, że wszyscy odruchowo przygotowali się na atak. – Próbował zahipnotyzować Meg, żeby z nim poszła. – Spojrzała na Simona ze smutkiem, choć nadal słyszał jej wściekłość. – To był zły człowiek.

– Tak – powiedział Henry ze spokojną pewnością. – To był bardzo zły człowiek, który skrzywdziłby wiele dziewcząt i ich rodziny. Dzięki ostrzeżeniu Meg nie zdołał zabrać żadnego dziecka z Przystani Przewoźników.

Merri Lee nie zabiła Phineasa Jonesa, nie zrobiła tego również Meg, ale ich atak uniemożliwił mu ucieczkę. A gdy osaczyli go Inni, odebrał sobie życie. Simon wątpił, żeby kobiety pogodziły się z tym równie łatwo jak *terra indigena*.

– Musimy znaleźć człowieka, którego nazywają Kontrolerem – powiedział. – Do niego należy kompleks, w którym przetrzymywana była Meg. Nadal więzi tam wiele dziewcząt, które traktuje jak swoją własność. Nadał Meg oznaczenie cs759, ponieważ uważał, że nie zasługuje na imię. Sądzymy, że to on produkuje narkotyki o nazwach wilczenie i euforka i że odpowiada za skażone mięso, które spowodowało wybuchy agresji na Środkowym Zachodzie. Dlatego chcemy dziś pomóc Meg przypomnieć sobie, jak dotarła na nasz Dziedziniec.

Rozejrzał się po twarzach kobiet. Heather bez wątpienia była króliczkiem.

Pracowała bardzo sumiennie, ale wątpił, żeby została tu długo. Nie znał jeszcze Theral i nie potrafił określić, czy to Dziedziniec ją onieśmiela, czy czuje się niezręcznie z powodu powierzonego jej zadania. A Merri Lee i Ruthie? Widział w nich wilcze cechy, tak jak czasami dostrzegał je w Meg. Wiedziały, że jeśli *terra indigena* znajdą Kontrolera, oznacza to dla niego śmierć. Być może Merri Lee nie miała aż takich kłopotów z akceptacją ostatnich wydarzeń, jak mu się wydawało. Zanim zdążył wyjaśnić coś jeszcze, Merri Lee spojrzała na niego domyślnie.

– Obrazy. Meg potrzebuje zdjęć, rysunków, map, nazw miast – obrazów, które mogła widzieć w drodze do Lakeside. – Odwróciła się do Ruthie. – Ona nie zawsze widzi rzeczy takimi, jakie są. Czasami odpowiedź tkwi w skojarzeniach.

Ruthie kiwnęła głową.

– Musimy więc zacząć jak najdalej od Lakeside i stopniowo zawężać krąg.

Obie zaczęły rozdzielać zadania i notować, kto ma co zrobić – nie wyłączając Innych.

Czy to nie ty miałaś kierować akcją? spytał z rozbawieniem Vlad.

Zamknij się, warknął Simon.

Terra indigena mieli skupić się na naturze – roślinach, zwierzętach, rzekach i jeziorach, charakterystycznych elementach krajobrazu poszczególnych regionów – a dziewczęta na ludzkich osadach.

– Z czego mamy korzystać? – spytała Ruthie.

– Z książek w księgarni i bibliotece – odparł Simon. – Te z księgarni zaznaczcie jakoś, żeby można je było potem znów poustawiać na półkach. Możecie je rozkładać na tych wielkich stołach w bibliotece. A potem na stole w sortowni, jak będziecie pracować z Meg.

– Na początek wezmę plan Lakeside i porozmawiam z Meg – zdecydowała Merri Lee.

– Mogę skorzystać z komputera w bibliotece? – spytała Ruthie i nie czekając na odpowiedź Simona, ciągnęła dalej: – Sprawdzę rozkład pociągów i autobusów. Trzeba ustalić, co tego dnia przyjeżdżało do Lakeside i skąd. Ale najpierw zapytam Meg, czy pamięta jakieś nazwy miast.

– Może wystąpić kilka miast o tej samej nazwie – ostrzegła ją Theral.

– To prawda, ale nie wszystkie będą miały połączenie kolejowe albo autobusowe z Lakeside – odparła Ruthie. – W każdym razie niebezpośrednie.

Dziewczyny jak na komendę spojrzały na półkę z mapami, od której oddzielał je tłumek tubylców ziemi.

Dym unoszący się pod sufitem przesunął się w stronę półki i wynurzyły się z niego ręka i twarz Stavrosa. Sanguinati wybrał kilka map i podał je Alanowi Wilczej Straży, który przekazał je Charliemu Wroniej Straży, który podał je Simonowi, który podał je Ruthie.

Merri Lee i Ruthie wymamrotały niewyraźne podziękowania i poszły na zaplecze.

Theral ruszyła za nimi, a Heather szła na końcu, oglądając się niespokojnie na Innych.

Ona tu nie zostanie. W tonie Vlada pobrzmiwał żal.

Wiem, odparł Simon. Kiedy nadejdzie pora, załatwimy to na sposób ludzki. I rzucimy monetą, kto zajmie się papierkową robotą.

Zebrał po jednym egzemplarzu pism, które sprzedawano w księgarni. Nie było ich wiele, ponieważ *terra indigena* nie interesowali się prasą – ich zdaniem była nudna, a ludzie nie chcieli płacić wyższej ceny za wyłączenie gazet z recydingu. Nie był pewien, czy to będzie odpowiedni nośnik obrazów dla Meg. Trzeba ją o to spytać.

Może sprawi sobie w Trzy P notatnik i zacznie zapisywać takie rzeczy? Tylko po co miałyby je zapisywać, skoro może je zapamiętać? Przekłęci ludzie. Zaczynał powątpiewać, czy faktycznie udawał człowieka tak dobrze, jak sądził przez te wszystkie lata. Zresztą czy miało to teraz jakieś znaczenie?

Kiedy rozdał pisma, większość gości Dziedzińca przeszła do Czegoś na Ząb, gdzie

czekały na nich stoły do pracy i napoje.

Alan wybrał kilka książek z działu dla dzieci, a potem usiadł z Joe i Jacksonem.

Vlad poszedł na górę zająć się papierami, a Henry i Bobbie udali się do sklepów na rynku, by sprawdzić, czy nie ma tam czegoś przydatnego. Simon został w księgarni tylko z Charliem.

Przeszedł za ladę i sięgnął po stos zamówień z osad *terra indigena*. Jeśli Heather rzuci pracę, będzie musiał sam je szykować.

– Szepty zza wody – powiedział Charlie cicho.

Simon zaczął układać zamówienia według adresów.

– Szepty o czym?

– O wojnie.

Podniósł wzrok. „Wojna” to poważne słowo. Wojny zmieniają świat.

– Myślisz, że tamtejsi ludzie są tacy głupi?

– Przynajmniej część.

– Jeśli nawet wybuchnie tam wojna, sądzisz, że przyjdzie do nas?

– Na pewno nas dotknie. Ale mam nadzieję, że ograniczy się do Cel-Romanii.

– Gdzie to słyszałeś?

Charlie uśmiechnął się.

– Wronia Straż żyje w wielu miejscach na świecie, nie tylko w Thaisii. Zawsze dzielimy się wiedzą. Wrony nie potrafią określić, czy ludzie zamierzają walczyć o ziemię między sobą, jak to czasem robią, czy też będą chcieli ukraść to, co nasze.

– Podejrzewam, że tamtejsi *terra indigena* wkrótce się o tym przekonają i



podejmą odpowiednie kroki – stwierdził Simon. Ze zmarszczonymi brwiami odczytywał tytuły książek zamawianych przez osiedla zaopatrywane z Dziedzińca w Lakeside. Najwyraźniej czytelnikom znudziły się książki o śnieżycach i przerwali się na takie, które opowiadały o burzach innego rodzaju. Tylko jeden element pozostał wspólny – występujący w nich źli ludzie.

Charlie oparł się o kontuar.

– Simonie, ten Kontroler jest naszym wrogiem i liderzy ze Środkowego Zachodu pomogą ci go znaleźć. Ale to może nie być jedyny producent tych narkotyków. I być może to nie on odpowiada za skażone mięso.

– Biorę to pod uwagę – stwierdził Simon. – Między innymi o to zapytamy Meg.

– Meg? – odezwała się Ruthie, kiedy Merri Lee rozkładała na stole w sortowni plan Lakeside i mapy Regionu Północno-Wschodniego. – Mogę cię o coś spytać?

– Chyba właśnie tym mamy się dziś zajmować? – Meg odłożyła „Wiadomości Lakeside”. – Zadawać pytania, żeby znaleźć odpowiedzi.

Ruthie uniosła swój notatnik.

– Dlaczego *terra indigena* zdenerwowali się tym, że robimy notatki? Jeśli chodzi im o poufność, to możemy je tu potem zostawić.

– Wszyscy ze Stowarzyszenia Przedsiębiorców wiedzą, że Ruthie i Karl mieszkają razem i mają pobrać się latem i że ja chodzę z Michaeliem – dodała Merri Lee. – Więc przynajmniej Simon i Vlad powinni zdawać sobie sprawę, że policja domyśli się, że coś się dzieje na Dziedzińcu, skoro Ruthie i mnie wezwano do pracy w niedzielę.

– Dlaczego zatem byli źli z powodu notatników? – powtórzyła Ruthie. – Wszystkie to zauważyliśmy. Byli naprawdę wkurzeni, choć żaden nie odezwał się słowem.

Wiem, że Heather i Theral bardzo się tym zdenerwowały.

Meg zamknęła oczy i przywołała w pamięci wszystkie obrazy szkoleniowe przedstawiające notatniki.

Terminarze ze spotkaniami? Nie, była pewna, że Simon i Vlad korzystają z nich w księgarni, a Elliot na pewno zapisuje spotkania umówione z burmistrzem i innymi ważnymi ludźmi. Dzienniki? Nie. Inni z pewnością nie byliby źli o coś takiego. Zresztą żadna z dziewczyn nie zabrałaby dziennika na takie spotkanie. Co więc zdenerwowało *terra indigena*?

Dziewczynki i chłopcy z tornistrami, biegnący do szkoły. Uczniowie w ławkach, notujący coś, co nauczyciel pokazuje na tablicy. I mała szkoła na Dziedzińcu, w której uczy się Sam.

Zgodnie z umowami obowiązującymi w Thaisii ludzie nie mogli odmówić *terra indigena* uczęszczania do ich szkół i uczelni. Ale może istniały mniej oczywiste sposoby zniechęcenia tubylców ziemi do egzekwowania tego prawa?

Spojrzała na przyjaciółki.

– Ile miałyście lat, kiedy nauczyłyście się robić notatki?

– Ile? – Merri Lee zmarszczyła brwi. – Jeszcze przed liceum. A na pewno przed studiami.

Ruthie pokiwała głową.

– Nie w pierwszych klasach szkoły, ale też nie w liceum. Zawsze lubiłam robić notatki, nie tylko w szkole. Zapisuję wszystko w punktach, jeśli muszę coś przemyśleć albo zaplanować, co trzeba zrobić, więc noszę przy sobie notes, właściwie odkąd nauczyłam się pisać. To jak myślenie na głos.

Kolejne obrazy. Chłopiec w klasie siedzi nad zamkniętą książką i warczy na nauczyciela. Albo patrzy wrogo. Brak zrozumienia ukrywa pod nudą.

– A jeśli w klasie ktoś nie notuje? Co wtedy myśli nauczyciel?

– Że ucznia nie interesuje lekcja – odparła Merri Lee bez wahania. – Że uważa ten przedmiot za nudny i nieważny.

– A gdyby nikt ci nie wyjaśnił, do czego służą notatki? – szepnęła Meg. Pomyślała o tym, jak Simon i *terra indigena*, których uważała za przyjaciół, traktowali dziennik, który prowadziła. Był dla niej sposobem na budowanie sobie życia, na zapełnianie luk pomiędzy obrazami poznanymi podczas szkolenia a doświadczeniem. Inni traktowali te notatki jak coś prywatnego, ale ciekawiło ich, dlaczego musi spisywać takie rzeczy. Zapewne do dziś sądzili, że to cecha właściwa tylko *cassandra sangue*, aż tu nagle, na ich oczach, cztery kobiety wyjęły notatniki i długopisy. – A gdybyś nie nauczyła się w szkole robić notatek? Nauczyciel w liceum uważałby wtedy, że nauka cię nie obchodzi i tylko marnujesz jego czas, prawda? A gdybyś chciała się uczyć, ale sądziła, że nauczyciel...

Meg wzięła egzemplarz „Wiadomości Lakeside” i pokazała przyjaciółkom komiks.

– Drukują go od lat – stwierdziła Merri Lee. – Jak byłam młodsza, uważałam, że jest zabawny, ale teraz już tak nie myślę.

W komiksie występowały dwie grupy postaci. Jedna nosiła wyszukane nakrycia głowy – symbol władzy. Druga, ubrana w garnitury, zawsze robiła sobie żarty z tych prymitywów, którzy „nie potrafią pojąć cywilizacji”.

– Chcesz powiedzieć, że Inni nigdy nie nauczyli się robić notatek, które pomogłyby im zapamiętać wiedzę przekazywaną na lekcjach? – spytała Ruthie i zacisnęła mocno usta. – W takim razie nauczyciele sądzą, że siedzą w klasie,

ponieważ mają do tego prawo, ale nie obchodzi ich sama nauka. Nie próbują się dowiedzieć, dlaczego *terra indigena* nie robią rzeczy, które pomogłyby im się uczyć, a Inni czują, że nie dostają tego, do czego mają prawo, ale nie potrafią określić, o co dokładnie chodzi, więc pogardzają ludźmi, których nadal uważają za intruzów, choć mieszkają na tym kontynencie od wieków.

– I wyrażają swoją pogardę, ograniczając nam zasoby konieczne dla naszego sposobu życia, no bo dlaczego mieliby nam coś ułatwiać, oddając kawałki świata, które do nich zależą? – dodała Merri Lee. – A my odczuwamy braki i nasza niechęć narasta. A kiedy ludzie posuną się o krok za daleko...

– Kupiłam na wyprzedazy starą książkę i w środku znalazłam kartkę z listą miast, które już nie istnieją – powiedziała Ruthie w zamyśleniu. – Z początku nie wiedziałam, o co chodzi. To była tylko lista zawierająca nazwy i daty. Zaczęłam szukać tych miast... przynajmniej próbowałam... i dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że zostały zniszczone, że wróciły do interioru. – Posmutniała. – Ile z nich zniknęło, ponieważ komuś nie chciało się wyjaśnić *terra indigena* czegoś tak prostego, jak robienie notatek?

Otworzyła notes na czystej stronie.

– Co robisz? – spytała Meg.

– Pan Wilcza Straż zatrudnił mnie, żebym uczyła Innych spraw związanych z ludźmi, i to właśnie zamierzam robić. Ale nie będę ich uczyć tylko tego, jak się zamawia posiłki w restauracji, czym należy jeść zupę, a czym kotlet i jak robić zakupy w sklepie. Karl uważa, że mamy szansę nawiązać prawdziwy kontakt z *terra indigena*, że możemy coś zmienić. Ja również tak uważam, więc będę uczyła *terra indigena* na Dziedzińcu umiejętności społecznych, na przykład tego, co należy robić w szkołach, które zatrudniają ludzkich nauczycieli. Dajcie mi chwilę, zanotuję to sobie.

Merri Lee kiwnęła głową.

– Ja i Meg zajmiemy się w międzyczasie planem Lakeside. Spróbujemy ustalić, jak się tu dostała.

Rzecz wydawała się prosta, choć tylko pozornie. Meg sama była zaskoczona, jak mało zapamiętała ze swojej podróży. Tak naprawdę nie potrafiła nawet określić, co zdarzyło się naprawdę, a co było wyłącznie obrazami pochodzącymi ze szkolenia. Kiedy uciekała, skupiła się na swojej wizji i nie zwracała uwagi na nic, co mogłoby wywołać uczucie zagubienia albo wzbudzić wątpliwości. A właśnie takie elementy pomogłyby im teraz prześledzić jej drogę.

Pociąg. Pamiętała, że była zbyt przerażona, by spać, i zbyt zmęczona, by czuwać. Zapadła w rodzaj umysłowego letargu, a obrazy, którymi się kierowała, pozbawione były kontekstu. Pamiętała, że kupiła bilet na ostatni pociąg, jaki odjeżdżał tego dnia, ale nie pamiętała, jak dotarła na stację. Musiała opuścić kompleks jakimś pojazdem, ale... Jechała pociągiem bardzo długo i zobaczyła coś, co spowodowało, że wysiadła wcześniej, nie na stacji zaznaczonej na bilecie. Jaka to była stacja? Tego nie wiedziała. Zapamiętała autobusy, takie, które kursują pomiędzy miastami. I jeszcze jeden bilet. Na inny pociąg? Ale i tu kierowała się wyłącznie wizjami i wszystko, co naprawdę widziała, uległo zatarciu.

Zanim popadły w kompletną frustrację, dostarczono im pierwszą partię zdjęć przedstawiających poszczególne regiony Thaisii.

Meg zafascynowały wizerunki aligatorów, panter i węży. Obrazy ze szkolenia to

były głównie szkice, zwierzęta wcale nie wyglądały na nich groźnie. Tu natomiast miała przed sobą zdjęcia drapieżników, może nawet *terra indigena*. Natomiast takich drzew i kwiatów nie widziała nigdy w życiu, nawet na obrazach szkoleniowych.

– No dobrze – powiedziała Merri Lee, notując wszystko skrzętnie. – Nie rozpoznasz zwierząt ani roślin, więc możemy założyć, że nie mieszkałaś na Południowym Wschodzie ani nie przejeżdżałaś tamtędy podczas ucieczki.

– Prawie cały czas było ciemno... – Meg zastanowiła się. Może w ten sposób jej umysł bronił się przed zaabsorbowaniem zbyt wielu obrazów? Przecież czasami musiał być dzień. Tyle że nie było jasno. Zimowe słońce, zachmurzone niebo.

– Miałaś na sobie dżinsy, podkoszulek, dżinsową kurtkę i sportowe buty – powiedziała Ruthie, również notując. – Nie miałaś zimowego płaszcza, więc przyjechałaś z miejsca, gdzie było dużo cieplej niż tutaj.

Meg zmarszczyła brwi.

– Nie. Jedna z chodzących imion miała zimowy płaszcz. – Podniosły na nią wzrok.

– Nosili białe mundury, a po pracy przebierali się w normalne ubrania. Ona zabrała płaszcz, ponieważ musiała wyjść po coś na zewnątrz, ale nie zamknęła porządnie szafki. Dlatego mogłam zabrać jej ubranie i pieniądze, które miała w portfelu.

– Było zimno, kiedy wyszłaś z kompleksu? – spytała Merri Lee.

Meg pokiwała głową.

– Bardzo zimno. Ale byłam przerażona. Może było mi zimno, ponieważ tak bardzo bałam się tego, co zrobi mi Kontroler, jeśli mnie złapie? Jean... Jean i ja tylko rozmawialiśmy, tylko marzyliśmy o prawdziwym życiu, ale podsłuchało nas chodzące imię. Kontroler uznał, że nie ucieknę sama i... kazał złamać Jean nogę. Chciałam, żebyśmy uciekły razem, ale powiedziała, że jeśli ze mną pójdzie, to nas złapią. Natomiast mnie samej się uda. I udało mi się, a ona została. – Meg nie zorientowała się, że płacze, dopóki Merri Lee nie podała jej papierowej chusteczki. Wytarła oczy i wydmuchała nos. – Nigdy nie byłam na Południowym Wschodzie. Przynajmniej tego jednego jestem pewna.

Następne odpadły Wyżyny. Therał sprawdziła na komputerze, że burza znad jeziora, która szalała tego wieczoru, kiedy Meg przybyła do Lakeside, na cały dzień sparaliżowała transport kołowy i kolejowy na Wyżynach Północnego Wschodu.

Tess przyniosła im kawę, kanapki i świeżo upieczone ciasteczka z czekoladą oraz nową partię zdjęć. Meg, Merri Lee i Ruthie wypily kawę, zjadły kanapki i ciastka i wykreśliły z listy region Zachodniego Wybrzeża. Wczesnym popołudniem zjawiała się Heather ze stosem pism i oczami zaczerwienionymi od płaczu.

– Dłużej nie wytrzymam – powiedziała, kładąc pisma na stole do sortowania. –

Przedtem bardziej starali się upodobnić do ludzi, ale teraz przestało im zależeć.

Zauważyłaś? – zwróciła się do Merri Lee, która pracowała w Czymś na Ząb od ponad roku. – No i klientami byli głównie ludzie, więc nie było tak źle, a dzięki kredytowi na rynku zarabiałam na pół etatu tyle samo, co na pełny etat w innej księgarni w mieście.

– Więc dlaczego chcesz odejść? – spytała Merri Lee.

– Wczoraj wieczorem ojciec oznajmił mi, że dopóki pracuję na Dziedzińcu, mam zakaz wstępu do jego domu. Powiedział, że w Lakeside trudno o pracę, a wilcza dziwka w rodzinie to pierwszy krok do jej utraty. I co wtedy? Czeka nas schronisko dla bezdomnych i żebranie na ulicach. I że takie piętno szarga opinię całej rodziny.

A mama tylko siedziała i nawet na mnie nie patrzyła. Dopiero kiedy wychodziłam, zatrzymała mnie w drzwiach i powiedziała, że jeśli coś się stanie mojemu młodszemu rodzeństwu, to będzie moja wina, bo jestem dziwką Innych.

– To okropne – stwierdziła ze smutkiem Ruthie. – Nie mieli prawa mówić ci takich rzeczy!

– Tak jakby twoja rodzina zachowywała się inaczej! Straciłaś pracę z powodu tego miejsca – odparowała Heather, po czym przeniosła wzrok na Merri Lee. – A ciebie pobito i nie możesz wrócić na studia.

– To nie Inni mnie pobili, tylko ludzie – wytknęła jej Merri Lee.

– Ale z ich powodu! A teraz proszą nas... Czy wiecie chociaż, jak zamierzają wykorzystać informacje, które im przekażemy? A może pomagamy im zrobić coś okropnego? Co się z nami stanie, jeśli napiętnują nas jako zdrajców ludzkości?

– Nie sądzę, żeby praca dla *terra indigena* miała taki czarno-biały wymiar – powiedziała Ruthie ostrożnie. – Może w Cel-Romanii i Tokhar-Chin, gdzie ludzie kontrolują duże obszary ziemi i mają do czynienia z Innymi tylko na granicach z interiorom, to jest takie proste, ale nasi przodkowie osiedlili się na kontynencie, który nie należał do ludzi, więc tutaj jest inaczej. Jeśli nie będziemy potrafili z nimi współpracować, zwrócą się przeciwko nam.

– To nie zmienia faktu, że Heather stoi przed wyborem: porzucić pracę albo stracić rodzinę – zauważyła Merri Lee.

Meg myślała o tym, co się stanie z Heather, jeśli dokona błędnego wyboru.

Sięgając po pisma, niechcący uderzyła ręką w kant stołu. Stłumiła okrzyk bólu, ponieważ okładka pisma nagle zaczęła przesuwając się przed jej oczami. Widziała coraz to inne jej kawałki, jakby oglądała fragmenty różnych zdjęć. A kiedy z wysiłkiem skupiła wzrok, zobaczyła datę – i krew na papierze.

Nikt niczego nie zauważył. Ruthie i Merri Lee nadal usiłowały pocieszyć Heather i dodać jej odwagi. Ale ona nie tego potrzebowała. Potrzebowała...

– Heather, musisz odejść – szepnęła Meg.

Wszystkie zamilkły i jak jeden mąż odwróciły się do niej.

– Wolalabym zostać tutaj i popracować z wami – zaprotestowała Heather słabo. – W bibliotece jest za dużo obcych klów i pazurów.

– Nie o to mi chodzi. – Meg podeszła do telefonu. – Musisz złożyć wypowiedzenie. Dzisiaj. Musisz stąd odejść.

– Co się dzieje? – spytała Merri Lee, ale Meg tylko pokręciła głową i podniosła słuchawkę.

– Vlad, możesz przyjść do nas? – zapytała, kiedy odebrał. – Musimy z tobą porozmawiać. Nie. Tylko z tobą. – Rozłączyła się i obejrzała na przyjaciółki, mapy i notatniki, ale nie pojawiło się ostrzegawcze mrowienie.

Kilka chwil później do sortowni wpadł Vlad.

– Co się stało?

– Heather musi odejść – wyjaśniła Meg. – Nie może dłużej pracować na Dziedzińcu.

– Jeszcze nie zdecydowałam! – Heather, wyraźnie przestraszona, spojrzała na Ruthie i Merri Lee, szukając u nich poparcia. – Przecież nic nie powiedziałam!

– Właśnie – potwierdziła Merri Lee.

Vlad otaksował Heather, ale Meg odniosła wrażenie, że ta decyzja go nie zaskoczyła. Powęszył i podszedł do stołu.

- Pokaż mi ręce – poprosił łagodnie.
- Co? – zdziwiła się Meg.



- Ręce – powtórzył.
- Co się dzieje? – spytała Ruthie.
- Meg posłusznie wyciągnęła przed siebie dłonie. Rozcięcie na prawym palcu wskazującym było maleńkie, wielkości główki od szpilki, ale błyszcząca na nim kropla krwi.
- Jak to się stało?
- Uderzyłam się o stół, kiedy sięgałam po gazety. Musiałam się chyba o coś zadrapać.
- I zobaczyłaś...?
- Zobaczyła, że Merri Lee sięga po notes i długopis. Nie, to był inny obraz.
- Zobaczyłam okładkę pisma. – Chciała pokazać którą, ale Vlad trzymał ją za ręce, więc wskazała stos pism podbródkiem. – Ale to nie był ten numer. Zobaczyłam krew. Wszystkie strony były pochłapane krwią. Rodzina Heather chce, żeby rzuciła pracę na Dziedzińcu. Kiedy sięgałam po pisma, myślałam o tym, co się stanie, jeśli dokona błędnego wyboru, a potem poczułam ból... i zobaczyłam... – Spojrzała twardo na Vlada. – Heather musi stąd odejść.
- Zajmę się tym – obiecał, ściskając lekko jej dłonie. Puścił ją i zwrócił się do Heather: – Zbierz swoje rzeczy, a potem przyjdź do biura księgarni. Wyplacę ci pensję.
- Dobrze – odparła i chwiejnym krokiem wyszła z sortowni.
- Dopilnuję, żeby wy starczyło jej pieniędzy na opłacenie rachunków przez dwa miesiące – obiecał Sanguinati. – W tym czasie może uda jej się znaleźć inną pracę. I każe Blairowi obwąchać i naprawić to miejsce, o które się skaleczyłaś.
- Ale ja nawet nie wiem, jak to się stało! – zaprotestowała Meg. – Skąd będzie wiedział, co ma naprawić?
- Vlad uśmiechnął się.
- To Wilk. Ma doskonały węch, więc da sobie radę. – Jego uśmiech zniknął, kiedy spojrzał na Ruthie i Merri Lee. – A co z resztą twojego stada?
- Żadnego mrowienia. Żadnych wizji.
- Mogą zostać – powiedziała zdecydowanie i dodała w myślach: *Tu będą bezpieczniejsze.* Nie miała co do tego pewności, ale właśnie tak czuła.
- No dobrze. – Vlad zawahał się. – Muszę powiedzieć Simonowi o tym, co zaszło, więc opatrzcie ją, zanim wpadnie tu z wyciem.
- Kiedy wyszedł, Ruthie spojrzała na Meg szeroko otwartymi oczami.
- Co tu właściwie zaszło? – spytała.
- Właśnie widziałas prorocstwo.
- Simon wściekł się, że Meg zadzwoniła do Vlada, a nie do niego, ale kiedy pobyl chwilę sam i wyzłocił się w spokoju, doszedł do wniosku, że zaczyna pojmować ludzką logikę. Ponieważ był gospodarzem spotkania *terra indigena*, to Vlad zajmował się księgarnią, a odejście Heather było sprawą księgarni. Poza tym pocieszyła go myśl, że to na Vlada spadnie cała papierkowa robota związana z odejściem pracownika. Nienawidził tych papierów. Nie będzie łatwo znaleźć kogoś na miejsce Heather.

Damy sobie radę, pomyślał, sprawdzając listę rzeczy, których zdjęć miał poszukać. Na większości Dziedzińców jedynym ludzkim pracownikiem był łącznik. Nawet w Lakeside ich nie było, póki nie został tutejszym przywódcą i nie otworzył dwóch sklepów dla ludzi. Teraz jednak większość ludzi zrezygnowała z pracy. Czy *terra indigena*, którzy nie potrafili dobrze utrzymać ludzkiej formy, czują się swobodniej, robiąc zakupy na rynku? I jak zareagują na nich ludzie, którzy pozostali?

Nie ma sensu przeżuwać kości, póki jej nie ma. Postanowił skupić się raczej bieżących zadaniach.

Choć zgromadził zaledwie połowę zdjęć ze swojej listy, zebrał książki i pisma i poszedł do biura łącznika. Chciał zobaczyć Meg, upewnić się, że nic jej nie jest. Poza tym należała mu się jakaś nagroda za to, że grzecznie zadzwonił do biura, zamiast pognać tam jak szalony, kiedy tylko Vlad powiedział mu o wizji. Sanguinati z pewnością nie zlekceważyłby poważnej rany, więc na pewno nie było o co wyć – twierdził, że sama Meg nie rozumiała, skąd się wzięła wizja, póki nie wyczuł krwi i nie obejrzał jej rąk.

Zapewne gdyby spróbował ją obwąchać, żeby się upewnić, czy Vlad nie przeoczył innych uszkodzeń skóry, uznałaby to za złe maniery.

Ani on, ani Vlad nie rozumieli, dlaczego ta wizja miała oznaczać, że Heather musi odejść z Dziedzińca dzisiaj, ale nie sprzeciwiali się Meg. Żaden z jego gości nigdy nie widział *cassandra sangue* wygłaszającej prorocstwo. Nie chciał, żeby mieli jakiegokolwiek wątpliwości co do jego ścisłości, kiedy będą świadkami cięcia.

Interpretacja wizji to jednak zupełnie inna sprawa. Meg nie zawsze sobie z tym radziła. Była przekonana, że umrze na Dziedzińcu, a przecież tak się nie stało.

Choć nie zamierzał o tym wspominać.

Charlie dogonił go, zanim Simon wszedł do biura łącznika.

– Tess Straszliwa mówi, że dziewczyny potrzebują jedzenia i świeżego powietrza – oznajmił.

– Dobry pomysł. – Wielka szkoda, że nie mogą się pobawić w polowanie. Meg była świetna w roli piszczącej zabawki, ale nie mógł ryzykować, że jakiś Wilk zrani ją, zapomniawszy, że łowy są tylko na niby. Poza tym widok człowieka gonionego przez Wilki może nastraszyć pozostałe dziewczyny tak bardzo, że z miejsca rzuca pracę. Kiedy wszyscy goście wyjadą i sytuacja się unormuje, przyjdzie czas na zabawę. – I dobrze ci radzę, nie przezywaj Tess.

Choć byli sami, Charlie zniżył głos:

– Po świecie krąży wiele prastarych legend o jej rodzaju – powiedział, pochylając się ku Simonowi. – Wiesz, kim ona jest?

– Mam swoje podejrzenia. A Henry wie na pewno. – Odszukał te stare legendy, ale z nikim nie podzielił się swoją wiedzą, nawet z Henrym. W ten sposób było bezpieczniej dla wszystkich.

– A jednak pozwoliłeś jej tu zostać.

– To mój wybór – oświadczył Simon tonem, który każdy Inny uznałby za sygnał, że rozmowa została zakończona.

Ale mimo to Charlie spytał:

– Wiesz, że w niektórych częściach świata nazywają ich Posłańcami Śmierci?

Wiedział. I uważał, że nazwa „żniwiarz” brzmi bardziej niewinnie – przynajmniej dopóki nie zobaczy się na własne oczy, co potrafią.

– Mądrzej będzie, jeśli zachowasz tę informację dla siebie – poradził. –
Przynajmniej do czasu, kiedy tu jesteś.

Chwila ciszy.

– Nie zamierzałem się nią dzielić z nikim prócz ciebie.

Weszli do biura. Dziewczyny porozwieszały na ścianach mapy i poprzyczepiały do nich karteczki z notatkami. Na stole leżały zdjęcia pociągów i autobusów oraz wizerunki przedstawiające tabliczki z napisem „Witajcie w mieście takim to a takim”. Zapewne Theral wydrukowała je z komputera.

Na widok tych obrazków Charlie rozpromienił się i naśladując konduktora w pociągu, zawołał:

– Proszę wsiadać, drzwi zamykać. Następną stacja – Pole Pszenicy!

Meg obróciła się tak gwałtownie, że aż zatoczyła się na stół do sortowania.

– Co powiedziałaś?

Charlie spojrział na nią, wyraźnie spłoszony.

– Nie wiem. Ja tylko...

Merri Lee podbiegła do niego i podała mu listę.

– Powtórz to w taki sam sposób, tylko podając te nazwy.

Charlie zerknął pytająco na Simona, ale ten tylko wzruszył ramionami. On też nic nie rozumiał. Miał ochotę przemienić uszy, żeby lepiej słyszeć, ale zdał sobie sprawę, że to niepotrzebne, ponieważ Merri Lee i Meg chodziło o ton Charliego, a nie o jego słowa.

Charlie posłusznie odczytywał nazwy stacji, naśladując konduktora, a Meg po każdej albo kiwała głową, albo kręciła nią przecząco. Merri Lee tymczasem notowała wszystko w swoim notatniku, a Ruthie zaznaczała na mapie. Kiedy Charlie odczytał ostatnią nazwę, z dziewcząt nagle jakby opadła cała energia. Simon zrozumiał, że Tess miała rację – potrzebowały odpoczynku.

– Wreszcie mamy – stwierdziła Merri Lee.

– Wreszcie mamy co? – spytał Simon.

– Region, z którego pochodzę – wyjaśniła Meg ze znużeniem. – Odtworzyliśmy wszystko, co pamiętam z podróży do Lakeside, ale niestety nie bardzo wiem, jak dotarłam do pierwszego miasta, którego nazwę zapamiętałam. Przepraszam, Simonie, nie sądzę, żeby udało nam się zbliżyć jeszcze bardziej.

– Nie masz powodu przepraszać. Dziś rano mieliśmy do przeszukania cały kontynent, a teraz zawężiliśmy pole poszukiwań do jednego regionu.

– Nadal jest wiele możliwości. Tam jest dużo miast – powiedziała Ruthie niepewnie.

– Nie szkodzi. – Simon spróbował się uśmiechnąć. Kiedy Ruthie i Merri Lee zbladły, przejechał językiem po zębach. *Cholera*. Z całą pewnością nie były już ludzkie.

– Powinnyśmy zrobić sobie przerwę i wyjść na świeże powietrze – zdecydowała Meg. – Chętnie bym coś zjadła.

Zauważył, że dziewczęta demonstracyjnie odłożyły swoje notesy na stół w sortowni, zanim wyszły.

– Możemy je przejrzeć? – spytał Charlie, sięgając po ten należący do Merri Lee.

– Nie mam pojęcia – odparł Simon i pożałował, że nie wie albo więcej, albo mniej o ludzkich kobietach. Henry? Zbierz naszych gości i przyprowadź wszystkich do biura łącznika.

Kiedy czekali, Simon oglądał mapę. Doszedł do wniosku, że Meg albo oszalała z przerażenia, albo próbowała zmylić trop. Prawidłowo zakładała, że Kontroler wyśle kogoś w pogoń za nią, ale widywał króliki uciekające przed Wilkiem, które mniej zygzakowały niż ona. A skoro i stacja autobusowa, i stacja kolejowa znajdowały się w centrum Lakeside, położonym na południe od Dziedzińca, jakim cudem zdołała dotrzeć do Zabójczo Dobrych Lektur od północy?

Może i zachowywała się irracjonalnie, krążąc po mieście bez płaszcza podczas śnieżycy, jednak dzięki temu zapewne uniknęła pogoni i zdołała dotrzeć bezpiecznie na Dziedziniec.

Sortownia była dużym pomieszczeniem, ale gdy wszyscy *terra indigena* zebrali się wokół mapy, Simon ucieszył się, że jego ludzka forma jest pozbawiona ogona, bo inaczej na pewno ktoś by mu na niego nadepnął.

– Czyli wróg znajduje się na Środkowym Zachodzie – stwierdził Joe Wilcza Straż. – To dla nas wystarczająca informacja. Wiemy, co należy zrobić.

– To ostateczne wyjście – zaprotestował Simon. – Najpierw spróbujmy osaczyć zwierzynę.

Nie zgadzali się z nim. Widział to w ich oczach, szczególnie w oczach gości ze Środkowego Zachodu. Ostatnio ludzie sprawiali zbyt wiele kłopotów, więc czas poważnie przetrzebić stado. Nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli faktycznie trzeba będzie to zrobić, ale wówczas będą musieli albo zrezygnować z ludzkich usprawnień, albo oddelegować swoich, żeby przejęli zadania ludzi. Skutek będzie taki, że więcej Innych będzie musiało zachowywać przez dłuższy czas ludzką formę. A tego tak naprawdę nikt nie chciał.

Być może goście ze Środkowego Zachodu myśleli o tym samym, ponieważ Cheryl Jastrzębia Straż spytała nagle:

– A jak mamy ją osaczyć?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Wezwiemy na pomoc policję.

Rozdział 25

Kiedy następnego ranka Simon wszedł do Czegoś na Ząb, zastał tam Meg, Merri Lee, Ruthie i Theral. Siedziały przy stoliku, pisały coś w notesach i rozmawiały tak cicho, że musiałyby przemienić uszy, żeby je usłyszeć. Ale jego uwagę zwróciła przede wszystkim Tess. Jej włosy były mocno skręcone i zupełnie czerwone – wyraźny znak, że jest zła, choć jeszcze nie śmiertelnie niebezpieczna.

– Coś się stało? – spytał, wchodząc za ladę, żeby stanąć obok niej.

– Nie przyjechała dzisiejsza dostawa z piekarni, a kiedy zadzwoniłam spytać, co się stało... – Tess urwała, a w jej włosach pojawiły się czarne pasma. Simon z trudem opanował chęć wycofania się. Jako przywódca nie mógł tego zrobić, ale był rozsądnym Wilkiem, wiedział, z jakim drapieźnikiem ma do czynienia, i chciał, żeby oddzielało go od niego coś więcej niż powietrze.

– Zadzwon do tej piekarni w Przystani Przewoźników – poradził.

– Wiesz dobrze, że tu nie chodzi o dostawę – parsknęła Tess. Mówiła cicho, żeby nie zwracać na siebie uwagi dziewcząt. – Skoro ludzie nie dotrzymują swoich zobowiązań, nie powinni mieszkać w Lakeside. – *Nie powinni żyć, to chciałaś powiedzieć*, pomyślał Simon. Ostatnio wciąż spotykał się z tym poglądem. Nic w tym dziwnego, zważywszy ciągle pogarszanie się stosunków z ludźmi. Czy Montgomery przybył do Lakeside za sprawą Namid, która chciała zachować równowagę? Gdyby

porucznik nie próbował z nim współpracować i nie usiłował utrzymać poprawnych stosunków między ludźmi a Dziedzińcem, sam zapewne również skłaniałby się do takiego rozwiązania. Jednak w przeciwieństwie do innych przywódców Simon miał do czynienia z ludźmi, którzy starali się zrozumieć, jakie jest miejsce ich rodzaju w świecie. Miał ludzkich pracowników, takich jak Merri Lee, Lorne i Ruthie. Nawet Heather, choć odeszła, nie dawała mu powodów do warczenia. Czuł się zobowiązany do obrony tych ludzi, jakby należeli do jego własnego rodzaju. No i była jeszcze Meg z tą swoją dziwną i słodką naturą. Meg, która nie była zwierzyną. Czy taka garstka ludzi zdoła utrzymać równowagę w Lakeside i zapobiec wybuchowi konfliktu, choć reszta mieszkańców najwyraźniej dąży do starcia, w którym większość z nich zginie? A może ludzie, którzy chcą żyć w harmonii z *terra indigena*, staną się kolejną grupą prześladowaną przez własny rodzaj? Czy podobnie jak Intuici będą musieli zakładać własne osady, żeby przeżyć? I czy reszta ludzi pojmuje, co się stanie, jeśli wypędzą tych, za sprawą których *terra indigena* w ogóle tolerują ich obecność? Nie mógł nic zrobić w kwestii innych miast, ale być może za sprawą tutejszego ludzkiego stada Lakeside przetrwa. – Dam im jeszcze jedną szansę – podjęła Tess z wyraźną niechęcią. – Zadzwońię do piekarni i powiem, że jeśli jutro nie zrealizują dostawy albo dostarczą mi towar gorszej jakości, zacznę zamawiać gdzie indziej i zawiadomię władze Lakeside o złamaniu uzgodnień pomiędzy miastem a Dziedzińcem.

– To nie aż tak satysfakcjonujące, jak odgryzienie piekarzowi nogi, ale powinien się wystraszyć równie mocno – stwierdził Simon.

Tess zaśmiała się cicho i połowa jej włosów zzieleniała.

– Wygrałeś, Wilku. A swoją drogą, nie spotykasz się dziś przypadkiem z policją?

– Powinni zaraz przyjść. Montgomery i kapitan Burke. I doktor Lorenzo.

– No to idź sobie i daj mi dalej podsłuchiwać.

Simon rzucił okiem na dziewczyny.

– Sądziłem, że wczoraj skończyły.

– Usiłują narysować plan kompleksu, w którym przetrzymywano Meg – odparła Tess, oglądając się przez ramię. – Ale chyba tylko popsuły sobie humor.

Dziewczyny zauważyły go, więc stwierdził, że najwyższa pora się wycofać. Gdy uniósł dłoń na powitanie, Meg uśmiechnęła się do niego, ale Ruthie i Merri Lee patrzyły z obawą. A może z poczuciem winy? Nie wątpił, że posterunkowi Kowalski i Debany wiedzą już, nad czym wczoraj pracowały, i nie miał nic przeciwko temu. Przeciwnie, miał nadzieję, że się dowiedzą – i że przekażą swoje uwagi Montgomery'emu. W ten sposób ułatwią mu spotkanie z policją, na którym prócz niego będą obecni przedstawiciele Środkowego Zachodu oraz Alan Wilcza Straż i Charlie Wronia Straż. Alan, jako pisarz, lepiej radził sobie z ludzką mową i znał więcej dziwacznych wyrażeń ludzi niż przeciętny *terra indigena*, a Charlie był ciekawski i potrafił wyglądać nieszkodliwie. Ale fakt, że był Wroną, wcale nie czynił go nieszkodliwym.

Kiedy Simon wyszedł tylnym wyjściem z kawiarni, na parking dla pracowników wjechał czarny sedan.

Dwóch ludzi, zaraportował Jake z punktu obserwacyjnego na murku oddzielającym parking dla dostawców od podwórza Henry'ego. Znamy ich.

Montgomery i Burke.

Dobrze, odparł Simon.

Jest tu chodzące ludzkie ciało, powiedział Nathan.

Niech wejdzie. Każ mu zaparkować na parkingu dla pracowników. Simon stanął przy tylnym wejściu do biura łącznika, by zaczekać na całą trójkę. Po chwili minął go biały samochód Lorenzo.

Przed przybyciem Meg Inni nie wpuszczali do sortowni żadnych ludzi prócz łącznika. Ale Meg tak sprawnie rozdzielała i dostarczała pocztę, że zwykle nie było tam nic, czego ludzie nie powinni zobaczyć, jeśli zamierzaliby szpiegować na Dziedzińcu. Stowarzyszenie Przedsiębiorców zmieniło więc nieco zasadę „Zakaz wstępu ludziom”, pozwalając ludzkiemu stadu na swobodne odwiedziny w biurze łącznika. Dlatego wpuszczenie policji i lekarza do sortowni nie było naruszeniem zasad.

Kiedy weszli do środka, pierwsze, co rzuciło im się w oczy, to mapa Thaisii zajmująca pół ściany. Kiedy goście ją oglądali, nadeszli pozostali *terra indigena* i ustawili się tak, żeby zablokować wszystkie wyjścia.

Simon nie był pewien, czy Lorenzo zorientował się, że znalazł się w pułapce, ale Montgomery i Burke na pewno tak.

– Człowiek, który mieni się Kontrolerem, prowadzi kompleks, gdzie przetrzymuje *cassandra sangue*, i sprzedaje ich skórę tym, którzy chcą poznać przyszłość – zaczął od razu. – Uważamy, że to on odpowiada za produkcję wilczenia i euforki, jak również za skażone mięso, które wywołało problemy w waszych miastach na Środkowym Zachodzie. Naszym zdaniem to za jego sprawą doszło do wydarzeń w Georgette i innych napaści na tubylców ziemi. – Twarz Burke’a nie ujawniła żadnych emocji, choć zaczął wydzielać lekką woń strachu. Lorenzo wyglądał na zaskoczonego, ale ponieważ właśnie zszedł z nocnego dyżuru w szpitalu, był zbyt zmęczony, żeby myśleć jasno. Tylko Montgomery nie potrafił ukryć niepokoju. –

Terra indigena zdecydowali, że ten człowiek jest naszym wrogiem. – Simon rozejrzał się po twarzach towarzyszy. – Zamierzamy go usunąć. – Usunąć. Ludzkie wyrażenie oznaczające zabijanie niechcianych osobników. Lorenzo sapnął, a Montgomery skulił ramiona – wyraźnie rozumieli, co się szykuje. Tylko Burke nie zareagował. Simon wskazał mapę. – Jak widzicie, włożyliśmy wiele pracy w ustalenie, gdzie mieszka Kontroler, i ograniczyliśmy teren poszukiwań do Środkowego Zachodu. Teraz to wy pomożecie nam go znaleźć.

Lorenzo wydał wargi.

– Dlaczego mielibyśmy to zrobić?

Joe Wilcza Straż wystąpił naprzód.

– Ponieważ jeśli będzie trzeba, zniszczymy wszystkie ludzkie miasta i osiedla na Środkowym Zachodzie, żeby go wytropić. Uznamy za wroga i zabijemy każdego napotkanego człowieka – nawet jeśli będziemy musieli wykopać go z nory.

Ludzie, wyraźnie wstrząśnięci, znów spojrzeli na mapę. Pierwszy odezwał się

Burke:

– Na Środkowym Zachodzie jest wiele miast.

– I tysiące ludzi – odparł Simon. – Przynajmniej dzisiaj. A jutro? – Wzruszył ramionami. – To zależy od was. *Terra indigena* zamierzają upolować wroga. Jeśli nie chcecie, byśmy zniszczyli wasze miasta, żeby go znaleźć, ograniczcie teren polowania jeszcze bardziej.

Ciemna skóra Montgomery’ego poszarzała, wyglądał, jakby był chory. Podobnie jak Lorenzo. Tylko Burke wciąż zachowywał spokój.

– Doceniamy pańską szczerłość, panie Wilcza Straż, ale zapewne zdaje pan sobie sprawę, że skontaktowanie się z naszymi kolegami z policji w tym regionie i przekonanie ich o istnieniu tak niebezpiecznego wroga potrwa – powiedział. – Ile czasu mamy, zanim *terra indigena* wezmą sprawy w swoje ręce?

Simon spojrział pytająco na Cheryl i Joe.

– Do następnego przypadku użycia przeciwko nam tych narkotyków – zdecydowała Cheryl.

– Zegar tyka – szepnął Montgomery pod nosem.

Simon wyprowadził ludzi na zewnątrz, ale nie zaczekał, aż wsiądą do samochodów. Nie musiał. Jenni Wronia Straż i jej siostry obserwowały tylne wyjście z biura łącznika i z parkingu.

Meg i dziewczyny zaczynają się niecierpliwić, ostrzegła Tess. Meg chce już otworzyć biuro, a pozostałe zamierzają iść do biblioteki i poszukać na komputerze



zdjęć budynków.

Skończyliśmy, odparł Simon. Daj nam jeszcze ze dwie minuty, żebyśmy zdążyli się zwinąć. Potem będę w księgarni.

To dobrze. Nyx chyba rozważa możliwość pracy w ZDL. Jest ciekawa, czy zamierzasz znowu otworzyć sklep dla ludzi. Może porozmawiaj o tym z Vladem. Niespecjalnie miał teraz ochotę na taką dyskusję. Jednak z drugiej strony wolał rozmawiać z Vladem o stosunku Nyx do ludzi, niż prowadzić takie rozmowy, jakie czekały Burke'a i Montgomery'ego.

– Nie pisałem się na coś takiego – parsknął Dominic Lorenzo z podszytą strachem złością, zatrzymując się przy swoim samochodzie. – Zgodziłem się udzielać na Dziedzińcu podstawowej pomocy lekarskiej, a nie pomagać Innym w popełnianiu masowych morderstw. Bo chyba rozumiecie, że tu nie chodzi o zgładzenie jednej osoby.

– Niech pan mówi ciszej – poprosił Monty, udając, że nie widzi Wron zebranych na dachach wokół parkingu.

– Może i nie pisał się pan na pomoc w wytropieniu tego człowieka, ale jeśli się pan wycofa, Inni o tym nie zapomną – zauważył Burke.

– A pan? Pan będzie mógł z tym żyć? – spytał Lorenzo.

– O, o wiele łatwiej, niż gdybym nic nie zrobił, a potem musiał patrzeć, jak *terra indigena* niszczą wszystkie miasta na Środkowym Zachodzie – odparł Burke. – Myślę też, że zapomina pan o drugiej stronie medalu, doktorze.

– Czyli?

– Ktoś przemełł żywcem dziewczynę, żeby wywołać chaos wśród ludzi. Czy taki człowiek, taki morderca, powinien w zgodzie z literą prawa być posiadaczem nieznannej liczby wieszczek krwi, którym zadaje cierpienie w celu zagarnięcia zysków? – Burke przyglądał się przez chwilę Wronom, a potem spojrział na Lorenzo.

– To nie pan musi znaleźć tego człowieka, ale musi pan zdecydować, czy pomoże dziewczynom, które padły jego ofiarą. – Lorenzo, nadal blady, bez słowa wsiadł do samochodu i odjechał. Burke odezwał się ponownie, dopiero gdy wraz z Montym opuścili Dziedziniec: – Poruczniku, Inni szukają człowieka, który zapewne ma tak

rozległe wpływy, że może manipulować gubernatorami. Ten człowiek prowadzi bezprecedensowe polowanie na dziewczynę, która uciekła spod jego kurateli, i przysłał do Lakeside oddział najemników. Podejrzewam, że wiele ważnych osób nie będzie chciało dopuścić do jego odszukania. – Kapitan zachmurzył się. – Zanim zacznę dzwonić po ludziach i wszczynać alarm na Środkowym Zachodzie, muszę wiedzieć, jak bardzo może być źle. Więc wie pan, z kim musi porozmawiać.

– Tak, wiem – odparł Monty. – Ale podejrzewam, że jeśli zaczekam do popołudnia, będę miał lepszą okazję spotkać się sam na sam z panną Corbyn.

Monty wrócił na Dziedziniec późnym popołudniem.

– Myślisz, że będziesz mógł wypić kawę w Czymś na Ząb? – zwrócił się do Kowalskiego.

– Jeśli ktoś będzie miał obiekcje, Tess wyda mi kawę na wynos. Mam zrobić coś szczególnego, jeśli pozwolą mi zostać?

– Miej oczy i uszy szeroko otwarte.

– Oczywiście.

Monty udał się do biura łącznika. Od razu rozpoznał stróżującego Wilka, który poderwał się z posłania i zastąpił mu drogę do kontuaru.

– Dzień dobry – powiedział, podnosząc głos na tyle, by było go słyszać w drugim pomieszczeniu. – Chciałbym zamienić kilka słów z panną Corbyn, jeśli ma chwilkę czasu.

Meg wyszła z sortowni, pocierając lewą rękę.

– Pan Wilcza Straż podejrzewał, że pan wróci. Proszę wejść. – Otworzyła przejście w kontuarze, ale kiedy Monty ruszył w tamtą stronę, Wilk znów zablokował mu drogę. – Nathanie, wiem, że Simon powiedział ci, że porucznik był tu dziś rano i że wolno mu wchodzić do sortowni. – Głośny gardłowy warkot. – Nathanie! – Wilk wycofał się, choć nadal szczyrzył zęby na Monty'ego. Kiedy porucznik wszedł za kontuar, Meg zwróciła się do swojego stróża: – Jeśli zaczniesz wyć, żeby wkurzyć inne Wilki, zapomnę, gdzie schowałam zamówienie na wilcze ciastka – oświadczyła stanowczo.

– Aruuu!

Monty zauważył, że nie zamknęła przejścia w kontuarze ani drzwi z napisem „Wstęp wzbroniony”.

– Nie chcę sprawiać kłopotów – powiedział.

– Nie sprawia pan. Nathan jest tylko...

– Sumienny? – podpowiedział.

Uśmiechnęła się.

– Tak. Sumienny.

Odwzajemnił uśmiech.

– Nie wolno mieć pretensji do stróża, że dobrze wykonuje swoją pracę.

– Arruuu!

– Bardziej sami już nie będziemy – westchnęła Meg.

Monty spojrział na drzwi i pomyślał o pytaniu, które chciał jej zadać. Choć Simon Wilcza Straż dał mu pozwolenie na przebywanie w tym samym pomieszczeniu co Meg, przyzwyczajona z imponującymi zębami usłyszy każde jego słowo – i na pewno doniesie, gdzie trzeba.

No ale czy nie z tego samego powodu prosił Kowalskiego, żeby poszedł na kawę do Czegoś na Ząb? Żeby słuchał wszystkiego i zaraportował mu potem? W tej chwili

zaufanie było delikatnym towarem. Nagle wpadło mu do głowy, że Wilcza Straż nie wyraził zgody na to spotkanie nie ze względu na niego, ale ze względu na Meg.

– Mam pytanie.

Meg spojrzała na niego oczami, które były starsze niż kilka miesięcy temu, kiedy ją poznał. Kiedyś ktoś podejmował za nią wszystkie decyzje, ale teraz nic jej nie chroniło przed ujzieniem skutków własnych przepowiedni. Widać było zmiany, jakie poczyniła w niej ta świadomość.

– Obiecałam Simonowi, że przetnę skórę tylko raz, żeby pomóc znaleźć Kontrolera, ale tak wiele wysiłku włożyliśmy w zawężanie obszaru poszukiwań, że zdaniem Innych nie będę w stanie powiedzieć im nic bardziej użytecznego. Przedyskutowaliśmy tę kwestię z Simonem, Tess i Vladem i zgodziliśmy się, że wygłoszę prorocstwo, jeśli policja będzie potrzebowała takiej pomocy w poszukiwaniach.

Czyli będę odpowiedzialny za kolejną bliźnę na jej ciele, pomyślał Monty z rezygnacją. No cóż, ktoś musiał wziąć to na siebie, a tym razem tym kimś był on.

– Potrzebujemy odpowiedzi – powiedział.

– Niech pan zaczeka. – Meg poszła na zaplecze, a kiedy wróciła, ułożyła na stole papierowe ręczniki złożone w gruby stos i jeszcze jeden, z boku. Potem wyjęła z kieszeni dzinsów składaną brzytwę i położyła na blacie.

– Czy coś się dzieje z pani lewą ręką? – spytał Monty.

– Mrowi, odkąd pan przyszedł – wyjaśniła, pocierając ramię. – Coraz mocniej. Będę musiała wkrótce przeciąć skórę, więc proszę zadać pytanie, poruczniku. – Kiedy otworzył usta, uniosła rękę, by go powstrzymać, i otworzyła drzwi do recepcji. Nathan stał na tylnych łapach przy kontuarze i wychylał się, najmocniej jak potrafił. – Wyjdz – nakazała mu. – I powiedz Tess, żeby przyszła za kilka minut. Będzie wiedziała dlaczego.

Monty nie sądził, że Wilk usłucha, ale najwyraźniej perspektywa przebywania w towarzystwie krwawiącej *cassandra sangue* okazała się dla niego odpowiednią motywacją. Albo może Meg po prostu potwierdziła polecenie, które wcześniej wydał Nathanowi Simon.

– Dlaczego kazała mu pani wyjść? – spytał.

– Nathan chciałby potem oczyścić ranę, a to źle by się dla niego skończyło – odparła. – Zresztą dla pana również. – Z pewnością miała rację. Inni nie zareagują dobrze na obecność człowieka, wszystko jedno, czy Nathan dostanie szału, czy popadnie w zupełny marazm. – Teraz niech pan zada swoje pytanie – powtórzyła, kiedy Wilk wyszedł.

– Inni poprosili policję o pomoc w odszukaniu Kontrolera – zaczął Monty. – Obawiamy się, że jeśli jej udzielimy, zrównają z ziemią całe miasto, żeby schwytać jednego człowieka. Moje pytanie brzmi: co się stanie, jeśli policja nie pomoże *terra indigena* w poszukiwaniach?

Meg otworzyła brzytwę.

– Pamięta pan, co powiedziała Tess na spotkaniu? W kompleksie tak nie mówiono, ale kiedy Tess użyła tych słów, łatwiej było mi się skupić.

– Pamiętam.

– Więc niech pan zapyta jeszcze raz, a potem powtórzy te słowa. – Obróciła lewą rękę i oparła na stole, a potem przysunęła brzytwę do skóry. Monty przełknął z trudem. Kiedy zobaczył ostrze, miał ochotę poprosić, żeby dała spokój, miał ochotę

odejść, zanim przetnie sobie skórę. Ale tylko ona mogła mu powiedzieć, jak może wyglądać przyszłość.

– Co się stanie, jeśli policja nie pomoże *terra indigena* znaleźć Kontrolera? Mów, wieszczko, a ja cię wysłucham.

Meg obróciła brzytwę, przycisnęła ostrze do skóry i zrobiła cięcie. Monty od razu wyjął brzytwę z jej ręki i odłożył na bok, zaniepokojony bólem malującym się na jej twarzy. Po chwili ból ustąpił miejsca pustej zmysłowości, która sprawiała naprawdę upiorne wrażenie.

Meg popatrzyła na stół. Jej prawa dłoń poruszyła się, jakby coś rozwijała.

– Mapa Thaisii – powiedziała, przesuwając ręką w górę i w dół. – Środkowy Zachód.

– Co widzisz? – szepnął, niepewny, czy go słyszy.

– Wirujący wiatr. Ogień. Budynki w ruinie. Popiół. – Wciąż poruszała ręką. – Kości.

Monty zadrżał.

– Czy widzisz ludzi? Są tam ludzie?

– Popiół i kości. – Meg odetchnęła głęboko, po czym wydała głośny pomruk rozkoszy. Potem zamrugła i spojrzała na niego. – Czy otrzymał pan swoją odpowiedź? – Wtedy pomyślał, że ona naprawdę nie wie. Nie wie, co widziała, nie wie, jak zmysłowo się zachowuje. Kiedy wypowiada prorocstwo, staje się naczyniem, znika jako człowiek, znika jej osobowość. Dlatego tak łatwo jest ją postrzegać jako własność, coś, czego wykorzystywanie można usprawiedliwić. – Poruczniku?

A teraz znów jest Meg Corbyn, której nieodłączną cechą jest ta dziecinna słodycz.

– Tak... Tak, otrzymałem. Dziękuję. – Poruszony swoimi myślami, Monty spojrzał na rękę Meg, opartą na papierowych ręcznikach, które zdążyły już nasiąknąć krwią.

– Czy pomóc pani to zabandażować?

Usłyszał, jak na zapleczu otwierają się drzwi, i po chwili do sortowni weszła Tess.

– Ja się tym zajmę, poruczniku – powiedziała.

Jej włosy były zielone, zwinięte w luźne loki. Ponieważ była raczej zatroskana niż zła, zanotował w pamięci kolor jej włosów i siłę skreću. Kiedy ją ujrzał po raz pierwszy, miała włosy brązowe i zupełnie proste. Z obserwacji Kowalskiego i Debany'ego wynikało, że jest wtedy spokojna, a przynajmniej nic jej nie trapi. Zielony to oznaka niepokoju, a czerwony – gniewu. Nikt zaś, dosłownie nikt, nie chciał nawet myśleć o tym, co się dzieje, kiedy jej włosy stają się zupełnie czarne. Monty miał o tym aż za dobre pojęcie, widział bowiem zdjęcia zwłok czterech studentów z uniwersytetu, tych, którzy pobili Merri Lee.

Kiwnął głową i zwrócił się do Meg:

– Bardzo dziękuję za pomoc, panno Corbyn.

Uśmiechnęła się blado.

– Posterunkowy Kowalski jest w ZDL i rozmawia z Alanem Wilczą Strażą – odezwała się Tess. – O historii dziewczynki, która została połknięta przez wilka, a potem uratowana przez myśliwego. Okazuje się, że w zależności od tego, czy ma się futro, czy nie, można ją odczytywać jako opowieść o miłości i odwadze, która



pokonuje wszelkie niebezpieczeństwa, albo jako horror o podstępnych i zdradliwych ludziach.

– Ach... – sapnął Monty i pospiesznie udał się do księgarni. Miał nadzieję, że jego partner zachował ostrożność, angażując się w taką dyskusję. Uznał też, że rozsądnie będzie w najbliższej przyszłości unikać wzmianek o zdrażliwych ludziach.

Odebrał Kowalskiego i obaj pojechali na komisariat, gdzie powtórzył kapitanowi słowa przepowiedni.

– Pete? Mówi Douglas Burke.

Cisza. A potem nieco zbyt serdeczne:

– Doug! Kopę lat!

– Właśnie. Nie widziałem cię od tamtej długiej przejażdżki do interioru.

– Szukasz prawnika? Moi klienci zwykle mieszkają w mieście, ale...

– Nie szukam prawnika. To znaczy niezupełnie prawnika.

Znów milczenie.

– Czyli dzwonisz w sprawie weksła. – Westchnienie. – Sprawiedliwość Burke’a nie jest za darmo, ale może ocalić życie. Mów, czego ci trzeba.

– Informacji o człowieku, który każe się nazywać Kontrolerem. Prowadzi kompleks, w którym przetrzymuje *cassandra sangue*. Wiem, że to gdzieś na Środkowym Zachodzie.

– Środkowy Zachód to obszerny region.

– Dlatego potrzebuję pomocy ze strony ludzi, którzy tam mieszkają.

– Powiedziałeś „przetrzymuje”? To przecież nie więzienie.

– W więzieniach obowiązują przepisy określające, jak należy traktować więźniów. W takich kompleksach nikt nie kontroluje tego, co się dzieje.

Niepewna cisza.

– Słuchaj, Doug. Nigdy nie byłem w takim miejscu. Na bogów, mam żonę, dwoje dzieci i raty za samochód. Chcieliśmy zbudować dom, ale nie stać nas na to. Jednak to chyba nie najlepszy czas, żeby wydawać pieniądze na prorocstwo.

– Dlaczego?

– Mam takiego klienta. Nie jest winny zarzutów, jakie mu postawiono, ale niewinny też nie jest. Nie mogłem mu zagwarantować, że nie pójdzie siedzieć, więc postanowił odwiedzić niejakiego pana Smitha, który ma sposoby na przewidzenie takich rzeczy. To była bardzo kosztowna wizyta, ale kiedy spotkaliśmy się potem, mój klient skarżył się, że został oszukany, że dziewczyna, zamiast mówić o jego kłopotach, tylko krzyczała coś o wietrze i ogniu. Pan Smith próbował odczytać to jako zażartą dyskusję w sądzie, ale kiedy mój klient zagroził, że narobi mu kłopotów, zwrócił mu połowę pieniędzy. Ostatnio chodzą słuchy, że przewidywanie przyszłości przez wieszczki to zwykle oszustwo.

– A czy komuś przyszło do głowy, że one naprawdę widzą przyszłość? Że wiatr i ogień to przyszłość, jaka nas czeka?

– Och, nie sądzę... Doug? Co ty mi próbujesz powiedzieć?

– Że jeśli nie odszukamy szybko człowieka nazywanego Kontrolerem, te prorocstwa się ziszczą i Środkowy Zachód stanie w ogniu. Pete, Inni nie zamierzają zostawić niedobitków.

Sapnięcie.

– Dlaczego?

– Słyszałeś o ostatnich kłopotach? O nowych narkotykach – wilczeniu i euforce? O mieście, w którym wszyscy oszaleli po zjedzeniu skażonej mielonej wołowiny?

- Jasne... Czy policja go podejrzewa? Macie dowody?
 - W tej sprawie ludzkie prawo nie ma zastosowania. *Terra indigena* uważają Kontrolera za wroga i zamierzają go wytropić. A ilu ludzi na Środkowym Zachodzie przeżyje te łowy, zależy od tego, jak szybko go znajdą. Więc pomóż mi go odszukać, Pete.
 - Ja... Ile mamy czasu?
 - Kiedy jest rozprawa twojego klienta?
 - Za dwa tygodnie.
 - No to mamy mniej niż dwa tygodnie.
- Znów milczenie.
- Czy dzwoniś tylko do mnie, czy również do innych dłużników?
 - Dzwonię do wszystkich.

Rozdział 26

W środę rano goście Dziedzińca zebrali się na tyłach biura łącznika, skąd bus miał ich zabrać na stację kolejową. Kiedy Blair podjechał i otworzył drzwi samochodu, Meg wyszła z biura.

Coś się stało, pomyślał Simon, idąc pospiesznie w jej stronę. Nic strasznego, ponieważ nie wszczynala alarmu, ale widział jej niepokój.

Henry i Charlie też to zauważyli, a chwilę później również reszta *terra indigena*. Meg drżała ze zdenerwowania, stanęła jednak przed Innymi i powiedziała spokojnie:

– W kompleksie uczono nas wielu rzeczy po to, byśmy mogły wygłaszać proroctwa zrozumiałe dla klientów Kontrolera. Niczego natomiast nie uczono nas o samych, a jeśli już, to były to kłamstwa. Jednak chodzące imiona nie zawsze uważały, co mówią w naszej obecności. Stąd wiem, że cięcie mojej skóry jest bardzo kosztowne.

Simon spojrział na bandaż na jej lewej ręce. Inni nie prosili o to cięcie, prosiła o nie policja. Dzięki proroctwu Meg ludzie pracują teraz usilnie nad znalezieniem Kontrolera.

Spóźniliśmy się na pociąg, ostrzegł Blair, ale Simon go zignorował.

Joe Wilcza Straż rzucił okiem na pozostałych, zanim zwrócił się do Meg:

– Mamy trochę ludzkich pieniędzy. Możemy też ściągnąć rzeczy, których potrzebują ludzie.

Pokręciła głową.

– Nie chcę pieniędzy ani rzeczy. – Urwała na chwilę. – Wmawiano nam, że nie możemy żyć poza kompleksem, że nie jesteśmy takie jak inni ludzie. Gdyby nie moja przyjaciółka, Jean, wierzyłabym w słowa chodzących imion. Ale Jean nie urodziła się w kompleksie. Pochodziła z zewnątrz, miała matkę i ojca, i młodszego brata. Ktoś taki jak Phineas Jones zabrał ją od rodziny i spróbował zmienić ją we własność. Ona jednak nigdy nie zapomniała, nie pozwoliła im zapomnieć, że kiedyś miała imię i rodzinę, tak jak oni. Była moją jedyną przyjaciółką. Opowiadała mi o świecie poza kompleksem i nawet zużyła trochę swojej skóry, żeby pomóc mi uciec.

– Znowu zamilkła na chwilę, zanim podjęła: – Oto, czego od was chcę. Znajdziecie Kontrolera. To nie jest przepowiednia, tylko... moje przekonanie. Znajdziecie go i znajdziecie tamto miejsce. A kiedy tak się stanie, chcę, żebyście ocalili Jean, oczywiście jeśli zdołacie. A potem znajdziecie dla niej nowe miejsce, takie gdzie będzie bezpieczna i gdzie będzie mogła normalnie żyć.

- Czy chcesz, żeby przyjechała tutaj? – spytał Simon. Na pewno właśnie tego chciała, żeby jej przyjaciółka przyjechała do Lakeside. W końcu sama była tu bezpieczna, miała tu swoje życie.
- Tylko jeśli Lakeside to odpowiednie miejsce – odparła Meg po chwili namysłu. – Dla mnie jest odpowiednie, ale to nie znaczy, że dla niej takie będzie.



Terra indigena przyglądali się jej uważnie. Oto mieli przed sobą człowieka, który nie chciał złota ani srebra, ani drogich kamieni, ani pieniędzy.

– Spróbujemy ocalić twoją przyjaciółkę – powiedziała wreszcie Cheryl Jastrzębia Straż.

– Dziękuję – odparła Meg, po czym wróciła do biura i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Terra indigena zaczęli pakować torby do busa. Gdy tylko wsiedli, Blair ruszył. Po krótkiej dyskusji Alan Wilcza Straż i Bobbie Niedźwiedzia Straż postanowili wracać na Wyżyny z Charliem, więc załadowali swój bagaż na tył terenówki. Alan chciał jeszcze raz przejrzeć książki w Zabójczo Dobrych Lekturach, a Bobbie postanowiła mu towarzyszyć, Simon został więc sam na sam z Charliem.

– Postaraj się nie zapomnieć, kim jesteś, i nie nabrać zbyt wielu ludzkich cech – powiedział Charlie z lekkim uśmiechem. – Ale jeśli już musisz, zrób to dla siebie, a nie dla nas. – Rozejrzał się wokoło. – To jest dobre miejsce. Mogę kiedyś przyjechać tu z wizytą?

– Jasne – odparł Simon.

Alan wrócił z kolejną torbą pełną książek. Nawet Bobbie kupiła dwie, które schowała do torby, zanim Simon zauważył ich tytuły.

Kiedy odjechali, wrócił do Zabójczo Dobrych Lektur i rozejrzał się po księgarni. Wszyscy goście skorzystali z okazji, żeby zaopatrzyć się w książki – i przy okazji poznać ludzi, którzy tu pracują – więc na półkach było teraz wiele pustych miejsc. Obaj z Vladem będą musieli popracować nad zaopatrzeniem. Może nawet weźmie szmatkę i odkurzy półki, skoro nic na nich nie stoi? A może to też zbyt ludzkie? Rozumiał ostrzeżenie Charliego, ale przecież był Wilkiem i zawsze nim będzie. Czy to naprawdę takie złe – stać się odrobinę bardziej ludzkim? Tylko odrobinę?

Niech ci nie będzie zbyt wygodnie w tej skórze, pomyślał, idąc do magazynu po wózek. *Szczególnie skoro nie masz pewności, czy tak samo będziesz myślał za dziesięć lat.*

Kiedy Louis Gresh podszedł do jego biurka, Monty zamknął teczkę, którą właśnie przeglądał, i schował do szuflady. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

Pierwszy odezwał się Louis:

– Wczoraj byliście z kapitanem na Dziedzińcu. Od tamtej pory on wisi na słuchawce, a ty tkwisz za biurkiem, zamiast wyjść w teren. Burke’a niełatwo przejrzeć, ale ty mi wyglądasz na człowieka, który dowiedział się o bombie i próbuje ją znaleźć, zanim wybuchnie. – Monty wciąż milczał. – To nie wszystko – ciągnął Gresh. – Odsunąłeś od tej sprawy swojego partnera, i to z błogosławieństwem kapitana, a to znaczy, że Burke obawia się, co będzie, jeśli rzecz się rozniesie.

– Chcesz czegoś konkretnego, Louis?

– Chcę ci pomóc.

– Burke się zgodził?

Louis wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Na co?

Monty zawahał się. Im mniej ludzi wiedziało o ultimatum, jakie postawili Inni, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że coś dotrze do niewłaściwych uszu.

Kontroler miał swoich informatorów w rządzie i w sferach biznesowych, ktoś mógł go ostrzec, żeby zasłużyć się w jego oczach. Co się stanie ze Środkowym Zachodem – i z całą Thaisią – jeśli ten człowiek zdoła uciec i gdzie się zaszyje? Prawda była jednak taka, że nie ograniczą terenu poszukiwań, nie podejmując pewnego ryzyka. A przynajmniej nie w tak krótkim czasie, jaki zdaniem Burke’a pozostał im do dyspozycji.

Na poczekaniu zrobił listę dziesięciu miast i ludzkich osiedli i podał Louisowi.

– Szukamy prywatnych szkół, instytucji zamkniętych albo innych miejsc, w których mogłyby być przetrzymywane wieszczki krwi.

Louis pomachał kartką.

– To w okolicy Wielkich Jezior?

– Nie, na Środkowym Zachodzie.

Gresh przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

– Jeśli bomba wybuchnie, zanim znajdziesz to, czego szukasz, ile Thaisii stracimy?

– Cały Region Środkowego Zachodu.

– Na bogów na dole i na górze...

Louis złożył starannie kartkę i schował ją do kieszeni. Środkowy Zachód nie podlegał ich jurysdykcji. O zagrożeniu należało poinformować przedstawicieli tamtejszego rządu, i to gubernator Środkowego Zachodu powinien odszukać Kontrolera i zakończyć jego działalność. Ale kto mógł im zagwarantować, że gubernator Środkowego Zachodu nie korzysta z usług człowieka, którego chcieli zabić *terra indigena*? W zaistniałej sytuacji nie mogli ryzykować.

Zegar tyka, pomyślał Monty.

Miał nadzieję, że wkrótce wpadnie do niego Dominic Lorenzo i przekaże mu listę prywatnych szpitali i innych instytucji medycznych, pod których szyldem mógłby działać kompleks odpowiadający opisowi Meg.

Miał nadzieję, że to, co robi, da ludziom szansę na lepszą przyszłość.

Miał nadzieję, że znajdzie odpowiedź, zanim bomba wybuchnie, a wiatr i ogień zniszczą Środkowy Zachód.



Rozdział 27

W piątek Monty stał na przystanku i przysłuchiwał się rozmowom otaczających go ludzi.

– Podobno Wrony gromadzą się wokół szkół i szpitali na Środkowym Zachodzie.

Po co to robią?

– Szpiegują, jak zwykle.

– Ale kogo? Ja tam myślę, że chcą kraść jedzenie dzieciom albo grzebać w śmieciach.

– Tyle osób aresztowano za strzelanie do ptaków. To niesprawiedliwe.

Sam nie chciał wdawać się w niepotrzebną dyskusję na temat tego, że strzelanie do ptaków jest niezgodne z prawem, więc poczuł ulgę, gdy nadjechał autobus.

Po co strzelają do wron? Te miasta ze Środkowego Zachodu równie dobrze mogły

sobie namalować tarczę strzelniczą na rynku i wywiesić transparent: „Mamy coś do ukrycia!”.

Poszukiwania Kontrolera najefektywniej mogłaby przeprowadzić policja, ale istniało ryzyko, że dowie się o nich zbyt wiele niepowołanych osób. Nie puszczono sprawy oficjalną drogą, ale policja w Lakeside nagle przekonała się, że ma sprzymierzeńców w innych regionach. Wprawdzie kapitan Burke otrzymywał głównie plotki o domach dla uzależnionych dziewcząt, ale powoli stawało się jasne, że wiele komisariatów w Thaisii spoglądało na Lakeside i zastanawiało się, czy przypadkiem komisariat przy ulicy Orzechowej nie stanowi nowego modelu pracy z *terra indigena*. W końcu miasto przetrwało ostatni konflikt z *terra indigena* przy minimalnych stratach w ludziach i mieniu.

Źle się stanie, jeśli wschód i zachód Thaisii zostaną od siebie oddzielone pustkowiec zamiast ludnym Środkowym Zachodem, pomyślał. Dlatego będziemy próbować dalej. Zegar tyka, więc musimy próbować dalej.

– Na bogów, Doug. W co ty mnie wpakowałeś?

– Jakieś problemy, Pete?

– Masz cholerną rację, problemy. Ktoś przysłał mi plan dnia mojej żony, żeby mi udowodnić, że potrafi ją namierzyć o dowolnej porze. I zdjęcie szkoły podczas przerwy, na którym zaznaczył krzyżykami moje dzieci! Najwyraźniej ktoś nie chce, żebym zadawał pytania.

– Chcesz się wycofać?

– Powinienem był się wycofać zaraz po twoim telefonie. Nie chcę wrócić pewnego dnia do domu i zastać żonę i dzieci... – Zdławiony dźwięk. Potem stłumione sapnięcie. – Jestem w zasadzie pewien, że zlokalizowałem kompleks pana Smitha. Znajduje się w sąsiednim mieście, najbliższym, z którym mamy połączenie kolejowe.

– My też przyglądamy się miastom położonym przy torach.

– Wysłałem ci e-mail ze wszystkimi informacjami na temat pana Smitha i prowadzonego przez niego interesu, jakie zdołałem znaleźć. W naszym mieście znajduje się natomiast instytucja, która „zapewnia lokum osobom niezdolnym do samodzielnego życia”. Wygląda na legalną, ale kiedy spytałem o wieszczki krwi, administrator zrobił się nagle bardzo zajęty. W pobliskiej osadzie jest rządowy sierociniec, a przy nim niewielka klinika, gdzie dziewczęta, które wpadły w kłopoty, zostawiają niechciane dzieci.

– Dobre miejsce na realizowanie programu hodowlanego *cassandra sanguine*.

Pełne zaskoczenia milczenie. A potem:

– Co powiedziałeś?

– Zupełnie nic. – Długa chwila ciszy. – Pete? Jak stoisz z kartkami na benzynę?

Chwila wahania.

– Od czasu twojego telefonu oboje z Evą zaczęliśmy oszczędzać paliwo, więc pewnie zdołam wygospodarować kilka galonów, jeśli chcesz, żebym gdzieś pojechał i się rozejrzał.

– Nie. Chcę, żebyś się spakował i razem z rodziną przyjechał do Lakeside.

Natychmiast.

– Powiedziałeś, że mamy czas. Doug, wciąż mamy czas...

– Żeby się przekonać, że ktoś na ciebie czeka, kiedy wrócisz do domu?

– Muszę odwołać prenumeraty gazet, przekierować pocztę, przekazać sprawy

albo przynajmniej skontaktować się z...

– Kimś, kto powie ludziom, którzy przysłali ci rozkład dnia twojej żony i zdjęcia twoich dzieci, że zamierzasz zniknąć?

– O bogowie! – Chrapliwy oddech. – Czy... czy zdołamy kiedyś wrócić?

– Mam nadzieję, że będę potrafił odpowiedzieć na to pytanie, kiedy dotrzesz do Lakeside. Pete? Miej oczy szeroko otwarte. Jeśli zaczniesz podejrzewać, że ktoś cię śledzi, zjedź do interioru i narób zamieszania, żeby zwrócić uwagę tych, którzy tam mieszkają. W tej chwili twoja żona i dzieci mają większe szanse na przeżycie wśród Innych niż wśród ludzi.

– Zadzwoń, kiedy dotrzemy do Lakeside.

– Zadzwoń też z drogi. A zanim wyjedziesz, prześlij mi e-mailem numer rejestracyjny twojego samochodu.

– Dobrze. – Znów chwila milczenia. – Doug? Uważasz, że warto?

– Myślę, że dowiemy się tego w ciągu kilku następnych dni.



Rozdział 28

W następny czwartek Monty wszedł do biura Burke'a.

– Myślę, że znaleźliśmy kompleks Kontrolera.

Kapitan zmierzył go wzrokiem.

– Zadzwoń do doktora Lorenzo. Powiedz mu, że już czas, jeśli chce brać w tym udział. I poślij samochód po Simona Wilczą Straż. Tym razem to on musi przyjechać do nas.

Monty wrócił na swoje stanowisko pracy, zadzwonił do Dominica Lorenzo i wysłał Kowalskiego po Wilczą Straż. Potem usiadł wygodnie. Mimo wczesnej pory niemal śłaniał się ze zmęczenia.

Od kilku dni on, Louis Gresh i Burke żyli tylko mocną kawą i batonikami. Prawie nie sypiali, usiłując ustalić lokalizację kompleksu Kontrolera. Na posterunku wydzielono dla nich pokój operacyjny, który zawsze starannie zamykali na klucz, choć w zasadzie nie było takiej potrzeby, ponieważ już sama tabliczka na drzwiach z informacją, że zarezerwował go Douglas Burke, działała odstraszająco. Wszyscy na posterunku wiedzieli, że coś się dzieje, i to coś naprawdę dużego. Wszyscy wiedzieli, że Monty i Louis są w to zaangażowani, a ich zespoły nie i że ma to jakiś związek z *terra indigena*. Wszyscy wiedzieli, że nadchodzi coś złego, ale nawet sierżant nie śmiał poprosić kapitana o wyjaśnienia – szczególnie po sprawie z przyjacielem Burke'a, który miał wypadek podczas podróży do Lakeside. Jego samochód został zepchnięty z drogi przez inny pojazd. Na szczęście on i jego rodzina odnieśli tylko powierzchowne obrażenia, ale zostali ukryci w jakimś tajnym miejscu. Natomiast pasażerowie pojazdu, który spowodował kolizję, nie przeżyli. Droga nagle zmieniła się w ruchome piaski, a kiedy zapadli się po pierś, ponownie stwardniała. Podobno miejscowa fauna zaczęła z konsumpcją niespodziewanej przekąski, dopóki z okolicy nie ewakuowano przyjaciół Burke'a.

Louis przysiadł na brzegu biurka Monty'ego i pochylił się ku niemu.

– Sądysz, że rozbroiliśmy bombę?

– Nie do końca – odparł Monty, trąc oczy. – Ale dzięki temu, co zrobiliśmy, zniszczenia powinny być mniejsze.

Usłyszawszy ciche kroki, Meg pospiesznie przeszła z recepcji do sortowni. Miała

nadzieję, że to Simon z wieściami, ale okazało się, że przyszła Jane, chodzące ciało Wilczej Straży. Stała tak, by nie było jej widać z recepcji.

– Dzień dobry, Jane. Mogę coś dla ciebie zrobić? – Nagle wpadło jej do głowy, że może być tylko jeden powód wizyty Jane w biurze. – Sam! – wykrzyknęła – Zachorował? Jest ranny?

Jane pokręciła głową.

– Sam ma się dobrze. Czy... swędzi cię skóra?

– Nie. Po prostu tak pomyślałam na twój widok.

– Myśli są jak pieski preriowe. Mogą ci wyskoczyć przed samym nosem. – Meg uśmiechnęła się, gdy przed jej oczami pojawił się stosowny obraz. Przez kilka ostatnich dni zupełnie nie miała ochoty na śmiech. Czuła się tak, jakby wciąż tylko czekała na wieści, na odpowiedzi, na... coś. Natomiast *terra indigena* pracowali, bawili się i polowali, jakby nie działo się nic szczególnego. Jasne, granice Dziedzińca patrolowało więcej Wilków niż zwykle, więcej Wron prowadziło obserwację, a na niebie szybowało więcej Jastrzębi, ale Inni nie czekali w taki sam sposób, w jaki czekali ludzie. Byli przygotowani, ale póki nie nadejdzie pora na działanie, po prostu żyli. – Przyszłam w sprawie ciastek dla wilków – wyjaśniła Jane.

– Interesuje cię coś konkretnego? Tess zamierza dziś wysłać zamówienie do piekarni Eamerów. Poprosiłam o mniejsze ciasteczka dla szczeniaków. Najbardziej popularne były te o smaku wołowiny i...

– Chodzi o te w kształcie ludzi – przerwała jej Jane.

– Och! – Meg zawahała się. – Nie sądzę, żeby było rozsądnie wypiekać ciasteczka w takim kształcie.

Na twarzy Jane pojawiło się rozczarowanie.

– Były przydatne.

– A! W takim razie poproszę, żeby nadal je piekli, ale w innej formie – zaproponowała Meg.

– A mniejsze? Co rano daję Jedynakowi mały kawałek. Uspokaja go na tyle, że jego mózg zaczyna pracować normalnie. Wszyscy zauważyliśmy różnicę.

– Napiszę stosowne zapotrzebowanie.

– Dziękuję. – Jane przestąpiła z nogi na nogę. – Czy dziś w księgarni pracują jacyś ludzie?

– Nie wiem. Ale Merri Lee jest w Czymś na Ząb. Chciałabyś z nią porozmawiać?

– Nie – warknęła Jane trochę za szybko, a potem zaskomliła cicho. – Nie, pomyślałam tylko, że skoro tu jestem...

Merri Lee, Ruthie i Theral wychowały się na strasznych filmach o wilkołakach, ale twierdziły, że w naturze są one dużo straszniejsze. Zgadzały się jednak co do tego, że Inni nie powinni czuć się skrępowani, robiąc zakupy na własnym rynku, tylko dlatego że pracują tam ludzie, którzy mogliby wpaść w panikę na ich widok.

Jeśli ktoś taki, jak Jane Wilcza Straż, szanowane wilcze chodzące ciało, wejdzie do Zabójczo Dobrych Lektur i kupi książkę, kiedy za kasą będzie stała Ruth, albo wypije w Czymś na Ząb kawę podaną przez Merri Lee, może inni *terra indigena* poczuć się swobodniej? Ważne było wszystko, co pomogłoby obu stronom zaakceptować siebie nawzajem. Szczególnie w obecnej sytuacji.

– Nikomu nie będą przeszkadzać wilcze uszy – powiedziała Meg, dotykając swojej głowy.

Jane rzuciła jej niepewne spojrzenie, po czym bez słowa wyszła tylnym wyjściem.

Meg usłyszała krakanie Wron i wróciła do recepcji w samą porę, żeby zobaczyć radiowóz, który wjechał w przejazd na parking. Po chwili usłyszała, że ktoś wszedł na zaplecze. Odwróciła się, przekonana, że Jane wróciła.



Tym razem jednak był to Simon. Przeszedł przez sortownię i zatrzymał się w progu recepcji.

– Znaleźli Kontrolera – oświadczył. – Jadę na komisariat porozmawiać z Montgomerym i innymi policjantami.

– Och... – Nagle zrobiło jej się zimno, więc objęła się ciasno ramionami. – Czy powiesz mi...

Przechylił głowę.

– Co?

– Sama nie wiem.

Odczekał chwilę, ale ponieważ milczała, pożegnał się krótko i wyszedł.

Meg wyciągnęła przed siebie ręce i przyjrzała się im uważnie. Nie miała pojęcia, czy powinna odczuwać ulgę, czy strach, ponieważ wcale nie mrowiły.

Jean spała niespokojnie. Wykrzywiła usta tak bardzo, że pęknięcie na jej dolnej wardze znów się otworzyło, zmieniając jej sen w prorocstwo, pocięte na kształt przebitek filmowych.

Ziemia się trzęsła. Zawodził wiatr. Chodzące imiona błagały o litość i wrzeszczały z bólu. Ściany pochłapane krwią, oderwane ludzkie członki na korytarzach.

Dziewczęta, zamknięte w celach, płakały ze strachu.

Potem drzwi się otworzyły i zobaczyła...

Jean uniosła powieki – i uśmiechnęła się.

Dominic Lorenzo nie wyglądał najlepiej, kiedy wszedł do pokoju operacyjnego na komisariacie. Opadł na krzesło i powiódł wzrokiem po twarzach Monty'ego, Louisa i Burke'a.

– Czy zdajecie sobie sprawę, co rozpętaliśmy? Macie pojęcie, ile wpływowych osób dzwoniło do administratorów szpitala, poddając w wątpliwość moje kwalifikacje zawodowe?

– Och, nie przejmowałbym się tym tak bardzo, doktorze. Moi przełożeni otrzymywali podobne telefony w sprawie mojej i moich ludzi. Myślę, że ci, którzy dziś się na pana skarżą, jutro będą śpiewać zupełnie inaczej.

– Dlaczego?

Burke'a uśmiechnął się szeroko.

– Dobroczynne posiadanie.

– Zło konieczne.

– A może środek umożliwiający prowadzenie farm hodowlanych? Gdzie rozmnaża się te dziewczęta, poprawiając ich wieszczę zdolności? Planowa hodowla, aż potomstwo zrobi się tak wrażliwe, że nie będzie w stanie przetrwać bez dobroczynnego posiadania?

Lorenzo zmierzył Burke'a wzrokiem.

– To potworne, co pan mówi.

Monty przyjrzał mu się uważnie.

– Ale pan również zaczął to podejrzewać, prawda?
Doktor otworzył teczkę i wyjął plik papierów. Przez chwilę tylko na nie patrzył.

– Ludzie, którzy korzystają z usług tych kompleksów i kupują prorocтва, nie dopuszczają, by te informacje wyszły na jaw – powiedział wreszcie. – Farmy, gdzie rozmnaża się wieszczki? Żaden z tych ludzi nie przetrwa na stanowisku podobnego skandalu.

– Dlatego nie zamierzam przekazać tej informacji ludziom – stwierdził Burke. – Zamierzam przekazać ją *terra indigena*.

– Co przekazać *terra indigena*? – spytał Simon Wilcza Straż, który wszedł właśnie do pokoju razem z Vladem Sanguinatim.

– Dojdziemy do tego – odparł Burke. – Poruczniku?

– Jesteśmy niemal pewni, że wiemy, gdzie znajduje się kompleks Kontrolera – powiedział Monty, podchodząc do zawieszanej na ścianie mapy. Rzucając okiem na Simona i Vladę, pomyślał, że dziś nie mogą uchodzić za ludzi. Żaden z nich. Ich drapieżna natura jest zbyt blisko powierzchni.

– A pan? – spytał Simon, patrząc na Lorenzo.

Lekarz zawahał się, po czym rozwinął własną mapę.

– Rozmawiałem z kolegami, znajomymi i administratorami szpitala. Zaznaczyłem tu wszystkie miasta, gdzie udzielano pomocy medycznej wieszczkom krwi. Pragnę tylko zaznaczyć, że większość instytucji opiekujących się tymi dziewczętami, działa jawnie i jest dobrze znana w swoich społecznościach.

Simon i Vlad nie skomentowali tego stwierdzenia, po prostu patrzyli na mapę. Potem Simon rozwinął własną i położył na stole obok mapy Lorenzo.

– Co pan zaznaczył? – spytał Monty, zauważywszy, że punkty na obu mapach w większości się pokrywają.

– Wronia Straż rozmawia z wronami, zleca im obserwację miejsc należących do ludzi – wyjaśnił Vlad. – Zaznaczyliśmy te, w których ludzie do nich strzelali.

– Czyli ludzie strzelają do wron w miastach, gdzie najprawdopodobniej znajdują się kompleksy, w których przetrzymuje się *cassandra sangue* – stwierdził Monty. Simon kiwnął głową.

– Wasze mapy potwierdzają wnioski wyciągnięte przez *terra indigena* ze Środkowego Zachodu.

– I co teraz? – spytał Burke.


– Porucznik Montgomery, doktor Lorenzo i ja wsiądziemy do pociągu, który odjeżdża dziś o wpół do trzeciej po południu. Pojedziemy na zachód i spotkamy się z *terra indigna*, którzy zajmą się likwidacją Kontrolera.

Lorenzo poderwał się z miejsca.

– Nigdzie nie jadę!

Simon i Vlad uśmiechnęli się, ukazując wydłużone kły drapieżników.

– Pojedzie pan, ponieważ jest pan ludzkim chodzącym ciałem zainteresowanym wieszczkami krwi. Będzie pan chciał pomóc tym, które przeżyją – stwierdził Simon.



– Tym, które...

– Natomiast porucznik pojedzie z nami, ponieważ miejscowa policja będzie wolą rozmawiać z człowiekiem niż z tubylcami ziemi – dodał Simon.

– A pan? – spytał Monty. – Dlaczego pan jedzie?

– By dotrzymać obietnicy.

Lorenzo pokręcił głową.

– Nie. Wystarczająco trudno było mi zebrać te informacje, skoro...

– Słyszał pan o drugiej partii skażonego mięsa? – przerwał mu Vlad. Mówił przyjacielskim tonem, ale jego oczy były zimne jak czarny lód. – Dwie ciężarówki. Jedną spotkał dziwny wypadek, przewróciła się na bok i otworzyła, ale kierowcy nic się nie stało. Wsiadł do tej drugiej i odjechał, pozostawiając na drodze kuszącą przynętę. Ale zabawna sprawa z tymi Sanguinatimi. A właściwie ze wszystkimi *terra indigena*. Wyczuwamy, że *cassandra sangue* nie są zwierzyną. Że to dzieło Namid, równocześnie straszliwe i cudowne. Nie pijemy ich krwi, a inni tubylcy ziemi nie jedzą ich mięsa. Potrafimy je rozpoznać, nawet gdy jest przemielone i wymieszane z wołowiną.

Louis jęknął. Lorenzo usiadł z powrotem na krześle. Monty'emu zrobiło się słabo i chwycił za kant stołu. Tylko Burke patrzył spokojnie na Simona i Vlada.

– Jesteście pewni, że w tym celu poświęcono te dziewczyny? – spytał.

– Jesteśmy pewni – odparł Vlad. Zwinął mapę, którą przyniósł Simon, i włożył pod pachę.

– Pociąg odjeżdża o wpół do trzeciej – powiedział Simon. – Jeśli chcecie, żeby ludzie mieli prawo głosu podczas tych wydarzeń, nie spóźnijcie się.

Gdy on i Vlad wyszli, zapadło milczenie. Pierwszy odezwał się Burke:

– Poruczniku? Obaj z doktorem powinniście iść się spakować. Gresh, niech pan odwiezie doktora do domu, a potem na stację. Poruczniku, pana niech zawiezie Kowalski. Ja tu posprzątam. I niech Mikhos czuwa nad nami wszystkimi – dodał cicho.

Mikhos był duchem opiekuńczym policji, straży pożarnej i lekarzy. Monty podejrzewał, że w ciągu najbliższych dni często będą wzywać jego imię.

Simon spojrzał na swoją torbę.

Nie miał ochoty na tę podróż, choć wiedział, że to ważne. Kilka miesięcy temu pojechał na Środkowy Zachód, na spotkanie z tamtejszymi przywódcami, i bez zastanowienia zostawił Meg z Samem, teraz jednak dręczyła go świadomość, że nie usłyszy jej głosu i nie poczuje jej zapachu przez dłuższy czas. Teraz będzie za nią tęsknił.

Niechętnie wziął torbę, wyszedł z mieszkania i wsiadł do furgonetki. Spojrzał na Vlada, który miał go zawieźć na stację.

– Będziesz miał oko na wszystko? – upewnił się.

– Nic jej się nie stanie pod twoją nieobecność.

Simon westchnął.



– Jak do tego wszystkiego doszło?

– Przecież nie po raz pierwszy i nie ostatni. Jeśli zmiennokształtni i Sanguinati nie uspokoją ludzi, zrobią to starsze formy *terra indigena* i Żywioły. Zawsze tak było. – Vlad zatrzymał samochód przy tylnym wejściu do biura łącznika. – Idź, uściskaj ją na pożegnanie.

Simon zawahał się.

– Czy to nie będzie zbyt ludzkie?

– Nie – odparł Vlad spokojnie. – To przyjacielski gest, i u nas, i u nich.

Gdy Simon wszedł do biura, Meg przeglądała w sortowni „Wiadomości Lakeside”. Nie sądził, żeby czytała, ponieważ kiedy na niego spojrzała, sprawiała wrażenie zamyślonej – i przerażonej.

– Rzykujesz, podróżując pociągiem – stwierdziła.

Przechylił głowę.

– Wyczuwasz coś?

– Nic. Może piję za dużo herbaty z rumiankiem. Jane powiedziała, że rumiankowe ciastka pomagają Jedynakowi myśleć. Może u mnie ta herbata blokuje zdolności do... wyczuwania.

– Albo może nie ma czego wyczuwać. – Musi się zbierać, jeśli chce zdążyć na pociąg. – Meg? Chcesz się przytulić? Tak robią przyjaciele, kiedy ktoś wyjeżdża. Kiedy kiwnęła głową, objął ją i przyciągnął do siebie. Odwzajemniła uścisk.

Oddychał jej zapachem, póki Vlad nie zawołał:

Simon? Czas jechać.

Wtedy cofnął się i zajrzał w jej szare oczy.

– Nie sprawiaj kłopotów Vladowi i Henry’emu.

Wydęła usta.

– Nigdy nie sprawiam kłopotów!

Roześmiał się i wyszedł, chociaż nadal się dąsała. Jej zapach na ubraniu przynosił mu pociechę.

Zawahał się. Miał ochotę zaczekać, aż włączy się automatyczna sekretarka, ale z przyzwyczajenia sięgnął po słuchawkę.

– Halo?

– Zrobiłeś to celowo, prawda? – Głos Elayne był łzawy i przenikliwy.

– Co?

– Sabotowałeś wystąpienia Mikołaja w Talulah Falls i Lakeside, oto co!

Zakołysał się na piętach. Nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Elayne, czyś ty w ogóle zwróciła uwagę, co zaszło w Talulah Falls? Miasto jest odcięte od świata. A zważywszy problemy, jakie ruch Ludzie Przede i Nade Wszystko spowodował w Lakeside, nic dziwnego, że odwołano wystąpienia twojego chłopaka.

– To dlatego że nie chciałeś, żeby wszyscy zobaczyli, jakim jesteś małostkowym zazdrośnikiem!

– Jest tam Lizzy? – Monty nie miał czasu na podobne nonsensy, ale chciał usłyszeć głos córki.

– Nie, nie ma jej!

Mówiła coraz bardziej przenikliwie, co wskazywało, że nie uważa już Mikołaja Strzępiela za tak cudownego, jak na początku.

– Elayne, muszę już iść.

– Jeśli zrujnujesz Mikołaja, zrujnujesz również szansę swojej córki na lepsze życie. Czy to do ciebie dociera?

Serce ścisnęło mu się boleśnie, choć ani przez chwilę nie wierzył, że Strzępiel może stworzyć Lizzy lepszy dom niż stworzyłby on sam.

– Muszę iść – powtórzył. Kiedy odkładał słuchawkę, usłyszał, jak Elayne krzyczy:

– A co takiego ważnego masz do roboty, że nie masz czasu porozmawiać o własnej córce?!

Jego ręka zawisała nad telefonem. Wiedział, że nie rozmawialiby o Lizzy. Kiedy

Elayne twierdziła, że chce rozmawiać o córce, sprowadzało się to zwykle do listy rzeczy, których nie potrafił zapewnić jej samej ze względu na swą nieudolność.
– Co mam do roboty? – powtórzył powoli, patrząc na telefon. – Muszę pomóc Innym wymordować całe ludzkie miasto.



Rozdział 29

Żywioty z całego Środkowego Zachodu zmierzały w kierunku miasta, gdzie znajdowała się kryjówka wroga.

Powietrze droczyła się z Ziemią, łaskocząc ją i drażniąc, aż zaczęła drgać i ludzie trzęśli się w swoich nędznych domostwach.

W miastach, gdzie strzelano do wron, Ogień obejmował słupy elektryczne, przecinając dostawy prądu i łączność telefoniczną. Za nim przybywała Woda, niosąc ze sobą ulewny deszcz.

Tornada ścigały samochody i ciężarówki. Czasami doganiały je i wyrzucały wysoko w powietrze, a potem wypuszczały bez ostrzeżenia.

Błyskawice uderzały z przeraźliwą precyzją, a Ogień i Powietrze galopowały na swoich rumakach, tratując wszystko na swej drodze.

Wreszcie przybyły na miejsce, gdzie ukrywał się wróg. Gdy otoczyły miasto, przerwały zabawę.

Świat wstrzymał oddech, kiedy Żywioty i ich rumaki czekały na przybycie reszty *terra indigena*.

– Mamy wolną salonkę. Bo zapewne będziecie woleli zachować prywatność? – Konduktor prowadził Monty’ego, Lorenzo i Simona przez korytarz pociągu. Najwyraźniej nie chciał, by zbyt wielu ludzi wiedziało, że podróżuje z nimi Wilk. Ostatnio wszyscy byli podminowani i nawet drobna sprzeczka mogła zmienić się w akt przemocy.

Monty spojrział na skórzane fotele i stoły, przy których ustawiono wyściełane kanapy.

– Bardzo tu miło. Kto tu podróżuje?

Konduktor rzucił nerwowe spojrzenie na Simona, który odszedł na drugi koniec wagonu.

– Ludzie, którzy dużo jeżdżą i chcą wykorzystać ten czas na pracę. Tam dalej jest mała kuchnia, zaopatrzona w kanapki i napoje. Jest również barek.

– Płatny? – spytał Monty.

– Och, nie. Jedzenie i napoje są wliczone w cenę biletu.

Monty podziękował konduktorowi i poszedł zobaczyć, co tak zaintrygowało Simona.

– Sedes i umywalka – stwierdził Wilk, wskazując jedne drzwi. Później otworzył te po drugiej stronie. – A to co? – Ich oczom ukazało się coś, co wyglądało jak ławka z porcelany. Za nią znajdował się kran i prysznic.

– To kabina prysznicowa – wyjaśnił Lorenzo, który właśnie do nich dołączył.

Monty wrócił na środek salonki. Jedzenie, napoje, wygodne siedzenia i miejsce do pracy. Nawet prysznic, żeby podróżni mogli się odświeżyć. No i gwarantowana prywatność.

– Jak myślicie, ile kosztują bilety do tego wagonu? – zapytał.

– Na pewno więcej, niż pan czy ja moglibyśmy zapłacić – odparł Lorenzo. – Lepiej

usiądzmy, pociąg właśnie rusza.

Wsadzili torby podróżne na półki i zajęli miejsca.

– Jacy ludzie podróżują tym wagonem? – spytał Simon w zamyśleniu, kiedy pociąg wyjechał z Lakeside.

– Według konduktora ci, którzy pracują podczas podróży, więc zapewne biznesmeni i rządowi urzędnicy – odparł Monty.

Wilk pokiwał głową.

– Biznesmeni i urzędnicy. I ludzie, którzy nie chcą, by ktoś widział, dokąd jadą?

– Dlaczego mieliby ukrywać... – Lorenzo urwał.

Monty popatrzył na Simona.

– Myśli pan, że ktoś, kogo stać na bilet do tego wagonu, może sobie również pozwolić na kupno prorocstwa?

– To, że ktoś jeździ salonką, nie oznacza automatycznie, że kupuje prorocstwa – zaprotestował doktor.

– Nie, ale nie sądzę też, żeby ludzie, którzy jeżdżą do tych kompleksów, czynili to otwarcie – odparł Monty. – A zatem można przyjąć, że choć nie wszyscy, którzy jeżdżą salonkami, kupują prorocstwa, większość tych, którzy je kupują, nimi jeździ. A pan jak myśli? – zwrócił się do Simona.

– Myślę, że jestem głodny i zamierzam sprawdzić, czy te kanapki do czegoś się nadają – odparł Wilcza Straż. – Myślę też, że kolej nie traciłaby paliwa na ciągnięcie pustego wagonu. I zastanawiam się, dokąd jadą ci, którzy mają bilety do salonki.

Kanapki wcale nie okazały się lepsze niż te oferowane w wagonie restauracyjnym. Może ich wyjątkowość polegała na tym, że nie trzeba było stać po nie w kolejce? Albo może wymyślne potrawy zastąpiono kanapkami, kiedy nie zjawili się ludzie z biletami do salonki? Dla Simona nie miało to znaczenia.

Montgomery i Lorenzo zostawili mu kanapki z wołowiną, twierdząc, że wołą te z kurczakiem, więc przynajmniej wszyscy najedli się do syta.

Nie, nie miało dla niego znaczenia, że ludzie podróżują w takich luksusowych wagonach, ale bez wątplenia ktoś odczuje niezadowolenie Elliota – i poczuje jego zęby – kiedy konsul Lakeside dowie się, że podczas gdy on musiał jeździć w zwykłych śmierdzących wagonach pasażerskich, członkowie ludzkiego rządu podróżowali w salonce przyjemnie pachnącej skórą i z porządnym cateringiem.

Jednak z punktu widzenia Simona taki wagon miał dodatkową zaletę: *terra indigena* mogli bez problemu wysledzić jego pasażerów, nawet jeśli ukrywali twarze i podawali fałszywe nazwiska. Ci ludzie mogli oszukać niektóre rodzaje tubylców ziemi, ale wówczas pozostali mieli tym większe powody, by zwracać na nich uwagę. Nie zawsze można było powierzyć obserwację Wronom – czasem było to zbyt oczywiste, a poza tym Wronia Straż była praktycznie bezbronna i łatwo było odwrócić jej uwagę za pomocą błyszczącego. Lepszym wyborem byli Sanguinati. W końcu stacje kolejowe to dobry teren polowań dla rodzaju Vlada.



Po posiłku wszyscy trzej wyjęli z bagażu książki. Simon zauważył, że Montgomery czyta powieść Alana Wilczej Straży. Zważywszy, dokąd jechali, nie był pewien, czy to najlepszy wybór, ale nie skomentował go. Już dawno doszedł do wniosku, że

ludzie mają wyjątkowo krótką pamięć. Za każdym razem, kiedy *terra indigena* niszczyli miasto i odbierali swoją ziemię, twierdzili, że nie pojmują dlaczego. Jeśli łamiesz umowę zawartą z *terra indigena*, *terra indigena* cię ukażą, i to surowo – jak można nie rozumieć tak prostej zasady? Kiedy wreszcie ludzie pojmą, że porywają się na walkę, która prowadzi ich do zguby?

Rzucił okiem na towarzyszy podróży, siedzących po drugiej stronie przejścia. Nie sądził, by ich pamięć była równie krótka, więc może to dobrze, że zobaczą, do czego zdolni są Inni. Może właśnie takim ludziom należy pokazać, kto będzie ich przeciwnikiem, jeśli spróbują zaatakować?

Meg patrzyła na srebrną brzytwę, którą położyła przed sobą na stole w sortowni. Cs759. Oznaczenie własności. Ale *cassandra sangue* nie powinny być niczyją własnością. Niczym mieniem.

– Meg?

Podniosła wzrok. W progu stała Merri Lee.

– Wszystkie kłopoty zaczęły się od tego, że nie chciałam wrócić do kompleksu, że chciałam być czymś więcej niż własnością – powiedziała cicho Meg.

– Uważasz, że tylko ty dokonywałaś wyborów? Nie żartuj. – Merri Lee wskazała brzytwę. – A jakiego wyboru dokonasz teraz?

– Nie wiem. Chcę pomóc Simonowi.

– Musisz się ciąć? Kiedy o nim myślisz, czujesz, że wzbiera w tobie prorocstwo?

– Nie, ale... – Simon nie chciałby, żeby cięła się bez powodu. Czy niepokój o przyjaciela to wystarczający powód?

Merri Lee podeszła do telefonu i podniosła słuchawkę.

– Znasz numer jego komórki?

– Tak.

– To zadzwoń i nagraj mu wiadomość na pocztę głosowej. Potem przyjdź do mnie. Nauczę cię robić spaghetti, a wieczorem Ruth i Theral przyniosą lody i czekoladę. Będziemy oglądać smutne filmy, żeby sobie popłakać.

Meg wzięła od niej słuchawkę.

– Co mam powiedzieć?

– Powiedz, że dzwoniś, ponieważ o nim myślałaś. Sądzę, że się ucieszy. – Merri Lee uśmiechnęła się. – Zaczekam na zewnątrz.

Kiedy trzasnęły drzwi na zapleczu, Meg wybrała numer Simona. Po chwili usłyszała warkliwy rozkaz, żeby zostawić wiadomość. Powiedziała, co miała do powiedzenia, zamknęła biuro i poszła spędzić wieczór w towarzystwie koleżanek. Lorenzo zasnął na rozkładanej skórzanej kanapie. Simon głównie wyglądał przez okno albo udawał, że czyta. A Monty, który dotarł już do połowy thrillera Alana Wilczej Straży, zastanawiał się, ilu ludzi miało okazję czytać książki *terra indigena*. Dopiero teraz zorientował się, że Inni postrzegają ludzi jako istoty przewrotne i żądne krwi. Czy po wizycie na Dziedzińcu w Lakeside w książkach Alana ten stereotyp się zmieni? Na przykład pojawią się kobiety, które atakują wroga miotłą albo czajnikiem?

Na stacji odległej o jakąś godzinę drogi od granicy Regionu Środkowo-Zachodniego do wagonu wsiadł jakiś człowiek w trzyczęściowym garniturze i z teczką. Był dość tęgi i bardzo zadbany. Na widok Monty'ego i Simona zatrzymał się jak wryty.

– Zajęliście chyba nie swoje miejsca – stwierdził. Nadęty ton jego głosu

sprokował głuchy warkot Simona, jednak zamiast się spłoszyć, człowiek tylko się zjeżył. – To prywatny wagon.

– Tak, proszę pana, wiemy o tym – odparł Monty uprzejmie. – Ale jesteśmy we właściwym wagonie.

– Czyżby? Doprawdy? Proszę pokazać bilety.

Monty wstał i wyciągnął swoją legitymację policyjną. Mężczyzna zbladł.

– Ja również chciałbym zobaczyć pański bilet, proszę pana.

– Mój? – zdumiał się mężczyzna. – Dlaczego mam panu pokazywać bilet?

– Ponieważ jestem oficerem policji i o to proszę. W przeciwnym razie poproszę, by zatrzymano pociąg do czasu, aż ustalę, czy rzeczywiście jest pan upoważniony do podróży w salonie.

– Nie wolno panu!

– Ale mnie na pewno wolno – warknął Simon.

Monty nie musiał na niego patrzeć, po prostu czuł, że Wilcza Straż nie sprawia już wrażenia człowieka. W oczach nowego pasażera dostrzegł strach.

Mężczyzna wyciągnął pospiesznie bilet, pomachał nim Monty'emu przed nosem i schował, zanim ktokolwiek zdążył porządnie mu się przyjrzeć.

Monty nie zażądał jednak ponownej prezentacji, nie poprosił też o nazwisko i adres. Miał wrażenie, że dziś nie będzie to istotne.

Schował swoją legitymację i usiadł, a nowy pasażer wsadził bagaż na półkę i rozgościł się.

Simonowi nie spodobał się intruz. Nie podobały mu się jego wygląd, zapach, atmosfera, jaką roztaczał. Nie potrafił powiedzieć, dlaczego ten człowiek tak go denerwuje samym faktem, że żyje, ale gdyby zbliżył się do którejś z członkiń ludzkiego stada albo do samej Meg, bez chwili wahania rzuciłby się na niego i wyszarpał mu wątrobę, jeszcze zanim jego serce przestałoby bić.

Kra! Kra! Wiadomość dla Wilczej Straży z Lakeside!

Wyjrzał przez okno, ale nie zauważył Wrony.

To ja.

Pociąg wkrótce się zatrzyma. Wilki czekają na ciebie i ludzi, zawiozą was dalej.

Czy tory zostały przerwane?

Nie, ale zostaną, jeśli maszynista się nie zatrzyma i nie pojedzie z powrotem.

Powietrze dosiada dziś Tornada i będzie obserwować pociąg.

Zapewne nie dotyczy to tylko tego pociągu i tej stacji. *Terra indigena* najwyraźniej zamykali wszystkie drogi ucieczki ze Środkowego Zachodu, póki nie wytropią i nie zlikwidują wroga. W ten sposób tak naprawdę chronili ludzi, którzy w innym przypadku z pewnością ponieśliby śmierć.

Kilka minut później zjawił się konduktor.

– Ostatnia stacja, panowie. Proszę się przygotować do opuszczenia pociągu.

– Ostatnia stacja? – powtórzył biznesmen z niedowierzaniem, wychylając się z fotela. – Jak to ostatnia? Mam bilet do... – Urwał, jakby nie chciał zdradzić celu swej podróży w obecności policjanta i Wilka.

– Dalsza trasa została zamknięta z powodu nieprzychylnych warunków atmosferycznych – wyjaśnił konduktor. – Otrzyma pan zwrot pieniędzy za niewykorzystaną część biletu.

– Czyli to decyzja kolei? – spytał mężczyzna ze złością. – A gdyby jednak pociąg dojechał do celu?

– Wówczas sępy miałyby ucztowanie przez kilka dni – zapewnił go Simon. Konduktor wycofał się pospiesznie, a biznesmen nagle zaczął wydzielać intensywniejszy zapach strachu. Konduktor wykazał się rozsądkiem, poruszając się ostrożnie, by nie prowokować drapieżnika. Rozsądny był również strach biznesmena, który dodatkowo sprawił Simonowi satysfakcję. Kiedy pociąg wjechał na stację, Monty wstał, ale ponieważ Simon pokręcił głową, posłusznie usiadł z powrotem. Wrony? zawołał Simon. Jesteśmy. Z wagonu, którym jadę, zaraz wysiądzie człowiek. Wysiada wielu ludzi. Ale tylko jeden z tego wagonu. Obserwujcie go. Nie możemy lecieć za nim daleko. Poprosimy o pomoc innych terra indigena. Dobrze. Powiedzcie o nim waszym przywódcom. Niech wszystkie Wrony wiedzą, że nie wolno mu ufać. Przekażemy wiadomość. Gdy tylko biznesmen opuścił wagon, Simon zdjął z półki swój bagaż. – O ile dobrze się orientuję, mamy przed sobą jeszcze kawał drogi – powiedział Monty ostrożnie. – Co najmniej kilka godzin. – Zgadza się – odparł Wilk. – Ale pociąg dalej nie pojedzie. Chodźmy, czekają na nas. Gdy tylko znaleźli się na zewnątrz, usłyszeli krakanie. Wrony nie próbowały ukrywać swojego zainteresowania biznesmenem, co zwróciło uwagę innych ludzi. Mężczyzna pospiesznie wszedł do budynku stacji, gdzie Wrony nie mogły mu towarzyszyć, ale przy drzwiach nagle podniósł się kurz i po chwili osiadł z powrotem. Simon, Monty i Lorenzo weszli do budynku stacji za pozostałymi pasażerami, przeszli przez poczekalnię i wyszli na parking. Minivan, który na nich czekał, nie różnił się od innych pojazdów, ale dwaj stojący przy nim mężczyźni z pewnością nie byli ludźmi, choć starali się zachować ludzką formę. Simon uklonił się lekko Wilkom. Nie musisz nas przedstawiać swoim ludziom, zastrzegł jeden z nich. Pomyślał, że Montgomery i Lorenzo zapewne woleliby poznać imiona swoich towarzyszy podróży, ale Wilki wyraźnie nie chciały się z nimi socjalizować, więc zachował milczenie. – Mam wrażenie, że ten biznesmen umknął Wronom – powiedział Lorenzo, wsiadając z ociąganiem do minivana. Simon nie był pewien, czy usłyszał w jego głosie troskę, czy ulgę. Ludzie rozumieli tak niewiele. – To bez znaczenia – odparł. – Nie ukryje się przed Powietrzem, chyba że przestanie oddychać.



Rozdział 30

Jechali kilka godzin, zanim skręcili w boczną drogę, najwyraźniej nienależącą do ludzi. Niedługo potem minivan zatrzymał się. W miejscu, z którego widać było kompleks, czekał na nich Joe Wilcza Straż. Wilki wysiadły i stanęły obok swojego przywódcy.

– Zostańcie w samochodzie – nakazał Simon Montgomery’emu i Lorenzo. Sam wysiadł i podszedł do Joe.

– To nie jest twoje terytorium – warknął Joe. – Doceniamy twoją pomoc w zlokalizowaniu wroga, ale to nie twoja walka.

– Nie moje terytorium, nie moja walka – zgodził się Simon. – Ale wróg wspólny.

– Owszem. – Joe zawahał się, jakby nie bardzo wiedział, co powiedzieć. – Złożyłem obietnicę waszej Meg.

– Ja również.

– Kiedy wróg zginie, możesz wejść i poszukać obietnicy. Czy to zadowoli twoją Meg?

To zależy od wyniku poszukiwań, pomyślał Simon.

– Tak, to ją zadowoli.

Monty wysiadł z minivana. Chciał sprawdzić, co się dzieje. Wilki zostawiły samochód na światłach postojowych, choć doskonale widziały w nocy. Uznał, że to miły gest z ich strony, że wzięły pod uwagę potrzeby swoich ludzkich gości. Ale kiedy je zobaczył, pożałował, że okazały mu tyle troski.

Trzy Wilki zdjęły kurtki i koszule, a potem przemieniły górną połowę ciała i głowę. Na jego widok zawarczały i rzuciły się biegiem w stronę kompleksu.

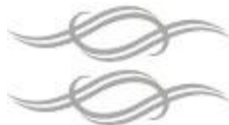
– Na bogów na dole i na górze – sapnął Lorenzo, stając obok.

– Wątpię, żeby bogowie nas dziś słuchali – odparł Monty.

Ziemia dosiadająca Trąby Powietrznej uderzyła w mur kompleksu, a za nią ruszyły Wilki, zabijając każdego, kto stanął na ich drodze. Dalej na Mgle jechała Woda. Oślepiła ludzi, którzy pilnowali bram siedziby wroga, wydając ich na pastwę Wron, Jastrzębi i Sów. Powietrze wstrząsała budynkami, aż brzęczały szyby, wdzierając się do środka przez najmniejsze szczeliny. Za nią ciągnęli Sanguinati w formie dymu. Otoczyli strażników uzbrojonych w karabiny i odebrali im tyle krwi, że ci padli nieprzytomni. Potem wampiry przybrały ludzką formę i otworzyły drzwi Wilkom.

A wówczas zrobiło się naprawdę nieprzyjemnie.

Ziemia zadrżała. Zawył wiatr.



Jean usiadła na łóżku. Jej cела znajdowała się z dala od głównych korytarzy, ale i tak słyszała krzyki i wycie chodzących imion. Wyciągnęła rękę i przekreśliła włącznik. Kiedy jej oczy przywykły do światła, spojrzała na komodę.

W szufladach znajdowały się ubrania i przybory toaletowe. Tylko jedna była zamknięta, a klucz miały chodzące imiona. To był jeden ze sposobów, w jaki drażnili i dręczyli dziewczęta.

Jean wstała i zaczęła chwilę, aż jej zdeformowana noga utrzyma ciężar ciała.

Kilka chwiejnych kroków i już była przy komodzie. Ignorując dobiegające zza drzwi krzyki otworzyła szufladę i wyjęła z niej składaną brzytwę.

Po jednej stronie srebrnej rączki znajdowały się dekoracyjne kwiaty. Kłamstwo.
Po drugiej stronie widniało jedynie oznaczenie – cs747. Prawda.

Ziemia drżała, wył wiatr. Krzyki na korytarzu i szuflada, która powinna być zamknięta, ale nie była. Jean wiedziała, co to znaczy.

– To już koniec – szepnęła.

Ściskając w ręku brzytwę, wróciła do łóżka i usiadła.

Czekała.

Kontroler połknął kolejną dawkę wilczenia, wepchnął nowy magazynek do pistoletu, a potem przebiegł korytarzem pełnym koszmarów, które na pewno uradowałyby mrocznych bogów.

Wilk odwrócił się w jego stronę, więc nie zatrzymując się, strzelił mu prosto w pysk i pobiegł dalej. Ledwie zdołał powstrzymać triumfalne wycie na widok martwego wroga.

Musiał dotrzeć do kryjówki. Miał tam więcej broni. Tam czekało na niego zwycięstwo. Trzeba było trzy razy ciąć tę sukę cs747, żeby wydobyć z niej prorocstwo umożliwiające ucieczkę. Nie uprzedził swojego personelu o ataku. Ta jatka była konieczna, jeśli miał przeżyć. Pracowników, podobnie jak wieszczki, da się zastąpić, natomiast wiedza i umiejętności, jakie mógł oferować ruchowi Ludzie Przede i Nade Wszystko, były bezcenne.

Strzelał raz po raz, do Innych i do własnych ludzi. Jakie to miało teraz znaczenie?

Był wspaniały, niezwykły. Był odpowiedzią, na którą czekała ludzkość!

Wreszcie dotarł do pomieszczenia, które było kluczem do jego wolności. Potknął się o osmalone ciało, gdy zobaczył pistolet maszynowy i łuski po nabojach, rozsypane na podłodze. Broń, na którą liczył, była bezużyteczna!

Kątem oka zauważył jakiś ruch. Odwrócił się i strzelił przez płomienie, które nagle zajęły jego tułów. Dym zasłonił mu twarz, nie widział więc kłów, które zatopiły się w jego szyi. Kiedy Ogień go puścił, Kontroler poleciał do przodu, ale zaraz znowu rzuciło nim w tył i stworzenie o głowie pantery rozpruło mu brzuch. Gdy upadł, Wilk odgryzł mu jedną rękę, a Pantera drugą.

Potem wampir, Wilk i Pantera wrzasnęli wściekle i wypadli z pokoju. Podwójna



dawka wilczenia obecna w krwi Kontrolera zaczęła działać.

Kontroler leżał na podłodze, poparzony i zmasakrowany.

Umierał.

Powoli pojmował, co się stało.

Ta dziwka cs747. Jakimś cudem zdołała powiedzieć mu tylko część tego, co widziała. Zamiast pomóc mu uciec, swoim prorocstwem zwabiła go w pułapkę.

Ta suka... go... okłamała.

Monty niewiele widział z miejsca, gdzie stał wraz z Lorenzo i Simonem Wilczą Strażą. Ale słyszał wystarczająco.

Wystrzały, które szybko umilkły.

Wrzaski, przeciągłe i straszliwe.

Wszystko działo się tak szybko, że nikt z ludzi nie miał szans na ucieczkę.

Potem Wilki zawyły, a mgła rozproszyła się, jakby nigdy jej nie było.

– Czas na nas – powiedział Simon, ruszając ku kompleksowi.

Wycie syren, dobiegające z oddali. Konie i jeźdźcy, kierujący się ku rozwalonej

bramie kompleksu.

– Czy mam zaczekać przy bramie i porozmawiać z policją? – spytał Monty.

– Żywioty zajmą się policją – odparł Simon. – Tutejsi *terra indigena* chcą, byśmy wszyscy trzej weszli do środka. – Wskazał jeden z budynków.

Monty był pewien, że Lorenzo, podobnie jak on, widział w swojej pracy niejedno. Ale żaden z nich nigdy nie widział, co *terra indigena* potrafią zrobić z ludźmi, których nienawidzą.

Ściany pochłapane krwią. Podłoga lepka od posoki. Na jego oczach Wilkołak rozerwał rękaw białego lekarskiego kitla, oderwał rękę od ramienia i zaczął jeść, podczas gdy drugi...

– On pożera mu wątrobę – szepnął Lorenzo, odrętwiały z przerażenia.

Jeden z Wilków już niemal przemienił się w człowieka. Wyprostował się, a kiedy zaczął wylizywać swoje łapy, Monty go rozpoznał. To był Joe Wilcza Straż.

– Dobre mięso – stwierdził Joe i spojrzał na Simona. – Słyszysz je?

– Słyszę je.

Monty nagle zauważył, że Simon przemienił uszy. W porównaniu z koszmarem, jaki go otaczał, ta zmiana wydała mu się niemal komiczna.

– Co pan słyszy? – spytał.

– Dziewczęta.

Pozwólcie im zabrać część dziewcząt, poprosił Simon.

Dlaczego? zdziwił się Joe. Chcemy odebrać ludziom tę broń. Dlaczego mamy im ją dobrowolnie oddawać?

W ich oczach to będzie gest dobrej woli. Nie możemy po prostu puścić tych dziewcząt do interioru, potrzebna nam będzie pomoc. Daj ludziom powód, by chcieli nam pomagać, a ja dopilnuję, żeby te dziewczęta nie zostały użyte jako broń przeciwko nam – nawet jeśli będę musiał je zabić.

Wiele się zmieni w Thaisii z tego powodu. W zamian będziemy chcieli waszej pomocy.

Wiem, odparł Simon. I Lakeside wam pomoże. Potem wyjaśni porucznikowi Montgomery'emu i doktorowi Lorenzo, że jego obietnica obejmuje też ludzką policję i służby medyczne. Przekazując im wieszczki krwi, wynagrodzi im fakt, że stali się świadkami zniszczenia wroga nazywanego Kontrolerem.

Łapy Joe przemieniły się w coś z grubsza przypominającego ręce. Wilk wystawił dwa palce.

– Każdy z was może wziąć dwie dziewczyny.

– Sześć dziewcząt? – spytał Monty. – W tym kompleksie jest tylko sześć dziewcząt?

– *Tylko tyle przeżyło?* – dodał w myślach.

– Możecie zabrać sześć – powtórzył Joe.

– A co z pozostałymi? – spytał Lorenzo. – Będą potrzebowały...

– Sześć albo żadnej – warknął Joe. – To i tak o pięć więcej, niż obiecaliśmy Wilczej Straży z Lakeside.

– Weźmiemy sześć – powiedział Simon. Odwrócił się i odszedł, strzygąc uszami, nasłuchując dźwięków niesłyszalnych dla ludzi.

Monty zawahał się, a potem wraz z Lorenzo ominęli Wilki, które pożywiały się na jednym z trupów, i dogonili Simona. Wilcza Straż zapewne chciał się pożywić – jak pozostali *terra indigena*, ale przynajmniej on traktował Monty'ego i Lorenzo jak coś więcej niż mięso, więc bezpieczniej było trzymać się jego.

Schody w dół. Kolejne korytarze. Simon zatrzymał się i popatrzył na swoich towarzyszy. W jego oczach migotały czerwone iskierki. Monty zastanawiał się, jak długo jeszcze zdoła zachować nad sobą kontrolę.

– Mnie zależy tylko na jednej, więc porucznik może wybrać trzy – oświadczył Wilcza Straż.

– Co się stanie z pozostałymi? – spytał porucznik.

– O tym zdecydują już tutejsi *terra indigena*.

– Oni uważają, że te dziewczęta to trucizna – zaprotestował Lorenzo.

– Jeśli spróbujecie zabrać więcej niż pięć, *terra indigena* zabiją wszystkie – stwierdził Simon obojętnie. Potem odsunął się od nich, zawył i nastawił uszu. Po chwili ruszył korytarzem, ślizgając się raz po raz na rozlanej krwi. Skręcił za róg i zniknął im z oczu.

Lorenzo i Monty zostali sami. Przez chwilę patrzyli w milczeniu na zamknięte drzwi licznych cel.

– Na bogów na dole i na górze, jak mamy je wybrać? – spytał Lorenzo.

Monty wziął pęk kluczy leżący obok jakiegoś ciała i otworzył najbliższe drzwi. Dziewczynka, która próbowała ukryć się w kącie pokoju, była może rok starsza od jego córki.

Pomyślał o Meg Corbyn, o jej walce z nałogiem cięcia skóry, który zapewne wkrótce ją zabije. Czy wpadłaby w ten nałóg, gdyby otrzymała wsparcie, zamiast trafić w miejsce, gdzie jej skórę traktowano jak towar?

– Weźmiemy najmłodsze – zdecydował. – Będą miały największą szansę nauczyć



się żyć w normalnym świecie. – Podał klucze Lorenzo, wszedł do celi i przykucnął przed dziewczynką. – Cześć, kochanie – powiedział łagodnie. – Jestem porucznik Montgomery i chcę ci pomóc. Pójdiesz ze mną? – Wyciągnął do niej rękę i czekał. Patrzyła na niego przez długą chwilę. Potem podała mu rękę... i złamała mu serce.

Simon wyważył drzwi i zatrzymał się gwałtownie.

Mogli to zrobić Meg, pomyślał, szczerząc kły. Zamiast okazać strach, co byłoby przejawem rozsądku w obliczu zagrożenia, kobieta siedząca na łóżku uśmiechnęła się do niego.

– Jesteś Wilkiem Meg – stwierdziła po prostu.

Bito ją i cięto, wyraźnie widział ślady. Siedziała wyprostowana na wąskim łóżku, z rękami na kolanach. Jedną stopę miała poważnie zniekształconą, wątpił, czy jest w stanie samodzielnie chodzić. Czuł od niej paskudny zapach, jakby ludzie przestali o nią dbać i nie pozwolili, by sama to robiła.

– Jean? – Miał nadzieję, że zaprzeczy. Jak ma zabrać takie coś do Lakeside?

– Tak, to ja. Jak się miewa Meg?

– Dobrze. – Niechętnie wszedł do celi. – Meg miewa się dobrze.

– Pomogłam jej uciec.

– Wiem.

– Chcę cię prosić o przysługę. – Przechylił głowę na bok, dając do zrozumienia, że słucha uważnie. – Nie zabijaj mnie tutaj. Zabierz mnie stąd, nienawidzę tego miejsca, odkąd pamiętam. Wyprowadź mnie gdzieś poza kompleks i zrób to tym. – Pokazała mu srebrną brzytwę. – Zamykali ją w szufladzie, żeby dręczyć mnie jej

bliskością. Wiedziała jednak, że kiedyś zapomną zamknąć szufladę, a wówczas następnego dnia przybędzie Wilk Meg. – Przesunęła palcem po rączce brzytwy. – Teraz znowu jest moja. Powinieneś mnie nią zabić. Jeśli mnie ugryziesz, zachorujesz.

Podszedł o krok bliżej, a potem przykucnął przed nią.

– Nie przyszedłem cię zabić. Meg prosiła mnie, żebym cię stąd zabrał, żebym cię uratował. – Kiedy nie odpowiedziała, dodał: – Ona mieszka z nami na Dziedzińcu w Lakeside. Możesz zamieszkać...

– Nie. – Gwałtownie potrząsnęła głową.

– Nie chcesz zobaczyć Meg? – spytał z wahaniem. On sam bardzo chciał zobaczyć Meg.

– Chcę, ale nie chcę mieszkać tam gdzie ona. – Jean pochyliła się ku niemu. – Meg jest kimś w rodzaju pioniera. Znasz to słowo, Wilku?

Simon kiwnął głową.

– Pierwsi ludzie, którzy najechali naszą ziemię. Pierwsi, których mięsa spróbowaliśmy. – Wyszczrzył zęby. – Meg nie jest pionierem.

Oczy Jean przybrały odległy wyraz. Meg wyglądała tak samo, kiedy przypominała sobie obrazy ze szkolenia.

– To ktoś, kto przeciera szlak – powiedziała. – Idzie pierwszy, szuka nowych dróg, którymi pójdą za nim następni. Zwiadowca. Czy takie określenie jest lepsze?

– Tak.

– Meg musi zerwać ze swoją przeszłością, a ja – Jean wskazała na siebie – będę jej o niej za bardzo przypominać. Meg sądzi, że to wszystko ze mną stało się z jej powodu.

– A nie było tak?

– Do pewnego stopnia. Ale to i tak by się stało. Meg wystarczą wspomnienia, które wracają do niej, kiedy patrzy w lustro. Więcej nie potrzebuje.

– Więc czego pragniesz dla siebie? – spytał. Dziwna kobieta. Szalona? Nie, nie do końca. Oczy, które na niego patrzyły, nie były szalone.

– Nie wiem. Obrazy nie mają sensu. Spadająca woda. Podnosząca się mgła. Ryk, ale równocześnie nie ryk. Słoik miodu.

– Tam powinnaś iść?

– Tak. Jeśli tu nie umrę, tak ma wyglądać moja przyszłość.

– W takim razie znam to miejsce. – Simon wstał i wyciągnął do niej rękę. – Ludzie, którzy tam mieszkają, nazywają siebie Intuitami. Pomogą ci, a ty możesz pomóc im. Podała mu brzytwę.

– Weź ją.

Schowwał brzytwę do kieszeni, nie wnikając, czemu mu ją oddaje, skoro sama właśnie ją odzyskała. Pamiętał, jak nerwowa robiła się Meg, kiedy traciła kontrolę nad swoją brzytwą.

Meg Zwiadowca. Czy pokazuje im wszystkim nową drogę w przyszłość Thaisii? To wielki ciężar dla tak małej kobiety. Ale on jej pomoże. Znajdzie sposób. Miał tylko nadzieję, że wszystkie wieszczki krwi nie zrobią z włosami tego czegoś, co zrobiła ona.

– Czas na nas – powiedział. Jean wstała z wysiłkiem. Mogła chodzić, ale z pewnością nie dałaby rady uciekać. Nagle ogarnęła go litość. Czy wiedziała, co jej zrobią, jeśli pomoże Meg uciec? Zapewne tak. Ale zachowała milczenie, żeby Meg

mogła odejść, nie oglądając się za siebie. Podsunął jej ramię, żeby mogła się na nim oprzeć. Zawahał się w progu. – Korytarz nie wygląda najlepiej. Może powinnaś zamknąć oczy?

– Wilku, ja już to wszystko widziałam, i to nie raz – odparła cicho.



Rozdział 31

Na stację kolejową odwieźli ich dwaj członkowie Jastrzębiej Straży – Wilki i Sanguinati mieli w tej chwili pilniejsze zadania do wykonania, a przynajmniej tak powiedzieli Monty’emu i Lorenzo, gdy ci kiedy pakowali pięć przerażonych dziewczynek do minivana. Simon przyprowadził ze sobą ciężko pobitą kobietę. Monty podejrzewał, że Simon wie, jakie zadania musi wykonać tutejsza Wilcza Straż z pomocą Sanguinatic, ale Wilk milczał, a porucznik nie zadawał pytań. Nie był pewien, czy zdołałby udźwignąć odpowiedź – a wiedział, że będzie musiał udźwignąć jeszcze wiele rzeczy.

Wsiedli do tego samego pociągu, który wcześniej zatrzymano na granicy Środkowego Zachodu i który teraz wracał do Lakeside. Konduktor zaprowadził ich do salonki, kilkakrotnie zapewniając, że nie pozwoli nikomu dosiąść się do nich w czasie podróży.

Wszystkim zajął się Simon. Monty był w stanie myśleć tylko o pięciu *cassandra sangue*, które ze sobą zabrali, podobnie zresztą jak Dominic Lorenzo. To Wilk przewidział, że podczas podróży powrotnej prywatność będzie im niezbędną. Kiedy pociąg ruszył, dziewczynki zaczęły krzyczeć. Wówczas Simon zrobił najprostszą rzecz pod słońcem – opuścił rolety w oknach, żeby ograniczyć liczbę nowych obrazów, z których przyswojeniem musiały sobie poradzić.

– Simon? To ja, Meg. Zamykam właśnie biuro i... Wyjeżdżałeś już wcześniej, ale tym razem jest... jakoś inaczej. Pusto. Sama nie wiem. Chcę, żebyś już wrócił do domu. Idę teraz do Merri Lee oglądać filmy, na których można płakać, ale wolałabym oglądać jakiś straszny film i chować się za tobą. Bo wtedy nie widzę tych strasznych rzeczy. No więc... do zobaczenia wkrótce.

Schowwał komórkę do kieszeni i wyszedł z łazienki. Po raz pierwszy przesłuchał wiadomości, kiedy dojechali na stację – tę od Vlada, że na Dziedzińcu panuje spokój, i tę od Meg. A teraz zrobił to znowu.

Dźwięk jej głosu. Nie dostarczał aż takiej przyjemności jak tulenie się do niej na kanapie, ale też był miły. Wzmianka o tym, że chowa się za niego, żeby nie widzieć strasznych rzeczy, poddała mu pomysł, co zrobić, kiedy dziewczynki zaczęły krzyczeć. Nie mógł im zasłonić swoim ciałem wszystkich strasznych rzeczy – było ich zbyt wiele – więc ukrył je przed nimi, opuszczając rolety.

Kiedy wrócił do przedziału, stwierdził, że Montgomery i Lorenzo nadal miotają się jak jelenie w kopnym śniegu. Zdumiało go to i rozzłościło. Tylko on miał w tym towarzystwie porządne zęby, więc powinien raczej stróżować, a nie opiekować się tymi szczeniakami *cassandra sangue*. Ale oni najwyraźniej tego nie potrafili.

Czyżby zobaczyli za dużo? Za dużo krwi? Za dużo na wpół zjedzonych ludzkich ciał? Lorenzo z początku marudził, że nie pozwolono im zabrać więcej dziewcząt,



ale kiedy wsiedli do pociągu, przestał narzekać. Wyglądał wręcz na chorego ze

strachu. Podobnie jak Montgomery.

Przyjrzał się im uważniej. Może wciąż martwili się o dziewczęta, które musieli zostawić? Może ciągle zastanawiają się, co się z nimi stanie? Kiedy Joe Wilcza Straż i inni przywódcy ze Środkowego Zachodu zobaczyli, co ludzie zrobili niektórym wieszczkom, nie chcieli oddać im żadnej ze straszliwych dzieł Namid. Dopiero Simon przekonał ich, że na Montgomerym i Lorenzo można polegać, że są niemal jak Wilki, jeśli chodzi o opiekę nad szczeniakami.

Ale w tej chwili nie był już tego taki pewien. Choć z drugiej strony nie miało to większego znaczenia, gdyż podjął własne decyzje co do dziewcząt i przez całą podróż planował szczegóły. Kiedy dotrą do Lakeside, Montgomery i Lorenzo nie będą mieli wiele do powiedzenia w tej sprawie.

Postanowił jednak zrobić coś, co później powinno pomóc Montgomery'emu.

Wstał z miejsca i podszedł do stołu, przy którym Jean pisała list.

– Mogę wziąć kartkę i kopertę? – spytał.

Podawała mu je wraz z długopisem.

Simon wrócił na swoje miejsce. Trudno mu było znieść obecność Jean, ponieważ kiedy na nią patrzył, widział przyszłość Meg, gdyby nie zdobyła się na ucieczkę – i gdyby Jean nie miała dość odwagi, żeby zostać.

Monty stał z Lorenzo na tyłach wagonu, kiedy Simon poszedł do kuchni, niosąc papier i długopis.

Czuł, że rozczarował Wilka, i było mu z tym ciężko, ale tak go otumaniło to, co zobaczył w kompleksie, że nie potrafił prawidłowo funkcjonować. Dopiero kiedy cel podróży był już blisko, uświadomił sobie, że właściwie zrzucił na Simona wszystkie kwestie związane z praktyczną opieką nad sześcioma *cassandra sangue*.

To nie rzeź tak go poruszyła, choć nigdy tego wszystkiego nie zapomni, tylko same dziewczęta. Te małe, które już przyuczano, ale jeszcze nie cięto. I te nastoletnie, które miały blizny na całym ciele. Jakaś czternastolatka pokazała mu swoją pierwszą bliznę na ręce – wyglądała przy tym tak, jakby nie wiedziała, czy powinna być z niej dumna, czy się jej wstydić.

Kiedy musiał ją zostawić, miał wrażenie, że umiera, ale uzgodnili z Lorenzo, że zabiorą tylko wieszczki w wieku od ośmiu do jedenastu lat, takie, których jeszcze nie cięto.

– Co my z nimi zrobimy? – spytał chrapliwie Lorenzo. – Kiedy tam byliśmy, myślałem tylko o tym, żeby je stamtąd zabrać, ale teraz...

– Ja też wcześniej o tym nie myślałem – odparł Monty.

– Nie możemy ich oddać do rodzin zastępczych ani do sierocińca prowadzonego przez miasto. Jeśli rozejdzie się wieść – a rozejdzie się – że *cassandra sangue* mieszkają w takim miejscu, ktoś je porwie. Nie stać nas na to, żeby pilnować domów rodzin zastępczych przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Chyba trzeba byłoby co tydzień przeprowadzać inspekcje, żeby się upewnić, że nikt ich nie tnie.

– Tak... – Monty rzucił okiem na Simona, który polizał klej na kopercie i skrzywił się z obrzydzeniem. Za każdym razem, kiedy pociąg zatrzymywał się na stacji, Wilk wychodził na zewnątrz, żeby zadzwonić. Poza tym obserwował dziewczęta, głównie Jean, która zapamiętała pisała coś na papierze, który kupił dla niej w kiosku na jednej ze stacji. Podczas kolejnego postoju kupił też książeczki do kolorowania i kredki dla młodszych dziewcząt.

Monty'emu ścisnęło się serce, kiedy uświadomił sobie, że dziewczynki

przewracają kartki w książeczkach, żeby zaabsorbować obrazy, i że nie mają pojęcia, do czego służą kredki. Lorenzo z kolei niepokoiło, że co chwila popadają w stan podobny do katatonii. Wyraźnie podróż je przytłaczała – mimo wysiłków, by ograniczyć im bodźce wzrokowe.

Monty i Lorenzo rozumieli, że to tylko przedsmak tego, co czeka potencjalnych opiekunów. Wreszcie zaczęli pojmować, z czym musiała zmierzyć się Meg Corbyn, kiedy uciekła z kompleksu – i z czym wciąż każdego dnia musi sobie radzić na Dziedzińcu.

– Zamknięty oddział w szpitalu niewiele będzie się różnił od miejsca, w którym je trzymano – ciągnął Lorenzo z goryczą.

– Myśli pan, że do tego dojdzie?

– Nie widzę innej alternatywy, a pan?

– Nie. – Monty znów spojrzął na Simona i dodał: – Ale mam wrażenie, że on tak. Kiedy pociąg zatrzymał się na stacji w Lakeside, czekał już na nich bus z Dziedzińca. Monty zadzwonił do kapitana Burke'a i poinformował przełożonego o swoim powrocie.

Spodziewał się, że bus zabierze ich na Dziedziniec, a tam on i Lorenzo zdecydują, co zrobić z dziewczętami. Tymczasem Blair Wilcza Straż skierował się na północ Drogą Nadrzeczną.

– Dokąd jedziemy, panie Wilcza Straż? – spytał Monty.

Simon, który siedział z przodu obok Blaira, przez chwilę w milczeniu mierzył go wzrokiem, a potem bez słowa odwrócił się od niego.

Monty poczuł niepokój. Nie miał pojęcia, co będzie, jeśli Wilk faktycznie przestał mu ufać. Dziewczęta siedziały jak skamieniałe. Nawet Jean, która podczas podróży pociągami do pewnego stopnia była w stanie funkcjonować, teraz wyglądała, tak jakby osiągnęła kres swoich możliwości. Monty pomyślał, że cokolwiek się stanie, ani on, ani Lorenzo, nie zdołają powstrzymać Innych od realizacji ich planów. Dopiero kiedy wjechali do lądowej części Przystani Przewoźników, zrozumiał nagle, co zamierza zrobić Simon. Barka już na nich czekała. Odbiła od brzegu, gdy tylko bus wjechał na pokład.

Kiedy przybyli na Wielką Wyspę, od razu pojechali do pensjonatu. Blair zatrzymał busa na parkingu dla gości.

– Chcecie tu zostać przez jakiś czas? – spytał Simon, pokazując dziewczynkom budynek. – Nie jesteście już w kompleksie, więc musicie słuchać dorosłych, którzy będą się wami opiekować, bo inaczej może was spotkać krzywda. – Po chwili wahania dziewczynki wyjrzały przez okna busa. Jak na komendę wszystkie zaczęły pocierać ramiona, tak jak Meg, kiedy pod jej skórą zaczynała mrowić przepowiednia. Po dłuższej chwili spojrzały jednak na Simona i pokiwały główkami.

– Jean? – spytał Simon.

Poraniona wieszczka objęła się ciasno ramionami, pokręciła głową i zamknęła oczy.

– Za dużo... – szepnęła.

Simon nie wyglądał na zaskoczonego i po prostu pomógł dziewczynkom wysiąść z samochodu. Cekał już na nich Steve Przewoźnik, który przedstawił im Margaret Seely i Larę Herrera, właścicielki pensjonatu.

Lorenzo próbował się wtrącić, ale natychmiast umilkł pod spojrzeniem

Przewoźnika. Monty zauważył, że wokół pensjonatu zbierają się Wrony, a w

otwartych drzwiach busa stoi Blair Wilcza Straż.

Gdy tylko Simon, właścicielki pensjonatu i dziewczynki weszli do środka, Steve skinął ręką na Monty'ego i Lorenzo i odprowadził ich na drugi koniec parkingu.

– To jest dla was jakiś problem? – spytał. – Bo od razu wam zapowiadam: nie zabierzecie z wyspy żadnej z tych dziewczynek. Przynajmniej nie teraz.

– Nie ma pan przygotowania, żeby zajmować się *cassandra sangue* – stwierdził Lorenzo.

Steve parsknął.

– A pan ma?

– Też nie – przyznał Monty, nie dopuszczając Lorenzo do głosu. – Ale pan chyba nie rozumie, jakie to będzie trudne.

– Dzieła Namid, równocześnie cudowne i straszliwe – powiedział Steve cicho. – W pewnym sensie Intuici to stado zarodowe, z którego wyhodowano wieszczki krwi. Nie, nie jesteśmy lepiej od was przygotowani do opieki nad nimi. Gdyby tak było, nie stracilibyśmy własnej wieszczki. Ale postaramy się zrobić dla nich wszystko, co tylko możliwe.

– Nie podoba mi się, że one tu zostaną – rzucił Lorenzo. – To my zabraliśmy je z kompleksu. Musieliśmy zostawić dziesiątki innych, które... – Pokręcił głową. – Znajdziemy dla nich jakieś miejsce.

Steve rzucił mu dziwne spojrzenie.

– Nie rozumie pan *terra indigena*, prawda? Oni już wam je odebrali – i nie mówię tylko o tych, które przywieźliście do Lakeside. Wiedzą teraz, czego szukać, i mogą się założyć, o co pan tylko chce, że już poszukują *cassadra sangue* we wszystkich ludzkich osiedlach.

To my wskazaliśmy Innym najbardziej prawdopodobne miejsca, gdzie można przetrzymać te dziewczęta, stwierdził w duchu Monty i na myśl o tym, ile krwi poleje się jeszcze z tego powodu, przeszedł go dreszcz.

– Zabiją wszystkie te dzieci.

Steve spojrzał na niego dziwnie.

– Niewykluczone, że właściciele tych kompleksów zabijają dziewczęta, by nie dopuścić do tego, że ktoś inny przejmie nad nimi kontrolę. Ale nie o to panu chodziło, prawda?



– Prawda.

Przewoźnik milczał przez jakąś minutę.

– Spodziewam się, że w najbliższych tygodniach z tej przyczyny umrze wielu ludzi. Nie sądzę też, by wszystkie wieszczki zdołały przeżyć w niekontrolowanym środowisku. Ale powiem panu jedno, Intuici żyją u boku Innych, odkąd ludzie postawili nogę na tym kontynencie, i nigdy jeszcze nie widzieliśmy, żeby *terra indigena* skrzywdzili dziecko.

W tym momencie Simon wyszedł z pensjonatu. Sam.

– Więc pozwolimy im odejść? – spytał Monty.

– Inni nie pozwolą, byście zatrzymali taką broń, więc owszem, będziecie musieli pozwolić im odejść.

Jean nie otwierała oczu. Czowała się wystarczająco przytłoczona dźwiękami towarzyszącymi powrotowi Wilków i ludzi do samochodu. Warkot silnika. Ruch.

Dokąd teraz jechali? A zresztą jakie to ma znaczenie. Czy ktokolwiek w tym busie rozumiał, co nadchodzi?

Terra indigena uderzą szybko i z wielką siłą – a Thaisia nigdy już nie będzie taka sama. Jeśli zaś chodzi o *cassandra sanguine*, uwikłane w nieskładne obrazy tych walk...

Krew. Rozpacz. Przeważenie. Cięcie brzytwy, by umknąć od strachu przed przyszłością, by ujrzyć prawdę w prorocztwie, które przychodzi o kilka chwil za późno. *Ja już się tego nie dowiem*, pomyślała. *Zbyt mało ze mnie zostało*. Za długo żyła w kontrolowanym środowisku. Tęskniła za światem poza murami kompleksu od dnia, kiedy zabrano ją od rodziców. Zawsze trzymała się swoich wspomnień, to był dla niej dowód, że gdzieś tam istnieje coś więcej niż cele i lekcje, i ludzie, którzy roztaczali nad nimi opiekę, ale dostrzegali wyłącznie wartość ich skóry.

Teraz to się skończyło, ale świat okazał się zbyt rozległy, wszystkiego było na nim za dużo. Wyeksponowała w niego Meg, wierząc, że wieszczka zdoła tam przeżyć, za cały dowód mając swoje wspomnienia z dzieciństwa. A jednak Meg przetrwała i sprawi, że wszystkim im będzie lepiej.

Musiała przysnąć, ponieważ dopiero kiedy Simon oznajmił, że dotarli na miejsce, zorientowała się, że samochód już nie jedzie.

Powoli wysiadła, podtrzymywana przez Simona i porucznika Montgomery'ego. Za nią wysiedli doktor Lorenzo i Steve Przewoźnik. Przed niewielkim, wygodnym domkiem czekali mężczyzna i kobieta. Jean widziała też inne budynki – stodołę i... kurnik... i jeszcze jeden – dom, ale jakby w miniaturze. Domek dla gości? Nie potrafiła przywołać w pamięci odpowiedniego obrazu.

– To są James i Lorna Ogrodnicy – powiedział Steve Przewoźnik. – Należą do komuny Prostego Życia, czyli używają techniki w bardzo ograniczonym zakresie, ponieważ nie chcą niczego komplikować.

– Domek dla gości stoi pusty – odezwał się James. – Przez pewien czas mieszkała



tam nasza kuzynka, ale na ostatnim zjeździe poznała kogoś i zamieszkała z nim. Pan Przewoźnik poinformował nas, że potrzebuje pani spokojnego schronienia, więc może pani tu zostać, jeśli to pani odpowiada.

Jean spojrzała na domek, na otoczenie i na parę ludzi czekających na jej odpowiedź.

Nagle Lorna zrobiła krok w jej stronę i podała jej słoik.

– Może pani oczywiście jadać posiłki z nami, ale to nasz tradycyjny prezent na powitanie.

Jean spojrzała na swoją poznaną bliznami rękę trzymającą słoik miodu.

– Czy chcesz zostać tu na jakiś czas, Jean? – spytał Simon.

Przełknęła łzy i uśmiechnęła się do niego.

– Tak, bardzo chciałabym tu zostać.

Monty w milczeniu siedział na krześle dla gości przed biurkiem kapitana Burke'a.

– Nigdy nie jest łatwo zdecydować się na mniejsze zło, poruczniku – odezwał się kapitan cicho. – Gdybyśmy nie pomogli Innym zlokalizować tego kompleksu, zniszczyliby cały Środkowy Zachód. Niech pan się nie łudzi w tej kwestii. A teraz w całej Thaisii złapali ludzkie rządy za jaja i postawili ludziom ultimatum: albo

dobrowolnie powiecie, gdzie przetrzymujecie *cassandra sangue*, albo natychmiast stracie każde osiedle i miasto, w którym Inni znajdą choć jedną wieszczkę.

– A co z ludźmi, którzy kupowali prorocstwa? Z politykami i biznesmenami? – spytał Monty.

– Jak zrozumiałem, *terra indigena* nie zamierza zakazywać kupowania przepowiedni. Przynajmniej nie od razu. Myślę, że w kompleksach zostanie zatrudniony nowy personel, ludzie, którzy będą się naprawdę opiekowali tymi dziewczynami, a Inni zachowają w swojej gestii sprawy związane z bezpieczeństwem. W ten sposób poznają wszystkich, którzy tam chodzą, a jeśli ktoś spróbuje przesznułować na zewnątrz krew wieszczek albo jedną z tych dziewcząt... Niech bogowie mają go w opiece.

– Więc nawet po ujawnieniu kompleksów dla tych dziewcząt wiele się nie zmieni.

– Wszystko się dla nich zmieni, poruczniku. Zamknięte zostaną programy hodowlane. Wieszczki będą mogły zostać w znajomym otoczeniu, ale kompleksy zmieniają się w coś na kształt domów opieki. Jeśli będą chciały odejść, nikt im tego nie zabroni. Będą mogły same podejmować decyzje, żyć po swojemu. A to oznacza również decydowanie o tym, czy i dla kogo chcą się ciąć.

– A *terra indigena* zapamiętają sobie, kto kupuje prorocstwa. – Monty westchnął. – Ludzie znajdujący się u władzy będą mieli tym więcej powodów, by popierać ruch Ludzie Przede i Nade Wszystko.

– Zapewne. – Burke pokiwał głową. – Ale proponuję, byśmy skupili się raczej na bieżących problemach.

– Skąd pan to wszystko wie, kapitanie? – Monty'ego nie zaskoczyła sama wiedza Burke'a, ale był szczerze ciekaw, w jaki sposób dowiedział się tego wszystkiego jako



pierwszy.

– Wpadłem na Dziedziniec, bo chciałem podwieźć pana do domu i przy okazji dostać raport. Ale pan był już w drodze do Przystani Przewoźników, więc porozmawiałem sobie z Elliotem Wilczą Strażą. Myślę, że był taki wylewny, ponieważ chciał sprawdzić, jaka będzie nasza reakcja. Jedno jest pewne, przez kilka kolejnych tygodni nie będziemy się nudzić.

Chwilowo jakoś nie zależy mi na rozrywkach, pomyślał Monty, wstając z krzesła.

– Nie jestem pewien, czy doktor Lorenzo nadal będzie chciał prowadzić gabinet na Dziedzińcu – powiedział. – Uświadomił sobie właśnie, że Inni nie pozwolą mu decydować, w jaki sposób będzie im pomagał... Obawiam się też, że nie poradzi sobie z tym, co widział w kompleksie.

– A pan? – spytał Burke.

Na to pytanie nie potrafił jeszcze odpowiedzieć.

– Dobranoc, kapitanie.

– Niech ktoś odwiezie pana do domu, poruczniku.

Monty zadzwonił do MacDonalda i Debany'ego i umówił się, że podrzucą go do domu.

Usiadł przy biurku, żeby na nich poczekać, i spojrzał na książkę o historii Thaisii, którą podarował mu Simon. Był ciekaw, jak bardzo wersja Innych na temat ostatnich wydarzeń będzie się różniła od relacji ludzi. Po chwili wahania wyjął z kieszeni kopertę – Simon dał mu ją, kiedy wysiadali z pociągu.

Na kartce w środku było tylko jedno zdanie: *W przeciwieństwie do ludzi terra indigena nie krzywdzą słodkiej krwi.*

Nagle zrozumiał, jaką odpowiedzialność wzięły na siebie Wilki i Sanguinati ze Środkowego Zachodu. Nie zostawią dziewcząt w tym kompleksie, to pewne. Raczej rozwiną je po małych ludzkich osadach pozostających pod ich kontrolą, zapewne wioskach Intuitów. Dadzą im szansę na nowe życie – albo pozwolą im umrzeć, jeśli nie będą zdolne żyć dalej. Bo na pewno nie wszystkie znajdą w sobie siłę Meg Corbyn i jej wolę życia. Miał jednak nadzieję, że choć kilka z nich przeżyje. Złożył kartkę, wsunął z powrotem do koperty i schował do szuflady biurka. Potem otworzył książkę i zaczął czytać.

Wiedział, że nie mógł postąpić inaczej. Pozostawało mu tylko wierzyć, że także ludzie zyskają coś podczas zbliżającej się krwawej rozprawy.

Simon spojrział w ciemne okna swojego pustego mieszkania i nagle poczuł się tak samotny, że zapragnął zawyć. Potrzebował towarzystwa, ale nie towarzystwa Wilków. To znaczy ich też, ale wiedział, że nie ukoją jego tęsknoty.

Potrzebował przyjaciółki. Potrzebował swojej Meg. Wiadomość, którą mu zostawiła, coś oznaczała. Prawda?

Odszukał w kompleksie jej celę, miejsce, gdzie ludzie trzymali ją przez tyle lat. Nadal utrzymywał się tam jej zapach, niczego nie ruszano, jakby Kontroler tylko czekał, żeby znów ją tam zamknąć. Ta cela przeraziła go bardziej niż rzeź w kompleksie.

Choć Sanguinati przeniknęli do środka i otworzyli drzwi Wilkom, Inni nie zdołali ocalić wszystkich dziewcząt. Kontroler i jego ludzie zdążyli część zabić, ale Lorenzo i porucznik Montgomery nie musieli o tym wiedzieć. Wystarczy, że zobaczyli, na co stać *terra indigena*. Zapewne wkrótce przekona się, co zrobią z tą wiedzą.

– Jeśli będziesz tak tam stał, nie znajdziesz kartki, którą ci zostawiłam – dobiegł go z ciemności głos Meg. Był niczym światło, które rozprasza samotne cienie.

Wszedł po schodkach na jej werandę.

– Jaką kartkę?

– Żebyś zostawił bagaże i przyszedł na kolację.

– Och... Masz jedzenie?

Uśmiechnęła się do niego, wyraźnie zapraszając do zabawy.

– Ugotowałam spaghetti. – Nie znał tego słowa, ale zapach zapowiadał coś smacznego, więc poszedł za nią do kuchni, porzucając przy drzwiach torbę podróżną. – Merri Lee mnie nauczyła – wyjaśniła Meg, unosząc pokrywkę garnka i ostrożnie mieszając zawartość. – Sos składa się z mielonej wołowiny i warzyw. Wołowina została wcześniej starannie obwączana, więc na pewno jest dobra. A makaron już prawie doszedł.

Simon nie bardzo wiedział, jak zareagować. Zapach jedzenia był zbyt silny, żeby mógł stwierdzić, czy cięła się w ostatnim czasie.

– Skąd wiedziałaś, kiedy...? – Urwał, przekonany, że właśnie wszystko zepsuł.

W jej szarych oczach dostrzegł irytację, ale też cień rozbawienia.

– Blair obiecał, że zadzwoni, jak podrzuci cię do kompleksu, żebyś wiedziała, kiedy wstawić makaron. Dotrzymał obietnicy.

– Och... – Drgnął, zaskoczony, kiedy minutnik zaczął dzwonić. Meg najwyraźniej serdecznie to rozśmieszyło.

– Proszę. – Wyłączyła ogień pod garnkiem i podała mu rękawice kuchenne. – Wlej

makaron do cedzaka, stoi w zlewie. Tylko uważaj, woda jest gorąca, a garnek ciężki.
– Uświadomił sobie, że właśnie dlatego kazała mu to zrobić – żeby chronić swoją skórę. Kiedy wykonywał jej polecenia i wytrząsał makaron na talerz, Meg przelała sos z drugiego garnka do miseczki. – Powinniśmy mieć do tego chleb i sałatkę – wyjaśniła. – Przynajmniej tak podają spaghetti w restauracjach, ale dziś zdołałam przygotować tylko tyle.

– Tyle wystarczy – odparł szczerze. Podróż pociągiem z Jean i pięcioma dziewczynkami, które nie potrafiły sobie poradzić z otoczeniem, uświadomiła mu, jak wielkim wysiłkiem było dla Meg wykonywanie nawet prostych czynności, jak bardzo musiała się starać, żeby nie przytłoczyły jej obrazy i bodźce.

Był głodny i miał ochotę rzucić się na jedzenie, ale jadł powoli, delektując się nim i doceniając jej wysiłek. I...

Teraz był już pewien, że się nie cięła, ale miał wrażenie, że w jedzeniu wyczuwa jej smak. Dotykała składników i pozostawiała na nich ślad. Przez to jeszcze bardziej mu smakowało.

Kiedy już najedli się do syta, schowali resztki do lodówki i wspólnie zmyli naczynia. Przez chwilę niepokoiło go, że zachowuje się za bardzo jak człowiek, ale równocześnie podobała mu się ta bliskość.

Meg nie spytała o inne dziewczęta ani o kompleks i Jean, póki nie usiedli na kanapie w jej bawialni. Wtedy dał jej list, który Jean napisała w pociągu.

– Uwolniłeś ją – powiedziała, obracając kopertę w palcach. – Ocaliłeś.

Wcale nie był tego pewien. Wątpił, czy można ocalić kogoś, kto przeżył tyle co Jean.

– Mieszka na Wielkiej Wyspie, więc będziesz mogła ją odwiedzić – powiedział. – Ale jeszcze nie teraz. Jest... w kiepskim stanie i nie chce cię jeszcze widzieć. Dlatego dała mi ten list.

– Musi opracować jakąś rutynę, zanim będzie mogła poradzić sobie z czymś nowym. – Meg wciąż obracała list w palcach. – Ale mogłabym do niej napisać, kupić w Trzy P papeterię i wysłać jej list, opisać jej moje życie na Dziedzińcu. Dostawanie listów stałoby się dla niej elementem codzienności.

– Właśnie – przytaknął Simon. – Wiesz co, Meg? Naprawdę chciałbym się pozbyć tej skóry.

– Dobrze. Wybrałam film na dzisiejszy wieczór. Możesz go ze mną obejrzeć, jeśli masz ochotę. To film dla kociaków. Zdaniem Merri Lee oznacza to, że podoba się dziewczynom, a nie że występują w nim kociaki.

Ucieszył się, bo szczególnie miał ochotę na film o małych kotach. Kiedy Meg zajęła się odtwarzaczem, poszedł do jej sypialni rozebrać się i przemienić. Otrząsnął z całych sił futro – i pomyślał, że będzie musiał potem odkurzyć dywan.

Może rano.

Wrócił do bawialni i położył się na kanapie obok Meg.

Albo film nie był interesujący, albo wyczerpało ją napięcie kilku ostatnich dni, ponieważ zasnęła w połowie.

Nie bardzo wiedział, w jaki sposób zdołała się na nim położyć, ale nie przeszkadzało mu ani jej ciężar, ani oddech mierzwiący jego futro, ani zapach jej skóry.

Zupełnie mu to wszystko nie przeszkadzało.

